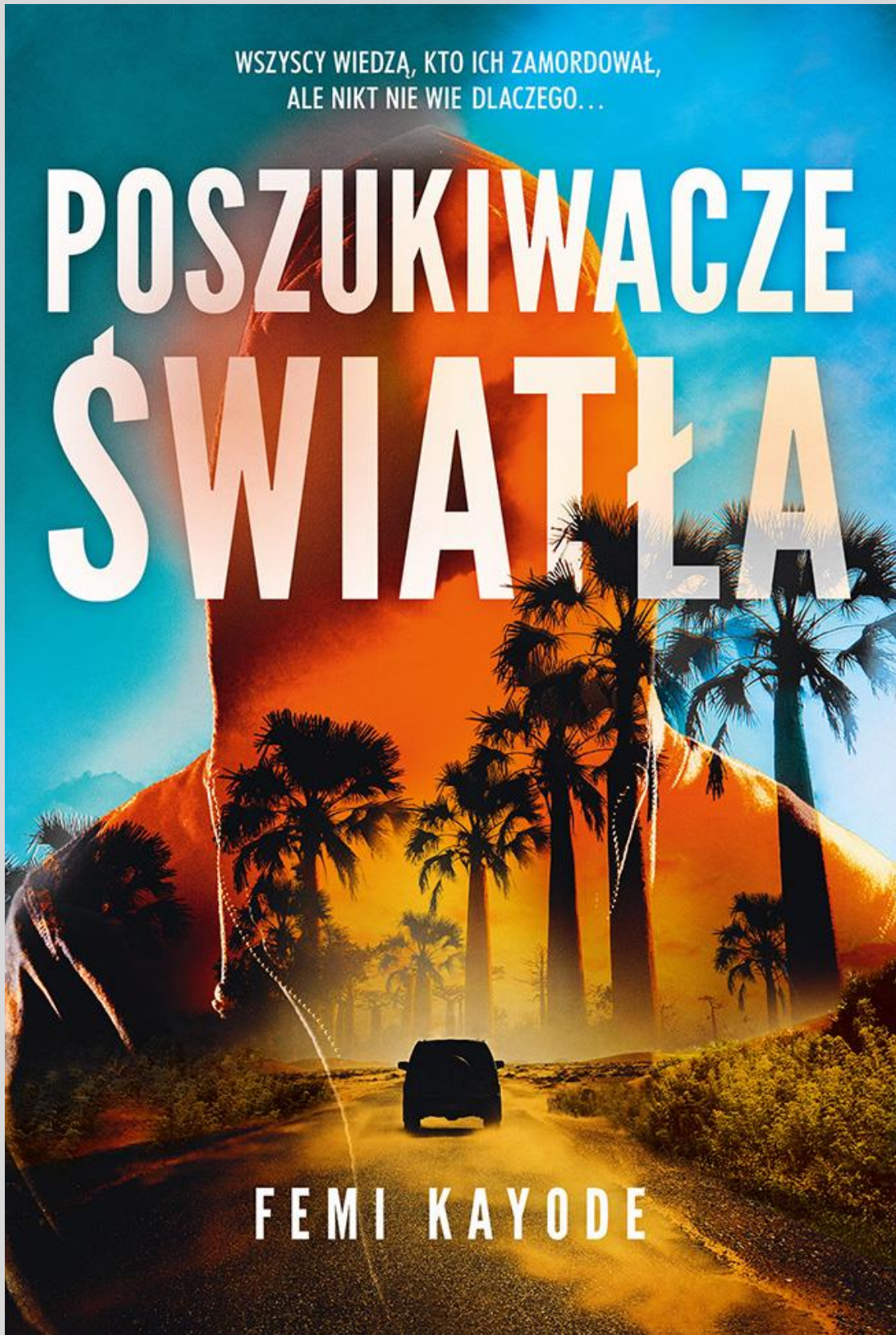


WSZYSCY WIEDZA, KTO ICH ZAMORDOWAŁ,
ALE NIKT NIE WIE DLACZEGO...

POSZUKIWACZE ŚWIATŁA

FEMI KAYODE



FEMI KAYODE

**POSZUKIWACZE
ŚWIATŁA**

Przełożyła
Agnieszka Sylwanowicz

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

CHOMIKO_WARNIA

Femi Kayode
Poszukiwacze światła

Tytuł oryginału
Lightseekers

ISBN 978-83-8202-868-3

Copyright © Femi Kayode, 2021

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Sylwanowicz, 2023

Copyright © for this edition by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2023

Redakcja
Agnieszka Czapczyk

Projekt graficzny okładki
Paweł Panczakiewicz

Opracowanie graficzne i techniczne
Barbara i Przemysław Kida

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Mojej rodzinie
oraz
przyjaciółom,
którzy stali się jej częścią

ŹRÓDŁO

Październikowe słońce jest tak rozgrzane jak krew rozłożzonego tłumu.

John Paul podąza za ludźmi, którzy coś skandują i popychają trzech młodych mężczyzn, rozebranych do naga i bitych tak, że ich rany nigdy nie zamienią się w blizny; strach sprawił, że skurczyły im się moszny. Kije. Kamienie. Cegły. Żelazo. Pękają kości, płynie krew. Rozdzieranie tkanek wyrywa ze zmęczonych płuc krótkie wrzaski. Młodzieńcy upadają, lecz są szybko podnoszeni i wleczeni ulicami ku miejscu, którego nikt nie wybrał, lecz które chyba wszyscy znają.

Poprzedniego dnia padało i czerwona ziemia jest gdzieś błotnista. Kiedy mężczyźni upadają, są wbijani w nią kopniakami głębiej, a ich krew miesza się z błotem. Kiedy na ich szyjach lądują opony jak ogromne naszyjniki, a zapach benzyny staje się tak silny, że niektórzy ludzie z tłumu zakrywają sobie nosy, resztę dnia ogarnia szaleństwo.

Potarcie zapalki rodzi płomień, a cegła miażdży głowę jednego z katowanych; wycieka z niej mózg i życie, więc on akurat nie wyje i nie wije się jak pozostali dwaj, kiedy ich skórę i włosy zaczyna lizać ogień.

Telefon w dłoni Johna Paula wibruje. Wskaźnik naładowania baterii miga czerwienią. John Paul opuszcza smartfon i się rozgląda. Nie on jeden tworzy cyfrowe świadectwo rozgrywającej się egzekucji. Zastanawia się nad wykorzystaniem telefonu komórkowego, który odebrał jednemu z palących się ludzi, zanim rzucił się na nich tłum, lecz zawarta w tym ironia nie byłaby tego warta. Tak czy owak, jest już po wszystkim. Czas odejść.

Kiedy John Paul się oddala, idę za nim wśród cieni, niezdolny odwiedzić koszmaru, który stworzył za nami.

A ponieważ nie ogląda się do tyłu, nie robię tego i ja.

AKT I

światło odbite od chropowatej przeszkody rozprasza się w kilku kierunkach

NIE CO, ALE DLACZEGO

Jeśli się nie mylę, to w hali odlotów krajowego lotniska w Lagos zaraz wybuchną zamieszki.

— Ktoś nam powinien przynajmniej powiedzieć, co się dzieje! — wykrzykuje zirytowany pasażer do niewzruszonej pracownicy linii lotniczych, pryskając jej w twarz śliną.

Powodzenia — myślę znad mięsnej zapiekanki i coca-coli. Siedzę przy stoliku w barze Mr. Bigg's naprzeciwko stanowiska odpraw, w miejscu, które starannie wybrałem, żeby nie zostać na lotnisku, kiedy opóźniony samolot w końcu zdecyduje się polecieć do Port Harcourt.

— Lot jest opóźniony, sir — powtarza pracownica. — Mówiłam panu...

— Co go opóźnia?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć, sir. Jeśli okaże pan cierpliwość...

— Jak długo? — Pytanie to zadaje inna spocona pasażerka, która nie ma prawa być tak zdenerwowana, ponieważ widziałem, jak wchodzi do hali mniej niż trzydzieści minut przed planowanym startem. — Czekamy od...

Trzech godzin i siedemnastu minut. Ale jeśli uwzględnić to, kiedy uber przywiózł mnie na lotnisko, to byłoby ponad pięć godzin. Przypuszczam, że pozostali pasażerowie nie uciekali z domów, żeby uniknąć konfrontacji z niewierną małżonką. No dobra. Prawdopodobnie niewierną małżonką. Prawda jest taka, że pośpiech, z jakim się spakowałem i wyszedłem z domu wczesnym rankiem, miał niewiele wspólnego z punktualnością, a bardzo wiele wspólnego z moją niechęcią zadania żonie nurtującego mnie pytania: „masz romans?”.

Zduszenie tego pytania wymagało tego ranka dużej siły woli, kiedy Folake stała w lekkiej bawełnianej podomce, wzięwszy się pod boki. Długie loki miała odgarnięte do tyłu, więc dezaprobata, z jaką obserwowała moje poczynania, była doskonale widoczna.

— Naprawdę to robisz?

— Tak — mruknąłem, ostentacyjnie licząc majtki.

— I to, że uważam to za zły pomysł, nie ma znaczenia?

Włożyłem bokserki do walizki i odpowiedziałem głosem, który, jak miałem nadzieję, był wyważony i neutralny.

— Już o tym rozmawialiśmy, Folake.

— Nie jesteś detektywem, Philipie.

Zaakcentowała moje imię tak, jak to robi, kiedy bezskutecznie stara się zachować cierpliwość.

— Twoja wiara inspiruje i motywuje — odparłem ze smutkiem.

— Nie graj tą kartą! Nikt nie okazuje więcej wiary w ciebie niż ja.

— I uważasz, że już czas przestać?

— Nie możesz jechać do jakiejś wioski, żeby rozwiązać sprawę nieruszaną od ponad roku, i spodziewać się, że wyprawię ci pożegnalne przyjęcie.

Odwrociłem się do niej, w końcu patrząc jej w oczy.

— Niczego nie rozwiązuję. Badam, dlaczego wydarzyło się to, co się wydarzyło.

— I to nie jest rozwiązywanie sprawy? Przecież nie zdołasz zrozumieć, dlaczego coś się zdarzyło, nie wiedząc, co się zdarzyło.

Gdybym wtedy zaczął objaśniać moją pracę psychologa śledczego, nie czekałbym tu na

opóźniony lot. Chociaż wspieraliśmy się nawzajem podczas pisania naszych doktoratów, to kiedy to pasuje mojej żonie, moja żona udaje, że nie rozumie mojej pracy.

— Folake, to jest okazja do wykorzystania moich umiejętności w prawdziwym świecie...

— Prawdziwym i niebezpiecznym świecie — przerwała mi ostro.

Niewątpliwie podróż do Okriki można by uznać za niebezpieczną dla kogoś takiego jak ja, kto spędził większość dorosłego życia w Stanach i przybył do Nigerii osiem miesięcy temu, ale miło by było, gdyby moja żona powiedziała zamiast tego: „Jedź, kochanie. Jeśli ktokolwiek może się dowiedzieć, co doprowadziło do tłumnego zaatakowania i spalenia żywcem trzech studentów, to ty. To zadanie dla ciebie”.

— To szaleńczy plan i dobrze o tym wiesz! Nie wiem, co usiłujesz udowodnić — ciągnęła tymczasem Folake.

— Że jestem kimś więcej niż podrzędnym naukowcem bez stałej posady — odpaliłem, powstrzymując się od krzyczenia.

— Stałej posady nie zapewni ci opuszczenie rodziny, by przeprowadzić śledztwo w sprawie wielokrotnych morderstw — powiedziała równie nieprzyjemnym głosem.

Ale odwróci moją uwagę od smutnej możliwości, że mnie zdradzasz... Oczywiście nie wypowiedziałem tego na głos. Nie znoszę kłótni, zwłaszcza jeśli łączy się z tym podniesiony ton. Co więcej, niewielu jest ludzi, którzy potrafią obronić swoją pozycję w wojnie na słowa z profesorem Afolake Taiwo, najmłodszą osobą na stanowisku profesora prawa na uniwersytecie w Lagos. W ciągu niemal siedemnastu lat małżeństwa rzadko wygrywałem sprzeczki z moją żoną.

— W porządku, Philipie. Powiedzmy, że tam dotrzesz i dowiesz się, co naprawdę się wydarzyło albo dlaczego się wydarzyło. Co potem? Co chcesz zrobić? Napisać książkę?

— To jest Nigeria, Folake — stwierdziłem drwiącym tonem. — Tu nie dogrzebuje się szczegółów działania wspólnego i w porozumieniu w nadziei na napisanie bestsellera.

— To w imię wszystkiego, co święte, powiedz mi, na co masz nadzieję?

— Powiedziałem ci, że ojciec jednej z ofiar wynajął mnie, żebym...

— Tak, tak, wiem. — Wyrzuciła ręce w górę i przewróciła oczami. — Chce, żebyś sporządził jakiś raport, bo nie wierzy, że jego syn był złodziejem, chociaż to wszystko jest w mediach społecznościowych.

— Widziałas wideo?

Folake się wzdygnęła.

— Ja je widziałem co najmniej sto razy — ciągnąłem, by nie musiała mówić, co zapewne widziała na którejś z kilku stron, gdzie zamieszczono filmiki ze śmiercią Trzech z Okriki. — I wiesz co? Za każdym razem przychodzi mi do głowy ta sama myśl: ludzie nie mogą być tak szaleni, żeby spalić tych chłopców w biały dzień tylko dlatego, że przyłapano ich na kradzieży.

Folake usiadła na łóżku z opuszczonymi ramionami, a ja nie wiedziałem, czy to z powodu naszej sprzeczki, czy mojej wzmianki o tym niepokojącym wideo.

— Nic w tym kraju nie ma sensu — powiedziała, kręcąc głową.

— Wszystko ma sens, jeśli się wie, dlaczego ludzie robią to, co robią.

— Psychobelkot — warknęła. Jej dłoń uniosła się szybko do ust, jakby chciała cofnąć te słowa.

Folake przekroczyła granicę i miała tego świadomość.

Niezwykle starannie zapinałem suwak walizki, aż zyskałem pewność, że potrafię zachować obojętny wyraz twarzy. Kiedy spojrzałem na żonę, głos miałem tak obojętny, jak na początku rozmowy.

— Dziękuję. Teraz pojedę użyć mojego psychobelkotu w sprawie, za którą zostanę dobrze wynagrodzony. Przepraszam.

Podniosłem walizkę i szybko wyszedłem, zanim zdołała się pozbierać.

Rozmyślania przerywa mi gniewny głos kolejnego pasażera.

— To nie do przyjęcia! Tylko w Nigerii jest możliwe...

Daję rozgniewanym pasażerom i niegrzecznej obsłudze naziemnej jakąś godzinę, zanim dojdzie do wymiany ciosów. Na razie skupiam się na jednej rzeczy, do której zrozumienia jestem wyszkolony.

Na miejscu zbrodni.

PTASZKI

Miejsca zbrodni potrafią się zmieniać z uporządkowanych w irytująco chaotyczne. Usiłuję odseparować się od lotniskowego hałasu i zastanowić nad słowami mojego dawnego nauczyciela i mentora, profesora Alberta Cooka: „Śmierć jest niechlujna, Philipie, ale umieranie to szambo”.

Prof, jak nadal czule go nazywam, nigdy nie podzielał poglądu, że miejsce zbrodni może pasować do danego zestawu cech. Mawiał: „Ludzie partaczą i w tym kryje się wskazówka, co się naprawdę stało”.

Prof był promotorem mojego doktoratu na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, moim pierwszym szefem oraz osobą, która wprowadziła mnie w rozwijającą się wówczas dziedzinę psychologii śledczej. Chociaż jest już na emeryturze, wciąż się udziela „przez zagłądanie do szamb innych ludzi”, jak to nazywa. Może powinienem mu wysłać link do egzekucji Trzech z Okriki na YouTube. Ciekawie byłoby poznać przemyślenia staruszka na temat tego szczególnego wychodka.

Patrzę na moje notatki. Pod nagłówkiem „Zorganizowane miejsce zbrodni” wpisuję duży znak zapytania. Zważywszy na to, jak gniew tłumu był wyraźnie skierowany na trzech młodzieńców, których ów tłum zabijał — mordował — mogły tu mieć zastosowanie przynajmniej niektóre warunki określające zorganizowane miejsce zbrodni. Weźmy agresję wobec ofiar przed ich spaleniem. Klasyczna premedytacja. I te opony. Przecież nie mogły się tak po prostu pojawić same z siebie. Ktoś albo jacyś ludzie musieli się napracować, by przynieść je na miejsce zbrodni, które dla tego ćwiczenia powinienem ograniczyć do miejsca, gdzie chłopcy zostali w końcu zabici.

„Personalizacja ofiar(y)”. Teoretycznie bezpiecznie jest założyć, że w zabójstwie dokonanym przez tłum nie ma nic osobistego, a zatem przestrzeń ta nosi cechy niezorganizowanego miejsca zbrodni. Właściwie, biorąc pod uwagę gwałtowność, z jaką zostali zabici Trzej z Okriki, nie można wykluczyć zbiorowego przeniesienia. Jeśli ci młodzieńcy byli podejrzanymi złodziejami, to znaczna liczba atakujących ich ludzi mogła być ofiarami poprzednich rabunków, które nie spotkały się z karą. Ale czy da się obronić ten argument w odniesieniu do niemal stu rozszluszczonych osób?

Obok słowa „personalizacja” stawiam kilka pytań i piszę: „Zebrać dane na temat skali rabunków w okolicy w miesiącu zabójstwa oraz wcześniej”.

Istnieją też inne oznaki zorganizowanego miejsca zbrodni. Klasycznymi wskaźnikami są tu żądania uległości ofiar i skrzępowanie ich w pewnym momencie całego tego przygnębiającego wydarzenia. Lecz typologia zaplanowanego miejsca zbrodni na tym się kończy.

Podnoszę wzrok, by sprawdzić, czy któryś ze sfrustrowanych pasażerów uciekł się do przemocy. Jeszcze nie. Następnie wracam do moich notatek, gdzie wyliczyłem cechy charakterystyczne niezorganizowanego miejsca zbrodni.

„Ciała pozostawione na miejscu zbrodni”. Ptaszek.

„Ciała pozostawione na widoku, by każdy mógł je zobaczyć”. Ptaszek.

„Depersonalizacja ofiar”. Ptaszek.

Rysuję wokół tego esy-floresy. Czy można mieć pewność? Czy jest możliwe, że nikt tych chłopców nie znał? A co z osobą, która twierdziła, że została okradziona?

Piszę: „Przesłuchać tego, kto podniósł alarm”.

„Minimum rozmów”. Tłumy nie wdają się w dyskusje ani negocjacje ze swoimi ofiarami. A zatem ptaszek.

„Spontanizacja”...

Najwyraźniej tłum rzucił się na chłopców po tym, jak ktoś podniósł alarm, że okradają innego studenta poza kampusem. Ponieważ żadną miarą setka rozszluszonych osób nie mogła czekać w pogotowiu na wezwanie do wzięcia udziału w zabójstwie przy pomocy opon, tu też stawiam ptaszek.

Istotnie, umieranie to szambo. Mieszanka cech odnosząca się do tego miejsca zbrodni jest irytująca, lecz może okazać się inspirująca przy rozwiązywaniu tego zadania. Muszę pamiętać, by do czasu, kiedy zdobędę więcej danych oprócz zdjęć zaczerpniętych z nagrań na YouTube i notatek z rozmów z rodzicami ofiar, zachować otwartość umysłu.

Piszę: „Pojedynczy motyw ukryty pod zbiorowym zamiarem lub uprzedzeniem?”. To mogłoby wyjaśnić tę mieszaną typologię, najbardziej charakterystyczną cechą niezorganizowanego miejsca zbrodni.

„Niespodziewana i nagła przemoc wobec ofiar”. Ptaszek.

Tu się zatrzymuję. Jak jednak niespodziewana i nagła była ta przemoc? Równie ważne, co samo miejsce zbrodni, są opisy zbrodni. Motywacja narratora — sprawcy, ofiary czy świadka — może rzucić znaczne światło na to, co się naprawdę wydarzyło.

Przerzucam notatki do miejsca, w którym napisałem: „Emeka Nwamadi”.

PIERWSZY KONTAKT

— Chiemeka Nwamadi — powiedział, potrząsając moją dłońią.

— Miło mi pana poznać, panie Nwamadi.

— Mów mi Emeka, proszę. Nie róbmy ceregieli.

— Usiądźmy — rzekł Abubakar Tukur, który byłby moim szefem, gdybym miał stałą umowę z Wyższą Szkołą Policyjną, a nie pracował w niej jako gościnny wykładowca, którego usługi są zamawiane w ścisłym związku z wysokością budżetu. Zaproponował nam — a raczej rozkazał — byśmy usiedli w pierwszym rzędzie krzeseł stojących naprzeciwko biurka, znad którego właśnie wygłosiłem wykład o panowaniu nad tłumem. Abubakar pochodzi ze starej szkoły; jest trzydziestym drugim komendantem Wyższej Szkoły Policyjnej, który wciąż pielęgnuje złudzenia na temat przywrócenia czasów chwały Policji Nigeryjskiej.

Sadowiąc się wygodnie na solidnym krześle, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że skądś znam nazwisko „Nwamadi”.

— Emeka jest dyrektorem zarządzającym Banku Narodowego — rzekł Abubakar i wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

Ten człowiek jest głową trzeciego co do wielkości komercyjnego banku w kraju. Kiedy tylko sobie to uświadomiłem, na skraju mojej świadomości zamajaczył kolejny niewyraźny szczegół i na ratunek znowu przybył Abubakar.

— Nie wiem, czy znasz sprawę Trzech z Okriki... — zaczął.

Moją pierwszą reakcją był szok, a następnie współczucie. W trzecim tygodniu mojego pierwszego cyklu wykładów o psychologii tłumu, które wygłaszałem w szkole, poprosiłem kadetów o przedstawienie analiz zbrodni popełnionych przez tłum. Ponad połowa prac dotyczyła

incydentu z południowo-wschodniej części kraju, który media ochrzciły mianem Trzech z Okriki. Ponieważ większość prac była niespójna — co ma do siebie większość studenckich analiz — poświęciłem nieco czasu na poczytanie o tej sprawie w mediach. W ten sposób dowiedziałem się, że ojcem jednego z trzech studentów pobitych i spalonych żywcem ponad rok temu w uniwersyteckim miasteczku Okriki jest Emeka Nwamadi. Walka, jaką prowadził z innymi rodzicami o pociągnięcie do odpowiedzialności ludzi, którzy zabili ich synów, stanowiła temat nagłówków prasowych na kilka miesięcy przed moim wyjazdem ze Stanów śladem mojej żony, spędzającej urlop naukowy na Uniwersytecie w Lagos.

Co można powiedzieć rodzicowi, który stracił dziecko w tak okrutny sposób?

— Przykro mi, sir — powiedziałem niezręcznie.

Emeka Nwamadi skinął głową. Twarz miał nieprzeniknioną.

— Dlatego tu jesteście, Philipie. Wszyscy famiętają, co się stało.

Kiedy Abubakar jest podekscytowany, zdradza go jego hauszańskie dziedzictwo. Jego „p” zmieniają się w „f”, a „r” w „l”.

Tylko że ja nie pamiętałem tak dobrze. Nie wtedy. Naczytawszy się wystarczająco dużo, by mieć kontekst do oceniania prac kadetów, usiłowałem to wszystko wyrzucić z pamięci. Moi synowie, bliźniacy, właśnie skończyli szesnaście lat i nietrudno mi było wyobrazić ich sobie na uniwersytecie, z dala od domu, gdzie mogliby się znaleźć w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Przed szukaniem informacji o Trzech z Okriki, a nawet oglądaniem wideo na YouTube powstrzymał mnie instynkt samozachowawczy.

— Nie bardzo rozumiem, jaka jest tu moja rola, sir? — powiedziałem.

— Powiedz mu.

Abubakar dał Emece znak skinieniem głowy.

Emeka się nie odezwał, lecz sięgnął do skórzanej teczki i wyjął dwa oprawione dokumenty. Położył je na stole między nami, a ja natychmiast je rozpoznałem. Pierwszym była moja praca magisterska o poetyckim tytule *Dziwny owoc. opis psychologii tłumów dokonujących linczów na Południu*. Drugim był mój doktorat, swego rodzaju kontynuacja pierwszego: *Dziwne żniwa. jak tłum unika odpowiedzialności za morderstwo*. Oba teksty zostały zapewne wydrukowane po ściągnięciu ich z internetowej biblioteki uniwersytetu, gdzie prowadziłem badania i pisałem prace. Przedstawiłem je też jako część mojego dorobku naukowego, kiedy składałem podanie o pracę w Wyższej Szkole Policynnej.

Spojrzałem na Abubakara, lecz odezwał się Emeka.

— Jest mnóstwo relacji o tym, co się wydarzyło w dniu, kiedy został zabity mój syn. Żadnej z nich nie daję wiary, więc jestem tu, by poprosić pana o pomoc w dowiedzeniu się, co tam naprawdę zaszło.

Takie prośby nie były mi obce i miałem na nie standardową odpowiedź.

— Proszę nie mylić mnie z detektywem, panie Nwamadi. Jestem psychologiem mającym doświadczenie w badaniu motywów zbrodni oraz sposobu ich popełnienia. Większość moich śledztw to wyłącznie ćwiczenia akademickie.

Ta przemowa była dobrze wypróbowana w ciągu wielu lat wyjaśniania granic mojego doświadczenia byłym kolegom z policyn w San Francisco.

— Znam te książki — oznajmił Emeka, pokazując je palcem.

— To są prace akademickie.

— Moim zdaniem błyskotliwe. Nigdy nie czytałem niczego podobnego do pańskich analiz zachowania tłumy.

— To są obserwacje po fakcie, niemające znaczenia kryminalistycznego ani sądowego.

Staralem się mówić lekceważącym tonem, ale komplement sprawił mi przyjemność.

— Niemniej, wnikliwie — upierał się przy swoim Emeka.

— Mówiłem ci, że jest skromny — rzekł do niego Abubakar, a potem zwrócił się do mnie. — Phirifie — jego hausąński tryb policyjnego szefa rozkręcił się na dobre — jesteś jedynym człowiekiem, który fotłafi złożyć w całość tamte wydarzenia. Ci ludzie fotrzebują twojej fomocy. Jako jedyny fsycholog śledczy w tym klaju...

— Którego znasz.

Abubakar machnął ręką, jakby bronił się przed jakąś absurdalną propozycją.

— Skoro ich nie znam, to nie istnieją. Ciebie znam.

Jeśli nauczyłem się czegokolwiek podczas ośmiu i pół roku spędzonych w policji w San Francisco na paraliżującym duszę „składaniu w całość” motywów i sposobów działania sprawców najbardziej nieludzkich zbrodni znanych człowiekowi, to tego, że w kwestii zbrodni związanej z utratą życia nie ma zwycięzców. Zupełnie wystarczyło mi bycie wykładowcą. Byłem gotów wygłosić bardziej stanowczą odmowę.

— Oglądał pan wideo, panie doktorze? — zapytał Emeka.

— Proszę mówić mi po imieniu.

— Philipie — zgodził się bez wahania. — Oglądałeś wideo?

Pokręciłem głową; Emeka sięgnął po swój smartfon, stuknął dwa razy w ekran i podał mi go z wyzywającym spojrzeniem. Po kilku sekundach w mojej dłoni rozegrały się ostatnie minuty życia Kevina Nwamadięgo.

Kiedy Abubakar i Emeka wyszli z sali, groza tego, co ujrzałem, nie opuszczała mnie przez dłuższą chwilę. Po ponad półtorej dekady badania ludzkich uchybień niemal opanowałem niezbędną sztukę dystansowania się. Teraz jednak po raz pierwszy obejrzałem dokonywanie zbrodni i byłem sparaliżowany faktem, że ona już się rozegrała i nie dało się jej powstrzymać.

Nie mogłem pozbyć się obrazów tych trzech bitych, katowanych i palonych żywcem młodzieńców. Trudno było mi pojąć ból, jaki muszą czuć Emeka Nwamadi i pozostali rodzice. Bardzo trudno jest znieść stratę dziecka, lecz świadomość, że ta bolesna śmierć — to umieranie — trwa w niekończącej się cyfrowej pętli w internecie, musi się składać na straszliwą egzystencję.

Przyjęcie tego zlecenia z wielu powodów przemawiało do tkwiącego we mnie badacza. Jednym z nich była okazja do odniesienia niektórych z moich hipotez na temat psychologii tłumu do kontekstu nigeryjskiego. Nie zaszkodziłoby to też moim szansom na zostanie konsultantem przy Wyższej Szkole Policyjnej lub równie szacownej instytucji na bardziej stałych zasadach. Jednak to tkwiący we mnie ojciec rozbudził we mnie chęć pomocy Emece Nwamadiemu w znalezieniu zakończenia sprawy, którego tak wyraźnie potrzebował.

Tamtego dnia wyszedłem z pracy wcześniej, niż zaplanowałem, i pojechałem do biura Folake, chcąc podzielić się z nią moimi wstępnymi wrażeniami na temat tej sprawy. Nie zrobiłem tego.

Ten dzień okazał się dość skomplikowany; był w tym samym stopniu niepokojący, co przygnębiający, ponieważ to na tym parkingu podniosłem wzrok i w oknie biurowca ujrzałem moją żonę w ramionach innego mężczyzny.

GRZECHY OJCÓW

Abubakar przez wiele dni drażył sprawę, usiłując przekonać mnie do przyjęcia tego zlecenia, ale nie mogłem mu powiedzieć, że Trzech z Okriki jest moim najmniej ważnym problemem. Nie odpowiadałem na SMS-y Emeki Nwamadięgo i nie odbierałem telefonów od niego. Nie robiłem trudności. Po prostu nie funkcjonowałem na tyle dobrze, by się w cokolwiek angażować. Aż do dnia, w którym wezwał mnie do siebie ojciec.

O powadze sytuacji w klanie Taiwów świadczyła pora dnia, w której moi rodzice postanawiali ją omawiać. Rodzinne dyskusje na tematy obejmujące zakres od nagan za dokonania akademickie poniżej normy po poważne naruszenia honoru rodziny odbywały się późnym wieczorem, kiedy nie było niebezpieczeństwa, że przeszkodzą nam goście. Ostatnio poważne rozmowy, które mój ojciec nazywał „spotkaniami strategicznymi”, zostały przesunięte na świt. To wtedy omawia się możliwości rozwoju karier, dzieli się niepokojem związanym z zachowaniem kogoś z trojga mojego rodzeństwa albo z wielkością naszego wkładu finansowego do rodzinnych przedsięwzięć, którym mój ojciec obarczył swoje dzieci, zwykle bez naszej zgody.

Kiedy dostałem SMS wzywający mnie o świcie do naszego domu rodzinnego na Lagos Island, pomyślałem, że może Folake przyznała się ojcu do niewierności i poprosiła go o wstawiennictwo w uzyskaniu mojego przebaczenia, lecz szybko odrzuciłem tę myśl. Tata jest ojcem chrzestnym Folake i od jej dzieciństwa oboje są w bliskich stosunkach. Mało zrobiłem w życiu rzeczy, którymi zaimponowałem tacie, lecz poślubienie jego chrześnicy musi się liczyć jako to, co mój brat bliźniak nazywa „szach-matem braterskiej rywalizacji”. Folake tylko w ostateczności zaryzykowałaby splamienie wyobrażenia, jakie miał o niej mój tata.

Już na mnie czekał. Mama leżała jeszcze w łóżku. Od kiedy przeszła na emeryturę, rezygnując z posady przełożonej pielęgniarek w przychodni ojca, lubiła długo spać; twierdziła, że w ten sposób odzyskuje siły po wychowaniu dwóch par bliźniąt i opiekowania się mężem pracoholikiem. Pytany, dlaczego nie mieli więcej dzieci, tata zawsze żartował, że bał się, że następnym razem będą sześcioraczki! Dobiega osiemdziesiątki i nadal pracuje w swojej przychodni, położonej niedaleko domu. Wiedziałem, że pójdzie tam zaraz po naszym spotkaniu.

— Kehinde! — zawołał, biorąc mnie w ramiona, a potem prowadząc przez nasz duży salon do gabinetu.

Ojciec nigdy nie nazywa mnie Philipem. Upiera się, że urodziłem się z imieniem „Kehinde” i że na pomysł „Philipa” wpadła moja mama w trakcie chrztu. Zmartwiłem się, że nie powitał mnie przydomkiem, jakim mnie nazywał — „Kenny Boy” — który ukuł dla odróżnienia mnie od jednej z młodszych bliźniaczek, też noszącej imię „Kehinde”. Ona jest „Kenny Girl”. Ja mam więcej wyrozumiałości dla ksywki, jaką staruszek wymyślił dla mnie, ale moja czterdziestoczteroletnia siostra nie lubi, kiedy nazywa się ją „dziewczynką”.

— W zeszłym tygodniu rozmawiałem z chłopcami — rzekł ojciec, kiedy sadowiłem się na kanapie obitej wytartą skórą, stojącej naprzeciwko regału z godnym podziwu zbiorem jego książek.

Nabrałem powietrza i czekałem, aż staruszek skończy swój ulubiony temat: osiągnięcia szkolne jego wnucząt lub owych osiągnięć brak. Ubolewał nad charakterem ich pisma, który określił jako „drżący”. Co za ironia — mówił to lekarz. Poinformował mnie, że właśnie skończył czytać powieść o Harrym Potterze, którą dała mu wnuczka — „Czarownice i czarodzieje! Czy tego teraz uczą się te dzieci?”. Mówił o nowym zwyczaju mamy usuwania z ich diety glutenu — „Mam siedemdziesiąt osiem lat! O co jej chodzi?”.

Kiedy w końcu przerwał dla nabrania tchu, wstałem i ruszyłem w stronę ekspresu do kawy, który stał w kącie, a potem odważyłem się zapytać, dlaczego ojciec mnie wezwał.

— Siadaj — rozkazał.

Posłuchałem, porzucając plan napicia się kawy, wciąż zaintrygowany i zdenerwowany. On też usiadł. Przybrał poważną minę, co zwiększyło mój niepokój.

— Mój przyjaciel mówi, że go unikasz — odezwał się w końcu.

— Słucham?

— Emeka Nwamadi.

— Znasz go?

Nie powinienem się dziwić. Siatka znajomych i pacjentów ojca wygląda jak *Who's Who* elity Lagos.

— Tak. Gramy razem w golfa w klubie.

— Nie wspomniał o tym, kiedy się poznaliśmy. Przedstawił mi go komendant Wyższej Szkoły Policyjnej.

— Wiem. Chyba nie chciał niepotrzebnie cię naciskać.

— Hmm, ciekawe, co się zmieniło — powiedziałem kwaśno, siadając na kanapie.

Trochę się odprężyłem, skoro już widziałem, dokąd to zmierza.

— To, co stało się z jego synem i tymi innymi chłopcami, jest naprawdę smutne, nie sądzisz?

— Straszne — zgodziłem się ostrożnie, nie bardzo wiedząc, w jakim kierunku ojciec chce poprowadzić rozmowę.

— Sądzę, że powinieneś rozważyć przyjęcie tej sprawy — rzekł twardym tonem, patrząc mi w oczy.

— Ale, tato, nie wiem, co mogę zrobić. Wszystkie raporty...

— ...to domysły, plotki i przypuszczenia. Musimy dotrzeć do prawdy.

— My?

Ojciec westchnął głęboko, wstał i podszedł do regału, by sięgnąć po sfatygowaną szarą teczkę. Wyjął z niej stare zdjęcie i mi je podał.

Rozpoznałem młodszą wersję mojego taty — moi bliźniacy są do niego niesamowicie podobni i na zdjęciu mógłby być którykolwiek z nich — w otoczeniu pięciu innych młodzieńców w mniej więcej tym samym wieku.

— Twoje uniwersyteckie czasy, tak?

Wydawało mi się, że rozpoznaję na zdjęciu przynajmniej dwóch młodych ludzi. Mieli twarze znane mi ze spotkań absolwentów, które ojciec wiele razy organizował w domu.

— Moje bractwo na uniwersytecie w Ibadanie. — Głos ojca złagodziała nostalgia. — Byliśmy nierozłączni. Życ razem jako bracia, zginąć razem jako głupcy. To było nasze motto.

Zauważyłem na głowach wszystkich młodzieńców opaski z czerwonych chustek i coś sobie uświadomiłem.

— Tato, należałeś do sekty?

— Nie mów tak — odparił ostro. — Nigdy nie nazywaj nas...

— Bractwo, sekta... Co za różnica?

Najeżył się.

— W niczym nie przypominaliśmy obecnych studentów — mówił władczym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. — Byliśmy braćmi, mieliśmy polityczną świadomość, świetnie się uczyliśmy i nade wszystko uchodziliśmy za dystygowanych dżentelmenów.

Spojrzałem na zdjęcie i dłoń lekko mi zadrzała; uwiadomiłem sobie, że bez względu na to, co mówi ojciec, muszę zrewidować jego obraz.

— Wciąż jestem tą osobą — powiedział, jakby czytał mi w myślach. Usiadł obok mnie i wyjął mi zdjęcie z ręki. Kiedy na nie patrzył, głos mu złagodniał. — Podobnie jak wszyscy pozostali na tym zdjęciu. To jest doktor Chukwuji Nwamadi. — Pokazał palcem. — Był jednym z pierwszych wykładowców na Uniwersytecie Nigeryjskim w Nsukka. Straciliśmy go podczas bombardowania tego kampusu podczas wojny. Od tamtej pory wspólnie opiekujemy się jego rodziną. Jego żoną, jego dziećmi... — Spojrzał znacząco na mnie. — A zwłaszcza jego najstarszym synem, Emeką.

— I dlatego chcesz, żebym przyjął tę sprawę? Bo znasz ojca Emeki?

— Czuję się za niego odpowiedzialny. Podobnie jak pozostali na tym zdjęciu. Jego ojciec to nasza krew. Ale to wykracza poza takie więzy. Te dzieci, które dzisiaj biegają z bronią i zabijają się nawzajem, plamą naszą spuściznę. Prawa, o których ustanowienie walczyliśmy, świadomość

niesprawiedliwości, jaką zbudziliśmy, nasze protesty przeciwko wojnie domowej, wszystko to zniknęło, ponieważ kiedy ludzie myślą teraz o uniwersyteckich bractwach, widzą jedynie chaos. — Wzruszył ramionami, kręcąc głową ze smutkiem. — A kiedy wydarza się coś tak strasznego jak to, co przytrafiło się tym chłopcom, nie można się nie zastanawiać, jaką mieliśmy w tym wszystkim rolę i czy nie można było uniknąć tego rozlewu krwi. Nie taki był plan. Nasza wizja była początkowo heroiczna.

Westchnął płytko.

— Czy Emeka wie to o tobie? No wiesz, to o... no, bractwie.

Ojciec skinął głową.

— Wszyscy na tym zdjęciu pomogli wysłać go na uniwersytet tutaj i do USA na magisterskie studia zarządzania. Wie.

— Myślisz, że jego syn został zabity, ponieważ należał do sekty?

— A ty?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem na tyle dużo, by mieć jakieś wartościowe przemyślenia.

Ojciec ponownie skinął głową.

— Jest tyle niewiadomych. Ale może jeśli wyjdą na jaw fakty, to już nigdy nie dojdzie do niefortunnnych wydarzeń podobnych do tych, które doprowadziły do śmierci Kevina i tych chłopców.

Wstałem, żeby stworzyć między nami trochę dystansu.

— Mam udowodnić, że te zabójstwa nie były związane z żadnym gangiem, żebyś ty i twoi przyjaciele mogli lepiej spać?

— Masz pomóc ojcu pogrążonemu w żałobie. Masz mu podsunąć zakończenie. Masz dojść do prawdy, a jeśli ta prawda okaże się kolejną rzeczą, która zaciąży na moim sumieniu, to trudno.

Zniknął jowialny lekarz, czuły ojciec, dobroduszny dziadek i kochający mąż.

— Nadal nie potrafię wyobrazić sobie siebie... — Pokręciłem głową. — Czytałem, czego dopuszczają się te gangi na kampusach. — Coś sobie przypomniałem i szeroko rozwarłem oczy.

— Pamiętam, jak zadzwoniłeś do mnie i Taiyego, kiedy myśleliśmy o studiowaniu tutaj. Zabroniłeś nam tego i ostrzegłeś, żebyśmy nawet nie myśleli o wstąpieniu do jakiejś sekty.

Tata pogroził mi palcem.

— Rozmawiając z tobą i twoim bratem, nie użyłem słowa „sekta”. Powiedziałem „gang”.

Prychnąłem.

— A nie tym stały się wasze bractwa? Hołdującymi przemocą gangami, przed wstąpieniem do których ostrzegałeś własne dzieci?

Ojciec pokręcił głową, ale nie umiał udzielić odpowiedzi rozwiewającej moje wątpliwości.

— Próbowaliśmy, Kehinde. My wszyscy, absolwenci z rozmaitych bractw na rozmaitych kampusach w całym kraju. Próbowaliśmy zakończyć tę przemoc. Kontaktowaliśmy się z władzami uniwersyteckimi, zasiadaliśmy w ciałach doradczych, a nawet pomagaliśmy formułować prawa, by zapanować nad tym, co wszyscy nazywają „tajnymi sektami”. Jednak nic z tego nie wyszło.

— Dlaczego nic nie mówiłeś? Nawet kiedy ostrzegałeś Taiyego i mnie, dlaczego nie powiedziałeś, że sam byłeś członkiem bractwa?

— Wiedziałbyś dlaczego, gdybyś zobaczył, jak na mnie teraz patrzysz.

Tamtego ranka wyszedłem z domu mojego dzieciństwa z ciężkim sercem. W ciągu niecałego tygodnia dwoje najbliższych mi ludzi zniszczyło to, w co wierzyłem najgłębiej. Żona zmusiła mnie do zakwestionowania mojej wiary w nasz związek, a ojciec zasiał we mnie wątpliwości co do wyobrażenia, jakie miałem o nim od czterdziestu sześciu lat.

Nie byłem gotów zająć się Folake, ale miałem umiejętności i wykształcenie pozwalające przyjąć sprawę Trzech z Okriki. Potrzebowałem czegoś, co zajęłoby moją uwagę. Tak więc nazajutrz po spotkaniu z tatą zadzwoniłem do Emeki Nwamadiego i zgodziłem się przyjąć to zlecenie. Nie wspomniałem o ojcu, ale wiedziałem, że on wie. Byliśmy związani.

EKSCYTUJĄCE PRZYBYCIE

— Szanowni państwo, witamy na pokładzie samolotu odbywającego lot nr NJ2406 do Port Harcourt. Przepraszamy za opóźnienie...

Można by pomyśleć, że opóźnienie wynosi najwyżej godzinę. Miałem rację co do nastroju tłumu przy kontuarze. Pobiciu personelu linii lotniczej zapobiegła tylko podana dwie godziny temu informacja, że samolot wystartuje. Całkowity czas oczekiwania: pięć godzin i dwadzieścia osiem minut. To niemal osiem godzin siedzenia w barze Mr Bigg's i sporadycznego kupowania czegoś do przekąszenia w charakterze czynszu.

— Kapitan Duke wraz z załogą dołoży wszelkich starań, by szybko dotrzeć do Port Harcourt, przede wszystkim mając na względzie państwa bezpieczeństwo i wygodę. Prosimy zająć miejsca. Po zatankowaniu paliwa wyruszymy w drogę.

Logika mówi, że paliwo lotnicze jest inne od tego, które wlewam do mojego czteroletniego prado, lecz ogłaszanie tankowania po takim opóźnieniu nie osłabia sceptycznego nastawienia, z jakim podchodzę do tego lotu.

Chociaż nie powinien on trwać więcej niż godzinę, długie opóźnienie sprawia, że znowu się zastanawiam, dlaczego Emeka nie zgodził się na moją propozycję odbycia tej podróży samochodem. Nigdy nie byłem w południowo-wschodniej części kraju i miałem nadzieję, że jazda, która według GPS-u trwa około dziesięciu godzin i piętnastu minut, wzbogaci moją asymilację. Lecz Emeka i Abubakar upierali się, że nie tylko z uwagi na złe drogi bezpieczniej jest podróżować samolotem. Tkwiący we mnie amerykański miłośnik wycieczek samochodowych miał nadzieję szybko zamknąć zlecenie i pojechać w stronę granicy z Kamerunem, ale kiedy o tym wspomniałem, Abubakar zakrztusił się drinkiem. Poproszony o wyjaśnienie, powiedział tajemniczo, żebym mu zaufał, że latanie jest najbezpieczniejsze. Patrząc wstecz, nie pamiętam, aby Emeka albo Abubakar mówili, że jest najszybsze.

Pojawia się pasażerka, która ma miejsce obok. Jedno spojrzenie na nią i natychmiast zapominam o niepokoju, że może nastąpić kolejne opóźnienie. Makijaż ma zrobiony tak perfekcyjnie, że jestem pewien, że nie nakładała go ręcznie. Talię ściska dopasowana sukienka podkreślająca jej pełną figurę. Kobieta sięga w górę, by umieścić w schowku kilka toreb. Skórzany futerał na laptopa się nie mieści, więc kładzie go pod fotelem przed sobą i odwraca się do mnie z tysięczmegawatowym uśmiechem.

— Cześć — mówi.

Odnajduję głos o sekundę za późno.

— Cześć.

— Bałam się, że się spóźnię.

Wygląda sukienkę i sadowi się wygodnie w fotelu.

— Lot był opóźniony.

— Mówił mi mój stacz, ale po drodze były straszne korki.

— Stacz?

Unosi brew starannie podkreśloną kredką.

— Ktoś, kogo się wynajmuje do stania w kolejce. Te loty są zawsze opóźnione. Więc płaci się komuś za stanie w kolejce i przejście odprawy, a on dzwoni, kiedy tylko zaczynają wpuszczać na

pokład.

Nie potrafię ukryć zdumienia.

— Ale korki... Przecież żadną miarą nie można zdążyć od telefonu do wejścia na pokład?

Śmieje się; jej głęboki, perlisty śmiech zwraca uwagę. Gdyby któraś z kobiet w samolocie miała numer Folake, jej telefon zadzwoniłby w tej sekundzie. „Pozwalasz mężowi samotnie lecieć do Port Harcourt? Zwariowałaś? Przyjedź tu natychmiast i ocal go przed czarami paradującymi w chmurze Chanel Nr 5!” Tymczasem mężczyzna w średnim wieku siedzący po drugiej stronie przejścia wygląda tak, jakby natychmiast chciał się zamienić ze mną miejscami.

— Dlatego do samolotu wsiadam jako ostatnia.

Moja kolej na śmiech. Wyciągam do niej rękę.

— Philip Taiwo. Miło mi panią poznać.

Wyciąga upierścienione palce.

— Salome Briggs. Wzajemnie.

Uważam, by uścisk naszych dłoni nie trwał za długo.

— A więc Port Harcourt. Interesy czy przyjemność?

— W PH musi być i jedno, i drugie. Mieszkam tam. Lagos zawsze oznacza dla mnie interesy. A pan?

— Zdecydowanie interesy.

Jej wzrok spoczywa na mojej obrączce.

— Madam jest tu w Lagos?

— Tak. Wykłada na Unilagu.

Nie podoba mi się, że moje podejrzenia co do niewierności Folake pozostają bez wpływu na nutę dumy w moim głosie.

— A, rozum w rodzinie — mówi Salome. — Co, jak zakładam, z pana czyni pieniądze.

— Niestety, nie. Ale pracuję nad tym. Stąd interesy w Port Harcourt.

— Rozumiem, że nie jest pan regularnym gościem w tej części kraju.

— Co mnie zdradziło?

— Mówienie „Port Harcourt” tam, gdzie wystarczy samo „PH”.

— Przyznaję się do winy.

Salome parska śmiechem.

— A zatem co się dzieje w PH?

Nie wiem, czy zabójstwo Trzech z Okriki jest tematem rozmowy, na jaką ktoś się pisze podczas takiego lotu. Lecz ja się udaję do miejsca, w którym nigdy nie byłem, a ta życzliwa pasażerka mieszka w jego pobliżu.

— Piszę raport w sprawie wydarzenia, które się tam rozegrało kilka lat temu. No, może niedokładnie tam, ale w jednym z okolicznych miasteczek.

— Zasadniczo dobrze umiem określić charakter człowieka i mogę postawić mojego iPhone’a, że nie jest pan dziennikarzem. — Przechyliła się blisko do mnie i szepcze konspiracyjnie: — W moim iPhonie jest całe moje życie.

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Salome Biggs chyba wszystko robi dla efektu, począwszy od makijażu, poprzez strój, do sposobu mówienia.

— Jestem psychologiem śledczym.

— Psychoanalitykiem?

— Nie, nie... — Znowu wybucham śmiechem na widok jej szeroko rozwierających się, obwiedzionych czarną kredką oczu, jakbym właśnie wyznał, że ukrywam w domu Tupaka Shakura. — Badam zbrodnie i określam, dlaczego i w jaki sposób zostały popełnione.

Prycha tak, jak potrafi prychnąć tylko Nigeryjka. To lekceważące mruknięcie, któremu

towarzyszą liczne poruszenia twarzy, na które składają się jednocześnie przewracanie oczami, unoszenie brwi i wyginanie warg do dołu.

— Po co? Przecież to już się stało?

— Kiedy rozumiemy, w jaki sposób wydarzyła się dana zbrodnia, i potrafimy zidentyfikować prowadzące do niej motywy, szansa na zapobieżenie ponownemu jej popełnieniu jest o wiele większa.

— Hmm. Tak panu powiedziano, kiedy wypełniał pan podanie o przyjęcie na studia na tym drogim amerykańskim uniwersytecie, na którym się pan uczył, tak?

Powinienem się obrazić, ale nie potrafię.

— Czy to tak oczywiste?

— Proszę się nie martwić. Nie powiem absolwentom z pańskiej grupy. A jeśli chodzi o to wydarzenie, to zamierza pan napisać o nim raport, żeby się nie powtórzyło?

— To bardziej skomplikowane...

— Szanowni państwo, przygotowujemy się do startu. Prosimy wyłączyć urządzenia elektroniczne i zapiąć pasy...

Sięgam po telefon komórkowy i widzę dwie wiadomości od Folake. Wyłączam go, nie czytając ich. Salome robi to samo ze swoim złocistoróżowym iPhone'em oraz z innym, mniej rzucającym się w oczy, nie-iPhone'em. Wkłada je razem z iPadem do bocznej kieszeni torby na laptopa i wsuwa ją pod siedzenie w chwili, kiedy samolot rusza z miejsca. Opiera się wygodnie w fotelu, odwraca się do mnie i znowu błyska tym uśmiechem.

— Proszę zdefiniować, co to znaczy „skomplikowane”.

— Hę?

Usiłuję pozbyć się poczucia winy, że nie przeczytałem wiadomości od żony.

— Powiedział pan, że to wydarzenie, które pan bada, jest skomplikowane.

— Media nazwały je Trzema z Okriki. To tragiczny incydent...

Milknę, bo moja współpasażerka odwraca się i ostentacyjnie poprawia torbę pod fotelem. Samolot kołuje.

— No to powodzenia — mówi Salome bez wcześniejszego ciepła w głosie.

KOMITET POWITALNY

Kiedy tylko gaśnie symbol zapiętych pasów, Salome wyciąga iPad, zatyka uszy słuchawkami i zachowuje się, jakbyśmy wcale się sobie przed chwilą nie przedstawili. Gdy obsługa przynosi posiłek — żalostną kanapkę owiniętą celofanem oraz sok i/lub wodę, za którą żadne z nas nie podziękowało — nie zwraca na mnie uwagi, a ja udaję, że wracam do moich notatek.

Po trzydziestu minutach w powietrzu decyduję się złapać byka za rogi. Szturcham ją łokciem. Delikatnie, lecz na tyle stanowczo, by zwrócić na siebie jej uwagę. Salome unosi brew, ale nie zdejmuje słuchawek. Pokazuję na jej uszy. Salome wzdycha i niechętnie odsłania lewe ucho.

— Myślałem, że między nami coś się zaczęło...

W chwili, kiedy wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, że są niewłaściwe. Brew Salome unosi się jeszcze wyżej, a zmarszczka na czole świadczy o jej irytacji.

— Nie to miałem na myśli... — zaczynam.

— A co? Uważa pan, że jest coś między nami, bo kiedy się poznaliśmy, uśmiechnęłam się do pana i byłam uprzejma?

— Przepraszam. Miałem na myśli... No, myślałem, że prowadzimy interesującą rozmowę, ale kiedy tylko powiedziałem, po co lecę do Port Harcourt, pani ją zakończyła.

— Jeden. Kwestia tego, jak interesująca była nasza rozmowa, jest dyskusyjna. Ma pan prawo do

swojego zdania. Dwa. Jak powiedziałam, po prostu prowadziłam uprzejmą rozmowę ze współpasażerem i...

— Przepraszam, jeśli powiedziałem coś niewłaściwego albo czymś panią rozgniewałem.

Milczy. Przepraszanie za to, że nie zrobiłem nic złego, należy do taktyki, której nauczyłem się w ciągu siedemnastu lat małżeństwa.

— Nie ma za co przepraszać — odpowiada niechętnie Salome.

— Jest. Brakuje mi przyjaciółki sprzed trzydziestu minut.

— Łatwo się pan zaprzyjaźnia.

— Tylko jeśli warto to robić. Polegam na instynkcie.

— To będzie łatwo pana zranić.

Mówi to, jakby mnie ostrzegała. Zastanawiam się, czy ma na myśli moją intuicję, czy coś innego.

— Przeżyję — mówię gładko, starając się stłumić niepokój wywołany jej słowami.

Przez chwilę patrzy mi w oczy, a potem się śmieje, znowu przyciągając zaciekawione spojrzenia innych pasażerów. Odkłada iPhone'a oraz iPada i odwraca się do mnie z tym swoim olśniewającym uśmiechem.

— Dobrze, panie doktorze, zacznijmy od nowa...

— Philipie. Życie jest za krótkie. Wolę iść dalej. Odcięłaś się, kiedy powiedziałem, po co tam lecę. Dlaczego?

Przez moment milczy, może oceniając moją wolę uzyskania odpowiedzi.

— Bo ciągniesz tygrysa za ogon.

— To stara sprawa, Salome. Zamierzam tylko napisać raport...

— Znam tę historię, Philipie. Ci chłopcy zostali zabici w wiosce mojej matki.

Później będę rozmyślał nad tym, jak zaczynały znikać kolejne stopnie oddalenia w tym zleceniu. Na razie mogę jedynie powiedzieć:

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie. Mogę cię jednak zapewnić, że w Okriki nie powitają cię z otwartymi ramionami, pałając chęcią opowiedzenia, co się stało. Albo, żeby cię zacytować — dlaczego i jak to się stało.

— A więc równie dobrze mógłbym wrócić do Lagos, zanim jeszcze dotrę do Okriki?

— Równie dobrze.

— A jeśli tego nie zrobię?

— Będę się za ciebie modlić. Możemy już zmienić temat?

Spojrzeniem rzuca mi wyzwanie, bym dalej szedł ścieżką, która najprawdopodobniej doprowadzi ją do ponownego użycia słuchawek.

— Oczywiście.

Rozmawiamy o mojej pracy niepełnoetatowego wykładowcy w Wyższej Szkole Policyjnej. Ona mówi mi, że jest prawniczką specjalizującą się w sektorze ropy naftowej i gazu. Uśmiecham się w duchu. Chyba jest w moim typie.

— Szanowni państwo, wkrótce zaczniemy podchodzić do lądowania. Prosimy ustawić stoliki...

Łądujemy bez dramatów i kiedy słyszymy informację, że można włączyć telefony komórkowe, wymieniamy z Salome dane kontaktowe. Wstaje, żeby wyjąć ze schowka torby.

— Jeśli to wszystko to twój bagaż podręczny, to boję się zobaczyć, ile toreb zgłosiłaś do odprawy bagażowej.

Kręci głową z udawaną litością.

— Jak tylko otworzą się te drzwi, zrozumiesz, dlaczego nigdy nie odprawiam bagażu na żaden lot do PH.

Ani podmuch gorącego, wilgotnego powietrza, ani jej słowa nie mogłyby przygotować nikogo na

chaos, jaki czeka na mnie po krótkim spacerze z samolotu do stanowiska przylotów. Mój szok musi być wyraźnie widoczny, bo Salome się śmieje.

— Witamy w PH, panie doktorze — mówi. — Bądź w kontakcie.

Macha lekko ręką i znika.

Rozglądam się w poczuciu zagubienia. Na szczycie rozpadającego się budynku tkwi ogromny napis — „Międzynarodowe Lotnisko Port Harcourt” — górujący nad budowlą, którą ktoś zapewne zamierzał ukończyć, ale jakoś się do tego nie zabrał. Za mną pasażerowie wciąż wychodzą z samolotu, ale ja mam ochotę popędzić do niego z powrotem i porwać go, by odstawił mnie do mojego życia w Lagos.

— Doktor Taiwo? Doktor Philip Taiwo?

Chrapliwy głos należy do ciemnoskórego mężczyzny, który zapewne niedawno przekroczył trzydziestkę, ale w pomiętej koszuli i krawacie wygląda starzej. W okolicy pach ma plamy potu, ale widać, że dołożył starań, by wyglądać dobrze, a nawet profesjonalnie. Trzyma kartkę papieru formatu A4 z wypisanym na niej moim nazwiskiem i zdjęciem, które mogło zostać wydrukowane jedynie z zakładki poświęconej wykładowcom na stronie Wyższej Szkoły Policyjnej. To pewnie opiekun, którego obiecał mi Emeka.

— Tak, jestem Philip Taiwo. Chika?

Uśmiecha się, ukazując doskonale białe zęby.

— Tak, sir. Chika Makuochi. — Przekłada kartkę do drugiej ręki.

Potrąceni przez tłum ludzi otaczający nas na pasie startowym, ściskamy sobie dłonie.

— Proszę ze mną.

Idę za nim do namiotu oznaczonego jako „Przyloty” i stykam się z jeszcze większym chaosem. Na ziemi leżą walizki, kraciaste jutowe torby, pudła i inne bagaże. Mężczyźni w roboczych kombinezonach wnoszą do namiotu kolejne i rzucają je obok już tam leżących. Teraz rozumiem, co miała na myśli Salome.

— Która jest pańska?

Oszołomiony, patrzę na Chikę.

— Pański bagaż, sir. Proszę go pokazać, to go przyniosę.

Przez chwilę nie potrafię przypomnieć sobie koloru walizki, którą dałem do luku. A jeśli pokażę walizkę, która nie należy do mnie, ale jest do mojej podobna? A jeśli wezmę jakąś walizkę z kontrabandą i zostanę aresztowany?

— Proszę się nie martwić. Proszę tylko pokazać, a przed wyjściem potwierdzimy, że to pański bagaż — mówi uspokajająco Chika.

Naprawdę muszę coś zrobić z moją twarzą pokerzysty.

Pokazuję na walizkę samsonite najbardziej przypominającą tę, do której ponad dziesięć godzin temu spakowałem moje rzeczy. Chika ją bierze, obraca na różne strony i widzimy, że plakietka z nazwiskiem nie przeżyła nieostrożnego obchodzenia się z walizką.

— To chyba moja.

Pochylam się i ustawiam kombinację zamka. 2302. Dzień i miesiąc moich urodzin. Zamek się otwiera.

Chika bierze bagaż.

— Proszę za mną, sir.

Do pracowników ochrony, na których się natykamy, mówi coś szybko w pidżynie. Pokazuje na mnie jako na osobę podróżującą, ale wyczuwam, że to formalność, ponieważ bez wahania przypomina jednemu z ochroniarzy, że wcześniej już z wszystkimi „załatwił”, żeby pozwolili mu wyjść po mnie na płytę lotniska. Inny ochroniarz go rozpoznaje i po krótkiej wymianie zdań przeplatanej śmiechem zostajemy wypuszczeni z lotniska.

Kiedy docieramy na parking do land cruisera, jestem spragniony i spocony. Chika otwiera tylne drzwi terenówki, ale kręcę głową i pokazuję, że wolałbym usiąść z przodu. Przed usadowieniem się w fotelu rozglądam się, żeby się upewnić, że nie wyobraziłem sobie tego ostatniego kwadransa.

— To może być nieco przytłaczające — mówi Chika. — Lotnisko tak wygląda od ponad dziesięciu lat. Nie przeszkadza to rządowi co roku przydzielać kilku milionów na jego wykończenie. Jedźmy, sir.

Włącza silnik; uderza we mnie podmuch zimnego powietrza z klimatyzatora.

— Witamy w PH — mówi Chika i cofa samochód, a następnie sprawnie skręca w stronę znaku wyjazdu.

WKRACZA CIEMNOŚĆ

— Jak długo jedzie się do Okriki? — pytam Chikę po skręcie z drogi prowadzącej z lotniska na taką, która ma zmienny stosunek do asfaltu.

— Około godziny, sir. Dzisiaj jest niedziela, więc nie ma dużego ruchu.

Rozglądam się. Nawet według standardów Lagos zaniedbanie takiej głównej drogi nie może być dobre dla ruchu o jakimkolwiek natężeniu. Podejrzewam, że wiele osób spóźnia się na swoje loty, grzęznąc w odmianie „nie dużego ruchu” obowiązującej w Port Harcourt.

— Teraz jedziemy do Okriki, PH leży w tamtą stronę — wyjaśnia Chika.

— Nie jesteśmy w Port Harcourt?

— Nie bardzo. Lotnisko znajduje się praktycznie w Omagwa, które leży na przedmieściach PH. Ta droga — pokazuje do tyłu — prowadzi do Port Harcourt, ale po drodze i tak mijają inne miejscowości, jak Rukpokwu, Elele, Isiokpo.

Słucham jednym uchem, chłonąc widok Port Harcourt, stolicy stanu Rivers, miasta uważanego niegdyś za tak piękne, że otrzymało nazwę „Miasto-Ogród”. Dzisiaj wszędzie panuje upał i kurz i nie czuję się na tyle łaskawie, by to, co widzę, nazwać jakimkolwiek ogrodem.

— Okriki leży w kierunku przeciwnym do PH — mówi Chika. — Może kiedyś pana tam zawiozę, żeby pokazać miasto.

W tym momencie zwalnia. Przed sobą mamy długi sznur samochodów zbliżających się do czegoś, co wygląda na policyjną blokadę.

— Policja? — pytam.

— Żandarmeria.

Zastanawiam się nad pokazaniem przepustki, którą przed wyjazdem z Lagos dostałem od Abubakara. To autentyczna odznaka policyjna; twierdził, że dzięki niej mogę w znacznym stopniu uniknąć użerania się podczas wykonywania tego zlecenia. Lecz nawet ja wiem, że jeśli chodzi o żandarmerię — czyli zasadniczo wojskowych mających w czasie pokoju wątpliwy mandat terroryzowania cywilów — to pokazanie honorowej odznaki policyjnej może odnieść skutek odwrotny od zamierzonego.

— Chodzi o to, żeby nie wdawać się w dyskusje, sir — mówi Chika, lawirując między pasami ruchu. — Jak najszybciej coś im dać i jechać dalej.

Podjeżdżamy w żółwym tempie do uzbrojonych po zęby mężczyzn. Operacja toczy się bardzo sprawnie. Żołnierz stojący po stronie kierowcy lekko się pochyla, by sięgnąć do wnętrza samochodu. Odbiera pieniądze, które zręcznie chowa w przedniej kieszeni kamizelki kuloodpornej, następnie kiwa głową do żołnierza stojącego dalej na drodze, by otworzył szlaban. Kiedy nadchodzi nasza kolej, patrzę prosto przed siebie. Chika podaje gotówkę i dostajemy pozwolenie, by jechać dalej. Oglądam się na żołnierza odprawiającego nas machnięciem ręki.

Jest niewzruszony, w jego zachowaniu nic nie wskazuje na to, że właśnie złamał prawo, które przysięgał zachowywać.

— Są tu codziennie?

— I co noc. Te blokady tak samo spowalniają ruch, jak złe drogi.

— Tak samo jest w Lagos, ale tam zwykle robi to policja.

— Bojownicy i gangi porywające ludzi doprowadziły do nieoficjalnego zaprowadzenia w tej części kraju stanu wyjątkowego.

— Sytuacja wciąż jest taka zła, jak się słyszy?

Chika wzrusza ramionami.

— Trochę lepsza, ale wciąż panuje spore napięcie. Mogłoby się to wydawać dziwne, ale obecność żandarmerii naprawdę sprawia wielką różnicę. Przemoc wybucha rzadziej i skupia się wokół sztybów naftowych.

Chciałbym mieć trzymać w ryzach niepokój wywołany tym, że wszyscy nauczyliśmy się żyć z tym paradoksem. Do tego stopnia, że nikt nie kwestionuje działań wojskowych, którzy wymuszają łapówki w biały dzień, ponieważ chronią nas przed przemocą napędzaną nierównym dostępem do najcenniejszego surowca kraju: ropy naftowej. Cała ta sytuacja przepelnia mnie taką samą bezradną wściekłością, jaka ogarnia mnie w Stanach, kiedy z powodu koloru mojej skóry chodzi za mną ochrona galerii handlowej. Przynajmniej mogłem wyjechać z USA, ale tutaj moja frustracja jest gorsza, bo jestem w domu.

Robi się ciemno i jedyne oświetlenie pochodzi od reflektorów innych samochodów. Postanawiam nie zadawać Chice więcej pytań, bo do jazdy po tej drodze będzie potrzebował niczym niezakłóconej uwagi.

Na chwilę zamykam oczy.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmia Chika.

Budzę się gwałtownie. Jest ciemno, choć oko wykol, tylko tu i tam błyska światło. Jeździe przez miasteczko towarzyszy odgłos pracujących generatorów. W Lagos jest to normalna oprawa dźwiękowa zgiełku życia. W Okriki, z dala od hałasu miasta, brzmi to jak nieustanny pomruk ciężkich maszyn na placu budowy.

— Zwykle sytuacja z prądem jest tu lepsza niż w PH — mówi Chika, widząc, że się rozglądam.

— Jestem pewien, że niedługo będzie tu światło.

Nigeryjczycy są wiecznymi optymistami, zwłaszcza jeśli chodzi o prąd. Od mojego powrotu pogodziłem się z tym, że możliwość stałego „światła” jest tak odległa, jak pragnienie Abubakara wskrzeszenia dni chwały nigeryjskiej policji.

— Zameldowałem już pana wcześniej, więc kierownik się nas spodziewa.

Widzę ludzi siedzących przed domami. Przed parterowymi budynkami gromadzą się mężczyźni, którzy piją i grają w gry planszowe; ich twarze oświetlają lampy naftowe. W ciemności bawią się i biegają roześmiane dzieci. Z oddali słychać śpiew. Także klaskanie. Kościół. Właściwie kilka kościołów, jako że śpiew dobiega z rozmaitych kierunków.

— Jest tu dużo kościołów? — pytam, tak naprawdę nie zaskoczony, lecz w duchu jęczę.

Mieszkanie w okolicy przeznaczonej dla personelu uniwersytetu izoluje nas od kościołów i meczetów stojących na rogach większości ulic w Lagos i od ich megafonów oraz śpiewów.

Chika zatrzymuje się przed bramą z przymocowaną do niej tabliczką z napisem „Hotel Royale”.

— W każdym kościele odbywają się codziennie nabożeństwa — odpowiada Chika i naciska klakson. — Te niedzielne trwają cały dzień.

Bramę otwiera szeroko ziewający ochroniarz, który machnięciem ręki kieruje nas w stronę budynku, bardziej przypominającego pensjonat niż hotel.

Chika wjeżdża na ogrodzony teren; zadbane trawniki oświetlają żarówki umocowane pod

różnymi kątami na piętrowym prostokątnym budynku. Generator, biały potwór po jego drugiej stronie, jest mniej hałaśliwym modelem, jakich używają bardziej luksusowe hotele. Dziękuję za to w milczeniu niebiosom i mam nadzieję, że zgromadzono tu dość oleju napędowego, by wystarczył na cały mój pobyt.

Kiedy wchodzimy do recepcji, wita nas sceneria minionej świetności. W holu zaśmieconym mieszanką foteli, kanap i stolików są włączone dwa ogromne telewizory. Na obu ekranach rozgrywa się głośno ten sam mecz rugby, i to pewnie dlatego hol recepcji, który sprawia wrażenie, że pełni jednocześnie rolę świetlicy, jest pusty.

Przy kontuarze wita nas głośne chrapanie dochodzące spod szopy kiepsko zaplecionych warkoczyków. Chika stuka kłykciami o kontuar; unosi się znad niego zaspana twarz, dłoń podaje Chice klucze do naszych pokoi i bez słowa powitania mężczyzna ponownie zapada w sen. Chika uśmiecha się do mnie przepraszająco i wnosi mój bagaż po kilku stopniach do drzwi oznaczonych numerem siedem.

— Ja jestem w jedenastce tam dalej. — Pokazuje pokoje położone wzdłuż korytarza. — Sprawdziłem wszystkie numery i ten wybrałem dla pana. To najlepszy pokój.

Jest dość duży. Pościel na ogromnym łóżku jest czysta i gładka. W pokoju mam stół i krzesło oraz niedużą strefę odpoczynku z kanapą obitą dość wytartą skórą i stojącym naprzeciwko niej telewizorem z płaskim ekranem. Klimatyzator działa na pełnych obrotach, ale wiem, że szybko go wyłączę, ponieważ hałas, jaki robi, niweczy stosunkowo cichą pracę generatora.

— Dziękuję, Chiko — mówię, rozglądając się po pokoju.

— Bardzo proszę. Lista miejsc, do których wybiera się pan jutro, jest w tej teczce.

Podchodzę do biurka i otwieram teczkę. Spoglądam na Chikę.

— Ty to zrobiłeś?

Kiwa głową. Z podziwem przeglądam dobrze pogrupowane notatki, nazwiska i nazwy miejsc. Jestem pod wrażeniem.

— A więc wiesz, po co tu jestem.

— Tak, sir.

— Kto cię w to wprowadził?

— Wielki szef. Dyrektor. Pan Nwamadi.

— Pracujesz w banku?

— Jestem kierowcą i asystentem kierownika filii w PH.

— Wybacz mi, Chiko, ale nie wyglądasz jak kierowca...

Chika uśmiecha się ze smutkiem.

— Studiowałem na tutejszym uniwersytecie informatykę. Skończyłem studia sześć lat temu.

— I pracujesz jako kierowca?

Wzrusza ramionami.

— Oraz asystent, sir — uzupełnia i podchodzi do drzwi. — Będę do pańskiej dyspozycji od siódmej trzydzięci. Pierwsze spotkanie ma pan o dziewiątej.

Jeszcze raz dziękuję mu za tę całą pracę, po czym Chika wychodzi.

Rozbieram się i włączam telefon. Są informacje o nagraniach i SMS-ach od Folake i dzieciaków. Śpieszyłem się, żeby wyjść z domu, i miałem tylko czas na to, by ucałować jeszcze zaspaną trzynastoletnią córkę i krzyknąć coś pośpiesznie do bliźniaków, którzy mruknęli w odpowiedzi spod kołder.

Denerwuję się przed czytaniem SMS-ów Folake. Jej szczerzy charakter mógłby skłonić ją do przyznania się do romansu, i chociaż jestem stosunkowo pewny, że nie jest osobą, która zrobiłaby to za pośrednictwem SMS-a, to jej wiadomości mogą być zaproszeniami do „rozmowy”. Biorąc jednak pod uwagę, że podobne obawy związane z moim ojcem były

bezpodstawne, to wiem, że po prostu zachowuję się jak tchórz.

Ale tęsknię już za domem, więc dzwonię do Taia, mojego starszego syna, który najprawdopodobniej gra w jakieś gry w telefonie, a jego brat bliźniak ma na uszach słuchawki, żeby usłyszeć muzykę Kendricka Lamara.

— Cześć, tato! — mówi Tai, odebrawszy połączenie.

— Masz zbyt rażący głos, jak na kogoś, kto powinien być już w łóżku.

— Ale ja jestem w łóżku.

— Wiesz, co chcę powiedzieć...

— Tak, tato, ale nie zasypiałem, żeby odebrać telefon od ciebie.

— Tak, jasne!

Obaj się śmiejemy i po chwili opowiadam mu o długim czekaniu na lotnisku oraz o pierwszych wrażeniach z Port Harcourt i Okriki. Następnie Tai każe bratu zdjąć słuchawki, żeby mógł się włączyć do rozmowy, i przełącza mnie na głośnik.

Kiedy tak opowiadają mi o swoim dniu i sukcesach na boisku do koszykówki, nie mogę powstrzymać myśli, jakim jestem szczęściarzem. Troje pięknych dzieci i małżeństwo, które było stosunkowo udane przez prawie siedemnaście lat. Czy to możliwe, żebym mógł to wszystko stracić?

— Tato, powinieneś zadzwonić do mamy — mówi Kay.

— Wszystko u niej dobrze?

— Nie wiem — odpowiada Tai. — Dzisiaj była dość rozdrażniona.

— I cały dzień wciąż spoglądała na telefon — dodaje Kay. — Może martwi się o ciebie?

— Zadzwonię do niej, kiedy tylko obiecacie, że idziecie spać.

Obaj kłamią, ale daję im spokój i się rozłączam.

SMS-y Folake to tak naprawdę seria pytań „Czy już wylądowałeś?”, które wielokrotnie wysyłała w ciągu ostatnich sześciu godzin. Obiecałem jednak chłopcom, więc piszę: „Wylądowałem bezpiecznie. Wszystko dobrze” i wysyłam SMS.

Jest też wiadomość od taty: „Słyszałem, że wyjechałeś. Dziękuję. Uważaj na siebie”. Postanawiam nie odpowiadać.

Wchodzę pod prysznic i długo stoję pod strumieniem zimnej wody. Kiedy w końcu kładę się do łóżka, widzę, że Folake nie odpowiedziała, chociaż wyczuwam, że nie śpi. W chwili, kiedy zamierzam odłożyć telefon, zaczyna wibrować mi w dłoni. Otwieram wiadomość.

„Zadomowiony, Amerykaana?”

Salome Biggs.

Uśmiecham się na wspomnienie naszego spotkania i odpowiadam: „Duży pokój. Duże łóżko. Generator na cały gwizd z dudniącą klimą”.

„Aha. 5-gwiazdkowe powitanie. Dobrej zabawy”.

Nie ulegam pokusie późnowieczornej pogawędki z atrakcyjną kobietą w momencie, kiedy czuję, że moje małżeństwo jest zagrożone.

Odkładam telefon i chociaż jestem zmęczony, sen nadchodzi dopiero wtedy, gdy rozmyślnie zastępuję obraz mojej żony w ramionach innego mężczyzny wspomnieniami jej pocałunku na moim czole po długim dniu i szeptu: „Śpij już, mój kochany”.

WRACA PRZESZŁOŚĆ

Niedziele są najbardziej pracowitymi dniami tygodnia w klasztorze zakonu Kosmy i Damiana, dlatego oczekuje się ode mnie, że przyjdę pomagać w aptece. W tym dniu zakonnicy, których powołaniem jest zapewnianie darmowej opieki duchowej i medycznej osobom niemogącym za nią

zapłacić, pracują najciężej.

Dzisiaj nie jest inaczej i kiedy wychodzi ostatni pacjent, jestem tak zmęczony, że zastanawiam się nad spędzeniem nocy w moim dawnym pokoju, żeby nie wracać na kampus.

Kiedy chowam niemarkowe leki i robię spis tych, które trzeba uzupełnić, pojawia się ojciec Ambrose.

— Wzywa cię do siebie opat — mówi.

Zostawiam robotę i idę do biura. Kiedy tylko wchodzę w tę surową przestrzeń wypełnioną książkami i kilkoma wersjami Biblii, zaczyna brakować mi powietrza. To jest miejsce, którego z całego klasztoru nienawidzę najbardziej, jeśli nie liczyć starego zakonnika, który mnie tu wezwał.

— Johnie Paulu — odzywa się, nazywając mnie imieniem nadanym mi na znak mojego nowego życia w klasztorze. Tym samym, które sobie przywłaszczyłem, kiedy nadszedł czas, by jakoś nazwać moją dolegliwość. — Dobrze ci idzie w aptecę.

— Dziękuję, ojcze — mówię z szacunkiem, do perfekcji doprowadziwszy w ciągu tych wszystkich lat sztukę ukrywania odrazy, jaką do niego czuję.

Podnosi na mnie wzrok. Jego słabnące oczy usiłują się zogniskować nad binoklami.

— Sprawozdania z twojej szkoły też są dobre.

Powiedziałbym, że więcej niż dobre, ale nic nie mówię, żeby moja odpowiedź nie została uznana za przejaw dumy.

Stary zakonnik popycha w moją stronę teczkę z owiniętymi gumką kopertami.

— Uznaliśmy, że jesteś na nie gotów.

Sięgam po teczkę i kiedy ją otwieram, zaczynają mi drżeć ręce.

— To listy od twojej matki. W ciągu minionych jedenastu lat często do ciebie pisała.

Przerzucam koperty; są zaadresowane do mnie i żadna nie wygląda na otwieraną.

— Wszyscy uważaliśmy, że lepiej było nie dawać ci ich od razu.

Chcę krzyknąć: „lepiej dla kogo?“, ale boję się odezwać. Kipiąca we mnie wściekłość grozi wywleczeniem na światło Johna Paula. Wkładam koperty z powrotem do teczki, zamykam ją i zmuszam się do spojrzenia na ojca Olayiwolę.

— Jej listy tylko by ci przypominały o twoim grzechu, za który nadal odbywałeś pokutę.

— Rozumiem, ojcze. Ale dlaczego dajesz mi je teraz?

Stary zakonnik rozpiera się wygodnie na drewnianym krześle.

— Jesteś już mężczyzną. Zrobiliśmy, co do nas należało. Masz przed sobą całe życie, a przeszłość nie powinna narzucać ci sposobu, w jaki wejdiesz w przyszłość.

Wyniosły sposób jego wystawiania się doprowadza mnie do wściekłości. Jak on śmie? Jak oni wszyscy śmią myśleć, że mogą decydować za mnie?

— Dziękuję, ojcze — mówię.

— To nie wszystko.

Czekam. Nic nie może być gorszego od pierwszych siedmiu lat życia w klasztorze. Świadczą o tym nawet te nieotwarte listy.

— Te listy przychodziły regularnie — ciągnie opat. — Czasem co trzy miesiące. Potem przestały przychodzić. Ponieważ wiedziałem, że nadejdzie dzień, w którym będziemy musieli ci je dać, poprosiłem parafię Port Harcourt, by opiekowała się twoją matką.

Milczę, chociaż serce szybko mi bije. Odczuwam wielką chęć uduszenia tego człowieka. Opieram się jej, ponieważ poddanie się oznaczałoby wywołanie Johna Paula. Ale nie teraz. Jeszcze nie.

— Obawiam się, że od pewnego czasu jest bardzo chora. Dlatego listy przestały przychodzić.

Nadal nic nie mówię i widzę, że ojciec Olayiwola zaczyna się czuć nieswojo.

— Uważamy, że powinieneś się z nią zobaczyć.

— *Dlaczego?*

Czuję stukanie w tył głowy. Tę zapowiedź wystąpienia Johna Paula spośród cieni. Odnajduję głos, by powstrzymać wściekłość, zanim mnie zaleje.

— *Bo to twoja matka.*

— *Porzuciła mnie.*

— *Ocaliła cię.*

Boję się na to zareagować. Zaczynam wkładać koperty z powrotem do teczki. Kiedy pomarszczona dłoń ojca Olayiwoli przesuwana się po biurku i dotyka mojej, staram się nie wzdrygnąć.

— *Uważamy, że twoja pokuta się dopełni, kiedy odwiedzisz matkę w szpitalu. Bóg wybaczył wam obojgu. Nadszedł jednak czas, byście wybaczyli sobie samym i jedno drugiemu.*

Czynię szybko znak krzyża, kłaniam się i zmuszam się, by nie ruszyć biegiem. Nie uciec od tego miejsca, od zakonnika i od wszystkiego, co przez te wszystkie lata ukrywało przede mną zawartość tej teczki.

— *„...twoja pokuta się dopełni”.*

Słowa opata brzmią mi w głowie przez całą drogę taksówką do kampusu. To co ja robiłem przez te wszystkie lata? Ile trzeba bicia, wymuszonego samobiczowania z taką siłą, że blizny nigdy nie znikną? Kto decyduje, kiedy dopełnia się pokuta?

— *Nie oni. Na pewno nie oni — mówi z cieni John Paul, a ja poznaję, że chce tak samo jak ja wypełnić Ostateczny Plan. Skasować przeszłość ze wszystkim i wszystkimi, których zawiera. Zacząć od nowa jako ktoś bezgrzeszny i niemuszający odbywać pokuty.*

Wkrótce, ale jeszcze nie teraz.

Po drodze z postoju taksówek do akademika teczka z nieotwartymi listami bardzo mi ciąży. Co prawda w głębi ducha nie mogę się doczekać, kiedy będę je czytać, w razie potrzeby całą noc.

Idę do mojego pokoju, mijając inne i zwalniając kroku. Moje drzwi są uchylone. Wyczuwam, że w środku czeka na mnie Amaso Dabara.

Oddycham głęboko, daję Johnowi Paulowi zielone światło i wchodzę.

BIEDNE, NIESZCZĘSNE DUSZE

Pierwszej nocy w Okriki śni mi się, że jestem zamknięty w płonącym land cruiserze. Walę pięściami w okna i szarpie za klamki, a Folake oddala się od moich bezgłośnych krzyków.

Budzę się spocony i przypominam sobie, że wyłączyłem hałaśliwy klimatyzator. Włączam go z powrotem; wydobywający się z niego dźwięk gwarantuje, że zasypianie zajmie mi trochę czasu. Sprawdzam godzinę. Trzecia czterdzieści cztery. Równie dobrze mogę trochę popracować. Lista potencjalnych rozmówców i miejsc do odwiedzenia w teczce Chiki odzwierciedla listę, którą sporządziłem w Lagos, chociaż tu jest więcej szczegółów. Ja określałem świadków poprzez ich pozycję lub rolę, jaką odegrali w zabójstwach, a w notatkach Chiki są nazwiska, adresy i krótkie informacje o tych ludziach. Wykreślam kilka nazwisk na obu listach, a obok kilku innych stawiam znaki zapytania.

Jedno z tych nazwisk nosi Stella Aligbe, matka jednego z chłopców, Bonaventure'a. Mieszka na wschodzie i nie brała udziału w rozmowie z rodzicami trzeciej ofiary, którą zorganizował dla mnie Emeka w sali posiedzeń zarządu swojego banku.

Otwieram laptop i klikam w folder zawierający moje związłe, lecz szczegółowe biogramy ofiar.

Winston Babajide Coker.

Student trzeciego roku socjologii na Uniwersytecie Stanowym. Drugie z trojga dzieci. Zamordowany pięć miesięcy przed dwudziestymi drugimi urodzinami. Jego matka, dobrze się

trzymająca drobna kobieta przed sześćdziesiątką, była ubrana elegancko, ale nie włożyła biżuterii ani się nie umalowała. Usiadła i ze stoickim spokojem powiedziała mi, że Bóg spuści na Okriki grad gniewu. Mówiła jak ktoś, kto nie ma już łez; zimnym i obojętnym głosem poinformowała mnie, że o jej synu można powiedzieć wiele rzeczy, ale nie, że był złodziejem.

— Co ma pani na myśli? — zapytałem wtedy ostrożnie, ponieważ nie było to typowe podsumowanie życia dziecka przez rodzica pogrążonego w żałobie.

— Kłamał. Dręczył słabszych i zawsze przeciwstawiał się władzy — odparła trzeźwo pani Coker.

— Był po prostu młody — wtrącił się jej mąż.

Był bardzo czułym i wysokim mężczyzną, który najwyraźniej postanowił grać w ich małżeństwie drugiej skrzypce.

— Potrzebował Jezusa — upierała się pani Coker, spojrzeniem rzucając mężowi wyzwanie, by jej zaprzeczył.

Nie zrobił tego.

— Mówi się, że ci chłopcy byli w jakimś gangu — odważyłem się powiedzieć.

— W tajnej sekcie — wysyczała pani Coker. — To ten zły duch, który przejął wszystkie uniwersytety.

— Tak — zgodziłem się wtedy, szybko odsuwając od siebie myśli o moim tacie. — Myśli pani, że to prawda?

— Skąd mamy wiedzieć, skoro to ma być tajemnica? — zapytała z drwiną w głosie. — Mogę panu powiedzieć tylko to, że Winston był daleko stąd w tamtej szkole, a my nie wiedzieliśmy, w co się wplątuje, bo byliśmy tu, w Lagos.

— Ale nie uważają państwo, że usiłował kogoś obrabować, nawet jeśli mógł należeć do jakiejś sekty czy gangu?

— Absolutnie nie! — stwierdził gwałtownie pan Coker. — Dlaczego miałby kraść? Dobrze mu się wiodło, miał dostęp do największych dóbr, jakie mogło mu zaoferować życie. Dlaczego miałby kraść?

— A nawet gdyby kradł — dodała wtedy pani Coker — to nikt nie zasługuje na taką śmierć. Dlaczego po prostu nie zostali przekazani władzom? Dlaczego nasze dziecko zostało tak zabite? Zaczęła się kiwać i cicho modlić w jakimś obcym języku. Zdecydowanie zielonoświątkowczyni. Zadałem sobie wówczas pytanie, czy nawróciła się przed, czy po zabójstwie syna. Zwróciłem się do jej męża:

— A więc sądzi pan, że ludzie kłamią na temat pańskiego syna?

— Szczerze mówiąc, tak naprawdę nie obchodzą mnie ich motywy — rzekł nieprzekonująco pan Coker. — Może to ocenić tylko Bóg.

Potem rozmowa nie przyniosła wiele nowego. Państwo Cokerowie tylko wielokrotnie powtarzali, ile włożyli wysiłku w nakłanianie systemu prawnego do postawienia mieszkańców Okriki przed sądem. Ich syn nie żył, a oni nie mogli nic zrobić, by przywrócić mu życie.

— Zemsta jest Pana. Ja im wybaczyłam — zakończyła żarliwie pani Coker.

Była nawet mniej przekonująca od męża.

Klikam w drugi plik w folderze ofiar.

Bonaventure „Bona” Cosmos Aligbe.

Ostatni syn samotnej matki pięciorga dzieci, mający reputację awanturnika. Ze zdjęć, które ściągnąłem z internetu, dobrze widać, dlaczego był uważany za kobieciarza. Jako dwudziestoczterolatek był najstarszy z Trzech z Okriki; najbardziej pochlebne opinie na jego temat pochodziły od dziewcząt z kampusu, a chłopcy opowiadali o szalonych imprezach, picu i opuszczaniu zajęć. W pisemnym oświadczeniu matka opisała go jako dobrego chłopca, który

czasami „zapominał, czyim jest synem”. Kolejna pogrążona w żałobie matka używająca religii jako pocieszenia.

I wreszcie: *Kevin Chinedu Nwamadi*.

Od czasu, kiedy jego ojciec pokazał mi ten filmik, jestem wstrząśnięty sposobem, w jaki przedstawiono mi Kevina.

— Przepraszam, że tak ci to pokazałem — powiedział wcześniej Emeka, kiedy skończyliśmy oglądać nagranie.

— Ale to było konieczne — wtrącił wtedy Abubakar.

— Pamiętam, że czytałem, że planowali kogoś obrabować.

Wyjawiłem delikatnie informację, którą przypomniałem sobie z prac moich studentów.

Wyraźnie zirytowany Emeka machnął lekceważąco ręką.

— Spójrz na mnie, Philipie. Jestem dyrektorem zarządzającym dużego komercyjnego banku. Uważasz, że mój syn był tak ubogi, że wyszedłby z kampusu do jakiejś wioski, by kraść telefony komórkowe i laptopy?

— Czy kogoś aresztowano? — zapytałem podczas tamtej rozmowy.

— Półtora roku temu! — rzucił surowo Emeka. — Tylko siedem osób zostało postawionych przed sądem. Siedem! Widziałeś tych wszystkich ludzi na filmiku? Czy to wyglądało na siedmiu zabójców? Ale nie martwię się tym tak bardzo, jak kłamstwami i apatią, jaką okazuje policja w śledztwie dotyczącym zarzutów stawianych mojemu synowi.

— A co ona twierdzi? — zapytałem.

— Dokładnie to samo, co media. Że mój syn należał do tajnej sekty. Że razem z przyjaciółmi okradał innego studenta. Kiedy ów student wyraźnie oświadczył, że nie zna Kevina, nikomu nie chciało się przeprowadzić w tej sprawie śledztwa. Kiedy zarówno moja żona, jak i ja powiedzieliśmy, że możemy udowodnić, że Kevin wcale się nie przyjaźnił z pozostałymi dwoma chłopcami, nikt nie chciał nas słuchać.

— I tu się zaczyna twoja rola, Philipie — powiedział wtedy Abubakar, chcąc uspokoić Emekę.

— Wnioski wyciągnięte z tego nagrania sugerują, że mój syn był przestępcą i zasłużył na taką śmierć. Nie zgadzam się z tym. — Emeka pochylił się ku mnie z napięciem nieznoszącym sprzeciwu i oczyma płonącymi gniewem. — Coś się wydarzyło, w najlepszym wypadku doszło do pomylenia osoby, a w najgorszym do zaplanowanego ataku. Chodzi o to, że tego nie wiemy, i jest to gorsze od faktu, że pochowałem syna w zamkniętej trumnie, ponieważ pozwolenie jego matce, by zobaczyła, co zostało z jego ciała, byłoby zbyt okrutne.

— Ale to się wydarzyło na wschodzie. Aby odtworzyć tę zbrodnię, musiałbym tam pojechać, porozmawiać z ludźmi, przeprowadzić analizę miejsca zbrodni...

— ...i za to jestem gotów hojnie cię wynagrodzić — przerwał mi Emeka, ale zmienił ton, ujrawszy, że się wzdrygam na jego insynuację, że moją decyzję można kupić. — Proszę, panie doktorze. Philipie. Chcę jedynie raportu. Potrzebuję twojego doświadczenia w odtwarzaniu miejsc zbrodni, żebym mógł dostrzec nieco sensu w bezsensownym morderstwie mojego syna. Proszę cię, choćby tylko dlatego, że też jesteś ojcem.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Emeka sięgnął po swój iPhone i mi go podał.

— Nie martw się. To nie to wideo.

Spojrzałem na ekran i na widok tego zdjęcia niemal pękło mi serce. W szerokim uśmiechu, którym przystojny Kevin błysnął do obiektywu, było tyle dobrego samopoczucia i życzliwości, że ze względu na Emekę poczułem wściekłość.

— Oto mój chłopiec — rzekł Emeka ze smutnym uśmiechem. — Kevin Chinedu Nwamadi. Student trzeciego roku prawa. Miał dwadzieścia lat, był najmłodszy w rodzinie. Siostry i matka go rozpieszczały. Był dobrym chłopcem. Uczył się najlepiej na roku. Był najlepszym synem,

jakiego mógłby sobie zażyczyć ojciec.

Wtedy pękła tama i w tamtej sali wykładowej Wyższej Szkoły Policyjnej w Lagos Emeka Nwamadi, dyrektor zarządzający trzeciego co do wielkości nigeryjskiego banku, zaczerpnął spazmatycznie tchu, zadrżał i w końcu zapłakał.

POLICJA TO TWÓJ PRZYJACIEL

— Zadzwońeś do Taia i Kaya! — rzuca moja córka, kiedy odbieram telefon od niej.

Jest siódma osiemnaście; wiem, że dzieci są już gotowe do wyjścia do szkoły i że najprawdopodobniej chłopcy pochwalili się naszą późnowieczorną rozmową.

— Wtedy już spałaś, kruszynko — mówię.

Lara dramatycznie ścisza głos.

— Nie. Czekałam na twój telefon.

— Jest tam mama, prawda?

— Nie zmieniaj tematu, tato.

— Dobrze, już dobrze. Przepraszam. Po prostu myślałem, że śpisz. To się już nie powtórzy.

— Wygugłałam to lotnisko, tato. Wiesz, że w głosowaniu na najgorsze lotnisko świata zwyciężyło ponad trzy razy? Całego świata!

— Nie było tak źle.

Poświęcam trochę czasu na bagatelizowanie moich lotniskowych przeżyć, ale kiedy Lara pyta, czy mam jakieś zdjęcia, uświadamiam sobie, jak byłem wczoraj zdezorientowany. Zwykle robię zdjęcia podczas moich wyjazdów i wysyłam je Larze do jej albumu.

— Mama jest gotowa. Muszę iść. Chcesz z nią porozmawiać?

— Później do niej zadzwonię. Nie każ jej czekać.

— Dobra. Pogadamy później?

— Bez ochyby, kruszynko.

Rozłączam się i sprawdzam godzinę. Pędzę pod prysznic, ubieram się w ekspresowym tempie i kiedy Chika puka do drzwi, jestem gotowy.

Postanawiamy pominąć darmowe śniadanie składające się z jajek pływających w oleju i zmasakrowanego bochenka uchodzącego za pokrojony chleb. Kawa jest letnia i smakuje okropnie. Obaj odsuwamy kubki od siebie i uznajemy, że lepiej rozpocząć dzień z pustym żołądkiem.

Wyruszamy na posterunek policji i wreszcie widzę miasteczko w świetle dziennym. Po obu stronach wyboistej szutrowej drogi stoi kilka rzędów parterowych budynków. Teraz rozumiem, dlaczego Emeka dał Chice samochód z napędem na cztery koła. Dobrze nas trzęsie.

W polu widzenia pojawiają się i znikają z niego poznaczone rdzą arkusze blachy dachowej. Obok i wokół nas pomykają ludzie na rowerach, motocyklach i w samochodach. Widok osób podnoszących wzrok znad swoich zajęć, by się na nas pogapić, jest trochę niepokojący. To małomiasteczkowa fascynacja obcymi czy coś więcej? Szybko sprawdzam tę teorię, machając do trzech chłopców, którzy kopią na poboczu brudną piłkę, chociaż powinni być w szkole. Odmachują mi. Odprężam się. To małomiasteczkowe zainteresowanie.

Wkrótce dojeżdżamy do niepomalowanego parterowego budynku. Ściany znaczą rdzawe zacieki, tworząc brązowe pasy, które niemal sprawiają wrażenie umieszczonych tam celowo. Ręcznie namalowany szyld mówi, gdzie się znajdujemy, ale i tak zerkam z ukosa na Chikę. To przecież nie może być...

— Jesteśmy na miejscu — mówi Chika, parkując.

Posterunek policji. Tego ranka mijaliśmy budynki robiące większe wrażenie, jeśli chodzi

o wielkość i stan.

— Zaczekam tutaj, sir — mówi Chika.

— Bzdura — natychmiast protestuję. — Możesz iść ze mną.

— Ale, sir, nie wiem...

— Chodź.

Uśmiecha się sardonicznie.

— To posterunek policji, sir. Zapewniam pana, że w niczym nie jest podobny do wczorajszego lotniska.

Wzmianka o lotnisku przypomina mi, że jestem tu na obcym gruncie. Muszę zadzwonić do Emeki. Sprawność, z jaką Chika mnie stamtąd wyprowadził, nie mówiąc już o starannym i porządnym sporządzeniu notatek na temat tej sprawy, przekonuje mnie, że może być kimś o wiele ważniejszym niż kierowca.

— Chiko — mówię głosem, który, jak mam nadzieję, kończy wszelką dyskusję — albo wchodzisz ze mną, albo będziesz musiał zadzwonić do Emeki i wyjaśnić, dlaczego odwozisz mnie prosto na lotnisko.

Oczywiście mówię to żartem, ale Chika chyba bierze mnie na poważnie. Gasi silnik i wchodzimy do budynku. Otwarta recepcja — formalnie rzecz biorąc, salon domu — jest umeblowana biurkami podpartymi połamanymi fragmentami innych mebli. Jest wcześnie, ale na posterunek przyszło już kilka osób. Jeden z mężczyzn mówi coś ze wzburzeniem do funkcjonariusza, który pisze z ponurą miną. Dwaj inni siedzą na ławce, wbijając wzrok w przestrzeń; są spoceni, ciężko oddychają, a po bliższym przyjrzeniu się zauważam, że trzymają się nawzajem za paski od spodni, będąc najwyraźniej w trakcie szarpaniny, której nie chcą zakończyć bez interwencji prawa.

Przyzywa nas gestem funkcjonariusz siedzący za innym chwiejnie ustawionym biurkiem. Po czystym, nowym mundurze widzę, że to żółtodziób. Za nim wisi plakat z modelem o młodzieńczej twarzy ubranym w policyjny mundur, głoszący: „Policja to twój przyjaciel. Pomagaj policji”.

Żółtodziób stara się nadać głosowi władcze brzmienie.

— Czego chcecie?

— Przybyliśmy, by zobaczyć się z inspektorem Omerejim — odpowiada Chika.

— W związku z?

Podaję mu kopertę z pieczęcią komendanta Wyższej Szkoły Policyjnej w Lagos. Żółtodziób obraca pakiet w dłoniach ze źle skrywaną ciekawością.

— Zaczekajcie tu — rozkazuje i odchodzi.

Dwaj mężczyźni trzymający się nawzajem za ubrania zaczynają się kłócić, zwijając wolne dłonie w pięści.

— Hej! Hej! — woła znudzony funkcjonariusz spisujący zeznanie. — To nie pijalnia piwa! Uciszcie się albo obu was zamknę!

Mężczyźni milkną niemal natychmiast, lecz żaden nie puszcza tego drugiego.

— Nie używa się tutaj języka igbo? — szepczę do Chiki.

— Nie. Używają tu ikwerre — odpowiada szeptem Chika.

— Sądziłem, że na wschodzie wszyscy używają igbo.

— Proszę uważać, żeby nikt tu nie usłyszał, że pan to mówi.

Chcę zapytać dlaczego, ale wraca żółtodziób i macha ręką, żebyśmy poszli za nim.

Idziemy korytarzem zarzuconym teczkami i dokumentami ułożonymi na podłodze w bezładnych stertach i szybko mijamy pomieszczenie wyglądające na areszt, w którym kilku mężczyzn gra w karty i pali. Na podłodze widzę butelki po piwie. Najwyraźniej więźniowie potrafią sobie

zdobyć to, co chcą.

Wchodzimy do biura na tyle dużego, że mogło być główną sypialnią tego zmienionego w posterunek policji domu. Zza biurka wstaje na nasze powitanie inspektor, jak zakładałam, Michael Omereji. To wysoki mężczyzna o jasnym odcieniu skóry i z wąsami tak starannie przystrzyżonymi, że może to świadczyć o odrobinie próżności. Jest przystojny i ma tego świadomość.

— Dziękuję, że nas pan przyjął, panie inspektorze — mówię, ściskając podaną mi dłoń.

— Mike, proszę — odpowiada uprzejmie i pokazuje na krzesła przed biurkiem. — Proszę usiąść.

— Dziękuję — mówię, siadając naprzeciwko niego.

Zauważam, że Chika nie siada, więc zapraszam go gestem na krzesło obok mnie. Chika niemal niedostrzegalnie kręci głową.

Zwracam się z powrotem do inspektora.

— Pozdrawia pana komendant.

— Niestety, nie poznaliśmy się. Komendant jest postacią dość legendarną.

Pogawędka o tym, jak dobrze się wie dzie Wyższej Szkole Policyjnej, od kiedy przejął ją Abubakar, kończy się niezręczną ciszą. Szybko przedstawiam Chikę jako asystenta pomagającego mi w badaniach i nie zwracam uwagi na uniesioną brew, którą kwituje ten wątpliwy awans. Inspektor ledwie kiwa głową mojemu „asystentowi” i nie podaje mu ręki.

— W związku ze sprawą, na której temat sporządzam raport... — zaczynam.

— Tak, tak — przerywa mi inspektor. — Czytałem list komendanta, ale nie mogę panu pomóc.

— Potrzebuję tylko teczki sprawy.

— Śledztwo zostało zakończone i wszystkie teczki zostały przekazane do prokuratury generalnej.

— Ale na pewno są kopie?

— Proszę się rozejrzeć, panie doktorze. Sądzi pan, że mamy miejsce, by trzymać teczki sprzed wielu miesięcy, nie mówiąc już o zamkniętych sprawach?

— Zamkniętych?

— Na pewno śledzi pan wiadomości. Śledztwo w sprawie tego przykrego incydentu zostało przeprowadzone. Aresztowano dwadzieścia trzy osoby i chyba siedmiu z nich postawiono zarzuty. Sprawa znajduje się w sądzie. Sprawiedliwości dzieje się zadość, nasze zadanie zostało wykonane. Dlatego też sprawa jest zamknięta.

Milknie, by spojrzeć na list Abubakara, który następnie popycha w moją stronę ze wzruszeniem ramion. Nie sięgam po niego, wbijając wzrok w inspektora.

Jeśli policjant jest zbity z tropu, to tego nie okazuje.

— W tej chwili — ciągnie — oskarżonych o zabicie tych trzech chłopców zostało siedem osób i czeka je proces w Najwyższym Sądzie Stanowym w HP. Teczka sprawy znajduje się tam. Przykro mi, ale tutaj nic dla pana nie ma.

— To ma sens — mówię.

Moja uległość chyba ośmiela inspektora, ponieważ Omereji wstaje.

— Gdyby komendant wysłał wcześniej e-maila, zaoszczędziłoby to panu wiele kłopotu.

Ja nie wstaję.

— Czy mogę porozmawiać z niektórymi śledczymi?

— Po co?

— Jak zostało stwierdzone w tym liście, zbieram w całym kraju analizy precedensów kryminalistycznych. Szukamy interesujących spraw, które wspomagają nasz program nauczania w Wyższej Szkole Policyjnej. Taką sprawą jest sprawa Trzech z Okriki. Jestem pewien, że śledczy będą mogli dostarczyć informacji, które wzbogacą tekst, mimo że sprawa jest... zamknięta.

Inspektor Omereji spogląda na mnie, na zegarek i znowu na mnie.

— Jest trochę za wcześnie, żeby odciągać ciężko pracujących funkcjonariuszy od ich zadań po to, by prowadzić z nimi rozmowy, do których nie są przygotowani.

— Możemy wrócić. Proszę tylko podać termin.

— Tak będzie najlepiej. — Podnosi głos i woła: — Posterunkowy Doubra!

Natychmiast pojawia się żółtodziób.

— Weź, proszę, od doktora Taiwo jego namiary. Przypomnij mi, żebym polecił funkcjonariuszom, którzy pracowali nad Trzema z Okriki, by znaleźli czas na rozmowę z doktorem Taiwo i jego... kolegą.

— Tak jest, sir. — Żółtodziób salutuje i zwraca się do mnie: — Tędy, sir.

Wstaję, ściskam dłoń inspektora Omerejiego i wychodzę z żółtodziobem Doubrą, tuż za Chiką, któremu inspektor znowu nie podaje ręki.

— On kłamie, sir — mówi Chika, kiedy tylko wsiadamy do auta.

— Wiem, ale nic nie możemy zrobić. Jeśli sprawa została przekazana prokuratorowi generalnemu...

— Tak, ale dlaczego kłamie, że jego funkcjonariusze są zajęci? To jest Okriki, a nie zakamarki targowiska w Abie. Jak bardzo mogą być zajęci?

— Może inspektor gra na zwłokę.

— Żeby przygotować funkcjonariuszy?

Podoba mi się taka cwaniacka nieufność, którą nauczyłem się wiązać z ludźmi wykonującymi zadania poniżej swoich kwalifikacji. Chęć przetrwania chyba wymusza przenikliwość.

— Z powrotem do hotelu, sir? — pyta Chika, włączając silnik.

— Nie. Na miejsce zbrodni.

DROGA DUCHÓW

W Stanach odwiedziły w miejscu rozegrania się starej, nierozwiązanej sprawy mogły dostarczyć nieznanymi wcześniej informacji jeszcze wiele lat po fakcie. Śledczy sprawdziliby, czy na ulicach są poprzednio niezauważone kamery monitoringu. Szukaliby otaczających to miejsce budynków z wychodzącymi na nie oknami. Następnie wchodziłoby do tych budynków i rozmawiali z potencjalnymi świadkami, nawet tymi, którzy złożyli zeznania już wcześniej.

To jednak jest Okriki. Miejszem zbrodni jest niewielka polana przy zwirowej drodze, leżąca niecałe dwanaście minut podskakiwania w samochodzie od posterunku policji. Wokół nie ma żadnych domów. Ani lamp ulicznych. Żadnych kamer. Tak naprawdę nie ma niczego.

Rozglądam się i robię zdjęcia z kierunków, które mam nadzieję później dopasować do ujęć linczu. Szybko sprawdzam ustawienie mojego starego towarzysza w miejscach zbrodni — nikona 500. Zmieniam tryb automatyczny na ręczny, żeby kontrolować ostrość zdjęć robionych pod jaskrawo świecące słońce.

— Dokąd prowadzi ta droga? — pytam Chikę.

— Do Ochuko. Zanim dojedziemy do właściwego miasteczka, miniemy główny kampus uniwersytetu.

— A więc to coś w rodzaju głównej drogi?

— Mniej więcej. Można też pojechać do głównego kampusu drogą biegnącą z naszego hotelu dookoła miasteczka. Jest lepsza, ale dłuższa. — Pokazuje ręką na północ. — Ta prowadzi prosto do kampusu, a jadąc tą drugą z naszego hotelu, przecina się kilka wiosek i dopiero potem dociera do uniwersytetu.

— Czy możemy założyć, że ludzie jadący bezpośrednio do kampusu wybiorą tę właśnie drogę?

— pytam, marszcząc brwi. Mimo że to w gruncie rzeczy najkrótsza i najbardziej bezpośrednia trasa do głównego kampusu Uniwersytetu Stanowego, jest w tej opuszczonej i zaniedbanej drodze coś dziwnego.

— Chyba tak — mówi Chika, ale wyczuwam, że próbuje zrozumieć mój tok myślenia. — Mając na względzie jej obecny stan, powiedziałbym, że nie, ale w tej okolicy wygląda tak większość dróg.

Obok nas przejeżdża poobijane volvo. Jadący nim ludzie patrzą na nas z ciekawością, aż auto znika z naszego pola widzenia. Wkrótce po nim przejeżdża toyota obładowana stertami niedojrzałych plantanów.

— Skoro to najkrótsza droga do kampusu, dziwne, że jest tak nieuczęszczana. Chodź.

Wracamy do terenówki. Chika uruchamia silnik, żeby można było włączyć klimatyzację, zamknąć drzwi i uciec przed gorącym i pyłem. Wyciągam mojego iPhone'a i otwieram jedno z nagrań linczu, które zapisałem. Chika robi głęboki wdech.

— Nie musisz... — zaczynam.

— W porządku, sir. Już to widziałem.

— Nie ogląda się łatwiej...

— Nie powinno się oglądać łatwiej. — Chika pochyla się, by uważniej spojrzeć na niewielki ekran. — Czego pan szuka, sir?

Naciskam pauzę.

— Jeśli zdołasz oderwać wzrok od tych chłopców, przyjrzyj się drodze. — Naciskam szybkie przewijanie do przodu i mówię dalej: — Wiemy, że zostali przyprowadzeni tu, z tej strony. Widzisz?

— Unoszę telefon i patrzę tam, skąd przyjechaliśmy. — Widzisz? — zatrzymuję film. — Widzisz to drzewo? To wysokie. Czy to nie to samo...?

Pokazuję na wyjątkowo wysoką palmę w dali, która pasuje do tej wyróżniającej się na nagraniu, gdzie w tym momencie Trzej z Okriki są wciąż prowadzeni drogą niczym Jezus po Via Dolorosa.

— Widzę, sir — mówi Chika, wpatrując się w skupieniu zmrużonymi oczyma w powiększoną przeze mnie scenę.

— Jeśli szli tą drogą, to musieli przejść obok posterunku policji.

Chika syczy gniewnie.

— Policjanci musieli widzieć ten tłum.

— Właśnie. Może dlatego inspektor Omereji musiał przygotować ich na nasze pytania. Spójrz...

Przewijam do tyłu i znowu naciskam odtwarzanie; trasa skazanych na śmierć chłopców w niemal surrealistyczny sposób pasuje do drogi, którą przemierzyliśmy od posterunku policji. Teraz jednak nie ma tych prowizorycznych sklepów, straganów i kiosków widocznych na filmie. Widzę krawędź stolika zastawionego butelkami z domowym dżinem; na innym stoją poobijane butelki z olejem silnikowym i smarami. Jeśli jest tu chociaż odrobinę podobnie jak w Lagos, to wzdłuż tak ważnej drogi powinny stać także bańki z benzyną i naftą na sprzedaż, powinni być sprzedawcy chleba gotowi posmarować kupione pieczywo margaryną, powinno się sprzedawać wodę w plastikowych woreczkach i powinny stać niezliczone stragany z żywnością.

Zatrzymuję obraz w chwili, kiedy na tym akurat nagraniu Trzej z Okriki upadają na ziemię. Są: sterty starych opon i wulkanizator obok czegoś, co wygląda na długą brudną rurę od pompy. Wyjaśnia się tajemnica pochodzenia opon rzucanych na ofiary. Aczkolwiek tylko częściowo.

— Wracajmy na posterunek policji.

Chika zawraca.

— Powoli — mówię, kiedy ruszamy, wodząc wzrokiem od ekranu iPhone'a do drogi i z powrotem.

Chika jedzie powoli. Co pewien czas zatrzymuję nagranie. Skupiam się na otoczeniu, nie na umierających chłopcach, i szybko zmieniam programy, robiąc zdjęcia miejscom, które pasują do tego, co widzę na filmiku.

Kiedy po raz drugi tego dnia podjeżdżamy pod posterunek policji, proszę Chikę, żeby znowu zawrócił.

— Z powrotem na miejsce zbrodni?

— Tak. I tym razem jeszcze wolniej.

Przechodniom musimy wydawać się bardzo dziwni. Wiem jednak, że na coś tu wpadłem, chociaż to jeszcze nie przełom.

Kiedy ponownie docieramy do miejsca, w którym Trzech z Okriki spotkał tragiczny koniec, zatrzymuję filmik i spoglądam na Chikę.

— Droga została oczyszczona — oznajmiam.

— Oczyszczona, sir?

Chika spogląda na mnie, ale zaraz wraca spojrzeniem na drogę.

— Tu były sklepy... Zatrzymaj się tu! Widzisz? — Pokazuję na zatrzymany obraz, a potem na zewnątrz. — Widzisz podobieństwa w roślinności? Spójrz na tę linię wysokiego napięcia. I na transformator tam dalej w krzakach. Widzisz? Znajdujemy się w tym samym miejscu, ale na filmie były sklepy i prowizoryczne stragany, a teraz nie ma nic. Ta droga nie jest opuszczona. Ona została oczyszczona.

— Może ludzie doznali urazu i nie chcieli niczego pamiętać?

Kręcę głową.

— To możliwe, lecz nie prawdopodobne. Nie mogło to dotknąć wszystkich do takiego samego stopnia, żeby zabrali swój towar z zapewne najbardziej dochodowej trasy do uniwersytetu.

— Sądzi pan, że droga została oczyszczona ze świadków, którzy widzieli, co się stało?

— Albo nawet brali udział w linczu.

— Ale jest dowód na wideo.

— Tak. Ale spójrz. — Znowu dotykam przycisku odtwarzania i wyciągam iPhone'a w stronę Chiki. — Pamiętasz, że Omereji powiedział, że aresztowano dwadzieścia trzy osoby, ale nawet jeśli nie widzimy twarzy, jest tu ich o wiele więcej...

Zatrzymuję nagranie, rozglądam się dookoła i patrzę na Chikę.

— Muszę się dostać tam, gdzie wszystko się zaczęło.

MADAM GOSPODYNI

Miejsce, w którym mieszkał student Godwin Emefele, wygląda jak większość działek przy tej ulicy; jest oddzielone od sąsiedniego drzewami i zagonem warzyw, pochrzynu i kukurydzy. Na dużym podwórzu stoi piętrowy budynek sprawiający wrażenie, że niedawno został pomalowany na jaskrawożółty kolor, a parapety otrzymały ciemnobrązowe obwódki.

Parkujemy z Chiką na zakręcie drogi i mierzymy odległość między pobliskim targiem, skąd, jak nam powiedziano, wyszła większość tłumu, a posterunkiem policji, który znajduje się w przeciwnym kierunku.

— Cicho tu, jak na tak dużą posesję — mówię, usiłując sobie wyobrazić, jak tłum wchodzi na podwórze, chwytając domniemanych złodziei i wlecząc ich obok posterunku policji na miejsce, w którym zostali ostatecznie zabici. — Żadnych lokatorów? Dzieci mieszkających tu rodzin?

— Dom został zbudowany dla studentów — mówi Chika, pokazując palcem. — Widzi pan? Te duże okna to pokoje, a te mniejsze to łazienki i toalety.

Kiwam głową i z miejsca, w którym stoimy, usiłuję policzyć duże okna, jednocześnie robiąc

dyskretnie zdjęcia telefonem. Na dole z naszej strony widzę sześć dużych okien, więc zakładam, że po drugiej stronie jest tak samo. Plus minus. Na górze mniej, ponieważ z przodu na piętrze znajduje się duży balkon, więc powiedziałbym, że jest tam osiem albo dziesięć pokoi.

— Jeśli mieszkańcy miasteczka mówią, że nikt nie wiedział, że ci chłopcy są studentami, chociaż w tym domu mieszkają głównie studenci...

— Czytałem, że mieszkańcy miasteczka mówili, że zawsze terroryzowali ich studenci przybywający z kampusu, żeby ich okradać. — Chika mruży oczy od słońca. — Fakt, że ci chłopcy byli studentami, mógł nawet pogorszyć sytuację.

— A nie było w okolicy innych studentów, którzy mogliby obalić oskarżenie tego Godwina?

— Myśli pan, że Godwin mógł skłamać, sir?

— Wkrótce się dowiemy — odpowiadam, przywołując w pamięci listę rozmówców, na której początku figuruje Godwin.

Oglądam się na budynek, robiący na takim dużym podwórzu wrażenie opuszczonego i pustego. Tu i tam chodzą kozy i kurczęta, zbierając z gołej ziemi coś do jedzenia. Wzdłuż drogi prowadzącej na targ i przystanek autobusowy stoi kilka innych budynków podobnej wielkości.

— Jeśli dużo domów zbudowano, by zakwaterować w nich studentów, to gdzie oni wszyscy są?

— zastanawiam się na głos.

— Po zabiciu tych chłopców większość pędem wróciła na kampus. Uniwersytet ostrzegł ich, że nie będzie żadnej ochrony dla studentów mieszkających poza kampusem, zwłaszcza zaraz po zabójstwach. Większość już nie wróciła.

— Szkoła zapewniła im zakwaterowanie?

Chika parska.

— Gdyby tak było, studenci przede wszystkim nie mieszkaliby poza kampusem. Nie, większość zamieszkała z przyjaciółmi i życzliwymi kolegami z zajęć. W większości akademików powiększyła się populacja waletów. Ze względu na warunki mieszkaniowe niektórzy studenci nawet porzucili studia.

Potrafię sobie wyobrazić sytuację opisywaną przez Chikę. Tragedia jak ta, która dotknęła Trzech z Okriki, na pewno wywołała wśród studentów masową histerię, co bez wątpienia wywarło ogromną presję na zasoby uniwersytetu. Efekt wywołany w miasteczku można porównać do skutków jakiejś klęski żywiołowej, a pomagając jako wolontariusz ofiarom straszliwych pożarów w Kalifornii, potrafię zrozumieć, dlaczego ta część Okriki wygląda tak pusto.

Chcę powiedzieć, że miasteczko zasłużyło na wszelkie następstwa tragicznej, samozwańczo wymierzonej przez nie sprawiedliwości, lecz panująca wokół mnie cisza sprawia smutne wrażenie. Mam to właśnie powiedzieć, kiedy zza domu wychodzi najwyżej dwunastoletnia dziewczynka. Chika patrzy na mnie, pytając o pozwolenie. Kiwam głową i Chika woła małą.

Dziewczynka zatrzymuje się, lecz nie podchodzi do nas, więc pośpiesznie oddaliśmy się od samochodu.

— Chcecie wynajem? — pyta, kiedy podchodzimy bliżej.

— Tak — odpowiada gładko Chika.

Cholera, szybki jest. Widzę, że dziewczynka wyraźnie się odpręży i pokazuje na dom.

— Madam gospodyni tam na podwórzu na tył.

— Ty daje radę prowadzi nas spotkać?

Dziewczynka kiwa głową. Idziemy za nią w głąb działki, a ja się rozglądam po drodze. Budynek jest zdecydowanie świeżo wyremontowany, lecz kiedy zerkam przez okna do niektórych pokoi, dostrzegam, że jest niemal całkowicie pusty. Po stronie, po której idziemy, widzę pięć dużych okien; szóste należy do swego rodzaju wspólnej kuchni, a zatem zdecydowanie dziesięć pokoi na parterze i osiem na pierwszym piętrze, biorąc pod uwagę ten balkon.

Za domem nad płachtą z suszącym się maniokiem pochyla się potężna kobieta o szerokich ramionach. Kiedy się do niej zbliżamy, wyprostowuje się na imponującą wysokość i krzyżuje ręce na wydatnym biuście, bardzo przypominając w tym bramkarza w drzwiach jakiegoś nocnego klubu.

— Mama Gospodyni, oni chcą wynajem dom.

Dziewczynka pokazuje na nas z przejęciem.

— Ty agent? Idź, gdzie ja cię wysła albo wynajem twoja głowa!

Dziewczynka umyka, a gospodyni odwraca się do nas. Nie zmienia podejrzliwej miny nawet wtedy, gdy przechodzi na poprawny angielski.

— Kto wynajmuje?

Chika uśmiecha się czarująco i odpowiada:

— Mój przyjaciel. Jest pani gospodynią?

— To moja posiadłość.

Staram się być równie czarujący jak Chika i wyciągam do niej rękę. Kobieta przygląda się jej, jakby to był brzęczący komar, który igra ze śmiercią. Opuszczam rękę, ale nadal się uśmiecham.

— Doktor Taiwo. Philip Taiwo.

— Doktor? I chce pan wynająć tu pokój?

Chika robi z szacunkiem krok do przodu, a ja się cofam. Chyba nie potrafię skutecznie udawać, że chcę zamieszkać pod dachem tej kobiety.

— Tak — ponownie gładko odpowiada Chika. — Doktor właśnie został zatrudniony przez uniwersytet, ale nie załatwili mu jeszcze zakwaterowania. Słyszeliśmy, że niedawno przeprowadziła pani remont, i muszę powiedzieć, że to naprawdę świetna robota.

Kobieta uśmiecha się, ukazując szparę między siekaczami. Ogr zniknął, zastąpiony przez całkiem sympatyczną istotę ludzką.

— Kaucja wynosi półroczny czynsz z góry.

Nawet nie mrugam. Opłacanie mieszkania na kilka miesięcy, a nawet kilka lat z góry, to powszechna praktyka.

— To żaden problem, proszę pani — mówię. — Może mnie pani oprowadzić?

Madam gospodyni natychmiast prowadzi nas do domu, znika na chwilę, by wziąć pęk kluczy, i zaczyna pokazywać nam pokój po pokoju.

— Kiedyś mieszkałam niedaleko stąd i wynajmowałam ten dom — mówi, otwierając pokój i salon z łazienką i nie tak bardzo odrapaną kuchnią. — To jedno z moich większych. Ja mieszkam w podobnym na piętrze. Ma pan rodzinę?

— No, tak. Mam urlop naukowy tylko na rok, więc ktoś może przyjechać w odwiedziny, ale nikt nie będzie ze mną mieszkał.

Jestem pod wrażeniem łatwości, z jaką wypowiadam to kłamstwo.

— A zatem to jest dobre miejsce dla pana — oznajmia gospodyni, jakbym nie miał w tej kwestii zbyt wielkiego wyboru. — Z tyłu jest też apartament dwupokojowy, ale studenci zwykle wolą ten, ponieważ mogą mieszkać w nim razem i dzielić się wydatkami.

— Dużo studentów wynajmuje tu pokoje?

— Nie tyłu, ile przedtem. Teraz mam głównie tymczasowy personel akademicki jak pan.

Dam sobie głowę uciąć, że to ludzie nieświadomi niesławnej historii tego budynku.

— Podoba mi się. — Kiwam z zadowoleniem głową, a gospodyni uśmiecha się promiennie. — Czy mogę zapytać, gdzie są wszyscy mieszkańcy?

— Po co? — pyta ostro gospodyni.

Atak i obrona w jednym pytaniu. Uśmiech zniknął.

— Chcę po prostu wiedzieć, jak tu jest głośno w weekend, kiedy w domu są inni mieszkańcy.

— W tej chwili nie ma żadnych.

— Wyjechali z powodu remontu? — pyta Chika.

— Tak! — Gospodyni uśmiecha się do niego z ulgą. Domyślam się, że znalazła teraz nową historyjkę dla innych ewentualnych najemców. — Ale wielu z nich wróci. Mam agenta, który reklamuje tę posiadłość na uniwersytecie.

Marszczę brwi, jakbym się intensywnie nad czymś zastanawiał, podchodzę do okna i wyglądam na podwórko.

— Czy to nie ten dom...? Ten, który chcieli obrabować ci chłopcy, i ludzie przybyli na pomoc? Uśmiech madam gospodyni znowu znika, lecz kiedy odpowiada z rezerwą, w jej głosie nie ma wrogości.

— To było dawno temu.

— Tak, ale czy to ten dom?

— Tak.

— Wspaniale! — wołam entuzjastycznie. — Podoba mi się okolica, w której ludzie pilnują się nawzajem.

— Cudownie. — Madam gospodyni klaszcze z radością i ulgą. — Jak miło mieć w końcu wokół siebie rozsądnych ludzi. Ludzie są dla nas tacy niemili.

— To musiało być trudne dla całego miasteczka — mówi Chika współczująco.

— Nawet pan sobie nie wyobraża. Byłam kiedyś nauczycielką w podstawówce. Dyrektorem był mój mąż, Panie, świeć nad jego duszą. Wydaliśmy wszystkie oszczędności, żeby wybudować ten dom i dać zakwaterowanie tym dzieciom na uniwersytecie. Traktowaliśmy je jak własne. A potem, kiedy wydarzyło się to wszystko, wszyscy zaczęli opowiadać niestworzone historie, jacy to jesteśmy niegodziwi! Niektórzy nawet mówili, że użyliśmy tych chłopców do robienia *juju!*

— Jakie to niemądre — mówię drwiącym tonem. — Całe miasteczko zaatakowało młodych chłopców, żeby użyć ich do robienia *juju?*

— Skąd mam wiedzieć, bracie mój — mówi madam gospodyni.

— Była pani tutaj? — pyta Chika z odpowiednią dozą ciekawości.

— Nie. Mówiłam, że kiedyś mieszkałam po drugiej stronie miasteczka. Ale kiedy wyprowadzili się wszyscy najemcy, nie było mnie stać na utrzymywanie dwóch domów, więc wróciłam tutaj.

— Kiedy dzieje się coś takiego, nikt nie pamięta dobrych uczynków ludzi — dodaje ze współczuciem Chika.

Madam gospodyni rozkoszuje się naszym zrozumieniem.

— Ci chłopcy to byli zwykli przestępcy!

Rozglądam się, jakbym już widział siebie w tym apartamencie.

— Gdzie mieszkał ten chłopiec?

— Jaki chłopiec?

— Ten, którego usiłowali obrabować. — Odwracam się do gospodyni. — Czy w tym apartamencie?

— Mówi pan o Godwinie! Mieszkał trochę dalej. Biedak. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ktoś przyszedł do mojego domu z bronią. Proszę ze mną, pokażę panom.

Idziemy za gospodynią, która na pewno potrafiłaby rozbroić każdego, kto usiłowałby ją obrabować z bronią czy bez niej. Pokazuje dalej wzdłuż korytarza, w stronę frontowego wejścia do budynku.

— Tam, widzą panowie? Ten wychodzący na drogę.

— To dlatego ludzie tak łatwo usłyszeli, kiedy wołał o pomoc — mówi Chika, jakby teraz zrozumiał dużą część zagadki, która nie daje mu spać.

— A inni studenci? — Marszczę brwi, szacując odległość byłego pokoju Godwina od drogi. — Dlaczego nie wyszli mu na pomoc?

— Wielu z nich było w szkole, a inni mieszkańcy poszli do pracy. Ci, którzy przebywali w domu, powiedzieli, że kiedy usłyszeli strzały, byli zbyt przerażeni, żeby wyjść, i zrobili to dopiero wtedy, kiedy pojawił się tłum.

— A więc kiedy zaatakowali złodzieje, ten Godwin był praktycznie sam.

Chika podniósł gniewnie głos, ujmując się za ofiarą.

— Proszę sobie wyobrazić! A wszyscy nazywają naszych ludzi niegodziwymi. Co to za niegodziwość pobiec na pomoc innej istocie ludzkiej?

— A z tego, co czytałem, byli szybcy — mówię.

— Uwagę wszystkich zwróciły te strzały — wyjaśnia gospodyni.

— Strzały? Chce pani powiedzieć, że było więcej strzałów niż jeden?

Chika przysuwa się do madam gospodyni, jakby jej słowa mogły zmienić bieg historii.

— Kilka! W gruncie rzeczy całe miasteczko myślało, że atakuje je jakaś armia!

Biorąc pod uwagę, że autorzy wszystkich raportów zgadzali się co do tego, że słyszano trzy, najwyżej cztery strzały, mogę teraz do zestawu umiejętności gospodyni dodać przesadę.

— A więc przyszli ze sklepów wzdłuż drogi? — pytam.

— Zewsząd. Ci studenci okradali miasteczko w przeszłości do cna, a my nie mogliśmy nic zrobić, ponieważ na nich opiera się nasz biznes. Ale kiedy pojawiła się broń, ludzie mieli już dość.

Teraz znajdujemy się na końcu korytarza prowadzącego na dwór. Gdyby okna były otwarte, to strzał oddany wewnątrz byłby dobrze słyszalny. Zobaczyłem dosyć.

— Dziękuję, proszę pani. Na pewno wezmę pod uwagę pani śliczny dom. — Sumienie nie pozwala mi zobowiązać się do czegoś więcej. — Proszę mi dać swój numer telefonu.

Kobieta wykrzykuje ciąg liczb, które zapisuję w moim telefonie. Kto wie, kiedy mógłbym chcieć porozmawiać z nią jeszcze raz, czy to mając z nią umowę o wynajem apartamentu, czy nie.

Kiedy odjeżdżamy, madam gospodyni macha radośnie, zadowolona z szansy na to, że jej świeżo pomalowany dom w końcu naprawi zszarganą reputację.

MAŁE MIASTECZKO, SZYBKI PRZEPIŁYW INFORMACJI

Znalazłszy się z powrotem w land cruiserze, gratuluję Chice przytomności umysłu i wyczuwam, że nie jest już tak skrzępowany niedawnym awansem na mojego nieoficjalnego asystenta.

Nasze samozadowolenie z umiejętności aktorskich znika, kiedy zauważamy spojrzenia niektórych przechodniów. Są inne od tego, co wcześniej uznałem za małomiasteczkową ciekawość.

Wyobrażam sobie żółtodzioba z posterunku policji, który dzwoni do swojej dziewczyny, która następnie dzwoni do przyjaciółki, która z kolei dzwoni do matki. Przypominam sobie złowróżbne słowa Salome.

Kiedy docieramy do hotelu Royale, na spotkanie nam wychodzi pośpiesznie pulchny i łysiejący mężczyzna.

— Witam, witam — mówi z fałszywym uśmiechem. — Nie było mnie tu, by panów przywitać zeszłej nocy. Tak mi przykro. Jestem Oroma Atoka, kierownik.

Wyciągam do niego rękę, lecz dostrzegam lekkie wahanie. Kierownik rozgląda się szybko. Wydaje się, że nie ma zagrożenia, więc ściska mi dłoń.

— Doktor Taiwo?

— Tak. A to jest Chika, mój asystent.

Atoka kiwa mu głową.

— Poznaliśmy się, kiedy przyjechał zarezerwować pokoje. Zapłacił za dwa tygodnie, ale mamy pewien problem.

— Problem? — pytam z wystudiowaną, pełną uprzejmości troską.

— Tak. — Kierownik kiwa głową z fałszywie przepraszącą miną i zwraca się do Chiki. — Widzi pan, panie Chika, kiedy z panem rozmawiałem, nie wiedziałem, że moja dziewczyna w recepcji już zarezerwowała miejsca dla grupy weselników. Przyjeżdżają aż z Lagos, a niektórzy nawet z Abudży. Wesele jest w przyszłym tygodniu i obawiam się, że nie będę mógł przyjąć panów na dłużej niż tydzień.

— Ale my zapłaciliśmy z góry — irytuje się Chika.

— Zwrócę panom pieniądze — proponuje kierownik zbyt szybko — a nawet sprawdzę, czy znajdzie się dla panów miejsce w innym pensjonacie. Są ładniejsze pensjonaty w Aluu, a nawet w Obio Akpor. Zapewniam panów, że w porównaniu z nimi nasze miasteczko ma niewiele do zaoferowania.

— Chyba pan żartuje. — Ton Chiki robi się nagle szyderczy i rozdrażniony. — Kiedy przyjechałem, wyjaśniłem panu, że możemy nawet przedłużyć pobyt, a pan mnie zapewnił, że będzie miał dla nas pokoje na cały czas.

— W porządku — wtrącam się szybko, wyczuwając, że w tym momencie Chika mógłby rzucić się na kierownika z pięściami. — Proszę posłuchać, panie Atoka: porozmawiajmy o tym za tydzień, kiedy termin wesela będzie bliższy. Jestem pewien, że uda się nam coś załatwić, nim on nadejdzie.

Kierownik sprawia wrażenie zaskoczonego moją uległością. Odpowiada, lekko się jękając:

— To może być nawet mniej niż tydzień. Musimy przygotować pokoje dla gości...

— Tydzień i wtedy porozmawiamy, dobrze? — Mówię głosem świadczącym o tym, że sprawa jest zamknięta, i ruszam do hotelu. Chika idzie za mną.

Kiedy wchodzimy do mojego pokoju, mój towarzysz nie posiada się z wściekłości.

— Ktoś do niego dotarł!

— Nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków.

— Sir, widział pan, jak patrzyli na nas ludzie, kiedy jechaliśmy z powrotem?

Kiwam głową. Nie chcę werbalizować przypuszczeń, nie mając więcej faktów.

— Mówię panu, sir, ktoś mu kazał się nas pozbyć!

— A my nie możemy nic na to poradzić — mówię, by przestał chodzić po pokoju jak niespokojny byk. — Możemy tylko uwzględnić to w naszych planach. Czy są tu w okolicy jakieś inne pensjonaty albo hotele?

— Jest ich całkiem sporo, ale żaden nie jest tak ładny jak ten.

Rozglądam się po moim pokoju. Jeśli chodzi o pokoje w takim miasteczku, jest w porządku. Biorę jednak pod uwagę ból łopatek wywołany przez nierówny materac oraz okropne śniadanie i boję się pomyśleć, jaki może być stan innych pensjonatów w miasteczku.

— Poza tym — ciągnie Chika — jeśli ktoś chce, by kierownik się nas pozbył, to takie samo polecenie zostało wydane wszystkim innym hotelom w miasteczku. Jeśli odejdziemy stąd, sir, to jestem całkiem pewien, że nie będziemy mogli się zatrzymać nigdzie indziej.

— Możemy się przenieść do innego miasteczka — sugeruję, chociaż bardzo nie chciałbym stracić korzyści z mieszkania w samym Okriki.

— Większość z nich nie leży tak blisko stąd. Te najbliższe uniwersytetu są równie paskudne i niewarte tamtejszych opłat za pokoje. — Kręci głową, a ja widzę, jak potrafi być uparty. — Nie. Musimy zostać tutaj.

Patrzę na zegarek. Czas ucieka.

— Wciąż mamy tydzień na rozwiązanie tej sprawy. Na razie pomóż mi przy czymś.

Podłączam telefon do laptopa.

— Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł porównać zdjęcia, które zrobiliśmy dziś rano, z nagraniem linczu. Notuj wszystko, co zwróci twoją uwagę. Skup się jednak na scenerii. Tylko na niej.

Mam nadzieję, że da to Chice zajęcie, póki będę planować następne nasze posunięcia. Jeśli mogę sądzić po materiałach, które przygotował dla mnie wczoraj, to podejrzewam, że spisze się doskonale.

Czekając, aż zdjęcia ściągną się na twardy dysk, w innym oknie otwieram wideo. Na widok niesławnych kadrów Chika wzdycha.

— Wiem, że nie jest to przyjemne — mówię przepraszającym tonem — ale potrzebujemy rzuty ekranu scen, które pasują do miejsc, obok których dzisiaj przejeżdżaliśmy.

Po przerzuceniu zdjęć odłączam telefon od MacBooka, a Chika siada przy biurku i przysuwa laptop do siebie.

Wystukuję numer Abubakara Tukura.

SYN ZIEMI

— Doktor Taiwo! — woła inspektor Omereji, kiedy tylko wraz z Chiką wchodzę do jego biura.

— Dzwoniliśmy do PH i okazało się, że przypadkiem zrobiono tam kopie teczek, które wysłaliśmy do prokuratury generalnej. Kiedy tylko powiedziano mi, że są dostępne, natychmiast po nie kogoś wysłałem.

Pokazuje dłonią na pudła stojące na jego biurku gestem magika ujawniającego całą i zdrową, choć pociętą uprzednio, asystentkę. Zważywszy na ruch samochodowy, jakiego doświadczyłem wczoraj po drodze z lotniska, dokumenty z Port Harcourt na posterunek policji w Okriki mógł dostarczyć tak szybko tylko śmigłowiec.

— Czy będę mógł porozmawiać ze śledczymi? — pytam tonem pełnym nadziei i szacunku.

— To nadal trzeba zorganizować. Moi ludzie są zajęci, panie doktorze.

— Mogę także porozmawiać z panem — mówię, próbując wybadać grunt.

— Nie wie pan? — pyta z uniesionymi brwiami. — Zostałem tu oddelegowany z powrotem około pół roku po tym niefortunnym wydarzeniu.

Zauważam jego rozmyślnie staranny sposób wysławiania się. Jakby nie chciał powiedzieć niczego niewłaściwego. Czasami zapominam, że Abubakar jest nie tylko komendantem Wyższej Szkoły Policyjnej, lecz także członkiem hauskańskiej oligarchii o silnych powiązaniach politycznych. Jeśli Abubakar pociągnął za wszystkie sznurki, za które może pociągać, to nie ma wątpliwości, że poprzednio arogancki inspektor znajduje się w trudnej sytuacji. Nie byłbym zaskoczony, gdyby nagrywał tę rozmowę.

— A gdzie był pan przedtem, jeśli mogę zapytać?

Mój ton jest równie oficjalny jak jego, zabarwiony lekką ciekawością.

— Oczywiście, że może pan. To wiedza powszechna. Zostałem oddelegowany z Kano.

— Okriki musi się bardzo różnić od dużego miasta jak Kano — mówię, usiłując zrozumieć, co się kryje za jego obojętnym uśmiechem.

— To dla mnie dom. Pochodzę stąd. Nawet chodziłem na US.

— Ja też chodziłem na US. Który rok? — pyta Chika.

— Ukończyłem studia w dwa tysiące jedenastym roku. — Jeśli pojawiło się złagodzenie postawy wobec Chiki jako absolwenta tego samego uniwersytetu, to ja tego nie dostrzegam. — Socjologia. Ty?

— Dwa tysiące dwunasty — odpowiada Chika. — Informatyka.

Omereji marszczy brwi, patrząc na Chikę, ale nic nie mówi. Zapada niezręczna cisza. Aż się prosi, by ją przerwać.

— A więc jest pan synem tej ziemi — odzywam się z nienaturalną jowialnością.

Omereji nie reaguje w podobnym duchu. Wraca jego obojętny uśmiech, ale inspektor nie spuszcza wzroku z Chiki. To on łagodzi napięcie, podchodząc do biurka Omerejiego i podnosząc dwa pudła.

— Wróć po to — mówi, mijając po drodze do wyjścia inspektora i mnie.

Zaczynam protestować.

— Mogę wziąć...

— Wróć, sir — mówi nieustępliwie Chika, wychodząc, a ja zostaję z inspektorem Omerejim, którego twarz grozi pęknięciem z wysiłku utrzymywania wyrazu fałszywej życzliwości.

Próbuję wybawić go z niedoli.

— Dobrze zna pan tych śledczych?

— Słucham?

— Zespół, który pracował nad tą sprawą. Zakładam, że ci ludzie nadal są na tym posterunku.

— Tylko dwóch. Trzeci został przeniesiony, ale słyszałem, że odszedł ze służby.

Gryzę się w język, żeby nie wygłosić uwagi, jak pomyślny jest taki rozwój wypadków. Spoglądam na pudło pozostałe na biurku.

— Ci trzej śledczy wytworzyli mnóstwo dokumentów — mówię.

— Proszę się rozejrzeć, panie doktorze. To raczej nie jest posterunek, który swoim rodzajem czy wielkością mógłby przyciągać najlepszych z najlepszych.

— A mimo to pan tu jest — zauważam, zanim udaje mi się od tego powstrzymać.

— Jako że nie miałem w tej kwestii wielkiego wyboru, uznam to za komplement — mówi inspektor ze smutnym uśmiechem.

Pora na mój fałszywy uśmiech, a potem na wystudiowane zmarszczenie brwi.

— Zważywszy na wagę sprawy i zainteresowanie mediów, można by pomyśleć, że policja zatrudniła dodatkowe osoby?

— Nikt nie chciał tego tknąć. Może pan ich winić?

— Ale pan przyjechał.

— Żeby zrobić porządek i ograniczyć szkody wyrządzone policji i miasteczku. Krążyło o nim zbyt wiele paskudnych opowieści.

Przemiana dokonuje się szybko. Przede mną stoi rozzłoszczony człowiek, niezadowolony z mojej obecności.

— Nie musiał pan przyjeżdżać — mówię z większym współczuciem.

— Potrzebował mnie mój lud.

— Jest tak źle?

— Nawet nie ma pan pojęcia, jak bardzo. Ale teraz jest już po wszystkim, dzięki Bogu. Media wyjechały. Powoli wracają studenci. Między uniwersytetem i miasteczkiem panuje większy spokój. Interesy mieszkańców nabierają tempa. Proces odbywa się daleko w PH. Sytuacja powoli wraca do normy.

— Przeniesie się pan z powrotem do Kano?

— Przeniosę się gdziekolwiek, gdzie będę mógł kontynuować karierę w bardziej, powiedzmy, dynamicznych warunkach.

Kwituję ten dyplomatyczny slogan skinieniem głowy i właśnie wtedy wraca Chika, bierze ostatnie pudło i wychodzi.

Wyciągam rękę.

— Jestem pewien, że mieszkańcy Okriki doceniają pańską ofiarę. Niewielu ludziom zależałoby

na tyle, by wrócić i pomóc odbudować miasteczko skażone taką potwornością, do jakiej doszło tutaj.

— To mój obowiązek — mówi Omereji, ściskając moją dłoń.

— Niemniej, podziwiam pana. A kiedy śledczy będą mieli czas, powie im pan, żeby do mnie zadzwonili, tak?

Znów ten fałszywy uśmiech.

— Oczywiście. Mam pański numer.

— Dobrze. Dziękuję za te dokumenty.

Odwracam się do wyjścia.

— Panie doktorze...?

Odwracam się ponownie.

— Proszę nie próbować rozdrapywać starych ran.

— Jeśli po tym czasie wciąż są rany, to może trzeba je oczyścić i opatrzyć, żeby prawidłowo się zagoiły.

Biorąc pod uwagę to, co teraz wiem o pochodzeniu inspektora, mam świadomość, że bagatelizuję poważną prośbę, ale tylko tak mogę poradzić sobie z intensywnością jego spojrzenia.

— To miasteczko przez ponad dwa lata było na krawędzi...

— A w biały dzień zostało zamordowanych trzech młodych ludzi.

Natychmiast żałuję ostrości mojego głosu.

— Sądziłem, że sporządza pan studium przypadku, a nie docieka, co się stało.

— Może to żadna różnica.

Omereji wraca za biurko i zaczyna przekładać papiery. Rozumiem, że mnie odprawia.

Patrzę na jego pochyloną głowę. Może naprawdę jest uczciwym funkcjonariuszem zmuszonym do ukrócenia własnych ambicji, by chronić swoje miasteczko i swój lud.

Ale przed czym? Wychodzę z biura, zastanawiając się nad tym.

PUDŁA Z NICZYM

— To bez sensu! — wykrzykuje Chika i ledwie się powstrzymuje przed wyrzuceniem dokumentów w powietrze.

Poprosiłem go, by pomógł mi uporządkować zawartość pudeł, w których nie znajdujemy jednak nic wartego uwagi. To głównie kserokopie zeznań naocznych świadków, spisanych źle i z błędami ortograficznymi. Na niektórych z nich ledwie można odczytać nazwiska osób składających zeznanie. Brakuje słów, ponieważ zamazał je toner złej jakości albo zostały odcięte przez niedbałe umieszczenie kartek w kopiarce, a w większości gramatyka jest tak niepoprawna, że całe zeznania są pozbawione sensu. Raporty policyjne są jeszcze bardziej żalosne. Moja trzynastoletnia córka potrafi konstruować zdania z większą klarownością.

— Nic nie zrobili!

Chika macha z irytacją jakimś dokumentem.

— Albo nie chcieli nic zrobić — mówię, rozciągając się niezdarnie z pozycji kwiatu lotosu, którą utrzymywałem niemal godzinę.

— Ale, sir, przynajmniej mogli udawać, że wykonują policyjną robotę. Proszę posłuchać. — Chika czyta na głos: — Nazywam się pan Peter A. Ofunsi. Byłem tam, kiedy łapią złodziei, ale nie widzę, jak się palą. Podpisane dnia Pańskiego października dwa osiem. — Rzuca kartki na podłogę, już zaścieloną dokumentami, które spotkał podobny los. — Jak to w ogóle może być uznane za zeznanie?

Patrzę na duży arkusz papieru, który musiałem rozłożyć kilka razy, kiedy mówił Chika. Wygląda

na plan kondygnacji jakiegoś budynku.

— To mogłoby się przydać.

Wstaję i przymocowuję rysunek architektoniczny na ścianie naprzeciwko mojego łóżka.

— Czy to...?

— Rozkład domu madam gospodyni — oznajmiam.

Chika podchodzi do mnie, przygląda się dokumentowi i macha lekceważąco ręką.

— Nic tu nie ma.

— Przyjrzyj się uważniej. Każdy pokój ma nazwiska osób, które w nim mieszkały.

— W większości to są inicjały, sir. Ustalenie pełnych danych zajmie trochę czasu. A nawet jeśli na tym rozkładzie są nazwiska legalnych najemców, to nie ma na nim nazwisk waletów.

Wzruszam ramionami. Nie mówię Chice, że emocjonuję się właśnie takim rodzajem szczegółowej pracy. Gdyby wszystko było oczywiste, to nie byłoby to żadne śledztwo. Poza tym plan kondygnacji świadczy o tym, że policja знаła podstawowe zasady gromadzenia dowodów i wiedziała, czego szukać na miejscu zbrodni. Dlatego brak szczegółów w aktach jest jeszcze bardziej niepokojący.

— Ale to dobry punkt wyjścia — mówię. — Mamy złożone pod przysięgą oświadczenia z nazwiskami, możemy dopasować je do tych na planie, a jeśli trafimy na jakąś zagwozdkę, to możemy pogadać z gospodynią o...

Właśnie mam żartobliwie dodać, że nie miałbym nic przeciwko podpisaniu umowy najmu, ale widzę, że Chika kręci głową.

— Na pewno już dotarła do niej wiadomość o pańskiej obecności w Okriki. Nie sędzę, by chciała panu wynająć mieszkanie za jakiegokolwiek pieniądze.

Kiwam głową, ale pozostaję niezrażony. Na tym planie są dane, które mogę wykorzystać. Jak? Nie wiem, ale jestem przekonany, że w pewnym momencie okażą się przydatne. Moją intuicję wyostrzyło doświadczenie.

Chika wraca do papierów i zaczyna wkładać je do pudeł. Chwali mu się, że układa dokumenty z szacunkiem większym, niż można by się spodziewać po jego opinii o ich treści, lecz jest wyraźnie zirytowany.

Rozumiem frustrację Chiki, ale przyjechałem tu przygotowany. W dniu, kiedy w końcu zdecydowałem się przyjąć to zlecenie, Abubakar wezwał mnie do swojego biura i uprzedził, że bym nie spodziewał się wielkiej współpracy ze strony miejscowej policji.

— Chcą, żeby ta sflawa szybko się zakończyła — stwierdził wtedy, zaciągając się papierosem.

Nadal był jedynym oficerem, który ośmielał się palić w swoim biurze.

— Nie widzą, że Emeka nie odpuści? — powiedziałem, modląc się o moje płuca.

— Tak, ale uflętnął fonad lok nicnielobienia. Ludzie zafominają, flączą się w zeznaniach, a frokulatula nie może lozпочząć flocesu, bo nie ma wiarygodnych dowodów.

— A więc mam działać w ciemno?

— Nie.

Abubakar wysunął szufladę, wyjął z niej pendrive i położył go na biurku.

— Co to? — zapytałem.

— Niektóre lafolty z niezależnego śledztwa flowadzonego frzez Emekę w ciągu ostatniego fóttola loku.

— Dlaczego sam mi tego nie daje?

— Bo go foflosiłem, żeby tego nie lobił.

Ta bezceremonialność sprawiła, że zmarszczyłem brwi.

— Dlaczego?

— Fo fielwsze — Abubakar zaciągnął się papierosem — chciałem zaoszczędzić Emece bólu frzy

objaśnianiu ci wszystkiego, a fo długie, dużo tych informacji foklywa się z teoliami Emeki, a ja chciałem oddzielić drzewa od lasu.

Po dwóch godzinach, w ciągu których Abubakar dmuchał mi dymem w twarz i objaśniał niektóre dokumenty, zrozumiałem, dlaczego potrzebuję wskazówek. Artykuły prasowe, zdjęcia ofiar za życia i po śmierci, nagrania procesów sądowych, materiały ściągnięte z internetu i nagrania zabójstw w rozmaitych formatach zajmowały kilkanaście katalogów. Byłem pod wrażeniem liczby szczegółów oraz ilości informacji, jakie zdołała zebrać niezależna prywatna osoba, i powiedziałem o tym Abubakarowi.

— Emeka to baldzo zdetelminowany człowiek — odparł wtedy Abubakar.

— Niektórzy powiedzieliby, że ma obsesję — stwierdziłem — ale ja go nie winię. Gdyby któryś z moich synów...

Wzdrygnąłem się mimowolnie i musiałem przerwać. Chociaż nie mogłem opowiedzieć Abubakarowi o mojej rozmowie z tatą, ta sprawa bardzo mnie zaciekaowała. Gdybym już się nie zmagał ze zdradą Folake, do przyjęcia tego zlecenia wystarczyłby mi smutek w oczach Emeki i niewyobrażalna myśl, że mógłbym stracić któreś z dzieci w tak straszny sposób.

— Musisz zlozumieć, że folicja w Okliki to w dużej mierze miejscowi. Byli ufrzedzeni od samego foczątku, a splawy nie ułatwiło to, że jednego z nich widziano w tym tłumie.

— Sądysz, że zwarli szyki, by go chronić?

— Może foczątkowo, ale wkrótce zaczęło chodzić o ochlonę całego miasteczka. — Wyjął z komputera pendrive i mi go podał. — Zapoznaj się z tym. Wiem, że z folicyjnych lafoltów nie wyciągniesz wiele.

— Ale i tak muszę je zobaczyć.

— A ja ci właśnie fowiedziałem, że mateliały na tym fendliwie są o wiele obszelniejsze.

— Chcę zobaczyć tropy, za którymi policja nie poszła albo odmówiła ich podjęcia.

Teraz brwi zmarszczył Abubakar.

— Dlaczego?

— Bo jeśli nie poszła za jakimś tropem, to może powinienem się zainteresować właśnie nim.

— Wiedziałem, że jesteś właściwą osobą do wykonania tego zadania — powiedział Abubakar, kiedy wstawałem.

Uścisnąłem mu rękę i szybko uciekłem z pendrive'em w dłoni. Moja niechęć do dymu wygrała z podbudowaniem mojego ego.

— Nie są tak bezużyteczne, jak można by pomyśleć — mówię teraz do Chiki, otoczonego raportami policyjnymi, które potwierdzają mądrość słów Abubakara.

— Ale, sir, tu nie ma nic, co się nie znalazło w przestrzeni publicznej — mówi Chika.

Przyzywam go gestem i klikam w katalog w moim laptopie zawierający materiały od Emeki.

— Ja odczytam zeznanie z ekranu, a ty szukaj w tej stercie policyjnych raportów zeznania potwierdzającego lub sprzecznego, dobrze?

— Dobrze, sir.

Pracujemy do późna w nocy i usiłujemy dopasować opisy tego, o czym wiemy, że się wydarzyło, do treści policyjnych raportów. Większość z nich zawiera podstawowe fakty: porę, kiedy Winston, Bona i Kevin opuścili kampus, godzinę, o której według miejscowych ta trójka podobno przybyła do miasteczka, oraz liczbę strzałów słyszanych z domu Godwina.

Udaje nam się dopasować niektóre nazwiska ze złożonych pod przysięgą oświadczeń z inicjałami mieszkańców zapisanymi na planie piętra. Niestety, wszyscy twierdzili, że kiedy wydarzył się ten incydent, byli w szkole.

Wyszukujemy także informacje spreczne z niezależnym raportem Emeki. Na przykład wielu świadków z policyjnych raportów utrzymywało, że widzieli, jak ci trzej chłopcy przybywają do

miasteczka razem, a mimo to inni byli pewni, że Winston przybył z Boną, a Kevin dołączył do nich później.

Szczególnie istotne jest zeznanie dziewczyny Kevina, Mercy, ponieważ twierdziła, że Kevin przyszedł do domu jej rodziców, by ją odwiedzić, i nie mógł wejść do miasteczka z Winstonem i Boną. A mimo to w raportach policji nie ma śladu zeznania Mercy. Co ciekawsze, w swoim pisemnym zeznaniu Godwin utrzymywał, że nie wie, w jaki sposób Kevin stał się członkiem Trzech z Okriki.

— Jest tu dość sprzeczności, żeby policja przeprowadziła dalsze śledztwo — mówię, przechylając głowę na boki, by zlikwidować sztywność karku.

To była długa noc.

— Może uznali, że nie ma po co, skoro chłopcy i tak nie żyją? — sugeruje nieprzekonująco Chika.

— Może, ale to nadal nie jest dobre uzasadnienie. — Otwieram listę rozmówców z innego katalogu. — Żeby zidentyfikować osoby, z którymi powinniśmy porozmawiać, musimy prześledzić rozbieżności w raportach. One wskażą nam brakujące elementy.

Chika marszczy brwi.

— Jak znajdowanie odpowiedzi na to, czego nie ma w teczkach policji?

— Otóż to.

SIŁA JEDNEGO

W moim pokoju panuje bałagan. Wszędzie są porozkładane papiery. Wszystkie fragmenty ścian wolne od zasłon albo tanich reprodukcji w jeszcze tańszych ramach zakrywają samoprzylepne karteczki. Jest późno, jestem wyczerpany, a Chika poszedł spać.

Nalewam do wysokiej szklanki piwo z butelki, którą zamówiłem z baru na dole. Jest już zupełnie ciepłe, ale nie przeszkadza mi to. Im piwo jest cieplejsze, tym szybciej mnie powali i przyniesie chwilowe wytchnienie od niespokojnych myśli.

Oddycham głęboko, zirytowany sposobem, w jaki moje palce unoszą się nad symbolem wywołania połączenia widocznym na ekranie mojego telefonu pod numerem Folake. Kiedy już mam nacisnąć symbol, przychodzi SMS: „Podobno wywołałeś dziś w miasteczku poruszenie, Amerykaana”.

Skąd Salome to wie? Wiadomości mogą się rozchodzić szybko w Okriki, ale żeby dotarły aż do Port Harcourt? Pamiętam, że powiedziała, iż jej matka pochodzi stąd, ale wydaje się, że Salome jest ściślej związana z tym miasteczkiem, niż dała mi do zrozumienia. Czy ten SMS jest przyjaznym pytaniem o moje samopoczucie, czy kontynuacją ostrzeżenia z samolotu? Ochłoń, Philipie.

„Twoje źródła przesadzają. Może się spotkamy, to podam ci fakty?” Naciskając „wyślij”, żałuję napisania czegoś, co może zostać błędnie odebrane jako prośba o randkę. W panice dzwonię do żony.

— No, nie śpieszyłeś się.

Folake nigdy nie owija w bawełnę.

— Byłem strasznie zajęty — mówię ostrożnie.

— Na pewno.

Nawet nie stara się ukryć irytacji.

Zapada niezręczna cisza.

— Przepraszam — mówię i nawet w moich uszach brzmi to nieprzekonująco.

Folake wypuszcza powietrze z płuc.

— W porządku. Dzieci tęsknią za tobą.

A czy ty za mną tęsknisz?

— Rozmawiałem z chłopcami i z Larą. Zadzwoiłem do nich przed szkołą...

I tak toczy się łagodzenie napięcia w każdym małżeństwie, które przeżywa trudności: odbieganie od tematu. Rozmawiamy o naszych dzieciach, dzieląc się znanymi informacjami, jakby były nowe: bliźniaki w środku próbnych testów przygotowujących je do ostatniej klasy liceum, Lara grająca w szkolnym przedstawieniu Ofelię.

— Nie są za mali na taką sztukę? — zastanawiam się.

— Ona ma trzynaście lat, kochanie.

Słyszę w jej głosie chichot, a to, jak mówi „kochanie”, uspokaja mnie na tyle, że dzielę się z nią niektórymi szczegółami pobytu w Okriki.

Mówię jej o Chice, o mieszkańcach miasteczka i moich wrażeniach po spotkaniu z inspektorem Omerejim oraz miejscowymi policjantami. Kończymy rozmowę koło północy. W żołądku czuję ciepło, które nie ma nic wspólnego z piwem. Jeszcze raz, po raz n-ty w ciągu dwunastu dni, chcę, żeby istniało inne wyjaśnienie tego, co ujrzałem w oknie jej biura, ale teraz nie mogę sobie pozwolić na takie rozmyślania.

Dopijam piwo i patrzę na kolorowe samoprzylepne karteczki, które Chika i ja umieściliśmy na ścianie wokół planu piętra domu madam gospodyni.

Niebieskie dla faktów: liczba ofiar, ich płeć, wiek i tak dalej.

Czerwone dla informacji, które z powodu większej liczby wywoływanych przez nie pytań niż dawanych odpowiedzi zapalają czerwone lampki: do tej kategorii należy niechęć policji do współpracy, a także nagła potrzeba pozbycia się nas przez kierownika naszego hotelu.

Żółte dla nazwisk osób początkowo aresztowanych za tę zbrodnię. Zakreśliliśmy nazwiska osób później wypuszczonych.

Zielone dla świadków i miejsc ich przebywania w tamtym tragicznym dniu.

Pomarańczowe dla tego, czego jeszcze nie wiemy.

Ściana mojego pokoju przywodzi na myśl klasę, w której nauka odbywa się według metody Montessori.

Profesor zawsze mówił, że im lepiej rozumie się żywych, tym łatwiej zrozumieć śmierć. Zastanawiam się nad granicami tego twierdzenia w obliczu co najmniej setki podejrzanych, którzy mogli mieć tyle samo motywów, by zaatakować Trzech z Okriki.

Wi-fi w hotelu jest zaledwie znośne, ale kiedy szukam „rabunków w Okriki”, może ze względu na późną porę, internet reaguje stosunkowo szybko.

Kilka informacji pochodzi z lokalnej gazety „Ekspres Okriki”. Po przewinięciu niezliczonych wzmianek i artykułów na temat Trzech z Okriki wyłania się obraz regularnych konfliktów studentów z tubylcami. Na targowiskach, w barach i na miejscowych koncertach wybuchały bójki. Właściciele wynajmowanych domów twierdzą, że gwałtowne starcia między studentami z podobno rywalizujących ze sobą sekt powodowały materialne szkody. Sprzedawczynie z targowiska oskarżają młodych ludzi, którzy według nich są z US, o branie towarów bez płacenia za nie. Lista incydentów jest długa i potwierdza, że miasto ma bardzo niespokojne stosunki ze studentami z uniwersytetu.

Podsumowuję to wszystko w moim notesie na stronie, na której napisałem: „Zebrać dane na temat skali rabunków w okolicy w miesiącu zabójstw oraz wcześniej”.

Znowu spoglądam na ścianę. Narysowałem na samoprzylepnych karteczkach przecinające je linie łączące różne możliwości i teraz całość przypomina zagmatwaną sieć.

Przerzucam kartki notesu do miejsca, gdzie napisałem: „Pojedynczy motyw ukryty pod zbiorowym zamiarem lub uprzedzeniem?”.

Muszę to uprościć, myśleć o tych kwestiach jak o jednej sprawie.

Moje badania nad linczami na południu Stanów Zjednoczonych wykazały, że większość, jeśli nie wszystkie z nich, spowodowało jakieś niewinne wydarzenie — na przykład Emmett Till podobno zagwizdał na białą kobietę. Tłumom zawsze zależało, by lincz jak najbardziej upublicznić, pozornie po to, żeby odstraszać innych czarnych, którym mogłoby przyjść do głowy przekroczenie granic. Jednak publiczny charakter linczu służył nie tylko utrwalaniu koncepcji wyższości białych i podporządkowywaniu czarnych. W ten sposób w zbrodni uczestniczyło tylu ludzi, że oskarżenie ich było niemal niemożliwe. Każdy wiszący na drzewie „dziwny owoc” stanowił symbol zarówno terroryzmu rasowego, jak i współdziałania w zbrodni. Zjednoczonej siły gromadzącej się wokół zbrodni zainicjowanej przez jedną osobę, a popełnionej przez wszystkich. Ponownie patrzę na ścianę. Trzech z Okriki uderzyło wiele rąk, ale jeśli ktoś w tym tłumie działał z innych pobudek niż pozostali, to musiałem się dowiedzieć, kim był.

Najbardziej logicznym punktem, od którego należało zacząć, był młody człowiek, który podniósł alarm i wprowadził w ruch łańcuch wydarzeń, które zakończyły się linczem.

OPOWIEŚĆ

Budzi mnie dzwonek mojego telefonu. Ojciec.

— Nie dostałem odpowiedzi na mój SMS, więc postanowiłem sprawdzić, co u ciebie.

W jego głosie wyraźnie słyhać naganę.

— Przepraszam, sir. Przyjechałem późno i sytuacja niemal natychmiast nabrała tempa.

— Ale nic ci nie jest?

— Nie. Emeka wiedział, że dojechałem bezpiecznie. Opiekun, którego mi przydzielił, jest doskonały.

— Cieszę się, że nie robisz tego sam. — Ojciec nie chwyta przynęty. Jeśli jest w stałym kontakcie z Emeką, to tego nie zdradza. — Nie mogę przestać się martwić, że namówiłem cię do przyjęcia zlecenia, którego wykonanie mogłoby cię narazić na niebezpieczeństwo.

Teraz ja czuję wyrzuty sumienia, że unikałem go od czasu naszej rozmowy w jego gabinecie sprzed niemal tygodnia.

— Nie wydarzyło się nic, co mogłoby świadczyć, że coś mi grozi, tato. Możesz odetchnąć.

— Dobrze. Chciałem się także dowiedzieć, czy podzieliłeś się z Folake tym, co ci powiedziałem...

Jego głos milknie.

— Niczego jej nie mówiłem, sir.

— Dziękuję. — Nawet przez telefon słyhać, że przyjął to z wyraźną ulgą. — Jeśli stanie się to konieczne, to ja chciałbym jej to powiedzieć.

Jego zamiar jest jasny: jeśli ma zostać zdemaskowany przed swoją synową, to musi się to odbyć na jego warunkach. Biorąc pod uwagę moją obecną sytuację z Folake, nie mogę tego kwestionować, więc nic nie mówię.

— Tak czy owak, uważaj na siebie. Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebował.

— Dobrze, sir.

— W porządku. Mama cię pozdrawia.

— Pozdrów ją ode mnie.

Nie rozłącza się, więc ja też tego nie robię. Milczenie się przedłuża. To dla nas nieznanym terenem.

— Kenny Boy — mówi w końcu tata — chcę ci tylko powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczny, że to robisz. W imieniu Emeki i, wiesz, nas wszystkich.

— Muszę kończyć, sir — mówię, ale czekam, aż przerwie połączenie.

Biorę prysznic i kiedy recepcjonistka, poprzedzana przez Chikę i mająca teraz zdecydowanie mniej ponurą minę, przynosi do mojego pokoju śniadanie, jestem prawie w pełni ubrany. Kobieta stawia tacę na jedynym wolnym miejscu na moim biurku, bierze trochę gotówki od Chiki i wychodzi.

— Wziąłem sprawy we własne ręce — mówi Chika, pokazując zamaszystym gestem na tacę.

— Ty to przyrządziłeś?

Doskonale usmażony omlet z trzema starannie ukrojonymi plasterkami gotowanego pochrzynu. Z boku stoi butelka zimnej wody i wysoka szklanka z sokiem. Nie bardzo lubię jeść tak wcześnie, ale na widok jedzenia burczy mi w żołądku.

— Prawie — odpowiada Chika, rozwijając sztucę z papierowych serwetek i podając mi je. — Dawałem kucharce wskazówki krok po kroku, a kiedy skończyła, nagrodziłem ją dwustoma nair.

— To pewnie twoje najlepiej wydane dwieście nair.

Zacząłem jeść jajka i pochrzyn. Przepyszne.

— Gdzie twoje? — pytam Chikę z pełnymi ustami.

— W moim pokoju...

— Przynieś je. Zjedzmy razem. Mamy dużo do omówienia.

Wyczuwam wahanie Chiki. Odgrywanie mojego asystenta to jedno, ale jedzenie w nieformalnym otoczeniu mojego pokoju hotelowego to mogłoby być dla niego odrobinę za wiele.

Mój telefon odzywa się w chwili, kiedy Chika wychodzi. To SMS od Salome: „Moje źródła są pewne, ale nie chcę przepuścić okazji zaproszenia na drinka. Daj znać, kiedy będziesz wolny”.

Z ulgą widzę, że nie przypisała mojemu wczorajszemu SMS-owi czegoś więcej, lecz wiadomość piszę do Emeki.

„Dzień dobry”, piszę szybko. „Chika zrobił na mnie bdb wrażenie. Może robić więcej, niż tylko być kierowcą. Mogę poprosić?”

Odpowiedź jest niemal natychmiastowa. „Śmiało”.

Kiedy Chika wraca ze swoją tacą, zabieramy z biurka papiery, laptop i samoprzylepne karteczki, a potem siadamy do jedzenia i usiłujemy zbudować spójny łańcuch wydarzeń.

Godwina Emefelego, studenta Uniwersytetu Stanowego, który mieszkał poza kampusem w Okriki, odwiedziło trzech innych studentów: Winston, Bona i Kevin. Doszło do kłótni, ponieważ, według Godwina, studenci usiłowali wyłudzić od niego pieniądze.

Kiedy jeden z trzech rzekomych napastników zagroził mu bronią, Godwin podniósł alarm. Odgłosy strzelaniny przekonały mieszkańców miasteczka, że doszło do rabunku. Na trzech młodzieńców rzucił się tłum, dając początek tragicznemu łańcuchowi wydarzeń, który doprowadził do „naszyjnikowych zabójstw”.

Zarzuty otrzymały dwadzieścia trzy osoby, w tym funkcjonariusz policji zidentyfikowany na podstawie filmików umieszczonych w mediach społecznościowych. Funkcjonariusz ten, niejaki James Johnson, sierżant — jego etnicznie obojętne nazwisko dawało równie mało informacji, co jego pisemne zeznanie — został wypuszczony, ponieważ utrzymywał, że znalazł się tam w celu powstrzymania tłumy. Jako że nikt nie kwestionował jego zeznania, został zwolniony ze służby i natychmiast przeniesiony do innego stanu. W areszcie śledczym przebywa tylko siedem osób; zarzuty wobec innych zostały wycofane lub odrzucone. Sąd jeszcze nie zdecydował o losie tej siódemki.

— Nic nowego — mówi Chika, zbierając z talerza resztki omletu.

— Ale to nie całkiem prawda — rozmyślam na głos, nagle coś sobie uświadomiwszy.

Odsuwam talerz na bok i sięgam po notes leżący na łóżku.

— We wszystkich raportach jest mowa o strzałach, ale na liście dowodów nie ma broni palnej. — Przerzucam szybko notatki i spoglądam na Chikę. — Jeśli policja nie ma tej broni, to gdzie ona

jest?

— Może ktoś ją ukradł? — podsuwa Chika.

— Nieprawdopodobne, chociaż nie niemożliwe.

— Nie znaleziono żadnych rzeczy tych chłopców — mówi Chika. — Żadnych telefonów komórkowych, portfeli, zegarków, pasków, butów, ubrań.

— Myślisz więc, że broń mógł zabrać ktoś z tłumu?

— To możliwe — mówi Chika i wzrusza ramionami.

— To by znaczyło, że broń — jeśli była jakaś broń — nadal jest gdzieś w Okriki?

Chika nie może się powstrzymać i parska śmiechem.

— Co w tym śmiesznego? — pytam, zdezorientowany.

— Pan... To znaczy przepraszam. Nie chcę powiedzieć, że jest pan śmieszny, ale jeśli mogę zapytać... Kiedy wrócił pan do Nigerii?

— Mniej więcej osiem miesięcy temu. A bo co?

— Chodzi o pańskie pytania. Przepraszam, ale jakby pan nic nie wiedział o sytuacji w tej części kraju.

Jestem tym nieco urażony, ale jeśli według niego coś mi umknęło, to chciałbym usłyszeć co.

— Mów dalej.

— Ta część kraju jest bardzo niespokojna. Zawsze jest jakiś konflikt — z rządem, z firmami naftowymi, między społecznościami. A z powodu wrodzonej wojowniczości ludzie tu zawsze o coś walczą.

— Chłopcy „My-oni”, tak? Trochę o nich czytałem przed przyjazdem.

— Uważają się za bojowników o wolność, polityków i oswobodzicieli gospodarczych w jednym — ciągnie Chika, a ja wyczuwam, że nie jest ich zwolennikiem. — Niektórzy uznają ich za swego rodzaju bohaterów, kogoś na kształt Robin Hooda.

— Aha! — W końcu rozumiem. — Jeśli była broń, to prawdopodobnie została przekazana bojówkarzom.

— Obawiam się, że tak. Prawdopodobnie w tej chwili gdzieś w buszu ktoś celuje z tej broni do zakładnika.

Nie mogę pokazać Chice, jak wytrąciły mnie z równowagi jego słowa. Nigdy w czasie mojej pracy nie czułem się śmiertelnie zagrożony. Pracowałem głównie w biurach, w bezpiecznej strefie mojego biurka. Na pracę w terenie składały się rozmowy z podejrzanymi, świadkami i śledczymi.

Staram się nie roztrząsać nadmiernie kwestii mojego nagłego niepokoju.

— Ale i tak powinniśmy zająć się sprawą tej broni — mówię obojętnym tonem, co przychodzi mi z niejakim wysiłkiem.

— Dlaczego ta broń jest taka ważna, sir?

— Tłum zmotywowały strzały, a mimo to w łańcuchu dowodów nie ma żadnej broni i nikt nie próbował jej znaleźć. Rozumiem, że z rozmysłem zakładasz, że została skradziona, i może tak było, ale coś mi się tu nie podoba.

Podchodzę do ściany z samoprzylepnymi karteczkami i patrzę na ich labirynt, marszcząc czoło.

— Wszyscy się zgadzają, że były strzały, lecz tylko jedna osoba rzeczywiście widziała broń albo tego, kto jej użył.

Sięgam po marker, rysuję kółko wokół imienia i nazwiska Godwina Emefelego i piszę obok niego: „broń?”.

NAJDROŻSZA MAMUSIA

Odwiedziny Amaso Dabary mnie nie zaskoczyły. Wiedziałem, że przyjdzie, kiedy tylko się dowie, że od ukończenia studiów dzieli mnie kilka tygodni. Po tym, jak odrzuciłem jego prośbę o oblanie egzaminów, żeby mógł zostać na US jeszcze jeden rok, zrobił się bardziej wymagający. Najnowszym przejawem jego nasilającej się taktyki zastraszania jest wpadanie z jego zbirami do mojego pokoju o dziwnych porach.

Żeby przestać myśleć o Amasie, wróciłem do listów od matki. I chociaż John Paul opuścił mnie, żebym wszystkie przeczytał, słyszałem jego szyderczy śmiech dobiegający spośród cieni.

Kiedy przeczytałem te listy, stało się dla mnie jasne, że nie mogę dalej żyć, nie wiedząc, nie spotkawszy się raz jeszcze z matką. Nie mam pojęcia, jak to wpłynie na Ostateczny Plan, ale po prostu muszę zobaczyć się z mamą.

Najpierw jednak muszę zrobić obchód kafejek internetowych w Wiosce Studenckiej i sprawdzić dla Johna Paula internetowe postępy Ostatecznego Planu.

Wszystko zmierza w dobrym kierunku.

Loguję się do internetowych kazań pastora Oriakpu i znajduję inspirację do kolejnej serii postów. Reakcje są natychmiastowe i spodziewane. Wkrótce przeleje się czara gniewu.

Wylogowuję się z różnych kont i jak najszybciej opuszczam Wioskę Studencką.

Chyba nigdy nie przezwyciężę strachu, który mnie ogarnia, kiedy muszę kierować Ostatecznym Planem jako ja. Wiem, jak bardzo uważamy, ale nie powstrzymuje mnie to przed ciągłym oglądaniem się przez ramię, by mieć pewność, że żaden wścibski student nie czyta moich postów, kiedy je piszę w kafejce.

Czasami wychodziłem z kafejki całkowicie pewien, że wiedzą wszyscy na kampusie. To były straszne chwile uważnego przyglądania się każdej twarzy i zastanawiania się, kto nasłał władze na mnie, podczas gdy John Paul ukrywa się wśród cieni.

Strach i szyderczy śmiech Johna Paula sprawiają, że idę szybkim krokiem, zgarbiony i z opuszczoną głową. Unikam patrzenia ludziom w oczy i liczę kroki dzielące mnie od postoju taksówek, a kiedy dobijam setki, liczę wstecz. Staram się nie wypowiadać liczb na głos, żeby ludzie nie myśleli, że mówię do siebie. To także pomaga mi słyszeć w głowie własny głos. W ten sposób mogę udawać, że nie słyszę Johna Paula.

Jest południe, a więc poza godzinami szczytu i ruch jest nie tak duży. W ciągu niecałej godziny docieram do rejestracji szpitala klinicznego w Port Harcourt, gdzie wpatruję się w ogromną tablicę. Widzę, że oddział, którego numer podał mi ojciec Olayiwola, znajduje się na piętrze onkologicznym. Ogarnia mnie fala przygnębienia.

Na windę czeka tłumek ludzi, więc idę schodami.

Kiedy docieram na piętro onkologiczne, pielęgniarka dyżurna pokazuje mi drogę na oddział.

W pokoju jest jeszcze pięć innych kobiet. Wszystkie śpią, wszystkie są podłączone do kroplówek i popiskujących urządzeń. Gdyby nie tabliczka z nazwiskiem nad jej łóżkiem, nie poznałbym własnej matki.

Zestarzała się. Rysy jej twarzy złagodniały we śnie, lecz nie ma wątpliwości, że ostatnich jedenaście lat nie było dla niej łaskawych.

Idąc ku niej, czuję się, jakbym był w transie; moje kroki spowalniają wspomnienia, nadzieja i, tak, strach.

Jakby wyczuwając moją obecność, matka otwiera oczy, spogląda prosto na mnie i się uśmiecha.

Podchodzę do łóżka na miękkich nogach i kładę głowę na jej piersi.

— Jesteś tu.

Na dźwięk jej głosu wybucham szlochem. Teraz jest słabszy, ale wciąż taki sam.

— Żadnych łez — mówi cicho matka. — Teraz jesteś mężczyzną. Żadnych łez.

Mimo wystających obojczyków, krótko ostrzyżonych siwych włosów i skóry kruchej od leków

moja matka wciąż jest piękna.

— *Mamo — powtarzam w kółko.*

Jak modlitwę.

— *Ja nie śnię?*

Kręcę głowę, śmiejąc się przez łzy.

— *Nie, nie śniesz.*

— *Czasami widzę rzeczy, których tu nie ma.*

— *Ja tu jestem, mamo.*

— *Dużo o ciebie pytam. Mówią ci?*

— *Tak, mamo. Mówią.*

Podnosi się we mnie gniew. Los zaplanowany dla zakonników powinien ich spotkać jak najszybciej. Kiedy będą wszyscy płonąć, będę wiwatować wśród cieni na cześć Johna Paula.

— *Jesteś bardzo przystojny. Jak twój ojciec — mówi matka i wyciąga rękę, by dotknąć mojej twarzy.*

Jej dłoń drży na moim policzku. Ostrożnie kładę ją z powrotem na łóżku, starając się nie poruszyć kroplówki, bo widzę, że trudno będzie znaleźć żyłę.

Czytam skład kroplówki wypisany na etykiecie na woreczku: cisplatyna i paklitaksel. Standardowa chemioterapia przeciwrakowa z dodatkiem hydromorfonu na uśmierzanie bólu.

Wiem to po wielu latach pracy w klasztornej aptece. Czytam dawkowanie. Niedobrze.

— *Świetnie wyglądasz, mamo — mówię.*

— *Kłamiesz. Ale ci wybaczam.*

Śmieje się słabo. Wtóruję jej.

Znowu jesteśmy razem. Jak w moich snach, kiedy mam światło.

NA ODPOWIEDZIALNOŚĆ WŁAŚCICIELA

W idealnym świecie Godwin Emefele powinien był ukończyć studia. Kiedy wydarzyła się tragedia Trzech z Okriki, Godwin był już na trzecim roku politologii. Lecz od tamtej pory naukowy i nienaukowy personel uniwersytetu strajkował w sumie już trzykrotnie, za każdym razem co najmniej trzy miesiące.

Między strajkami doszło do studenckich zamieszek przeciwko rosnącym cenom paliwa, protestów przeciwko zwiększeniu wpisowego, a ostatnio do studenckich marszów w proteście przeciwko brakom wody na kampusie. Niemal wszystkie te studenckie protesty kończyły się wybuchem przemocy, co prowadziło do zamykania uniwersytetu. Nic dziwnego, że Godwin dopiero od niedawna studiuje na ostatnim roku.

Znalezienie go było zaskakująco łatwe. Emeka zadzwonił do sekretarza uniwersytetu, który wyznaczył nam spotkanie i obiecał umożliwić nam rozmowę z Godwinem.

— Jestem zaskoczony poziomem współpracy uniwersytetu — mówię do Chiki po drodze do kampusu US.

— Pracownicy traktowali rodziców tej trójki z ogromnym współczuciem.

— Prawdopodobnie usiłowali uniknąć procesu — zauważam.

Chika prychnęła.

— Procesu? O co? Ten incydent wydarzył się poza kampusem. Uniwersytet nie podpisał umowy, że będzie chronił studentów przed linczem.

— To idiotyczne — odpalam, nieco zirytowany, że Chika może mieć rację. — Mają obowiązek opieki. Muszą ponosić jakąś odpowiedzialność.

Chika wjeżdża na wolne miejsce w szeregu stanowisk do parkowania przykrytych rdzewiejącymi

arkuszami blachy falistej.

— Proszę spojrzeć na ten znak, sir — mówi Chika, pokazując ręką. — Widzi pan napis? Nie zadaję sobie trudu odczytania na głos słów „Parkowanie samochodów na odpowiedzialność właściciela”.

— No i?

Trudno mi w tej chwili ukrywać zniecierpliwienie.

— Tak samo jest, jak się posyła dziecko na uniwersytet. Kiedy zaczynałem tu studia, było ponad sześć tysięcy nowych studentów na ponad pięćdziesięciu kierunkach. Na kampusie mieszkało mniej niż dwa tysiące z nich. Niektórzy znajdowali miejsca do mieszkania na dziko i nietrudno było spotkać studentów żyjących w warunkach gorszych niż w slumsach. Wielu, szczególnie tych, którzy mogli sobie na to pozwolić, wyprowadziło się z kampusu.

— Więc studenci woleli mieszkać poza kampusem?

— Zasadniczo tak. Często jednak nie mieli wyboru. Uniwersytet nie może pomieścić ich wszystkich. Jeśli stwarzają problemy tam, gdzie mieszkają, to zajęcie się tym należy do miasteczek takich, jak Okriki.

— No ale są studentami. To szkoła jest za nich odpowiedzialna niezależnie od tego, czy mieszkają na kampusie, czy nie.

— Może w idealnym świecie, ale tutaj studenci przybywają na własną odpowiedzialność. Jak z samochodami.

Złości mnie to, jak normalnie to wszystko brzmi dla niego. Dla mnie w tym nie ma nic normalnego. W zdrowszym klimacie konsekwencją tragedii Trzech z Okriki byłby zalew pozwów przeciwko miasteczku, policji i uniwersytetowi.

Chika gasi silnik. Wsiadamy. Wyraźnie zna drogę. Ulice są obsadzone drzewami, spośród których wystają budynki wydziałów jak obcy w dżungli. Jezdnie są wyasfaltowane, a sygnalizacja świetlna dobrze utrzymana. Wśród personelu i gości widać zmierzających w różnych kierunkach zaaferowanych studentów. Spokój. Uniwersytet Stanowy chyba robi na mnie dobre wrażenie.

Zmierzamy ku imponującej budowli z herbem uniwersytetu i oznaczonej na planie jako budynek senatu.

Chika zwalnia i odwraca się do mnie.

— Jeśli mogę zapytać, sir, dlaczego wrócił pan do Nigerii?

Zaskoczył mnie tym pytaniem i nie wiem, jak je rozumieć. Poza tym słowo „sir” budzi moją ostrożność. Wiem, że tutaj niekoniecznie jest oznaką szacunku czy formalności. Uważam je za sposób zwracania się używany do stworzenia dystansu. Mówi ono: tylko dotąd, chyba że pozwolisz mi podejść bliżej. Ponieważ moje powody powrotu do Nigerii są zbyt osobiste, nie chcę się nimi dzielić z Chiką. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

— Nadszedł czas — odpowiadam wymijająco.

To tyle enigmatyczne, co prawdziwe.

Resztę drogi do biura sekretarza pokonujemy w milczeniu.

Tom Ikime, sekretarz Uniwersytetu Stanowego, to przystojny mężczyzna tuż po pięćdziesiątce. Jest dobrze ubrany i ma krawat oraz marynarkę, na które nie powinno go być stać, ale pokażcie mi nigeryjskiego urzędnika państwowego, który żyje w ramach swojej pensji, a przyprowadzę wam żywego jednorożca.

Przedstawiamy się sobie nawzajem, po czym Ikime zaprasza nas do swojego biura.

— Posłałem kogoś po tego Godwina.

Sadowimy się w komfortowych skórzanych fotelach, które nie mogą być standardowymi uniwersyteckimi meblami.

— Dobrze zna pan Godwina? — pytam, zadowolony, że nie muszę krążyć wokół celu naszych odwiedzin.

— Oczywiście. Byłem blisko związany ze śledztwem dotyczącym tej niefortunnej sprawy i kierowałem zespołem powołanym przez uniwersytet do napisania raportu.

— Nie wiedziałem, że istnieje uniwersytecki raport. — To dobra wiadomość. — Mogę go zobaczyć?

— Oczywiście. Wątpię jednak, by znalazł pan w nim coś godnego uwagi. Wszystko, co jest w nim zawarte, potwierdza to, co wiedzieliśmy wcześniej. Chłopcy pojechali do Okriki, by zastraszyć innego studenta i coś od niego wyłudzić. Student ten zawołał o pomoc i mieszkańcy miasteczka rzucili się na chłopców. To smutne, lecz fakty są niepodważalne.

— Pan Nwamadi oraz inni rodzice się z tymi faktami nie zgadzają.

— Któż może dyskutować ze zrozpaczonego rodzicem? Każdy chciałby wierzyć w same najlepsze rzeczy o swoim nieżyjącym dziecku — odpowiada beznamiętnym tonem Ikime.

Nie znoszę urzędników szafujących frazesami. Ta niechęć towarzyszy mi od czasu, kiedy stojąc na konferencjach prasowych w San Francisco za urzędnikami rządowymi, musiałem z obojętną twarzą słuchać ich opisów ludzkich tragedii, których można by uniknąć dzięki lepszej infrastrukturze w biedniejszych dzielnicach miasta.

— Niemniej, chciałbym zobaczyć ten raport.

— Jasne. I tak wkrótce stanie się własnością publiczną i kiedy tylko prorektor zaakceptuje to na piśmie, będzie go można znaleźć na stronie uniwersytetu.

— Taki raport może się okazać bardzo użyteczny — mówię, patrząc mu w oczy. — Jestem pewien, że zawiera wnioski na temat tego, co uniwersytet mógłby zrobić lepiej...

— Uniwersytet niczego nie mógłby zrobić inaczej.

— Ależ jestem pewien, że mógłby. I w tym problem, nie sądzi pan?

Uśmiech Ikimego gaśnie, a z jego oczu znika życzliwość. Następuje niezręczna cisza, lecz sekretarz najwyraźniej jest wytrawnym urzędnikiem, ponieważ rozlega się jego spokojny głos, jakby tej chwili napięcia wcale nie było.

— Wie pan, kiedy spostrzeżliśmy, jak głęboki wpływ miała na Godwina ta tragedia i kiedy zdaliśmy sobie sprawę z krytycznej roli, jaką odegrałby w sądzie, zadaliśmy sobie wiele trudu, by go wesprzeć. Zakwaterowaliśmy go w specjalnym miejscu, gdzie byłby bezpieczny, i stale przypominamy innym studentom o tym, co zrobił Godwin, usiłując zapobiec temu, co się wydarzyło w Okriki.

Tom Ikime mówi, jakby czytał z kartki, wygładziwszy do perfekcji to, co powtarzał przy rozlicznych okazjach, broniąc uniwersytetu i odżegnując się od ponoszenia jakiegokolwiek winy. Kiedy się teraz nad tym naprawdę zastanawiam, dochodzę do wniosku, że bardzo podobnie byłoby w Stanach.

Do drzwi puka cicho sekretarka, młoda dama, która obsługiwała nas wcześniej, i informuje Ikimego, że przyszedł Godwin.

— Czy sala posiedzeń jest wolna? — pyta Ikime.

— Tak, sir.

Idziemy za nią do sekretariatu, po którym chodzi tam i z powrotem młodzieniec chudy jak szczapa. Zatrzymuje się, zwraca do nas i patrząc na nas wojowniczo, wyciera nos rękawem swetra. Jego wychudła twarz, zaczerwienione oczy i potargane włosy świadczą o tym, z czym na przestrzeni lat spotykałem się wiele razy.

Nie mam żadnych wątpliwości, że Godwin Emefele jest naćpany.

NAJBARDZIEJ ZNIENAWIDZONY CHŁOPAK NA KAMPUSIE

— Tata powiedział mi, żebym z nikim nie rozmawiał bez mojego prawnika — oznajmia Godwin, kiedy tylko sekretarz zostawia nas samych w sali posiedzeń.

— Nie jesteśmy z policji. Chcemy ci tylko zadać kilka pytań.

Zważywszy na ewentualny odmienny stan świadomości Godwina, staram się mówić łagodnie.

— Nie wie pan, jakie to jest trudne! — rzuca Godwin. Zaskakuje mnie. Kręci energicznie głową, jakby chciał się pozbyć niechcianych myśli. — Za każdym razem, kiedy usiłuję zapomnieć, pojawia się ktoś, kto od nowa zadaje te same pytania.

— Kto ci zadaje pytania?

Mówię cichym, niegroźnym tonem.

— Wszyscy! Jeśli nie policja czy prawnicy, to inni studenci. Wszyscy mnie nienawidzą.

Wzburzenie Godwina rośnie, trzęsą mu się ręce, a głos brzmi tak, jakby przemawiał do tłumu, a nie rozmawiał z Chiką i ze mną.

— Dlaczego wszyscy mieliby cię nienawidzić? Nie zrobiłeś nic złego.

Akcentuję to ostatnie, by wy badać postrzeganie przez Godwina jego roli w tych zabójstwach.

Godwin przerywa i patrzy na mnie, jakby odnalazł dawno zaginionego przyjaciela.

— Tak, tak! Skąd miałem wiedzieć, że tak to się skończy?

— To oczywiste, że nie mogłeś tego wiedzieć żadną miarą — mówię uspokajająco.

— Tak! — reaguje z coraz większym podnieceniem. — Pan to rozumie! Nawet kiedy przyszedł tłum, usiłowałem powiedzieć ludziom, że to nieporozumienie, ale nikt mnie nie słuchał.

— Musisz się czuć naprawdę źle.

Godwin energicznie kiwa głową. Jego oczy wyglądają tak, jakby zaraz miały wyskoczyć z orbit.

— Tak, bardzo źle. Nie sypiam. Nie mogę jeść. Chcę stąd uciec, ale muszę zostać, żeby pomagać policji, prawnikom i szkole. Nie znoszę tego miejsca. Usiłuję to wszystko naprawić, ale nie wierzy mi nikt na całym świecie.

Czy rozdmuchanie sytuacji przez Godwina jest objawem paranoi wywołanej narkotykami i/lub stałym przebywaniem w niebezpiecznej przestrzeni? Muszę przestać go diagnozować i skupić się na celu tej rozmowy.

— To, że ci nie wierzą, nie znaczy, że cię nienawidzą...

— Ale oni mnie nienawidzą — mówi z oschłym śmiechem, który graniczy ze szlochem. — Gdyby mogli, toby mnie zabili.

Spowodowana narkotykiem przesada czy fakt? Bycie znanym jako student, który doprowadził do linczu trzech innych studentów, nie może być na kampusie małym ciężarem.

Klepię Godwina po ramieniu i podaję mu swoją chusteczkę do nosa.

— Może będziemy mogli ci pomóc. No wiesz, pomóc ludziom zrozumieć twoją stronę tej historii.

Mówię cichym, zachęcającym głosem.

Godwin patrzy na mnie, a potem na Chikę, jakby się zastanawiał, czy można mu zaufać. Daję Chice sygnał nieznacznym pochyleniem głowy.

— Minęło trochę czasu, Godwinie — odzywa się Chika, idealnie reagując na mój gest i nawet klepiąc uspokajająco Godwina po ramieniu. — Może skoro ludzie już się uspokoiili, rozumieją, że zrobiłeś to, co sami by zrobili, będąc na twoim miejscu.

— Nie! Wszyscy lubili tych gostków. Życie kampusu kręciło się wokół nich. Nikt nie wiedział, co mi robili na boku.

— A co ci robili?

Wyprostowuję się, nie mogąc się powstrzymać od dopytywania się o dalsze wyjaśnienia mimo

ryzyka przerwania potoku wymowy Godwina.

Chłopak nabiera tchu i zamyka oczy, jakby uspokajał nerwy.

— To się zaczęło na moim pierwszym roku. Dopadli mnie od razu, kiedy przybyłem na kampus. Początkowo to były drobne rzeczy. Chcieli, żebym im kupował jedzenie. Czasem piwo i papierosy. Wiem, że robili to dlatego, że dobrze mi szedł interes.

— Miałeś jakiś biznes? — pyta Chika, naśladowując łagodność mojego głosu.

Szybko się uczy.

— Tak. Kiedyś podróżowałem i kupowałem ubrania, żeby je tu sprzedawać. Wszystkim podobały się moje kolekcje. Mówili, że mam dobry gust. — Przerzywa, patrzy na mnie, jakby szukał zrozumienia. — Może dlatego wszyscy mnie nienawidzą. No bo mi zazdrościli. Wiodło mi się w interesach. Mnóstwo ludzi było mi winnych pieniądze za ubrania, które sprzedawałem na kredyt. Wielu z nich posłużyło się tym, co zaszło, jako wymówką, żeby mi nie zapłacić.

— Dużo podróżowałeś? Dokąd? — pyta Chika tonem pełnym podziwu.

— Do Londynu. Pracowałem w czasie letnich wakacji, a za zarobione pieniądze kupowałem rzeczy na sprzedaż tutaj, kiedy znowu zaczynała się szkoła. Głównie ubrania, buty, torebki dla dziewczyn. Kupowałem je na wyprzedazach i sprzedawałem za dobrą cenę.

Żeby móc pracować dorywczo w lecie bez potrzeby uzyskania wizy, Godwin musiał urodzić się w Europie i być posiadaczem paszportu, który pozwalał mu podróżować do Wielkiej Brytanii albo do podobnego kraju.

— Za każdym razem było tak samo — ciągnie Godwin. — Kiedy tylko wracałem, dopadali mnie i żądali różnych rzeczy. A kiedy im odmawiałem, bili mnie, po czym i tak mi je odbierali.

— Ci sami, którzy próbowali cię obrabować w Okriki?

W tym momencie musiałem mieć pewność, że mówimy o tym samym.

— Tak. Na kampusie wszędzie ich było pełno. Ich oraz ich przyjaciół. Bałem się ich wszystkich. To przez nich wyprowadziłem się z kampusu, ale oni i tak poszli za mną.

— Nie złożyłeś na nich skargi?

Nawet w swoim wyraźnie zaburzonym stanie Godwin patrzy na mnie tak jak Chika, kiedy mówię coś, co zdradza mój status repatrianta.

— Złożyć skargę na chłopaków z sekty?

— A jesteś pewien, że należeli do sekty? — pytam łagodnie, nie chcąc kwestionować jego stwierdzenia.

— Nikt nie zachowuje się w ten sposób na kampusie, jeśli nie ma jakiegoś poważnego wsparcia. A ponieważ oni wybierają swoje ofiary starannie, a wszystkim innym pokazują swoje dobre strony, to nikt o tym nie mówi! Okradali takich jak ja, a łupy wykorzystywali do kupowania ładnych rzeczy dziewczynom i bawienia się z przyjaciółmi.

— A więc zastraszanie zaczęło się na pierwszym roku twoich studiów?

Wydaje się, że głos Chiki nieco uspokaja Godwina.

— Tak. Po pewnym czasie pogodziłem się z tym. Zawsze uzyskiwali ode mnie...

— Uzyskiwali? — pytam.

— Zabierali — wyjaśnia Godwin. — No wie pan, po prostu brali rzeczy bez pytania.

Aha. Wymuszenie. Kiwam głową na znak, że rozumiem.

— Brali wszystko. Pieniądze. Jedzenie. Telefony komórkowe. Nawet moje ubrania, jeśli im się podobały.

— Nawet kiedy nie byłeś już świeżynką? — dopytuje Chika, ale zerka na mnie pytająco.

Uspokajam go spojrzeniem, że wiem, że „świeżynka” to słowo powszechnie używane na określenie studenta pierwszego roku.

— Nigdy nie przestali — ciągnie Godwin, a w jego głosie słychać gniew. — Co roku po długich

wakacjach bez względu na to, jak wiele rzeczy im dałem, wciąż chcieli więcej. Dlatego wyprowadziłem się z kampusu.

— Ale oni i tak cię śledzili.

Chika zaimponował mi — orientuje się, że należy przepoić to stwierdzenie współczuciem.

— Tak. Wysyłali różnych gostków, żeby mnie nękali, ale znałem ich wszystkich. Tamtego dnia wysłali Bonę i Winstona. Chcieli, żebym dał im pieniądze, ale ja im powiedziałem, że nic nie mam, więc chcieli mi zabrać laptop, telewizor i komórkę. Sprzeciwiłem się. Uparli się i po prostu weszli do mojego pokoju i zaczęli zabierać moje rzeczy. Wtedy krzyknąłem: „łapać złodzieja!”, bo myślałem, że to ich powstrzyma i będziemy mogli porozmawiać i dojść do porozumienia.

— Ale usłyszeli cię ludzie — mówię, jakbym tamtego dnia był z Godwinem.

— Nie. Ludzi nie sprowadził mój krzyk. Zrobił to Winston, kiedy strzelił.

— Winston miał przy sobie broń? — pytam, jakby to była nowa informacja.

— Tak. Wyciągnął ją i powiedział, żebym się zamknął. Nie pierwszy raz grozili mi bronią. Lecz tym razem Winston strzelił! Powiedział, że powinienem przestać krzyczeć „łapać złodzieja!”, i strzelił ponownie. Nadal krzyczałem, ale Bona kazał mi się zamknąć i Winston znowu strzelił w dach. Wszędzie było pełno dymu i pyłu z dziur w suficie. Wybiegłem na dwór, wciąż wołając o pomoc.

— I wtedy przyszli ludzie? — pyta Chika.

Godwin kiwa głową.

— Przyszli zewsząd. Rozpoznałem kilku z mojego domu i paru innych z sąsiednich, ale myślę, że większość przyszła z targu przy drodze. Pytali mnie, co się dzieje, a ja powiedziałem, że jestem okradany. To była prawda! — krzyczy, jakby się spodziewał, że zaprzeczymy. — To był rozbój w biały dzień! Z bronią w ręku!

Kiwam głową uspokajająco.

— Jeśli miało to taki przebieg, jak mówisz, to słusznie wezwałeś pomoc.

Na widok wyrazu wdzięczności malującego się na twarzy Godwina robi mi się smutno. Na pewno trudno jest żyć ze świadomością, że działanie w samoobronie skończyło się taką tragedią. Chcę zapytać o jego rodziców, ale boję się, że zakłóci to przebieg rozmowy. Może kiedy indziej.

— Więc ludzie przyszli ci na pomoc? — podsuwam mu łagodnie.

Godwin wypuszcza powietrze z płuc.

— Przywołali innych. Krzyczeli, że znowu przyszli złodzieje. Wtedy Winston wyszedł na dwór, a oni po prostu się na niego rzucili. Bona usiłował uciec tylnym wyjściem, ale jego też złapali. Zanim się zorientowałem, rozebrali ich i zaczęli ich bić.

— Wciąż na podwórzu? — pyta Chika.

— Tak. Zrozumiałem, jak bardzo źle rozwija się sytuacja, kiedy zaczęli prowadzić ich na drogę.

Pochyla głowę, gwałtownie oddycha.

— Nie wyszedłeś za nimi z podwórza? — pytam, upewniwszy się, że nie płacze.

— Nie. — Podnosi głowę, ale wzrok ma rozbiegany, jakby wołał znajdować się gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj. — Pobiegnę do mojego pokoju i zacząłem dzwonić na policję, ale numer alarmowy nie odpowiadał. Zadzwoiłem do ochrony szkoły, ale nikt nie potraktował mnie poważnie. Kiedy zadzwoniłem do taty, kazał mi pojechać na posterunek policji i powiedzieć, co się dzieje.

— Masz samochód? — pyta Chika.

— Miałem. — Kręci głowę ze smutkiem. — Kiedy wróciłem na kampus po tym wszystkim, był zdemolowany. Wyrwali z niego wszystko. Radio. Kierownicę. Opony. Fotele. Wszystko. Zostawili w środku starą oponę, pudełko zapalek i butelkę benzyny. — Wzdycha głęboko ze smutkiem. — Przesłanie było wyraźne.

To tyle, jeśli chodzi o twierdzenie sekretarza, że młodzieniec ma wsparcie.

Jednak młodzi ludzie zachowują się w grupach dziwnie. Mogą rywalizować między sobą o znaczenie i popularność na kampusie, ale ogólnie przeciwstawiają się całemu światu. Podejrzewam, że wiele osób na kampusie miało wrażenie, że Godwin przesadnie zareagował na zwykłą szamotaninę między studentami. Oskarżenie kolegów z tego samego uniwersytetu o rabunek na pewno rozdrażniło wiele osób. A badania niekorzystnych skutków działania wspólnego i w porozumieniu potwierdziły tezę, że incydenty jak ten z Trzema z Okriki wzbudzają pierwotny strach ludzi przed znalezieniem się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie i staniem się ofiarami sprawiedliwości wymierzonej przez samozwańczych stróżów prawa.

— Pojechałeś na posterunek policji? — pyta teraz Chika.

— Tak. Dotarłem tam jak najszybciej i powiedziałem, co się dzieje. Powiedzieli, że jeden z funkcjonariuszy poszedł sprawdzić, co to za hałas, i że jeśli wróci z informacją, że jest problem, to się tym zajmą.

— Powiedziałeś im, że krzyczałeś tylko po to, żeby powstrzymać Winstona i Bonę przed obrabowaniem cię? — pyta Chika.

— Tak. Ale policjant zapytał, czy któryś z nich strzelił. Kiedy powiedziałem, że tak, stwierdził, że w takim razie zasłużyli na cięgi za przybycie do miasteczka z bronią.

Chociaż nie jest to nowa informacja, znowu jestem zniesmaczony rolą, jaką odegrali w tym wszystkim policjanci z Okriki.

— Błagałem ich — ciągnie Godwin. — Mówiłem, że to nieporozumienie. Ale mnie nie słuchali.

— Co zrobiłeś potem? — pytam.

— Pojechałem na uniwersytet. Przekonałem ochroniarzy przy bramie, żeby wrócili ze mną, ale kiedy dotarliśmy do Okriki, było już za późno.

Po tych słowach pierś Godwina zaczyna gwałtownie unosić się i opadać. Chika robi ruch, jakby chciał dotknąć ramienia chłopaka, ale pokazuję mu gestem, żeby tego nie robił. Lepiej zachowywać się praktycznie i skupiać na tym, co nas tu sprowadziło.

— Zrobiłeś, co mogłeś, Godwinie — mówię łagodnie. — Jeśli ktoś czegoś zaniedbał, to policja.

— Chyba nie myśleli, że ci chłopcy zostaną zabici.

Nie jest to ani czas, ani miejsce po temu, by upierać przy opinii, że za ich śmierć powinna odpowiedzieć policja. Podejrzewam, że przesunięcie inspektora Omerejiego z powrotem do Okriki było obliczone właśnie na odsunięcie tej odpowiedzialności. Staje się też dla mnie jasne, dlaczego policyjne śledztwo było pełne sprzeczności. Można sobie wyobrazić, że policja pomyślała, że chłopcy zostaną tylko porządnie pobici za zakłócanie spokoju bronią, lecz ta ocena kosztowała ich życie i zniszczyła je wielu innym ludziom. Podstawowym obowiązkiem policji było zapanowanie nad tłumem, by nie wyrządził krzywdy większej niż pobicie, i ostrzeżenie chłopców, by nigdy więcej nie przychodzili do miasteczka z bronią.

Wzdycham na myśl o tym, co mi powiedziała Folake w dniu mojego wyjazdu z Lagos do Okriki: „Nic w tym kraju nie ma sensu”.

Ponieważ Godwin nie powiedział niczego, czego nie ma w jego spisanim zeznaniu, mam ostatnie pytanie:

— Godwinie, powiedziałaś, że do twojego pokoju przyszli Winston i Bona. A co z tym trzecim chłopakiem? Z Kevinem?

— Nawet gościa nie znałem.

Zabarwiam głos odpowiednią dawką niedowierzania.

— Jak to możliwe?

— Nie znałem go. Przysięgam. Ten Kevin nie przyszedł z Winstonem i Boną. Kiedy pojechałem

do szkolnej ochrony opowiedzieć, co się dzieje, złożyłem oświadczenie o pobiciu dwóch chłopaków z uniwersytetu, ale kiedy ochroniarze pojechali za mną do miasteczka, tłum palił trzech chłopaków.

— Jak twoim zdaniem wplątał się w to Kevin?

Usiłuję nadać mojemu głosowi takie brzmienie, jakby na to pytanie umiał odpowiedzieć tylko Godwin.

— Nie wiem. Niektórzy mówili, że stał na czatach. Że miał ostrzec Winstona i Bonę, gdyby sytuacja zrobiła się nieprzyjemna.

— Jeśli to była prawda, to dlaczego ich nie ostrzegł?

Godwin wzrusza ramionami.

— Może opuścił na chwilę stanowisko, a kiedy wrócił, tłum już bił Winstona i Bonę. Może któryś z nich do niego zawołał i tłum się zorientował, że są razem. Może. Nie wiem. Nie znałem gościa.

Kręcę głową, że niby i jestem nieprzekonany, i mam mętlik w głowie.

— Jesteś całkowicie pewien, że nie było go gdzieś w pobliżu, a ty byłeś zbyt zdenerwowany, by go zauważyć? — Chika pyta, jakby błagał go o pomoc w zlikwidowaniu mętliku w mojej głowie.

— Nie był z Winstone i Boną — upiera się Godwin.

— Byłeś tamtego dnia naćpany, Godwinie? — pytam wprost w nadziei, że go zaskoczę.

— Nie! — odpowiada z urazą w głosie, a potem z oburzeniem przenosi wzrok ze mnie na Chikę, jakbyśmy właśnie zawiedli jego zaufanie.

— Jesteś pewien? — pytam cicho, starając się, by nie zabrzmiało to oskarżycielsko.

— Ja nie ćпам — odpowiada wyzywającym tonem. — Nie handluję narkotykami i nigdy tego nie robiłem.

Nie potrafię ukryć westchnienia. Nie ma bardziej niewiarygodnego świadka niż narkoman wypierający się narkomanii.

— W porządku — mówię w końcu. — Wierzymy ci.

JEDEN PLUS JEDEN JEST TRZY

— Myśli pan, że kłamie? — pyta Chika, kiedy tylko znajdujemy się w samochodzie.

— Dużo z tego, co mówił, zgadza się z zeznaniami innych świadków i potwierdza jego własne zaprzysiężone zeznanie. Nie wiadomo jednak, do jakiego stopnia możemy mu wierzyć.

— Widziałem pańską minę, kiedy powiedział, że nigdy nie brał narkotyków.

Uśmiecham się ze smutkiem.

— Tak, muszę popracować nad moją pokerową twarzą.

Znajdujemy się na głównej drodze do Okriki, ale nie jestem w nastroju, by tam wracać. Patrzę na zegarek. Kwadrans po drugiej.

— Powinniśmy coś zjeść — mówię.

— Jest jedna knajpa dalej przy drodze, ale może się panu nie spodobać.

— Dlaczego?

— To *buka*. No wie pan, coś jak stołówka...

— Wiem, co to jest buka — przerywam mu odrobinę za ostro.

— Tamtejszą specjalnością jest kozina i tłuczony pochrzyn.

Jeśli Chika zauważył moją oschłość, to nie przywiązuje do niej wagi.

— Uważasz, że nie będzie mi smakować zupa z koziny?

— Nie podawana w takim miejscu. Jest bardzo zatłoczone, a higiena nie jest tam priorytetem.

— Jadłeś już tam?

— Tak.

— A więc ja też mogę.

Chika kiwa głową, jakby mówił: „ostrzegałem pana”.

Reklamujący coca-colę szyld zatłoczonej buki głosi, że jest to „Stołówka Mamy Patience”. Klienci stoją w kolejce do bardzo grubej kobiety, zapewne Mamy Patience, która siedzi wśród wielkich żeliwnych garnków z potężnymi kawałami mięsa sterczącymi z różnych zup.

Burczy mi w brzuchu. Razem z bratem bliźniakiem byliśmy stałymi klientami większości buk otaczających nasze liceum. Lecz od powrotu ze Stanów jeszcze nie odwiedziłem moich ulubionych miejsc z czasów, kiedy byłem nastolatkiem. Po trzech miesiącach od naszego powrotu fala nostalgii sprawiła, że zapragnąłem zaprowadzić bliźniaków do „Ghana High”, buki popularnej w okolicy, w której się wychowałem. Popełniłem błąd, sugerując to Folake, która zagroziła, że jeśli dzieciaki wrócą z objawami zatrucia pokarmowego, to pozwie do sądu kierownictwo buki i mnie. Jeszcze nie zebrałem się na odwagę, by się jej przeciwstawić.

Stojąc w kolejce w buce leżącej w połowie drogi między Okriki i Uniwersytetem Stanowym i czekając, aż Mama Patience naleje mi do talerza obok tłuczonego pochrzynu porcję zupy *egusi*, mam poczucie, że wróciłem do domu, poczucie, jakiego nie znałem od przybycia z Lagos. Gorąco i hałaśliwa zatłoczona stołówka na chwilę uwalniają mnie od potworności, o których czytam i które analizuję przez ostatni tydzień.

— Podoba się tu panu? — pyta zza moich pleców Chika.

— Pewnie — odpowiadam z nieukrywaną radością.

Widzę, że ulżyło mu, że nie jestem taki nadęty, za jakiego mnie miał. Ze śmiechem obserwuje, jak naprowadzam Mamę Patience na dokładnie ten kawałek mięsa, który sobie upatrzyłem — na kocią gicz z włóknami mięśni tak miękkimi, że odstają od kości. Zamawiam piwo marki Star i przygotowuję się na ucztę.

Na szczęście znajdujemy miejsce w kącie, gdzie możemy rozmawiać. Co prawda i tak nikt by nas nie usłyszał. Wszyscy mówią jednocześnie, a na dwóch oddzielnych ekranach głośno lecą różne nollywoodzkie filmy.

Między połykaniem kęsów tłuczonego pochrzynu i ocieraniem potu z czoła omawiamy rozmowę z Godwinem.

— Wciąż nie mogę zrozumieć, że Godwin nie umie wyjaśnić, w jaki sposób został w to wplątany Kevin — mówi Chika.

Biorę haust piwa z butelki.

— To chyba ma sens, jeśli Kevin rzeczywiście stał na czatach. Ale z tego, co słyszę, ci członkowie sekt to gangsterzy. Nie mogli wiedzieć, jaki czeka ich los, więc czego mieli się bać? Dlaczego Winston i Bona potrzebowali kogoś na czatach, jeśli nie planowali czegoś więcej, niż znowu wydusić z Godwina pieniądze?

Chika kiwa głową.

— Wzięcie ze sobą broni oznacza, że zamierzali go porządnie nastraszyć, gdyby nie chciał współpracować.

— Ale po co brać ze sobą broń i jednocześnie mieć kogoś na czatach? Coś tu nie pasuje.

— Może Godwin był im coś winien — mówi Chika. — W grę wchodzi narkotyki. Mogło chodzić o pieniądze za nie.

Nie jestem zwolennikiem zgłębiania związków Godwina z narkotykami, to niepewna przestrzeń do eksploracji. Z jednym mogę się natomiast zgodzić.

— Jeśli podczas tego incydentu Godwin znajdował się pod wpływem narkotyków, to ciekawie byłoby się dowiedzieć, gdzie je zdobywał. Na kampusie? Poza nim?

— A jeśli był i sprzedawcą, i narkomanem?

Zastanawiam się nad tym pomysłem.

— Dokąd to prowadzi?

— Opowiadał o podróżowaniu, kupowaniu i sprzedawaniu ubrań, ale jakoś w to nie wierzę. Nie mówię, że niczego nie sprzedawał, ale robi to już zbyt wielu studentów, żeby członkowie sekty wybrali sobie na ofiarę akurat Godwina. Sądzę, że między nimi było coś więcej.

— I uważasz, że chodzi o narkotyki?

— No bo co innego mogłoby to być?

Chłopak, który zaprzecza, że bierze narkotyki, na pewno by się nie przyznał do ich sprzedawania. Chociaż bardzo chciałbym mieć kluczowego świadka, który jest czysty jak łąza, mam tylko Godwina, narkomana, który może mówić całkowitą prawdę, jeśli chodzi o wszystkie inne aspekty jego życia, lecz nigdy nie udzielił informacji mogącej zagrozić jego nałogowi.

— A jeśli ci chłopcy kupili od niego narkotyki i nie chcieli zapłacić albo Godwin kupował od nich i nie chciał płacić? — zastanawia się Chika na głos.

Nie jestem przekonany.

— To nadal nie wyjaśnia, w jaki sposób wplątał się w to Kevin. Chyba że to wszystko było nieporozumieniem. Wiemy, że mieszkańcy Okriki żadną miarą by się do tego nie przyznali. Lepiej wrzucić chłopców do jednego worka i twierdzić, że wszyscy byli uzbrojonymi rabusiami, niż przyznać, że zabili potencjalnie niewinnego świadka.

— Można by pomyśleć, że nawet w rozgorączkowanym tłumie ktoś powinien sobie przypomnieć, w jaki sposób i dlaczego został pobity także Kevin — mówi Chika, walcząc z wołowym ogonem i starając się nie ochlapać nas obu czerwonym olejem.

Kręcę głową i powstrzymuję chęć oblizania palców.

— Tłum się tak nie zachowuje. Zwłaszcza agresywny. Wiele osób jest po takim doświadczeniu przerażonych odegraną przez siebie rolą. Zdarza się, że tłumią wybrane wspomnienia albo je ubarwiają, by oczyścić się z zarzutów lub usprawiedliwić swoje zachowanie. Chodzi o to, że nie można wierzyć nikomu, kto brał udział w działaniach wspólnych i w porozumieniu.

— Może będziemy mogli zadać pytania, kiedy będzie pan rozmawiał z oskarżonymi czekającymi na rozprawę sądową? W sumie nie mają nic do stracenia. Mogliby nam powiedzieć coś, co wskazuje, w jaki sposób został w to zamieszany Kevin.

— To akurat zachowają dla siebie, jeśli uznają, że może im to zaszkodzić jeszcze bardziej. Sprawiedliwość samozwańczo wymierzona podejrzanym o rabunek z bronią w rękę to jedno i prawdopodobnie dałaby się obronić w sądzie. Natomiast zabójstwo niewinnego świadka to co innego. Nieumyślne spowodowanie śmierci może w ułamku sekundy zmienić się w morderstwo pierwszego stopnia.

— To prawda — zgadza się Chika. — Zatem jeśli Godwin z łatwością mógłby zaświadczyć, że Kevin był z Boną i Winstonem, ale twierdzi, że było inaczej, to znaczy, że był tam ktoś jeszcze.

— Otóż to. A jeśli znajdziemy tę osobę, to dowiemy się, jak został w to wplątany Kevin.

— Wplątany na tyle, by zostać nazwanym złodziejem?

Czuję ucisk w dołku.

— Wplątany na tyle, by domagano się jego egzekucji.

NADCIĄGAJĄCA BURZA

Prawie się przyzwyczailiśmy do wrogich spojrzeń, szeptania i pokazywania przez miejscowych palcami, ilekroć jedziemy przez Okriki. Dlatego brak tych oznak niechęci, kiedy wjeżdżamy do miasteczka, jest tak zaskakujący. Wszyscy dorośli, jakich widzimy, zmierzają w jednym kierunku, nie zwracając na nas uwagi i rozmawiając z ożywieniem między sobą.

— Coś się dzieje — mówi Chika.

— Jak myślisz, o co chodzi?

Ludzie idą w stronę samotnego białego parterowego domu stojącego dalej przy drodze.

— To ośrodek kultury — mówi Chika. — Powinniśmy pojechać za nimi?

Nie musiał powtarzać pytania. Za nic nie przepuściłbym okazji zobaczenia mieszkańców Okriki razem i obserwowania dynamiki takiego zgromadzenia.

Chika parkuje naprzeciwko ośrodka po drugiej stronie drogi. Podchodzimy do budynku z boku, żeby uniknąć ludzi wchodzących głównym wejściem. To odruchowy wybór, ponieważ obaj wiemy, że gdyby nasza obecność została zauważona, mogłaby wywołać wrogą reakcję. Podchodzimy ukradkiem do dużego okna, które teraz stanowi ramę naszego widoku na toczące się już w środku zebranie. Jego uczestnicy to w zasadzie sami mężczyźni. O tej porze dnia większość mieszkańek miasteczka jest prawdopodobnie na targu albo w gospodarstwie. Nieliczne kobiety, które widzę, są starsze, co najmniej po pięćdziesiątce, i skupiają się z tyłu sali, szepcząc między sobą. Mężczyźni siedzą, a większość stoi bliżej przodu.

Panuje atmosfera wzburzenia. Ci ludzie są z czegoś niezadowoleni.

Na podwyższeniu siedzi siedemdziesięciopięcioletni — może starszy — mężczyzna ubrany w biały kaftan i masuje misternie rzeźbioną główkę laski. Jest w nim coś dziwnie znajomego — to, jak siedzi i kiwa głową, słuchając innych, i rozkazujący sposób, w jaki uderza laską w podłogę, kiedy robi się za głośno.

— To przywódca społeczności — wyjaśnia Chika.

— Pora powiedzieć, że miarka się przebrała! To wolny kraj, a my jesteśmy zmęczeni. Zmęczeni tymi obelgami, tymi zniewagami. I brakiem poszanowania dla naszej wiary!

Rozgorączkowany mówca jest ubrany w białą galabiję, której górna część jest skrojona jak koszula, a dolna luźno się układa. Na gładko ogolonej głowie obramowanej ciemną brodą ma białą, przylegającą do głowy czapeczkę.

Inni podobnie ubrani mężczyźni kiwają potakująco głowami i wydają aprobujące pomruki.

— Zmuszają nas do działania i pewnego dnia wszystko zostanie ujawnione, bo pod słońcem nic się nie ukryje!

Przy tym ostatnim oświadczeniu cała sala wybucha krzykiem; przywódca stuka laską w drewnianą podłogę przed swoim prowizorycznym tronem.

— Cisza! — ryczy i tłum pogrąża się w niemal absolutnym milczeniu.

Przywódca siedzi pośrodku czterech innych mężczyzn, którzy wyglądają na mniej więcej tak wiekowych jak on, lecz mają mniejszą władzę. Kiwają równocześnie głowami na znak poparcia dla przywódcy i jego żądania przywrócenia porządku.

— Nie wiedziałem, że zwołałeś nas tutaj, by rzucać groźby, Usmanie — mówi spokojnie przywódca.

— Nie, wasza wysokość. Przepraszam, jeśli mój żarliwy protest sprawia wrażenie groźby, ale...

Usman przechodzi na inny język. Spoglądam na Chikę pytająco.

— Wyłapuję kilka słów tu i tam — mówi i wyciąga szyję, jakby w ten sposób mógł lepiej zrozumieć szybko mówiony język ikwerre, miejscowy język, o którym czytałem, że ma naleciałości języków igbo, ibibio i efik.

— Chyba jest jakaś awantura — szepcze Chika. — Jacyś ludzie z kościoła coś zrobili albo powiedzieli i muzułmanie są źli.

— Mniej więcej — rozbrzmiewa za nami znajomy głos.

Odwracamy się. Widzę inspektora Omerejiego, wbijającego w nas wrogie spojrzenie.

— To jest zebranie miejscowych i nie wiem, czy spodobałoby się im, że jacyś obcy słuchają tego, co się mówi na, jak widzicie, zamkniętym spotkaniu.

Teraz widzę, co wydało mi się znajome u przywódcy miasteczka. Jest uderzająco podobny do inspektora Omerejiego, nawet jeśli chodzi o tembr głosu i sposób mówienia.

— Dzień dobry, panie inspektorze — mówię z udawaną wesołością. — Chika oprowadza mnie po miasteczku.

Patrzemy na siebie z inspektorem w milczeniu. Napięcie sprawia, że jeszcze mocniej odczuwam palące słońce Okriki; po plecach spływa mi pot, a hałas powodowany przez zgromadzonych w sali rozszluszonych ludzi potęguje wiszącą w powietrzu wrogość.

— I tak już mieliśmy odejść — mówi Chika i mnie szturcha.

Idziemy w stronę Omerejiego, który nie rusza się z miejsca, zmuszając nas, byśmy go obeszli. Oddalamy się ledwie na metr, kiedy zatrzymuje nas jego głos.

— Niektórzy chrześcijanie umieszczają w mediach społecznościowych wezwania do usunięcia meczetu. — Zachowuje się jak komentator sportowy, który w przerwie po pierwszej połowie meczu piłkarskiego podaje informacje na temat zawodników. — Mówią, że to jest miasteczko chrześcijańskie. Że istnienie w nim meczetu to świętokradztwo. — Wzrusza ramionami. — W takich małych miasteczkach coś takiego od czasu do czasu się zdarza.

— I nigdy nie dochodzi do przemocy? — pytam tonem, który, jak mam nadzieję, nie zostaje odebrany jako ironiczny.

— Przeciwnie do tego, co być może pan uważa, panie doktorze, mieszkańcy Okriki potrafią wyjaśnić nieporozumienia na drodze dialogu.

Patrzę znacząco na budynek, w którym panuje kakofonia gniewnych głosów, właśnie ponownie uciszana stukaniem laski przywódcy.

Omereji macha lekceważąco ręką.

— W przeszłości kontrowersje między muzułmanami i chrześcijanami łagodził właśnie tu przywódca społeczności. Zwaśnione strony rozmawiały ze sobą i dochodziły do porozumienia, ale teraz każdy idiota ze smartfonem może umieszczać w mediach społecznościowych rozmaite brednie, a to utrudnia dialog. Tego właśnie dotyczy to spotkanie. Jakichś bzdur w mediach społecznościowych, które rozszłościły muzułmanów.

Milknie i patrzy na Chikę i na mnie, jakby czekał na pytania. Zrodziło się ich mnóstwo, ale nie mają one nic wspólnego z zebraniem w ośrodku kultury tego miasteczka, za to bardzo dużo z tym, dlaczego jego mieszkańcy uznali, że można pobić, poddać torturom i spalić trzech młodych mężczyzn. Gdzie wtedy był dialog?

Po drodze do samochodu nie mogę się pozbyć wrażenia, że inspektor Omereji odprowadza nas zimnym wzrokiem.

TELEFON O PÓŁNOCY

Znalazłszy się w moim pokoju, rozbieram się do bokserów i rzucam na łóżko. Moją ostatnią myślą przed odpłynięciem w sen jest to, żeby przestać narzekać na hałaśliwy, lecz działający klimatyzator, który chłodzi moje spocone ciało.

Budzę się kilka minut po dziewiątej wieczorem. Chcąc zagłuszyć szum generatora i klimatyzatora, sięgam po słuchawki i klikam w moją playlistę Niny, Elli i Billie.

Opieram się o wezgiłowie, skąd mogę widzieć samoprzylepne karteczki na ścianie. Otwieram w laptopie folder z charakterystykami trzech ofiar.

W miarę postępu śledztwa zawsze istnieje potrzeba korekty łącznego obrazu wszystkich uczestników. Sądzę, że w niecałe czterdzieści osiem godzin uzyskałem dość materiału, by skorygować moje początkowe założenia co do Winstona, Bony i Kevina.

Piszę szybko, nie zważając na gramatykę i literówki, żeby nie zakłócić biegu myśli, który czasem

prowadzi do głębszego wglądu w sytuację lub czyjś charakter.

Winston. Jak dotąd moje pierwotne podsumowanie znajduje oparcie w przeprowadzonej dzisiaj rozmowie. Trzeba przyznać, że oprócz jego rodziców nie rozmawiałem z żadnymi jego znajomymi ani nikim, kto mógłby mieć inne zdanie. Wydaje się jednak, że dobrze zasłużył na reputację awanturnika i imprezowicza.

Klikam w link, który zapisałem pośpiesznie w przeddzień wyjazdu z Lagos. To profil Winstona na Facebooku. Przewinąwszy kilka wpisów o „niezapomnianym” oraz nekrologów umieszczonych na jego tablicy, widzę, że Winston nie był zbyt aktywnym użytkownikiem Facebooka. Umieszczał w nim głównie zdjęcia siebie i uczestników imprez. Prawie żadne z nich nie ma komentarzy, lecz odsyłają do jego strony na Instagramie, gdzie udzielał się chyba bardziej aktywnie.

Sama strona jedynie potwierdza sporo z tego, co mówił Godwin. Na większości zdjęć Winston jest dobrze ubrany, otacza się dziewczynami i nie ucieka przed obiektywem. Jeśli na tych zdjęciach są jakieś wskazówki, że należał do tajnej sekty, to ja nie potrafię ich znaleźć.

Bona. Sprawia wrażenie bardziej świadomego politycznie niż Winston, a także wielkiego zwolennika prezydenta Obamy, ponieważ wiele jego wpisów to cytaty z byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Są także wpisy dotyczące miejscowych i międzynarodowych wykonawców hip-hopu oraz mnóstwo informacji o koncertach na kampusie czy pojawieniu się jakiegoś nowego singla.

Kevin. Muszę wyznać, że ten młodzieniec nadal stanowi dla mnie zagadkę. Z jego strony na Facebooku wynika, że był bardzo lubianym studentem i kochanym synem. Zalew pełnych żalu wpisów jest ogromny. Przewijam niezliczone peany na jego cześć, które w rocznicę zabójstw Trzech z Okriki robią się coraz bardziej rozwlekłe i żarliwe.

Jeśli Bona był uświadomiony politycznie, to Kevin sprawia wrażenie autentycznego aktywisty. Miał zdanie na temat wszystkiego i popierał je faktami oraz mnóstwem terminologii prawniczej. Podczas gdy Winston popisywał się w mediach społecznościowych garderobą, Kevin popisywał się intelektem. Jakoś nie umiałem sobie wyobrazić żadnego związku między nimi.

Przy wielu wpisach Kevina znajduje się po kilka hashtagów. Może gra tu rolę mój wiek i późne zapoznanie się z mediami społecznościowymi, ale naprawdę mam awersję do więcej niż dwóch czy trzech hashtagów w jednym wpisie. Trochę mnie irytuje niemal niekończąca się ich liczba umieszczona przez Kevina przy kilku wpisach. Niemniej, im dalej przewijam, tym częściej pokazuje się jeden z nich: #sprawiedliwosc4momoh.

Klikam w linki i staje się jasne, że ten hashtag utworzył Kevin ku czci przyjaciela, który zmarł w policyjnym areszcie. Hmm. Interesujące. Klikam w inny link i wtedy ciemnieje wokół mnie wszystko prócz ekranu laptopa.

Zdejmuję słuchawki, przerywając *I Put a Spell on You* pani Simone.

Wszędzie panuje niesamowita cisza, przestał też działać klimatyzator. Pstrykam przełącznikiem lampki przy łóżku — nic się nie dzieje. Wzdychając, leżę w ciemności i czekam na dudnienie generatora. Trwa to dłużej niż zwykle, więc macam po nocnym stoliku w poszukiwaniu mojego smartfona.

Dzieciaki przysłały SMS-y, ale powstrzymuję się przed dzwonieniem do nich tak późno. Piszę do każdego „kocham, tęsknię” i obiecuję, że zadzwonię rano.

Nie ma nic od Folake, ale się nad tym nie zastanawiam. Mam robotę.

To były dwa całkiem oświecające dni. Spotkania z inspektorem Omerejim, gospodynią i sekretarzem dostarczyły kontekst, a rozmowa z Godwinem wywołała kilka pytań. Przypomnienie sobie jego relacji sprawia, że czuję się zmuszony do wyjaśnienia kilku spraw z Emeką.

Sprawdzam czas. Dwudziesta trzecia siedemnaście. Późno, ale przecież mówił, żeby dzwonić o każdej porze.

— U ciebie wszystko w porządku? — pyta, przyjmując połączenie po pierwszym sygnale.

Przypominam sobie, jak Abubakar powiedział, że „Emeka to bardzo zdeterminowany człowiek”. Najwyraźniej, ale czy on nie sypia?

— Tak — odpowiadam. — Rozmawiałem z tym Godwinem.

— Dobrze. Sekretarz pomógł.

Podejrzewam, że w ten sposób Emeka daje mi do zrozumienia, że śledzi z Lagos moje postępy tak dokładnie, jak tylko się da.

— Owszem. Dzięki za to. — Chwilę się zastanawiam, jak najlepiej sformułować pytania, żeby nie wydać się niewrażliwym. — Ten Godwin... Upiera się, że okradali go chłopcy z sekty i...

— Bzdura. — Irytację Emeki słysząc wyraźnie nawet przez telefon. — Tak mówią oni wszyscy, by usprawiedliwić swoje przestępcze działania. Nie mogę mówić w imieniu tych dwóch pozostałych chłopców, ale z absolutną pewnością mogę powiedzieć, że mój syn nie należał do żadnej sekty.

— A gdyby należał, to wiedziałbyś o tym? — Może zbyt mocno naciskam ojca już znajdującego się na skraju załamania, ale muszę zadawać trudne pytania. — Te sekty to tajne stowarzyszenia. Co ci daje taką pewność, że wiedziałbyś, gdyby Kevin był członkiem którejś z nich?

— Nie chodzi o to, czy by mi powiedział, czy nie. Kevin nigdy nie wstąpiłby do żadnej sekty. Nie był takim typem dziecka. Koniec, kropka.

— Godwin twierdzi, że Bona i Winston należeli do sekty. Masz może jakiś pomysł, w jaki sposób Kevin mógłby zostać wrzucony do jednego worka z nimi?

— Czy nie dlatego jestem tak zdezorientowany? — Głos Emeki prawie się łamie. Jestem bliski zakończenia tej rozmowy, nie chcąc prowadzić rozpaczonego rodzica bolesną drogą. On jednak mówi dalej, a głos ma mocniejszy od gniewu: — Kiedy zwróciliśmy policji uwagę, że Godwin w swoim zeznaniu wyraźnie stwierdził, że nie wie, w jaki sposób został w to wplątany Kevin, wiesz, co powiedzieli? Że śledztwo dotyczy tego, co się zdarzyło po tym, jak pojawił się tłum, a nie przedtem. Wyobraź sobie!

Wściekłość Emeki jest wyczuwalna nawet przez telefon, więc pozwalam jej płynąć.

— Naciskałem. Użyłem wszelkich moich powiązań, żeby został zbadany chociaż ten trop, ta luka w śledztwie, i niczego nie uzyskałem. Nic nie zrobili, ponieważ łatwiej było uwierzyć, że mój syn należał do jakiejś sekty.

Wszystkie moje kontakty z Emeką przenika jego frustracja, że mimo swego bogactwa nie był w stanie ocalić syna i nie potrafił wymusić właściwego śledztwa w sprawie jego śmierci. Jeszcze teraz, tak jak w poprzednich rozmowach, ubolewa nad przydzieleniem do niej niedoświadczonych śledczych. Łamiącym się głosem opowiada, jak jego żona poprosiła o audiencję u pierwszej damy, by uruchomić federalne śledztwo.

— Wiesz, co jej powiedziała? — pyta Emeka drżącym głosem. — Matka matce, tak zwana matka narodu, powiedziała mojej pogrążonej w żałobie żonie, że wtrącanie się do spraw stanowych nie byłoby poprawne politycznie.

Omawiałem z Abubakarem tę część niezależnego raportu Emeki. Fakt, że morderstwo to przestępstwo karane śmiercią, z łatwością mógłby uczynić z tej sprawy sprawę federalną. Ogólnokrajowe potępienie działalności sekt, powstanie wojskowe w delcie Nigru i polityczna waśń trwająca pomiędzy gubernatorem stanu i prezydentem, pochodzącym zresztą z tego regionu, oznaczały, że wdrożenie federalnego śledztwa w sprawie śmierci Trzech z Okriki doprowadziłoby do eskalacji i tak już dużego napięcia. To naprawdę kłopotliwa sytuacja. Nic dziwnego, że Abubakar stracił wiarę w cały ten proces i chciał, żebym zajął się tą sprawą.

W końcu Emeka chyba się uspokaja, więc delikatnie wracam do mojego pytania:

— Chcesz powiedzieć, że znasz wszystkich znajomych syna?

— Owszem — mówi z naciskiem. — Posłuchaj, Philipie, znam większość, jeśli nie wszystkich, znajomych mojego syna. Zapraszał wielu z nich do Lagos na weekend albo kiedy kończyła się szkoła, zapraszał ich, żeby zatrzymywali się u nas, kiedy odbywali staż w banku. Jeśli któregoś z jego znajomych nie poznałem, to Kevin mi o nich opowiadał. Nigdy nie mówił o Winstonie ani o Bonie.

— No to jak się spiknęli?

— Właśnie za dowiedzenie się tego ci płacę.

Nie lubię, jak się do mnie tak mówi, więc pozwalam, by cisza, która po tym następuje, się przeciągała.

— Posłuchaj, Philipie — ciągnie Emeka już mniej agresywnym tonem. — Rozmawiałeś z rodzicami Winstona. Wiesz, że według nich ich syn jest zdolny do wstąpienia do sekty, do kradzieży i wymuszania pieniędzy. Jeśli porozmawiasz z matką Bony, jestem pewien, że powie o swoim zmarłym synu to samo.

— A ty uważasz, że Kevin nie byłby do tego zdolny?

— Właśnie.

— To dlaczego Kevin w ogóle znalazł się w Okriki?

— Mówiłem ci, że odwiedzał dziewczynę. Jej rodzice są nauczycielami w tamtejszej szkole podstawowej, więc ona sama mieszka poza kampusem, w Okriki.

Nie przerywając Emece, włączam w telefonie głośnik i apkę iFlashlight. Patrę na ścianę z samoprzylepnymi karteczkami, gdzie przy imieniu „Mercy” umieściłem znak zapytania.

— Po prostu nie rozumiem, dlaczego jej zeznania nie ma w żadnych dokumentach dotyczących świadków.

Po drugiej stronie panuje cisza.

— Emeko?

— Miałem nadzieję, że możesz to zrobić bez potrzeby rozmawiania z nią.

— Dlaczego?

Martwi mnie ciężkie westchnienie dobiegające z głośnika.

— Emeko, jesteś tam?

— Tak.

— Czego mi nie mówisz?

— Mercy przebywa w Stanowym Szpitalu Psychiatrycznym w Port Harcourt.

Jakby na te słowa generator budzi się z dudnieniem do życia i włącza się lampka przy łóżku.

AKT II

fale świetlne odbijające się od parabolicznej przeszkody zbiegają się w punkcie centralnym

NIEPOKOJĄCY WIDOK

Kiedy następnego ranka idę do pokoju Chiki, drzwi są uchylone, a on sam rozmawia przez telefon podniesionym głosem.

— Powiedziałem ci, że więcej do tego gówna nie wejść!

Chociaż poznaliśmy się ledwie trzy dni temu i nie mogę twierdzić, że dużo o nim wiem, jestem zaskoczony jego wzburzeniem. A potem znacznie zniża głos i mówi:

— Wiem, wiem... Proszę cię, kochanie. Niedługo się to skończy i wrócę do domu.

Aha. Dziewczyna albo może nawet małżonka? Zaczynam się czuć winny, że mimochodem podsłuchiwałem, więc stukam do drzwi, od czego otwierają się szerzej.

— Tak?! — warczy Chika.

Napieram na drzwi mocniej.

Pierwszy raz wchodzę do hotelowego pokoju Chiki i pierwszy raz widzę go bez koszuli. Oto on, najszcuplejsza ludzka maszyna, jaką kiedykolwiek widziałem, a jedynymi skazami na jego ciele są nieznaczne blizny na piersi i na boku klatki piersiowej. Odwracam wzrok, żeby nie rozsypać się w proch z zazdrości.

Obraca się szybko, by wziąć koszulę wiszącą na krześle obok łóżka, a ja dostrzegam kątem oka blizny na jego plecach. To są właściwie bliznowce, grudy zgrubiałego ciała, wyglądające jak trójwymiarowa mapa. Jeszcze bardziej przeraża mnie myśl o tym, co mogło spowodować takie głębokie, zrogowaciałe rany.

Odruchowo wciągam powietrze i Chika musiał to usłyszeć, ponieważ pośpiesznie wkłada jasnoniebieską bawełnianą koszulę.

— Dzień dobry, sir! Potrzebuje pan czegoś?

— No... Jest dzisiaj zmiana planów...

Chika szybko zapina nakrochmaloną koszulę, a ja dzielę się z nim tym, co powiedział mi Emeka o dziewczynie Kevina.

— Chce pan z nią porozmawiać?

— Chyba powinniśmy. Emeka próbuje uzyskać przez telefon zgodę jej rodziców na odwiedzinę u niej, ale mówi, że możemy już jechać do Port Harcourt.

— Myśli, że rodzice się zgodzą?

— Szczerze mówiąc, nie, ale będzie próbować.

— Ale jeśli nie uzyskamy ich zgody, to czy ta podróż nie pójdzie na marne?

— Nawet jeśli nie uda nam się z nią porozmawiać, to chciałbym ją zobaczyć, spróbować ją zrozumieć.

Zapinając mankiety koszuli, Chika patrzy na zegarek.

— Powinniśmy tam dotrzeć w niecałą godzinę.

— Spotkajmy się w restauracji, chociaż domyślałam się, że dzisiejsze śniadanie nie będzie tak dobre jak wczorajsze.

Chika śmieje się, lecz w jego oczach nie ma wesołości.

— Proszę się nie martwić, sir, kucharka zna już nasze standardy. Zejdę za pięć minut.

— Jeszcze jedno — mówię. — Przeglądałem profile społecznościowe tych chłopców. Na

facebookowym profilu Kevina wciąż wyskakiwał pewien hashtag. Coś o sprawiedliwości dla jakiegoś Momoha. Jakiegoś studenta, który umarł w policyjnym areszcie.

— Tutaj w Okriki czy gdzie indziej?

— Nie wiem.

— Sądzi pan, że mogłoby to mieć jakieś znaczenie?

— Na pewno warto to zbadać. Jeśli ten chłopak umarł w policyjnym areszcie, a Kevin stał na czele kampanii mającej zbadać sytuację na policji, to mogłoby to wyjaśnić, dlaczego policjanci odwrócili głowy, kiedy przybył tłum.

Chika kiwa głową. Ma zmarszczone czoło.

— To ma sens, sir. Myśli pan, że to policja mogła go wskazać tłumowi?

— Jest za wcześnie, żeby tak powiedzieć, ale chciałbym wiedzieć, co się stało z tym Momohem i jaką w tym wszystkim rolę odegrał Kevin. Mówiłeś, że studiowałeś informatykę?

— Tak, sir.

— Na pewno znasz ludzi, którzy mogą się dostać na konto Kevina na Facebooku.

— To znaczy hakerów?

W San Francisco nie musiałbym zwracać sobie głowy tłumaczeniem się przed jednostką policji do zwalczania cyberprzestępczości, ale sposób, w jaki Chika wypowiedział słowo „hakerów”, sprawił, że poczułem się, jakbym prosił o coś wykraczającego poza normę.

— No tak. Ale jeśli to problem, to nie chcę, żebyś robił coś nielegalnego. Mogę też na wszelki wypadek poprosić o pozwolenie Emekę.

— Ja go poproszę, sir. Znam kogoś takiego. Proszę się nie martwić. Załatwione.

Z tonu jego głosu wnioskuję, że to koniec rozmowy. Odwracam się do wyjścia, lecz zatrzymuję się, kiedy Chika znowu sięga po telefon.

— Chiko?

Patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Sir?

— Te blizny? Nie mogłem nie zauważyć...

— A, te? — Wzrusza ramionami z drwiącą miną. — Dawne dzieje. Poważny wypadek samochodowy. Miałem szczęście, że przeżyłem.

— Wypadek?

To, co widziałem, trudno pogodzić z ranami po wypadku samochodowym, ale Chika nie rozwija tematu i jestem zmuszony do wyjścia. Idąc korytarzem, słyszę, jak zamykają się drzwi jego pokoju. Głośno.

Kiedy tylko wchodzę do recepcji/restauracji/świetlicy, gdzie na ekranach dwóch telewizorów leci bezgłośnie program CNN, podchodzi do mnie wczorajsza recepcjonistka-kelnerka. Oznajmia z dumą, że śniadanie jest gotowe. Dziękuję jej, siadam i zastanawiam się nad tym, co widziałem w pokoju Chiki.

Blizny mnie martwią, a atletyczna budowa ciała intryguje. Mój niepokój budzi jednak kłamstwo. Te blizny żadną miarą nie mogły powstać na skutek wypadku samochodowego, chyba że ktoś z rozmysłem wyciął mu kawałkami metalu z rozbitego auta głębokie rany na plecach. Ale nigdy nie wiadomo. Chciałbym myśleć, że krótki okres naszej znajomości wystarczył, by Chika zaufał mi na tyle, żeby być uczciwym, i muszę przyznać się do niejakiego rozczarowania, że tak nie jest.

Moje śniadanie pojawia się akurat w chwili, kiedy przychodzi Chika. Biorę się do jedzenia, wygłodniały po niemal całej nocy spędzonej na pracy.

— Szkoda, że nie wiedziałem wczoraj o tej wyprawie do PH — mówi, odsuwając krzesło naprzeciwko mnie. Akurat wtedy kelnerka przynosi mu talerz gotowanego pochrzynu z jajkami

sadzonymi. — Gdybyśmy wyjechali wcześniej, uniknęlibyśmy dużego ruchu, który z całą pewnością napotkamy teraz.

— Nie szkodzi. Nie jesteśmy umówieni.

— Owszem. Ale takie rzeczy trzeba planować. Nie chcę, żebyśmy dotarli na miejsce i nie mogli spotkać się z tą dziewczyną, bo jej ojciec się na to nie zgodzi.

Unika mojego wzroku i mówi — nie, gdera — bez zwykłego „sir”. Czym się tak denerwuje? Co mogłem usłyszeć albo czego nie powinienem był zobaczyć? Ważę szanse i ryzykuję.

— Nie mogłem nie słyszeć, co mówisz przez telefon. Przepraszam. Drzwi były otwarte.

Wyraźnie się odpręża. Dobry pomysł, Philipie.

— W porządku. Sprawy domowe. Moja żona jest w ciąży i chyba nie radzi sobie dobrze z moją nieobecnością.

Natychmiast robi mi się wstyd, że tak mało wiem o tym człowieku, który tak dobrze mi pomaga.

— O! Który to miesiąc?

— Siódmy.

— Czyli jeszcze dwa. Nie jest jej łatwo.

— Wiem, ale ona wie, że potrzebuję tej pracy. Rozmawialiśmy o tym i dała mi swoje błogosławieństwo.

Uśmiecham się do niego jak starszy brat z wielkim doświadczeniem w kwestiach ciąży.

— Spodziewa się dziecka, a ciebie nie ma przy niej. Na pewno czuje się samotna. To wasze pierwsze?

Chika kiwa głową.

— Tak, sir. Może ma pan rację. Tylko że kiedy rozmawiałem z nią zeszłego wieczoru, wszystko było w porządku. Nawet omawialiśmy imiona dla dziecka. A dziś rano łup, krzyki, obwinianie mnie i mówienie, jaki jestem samolubny, że zostawiłem ją samą. Po prostu zmęczyło mnie to. Chyba mogłem być dla niej miłszy.

Znużenie w jego głosie i pełne rezygnacji przygarbienie pomagają mi odłożyć na bok niepokój spowodowany jego kłamstwem na temat bliźn. Pamiętam stan mojego umysłu, kiedy Folake była w ciąży z bliźniakami, więc potrafię sobie wyobrazić, że w tej chwili Chika jest zaabsorbowany niedawną rozmową z żoną.

— Z tego, co słyszałem, wiem na pewno, że mogłeś być miłszy.

Przez krótką chwilę wydaje się, że Chika chce się sprzeczać i bronić swojego stanowiska. A potem chyba się rozmyśla i pochyla się ku mnie ze smutnym uśmiechem.

— To co według pana powinienem zrobić?

— Daj jej trochę czasu, a potem zadzwoń i przeproś — radzę mu jak ekspert w tych sprawach, którym jestem.

— Za co?

Podnosi wojowniczo głos.

Boże, zmiłuj się nad amatorami. Wzdycham i cierpliwie wyjaśniam, dlaczego w małżeństwie mąż koniecznie musi się nauczyć sztuki przeproszania za coś, czego nie zrobił. Chika chyba słucha i daję mu więcej bezpłatnych rad, aż kończymy śniadanie i trzeba jechać do Port Harcourt.

WIDZIAŁA MORDERSTWO

Kiedy tylko przybywamy do szpitala psychiatrycznego, nadchodzi SMS. Chika parkuje, a ja czytam na głos.

— Ojciec Mercy mówi, że w tej chwili nie jest to dobry pomysł.

— Nie dziwi mnie to — stwierdza Chika i zwraca się do mnie: — ale już tu jesteśmy.

Chwilę się zastanawiam. Nie wiem, co ujawni spotkanie z Mercy, ale nie daje mi spokoju pytanie, w jaki sposób Kevin stał się jednym z Trzech z Okriki. Po przeczytaniu raportu Emeki i po rozmowie z Godwinem nadal mam jedynie przypuszczenia, założenia i, szczerze mówiąc, zamęt. Nie znoszę tego.

— Powiedział pan, że może pan coś uzyskać, tylko na nią patrząc — wcina się w moje myśli Chika.

Rozglądam się po terenie szpitala. To dobrze utrzymana spora działka ziemi, przypominająca instytucje zajmujące się zdrowiem psychicznym w kilku miejscach, w których pracowałem. Może obserwowanie Mercy, nawet z dużej odległości, da mi jakiś punkt zaczepienia.

— Rzeczywiście, jesteśmy tu — mówię, odwracając się do Chiki.

Chika kiwa głową i wysiada z samochodu. Biorę z niego przykład, odsuwając obawy na bok.

Rejestracja szpitala stanowi obraz spokoju i równowagi. Wokół nas zmierza do rozmaitych oddziałów kilkoro pielęgniarek i pielęgniarzy, którzy są tu w większości. Za dużym biurkiem na tle kilku rzędów szaf na dokumenty stoi wysoki, ciemny, mocno zbudowany rejestrator.

— Ja się tym zajmę, sir — szepcze Chika.

Kiwam głową i przechodzę przez drzwi z napisem „Pokój odwiedzin”. Jest tam tylko siwowłosa sanitariusz przeglądający gazetę. Kątem oka widzę tabliczkę z wypisanymi godzinami odwiedzin. Nic dziwnego. Znaleźliśmy się tu w czasie, kiedy nie ma odwiedzin. Właśnie mam wrócić do rejestracji, ale podchodzi do mnie Chika.

— Mówi, że możemy z nią porozmawiać — szepcze pośpiesznie. — Ale chcą przy tym być.

Nie chcę myśleć, co Chika mógł obiecać albo dać, by uzyskać tę zgodę, ale jeśli możemy zobaczyć się z Mercy albo z nią porozmawiać pod czujnym okiem personelu szpitala, to chyba nic w tym złego? Tylko parę pytań. Nic poważnego.

— Nawet lepiej, jeśli będą z nami.

— Proszę tu poczekać, sir.

Chika wraca do rejestracji.

Siadam na jednym z plastikowych krzeseł i wyjmuję iPhone'a. Lara przysłała zdjęcia z lekcji gotowania z podpisem „szkoda, że Cię tu nie ma” i mnóstwem GIF-ów z serduszkami o różnym natężeniu animacji, a zalew emotikonek od bliźniaków powoduje tylko oszołomienie.

Niczego od Folake.

Przewijam do SMS-a od Salome, na który nie odpowiedziałem, i szybko piszę.

„Przepraszam. Sytuacja zrobiła się napięta. Drinki zdec. b. prawdopodobne. Dam znać”.

Natychmiast przychodzi emotikonka uśmiechniętego słońca. Zastanawiam się, czyby do niej nie zadzwonić, nie powiedzieć, że jestem w PH, i nie zaproponować spotkania.

— Musimy się pośpieszyć — mówi za mną Chika i kiwa na mnie dłonią. — Przyprowadzają ją do ogrodu na tyłach.

Idę za nim, a rejestrator prowadzi nas obok swojego biurka do ogrodu.

Pokazując nam ławkę, do której mamy podejść, jest uprzedzająco greczny, co potwierdza moje podejrzenia co do metody perswazji, jaką wybrał Chika.

— To ona — szepcze i pokazuje ręką. — Proszę się pośpieszyć.

Jeśli nie zwróci się uwagi na szpitalny kombinezon, brak makijażu czy jakichkolwiek innych ozdób, od razu widać, że Kevin Nwamadi miał doskonały gust. Mercy Opara wygląda na drobną i delikatną jak dziecko, którym przecież jest, więc od razu myślę o mojej córce. Trochę żałuję, że to robię, ale jestem zmęczony chwytaniem się brzytwy. Muszę stworzyć wyraźniejszy obraz tego, co przytrafiło się Kevinowi Nwamadiemu, a możliwe, że klucz do tej zagadki ma Mercy.

— Ma dzisiaj bardzo dobry dzień, prawda, Mercy? — mówi łagodnie towarzysząca jej pielęgniarka.

Dziewczyna odwzajemnia uśmiech i kiwa głową. Szukam jakichś oznak przyjmowania leków psychotropowych: drżenia kończyn, rozszerzonych źrenic, spuchniętych rąk i nóg lub suchych ust. Nie widzę ich.

— Jestem doktor Philip Taiwo — mówię i wyciągam rękę.

— Doktor? — Mercy ujmuję nieśmiało moją dłoń, ale się uśmiecha. — Jak miło. Przysłał pana mój tata?

Wymieniamy z Chiką szybkie spojrzenia.

— Doktor Taiwo przeprowadza badania potrzebne do sporządzenia raportu i sądzimy, że może nam pani pomóc.

Chika przedstawia się z uspokajającym uśmiechem i wyciąga rękę, którą Mercy ujmuję z taką samą uprzejmością, jak poprzednio moją.

Chociaż rejestrator i pielęgniarka oddalili się na bezpieczną odległość, wiemy, że nas obserwują. Mercy prowadzi nas do ławki i kiedy na niej siadamy, uderza mnie to, że dziewczyna zachowuje się, jakby to była wizyta towarzyska. Jej postawa jest tak uprzejma, że nie zdziwiłbym się, gdyby zapytała nas, czego chcielibyśmy się napić.

— Raport? I myśli pan, że mogę pomóc? — pyta, ale nie czeka na odpowiedź. — Nie odwiedza mnie zbyt wiele osób. Oczywiście poza mamą i tatą, i moimi siostrami.

— Dlaczego? — pytam ostrożnie.

— To raczej nie jest hotel, sir.

Jasność umysłu Mercy każe mi się zastanowić, jaką postawiono jej diagnozę. Dziewczyna sprawia wrażenie bardzo świadomej swojego położenia i otoczenia. Może warto zaryzykować?

— Rozmawialiśmy z ojcem Kevina... — zaczynam.

Oczy Mercy rozjaśniają się.

— Och, z panem Nwamadim. Jak miło. Czasem do mnie dzwoni.

— Powiedział, że Kevin odwiedził panią tego dnia... No wie pani, w dniu...

— W którym umarł? — Tym razem jej uśmiech jest smutny. — Może pan to wypowiedzieć. Wiem, że odszedł. Przytłacza mnie czasem wspomnienie o tym, jak umarł. Przebywałam tu już trzykrotnie, lecz za każdym razem trwało to krócej od poprzedniego, więc sądzę, że mi się polepsza.

Nawet gdybym otrzymał rodzicielską zgodę na rozmowę z nią, spodziewałem się konieczności ostrożnego poruszania tematów. Lecz Mercy jest spokojna i chociaż nie tryska chęcią dzielenia się swoimi myślami, nie robi tego niechętnie. Dyskretnie wyjmuję mojego iPhone'a i zaczynam nagrywać.

— Zechciałaby pani opowiedzieć nam o tej wizycie Kevina? — pytam.

— Zawsze chciałam, żeby poznał papę. Chodziliśmy ze sobą dwa lata, od pierwszego roku studiów. Pamiętam, że denerwował się spotkaniem z moim ojcem. Papa nie ułatwiał sytuacji, ale wiem, że się cieszył, że mam stałego chłopaka. — Do uśmiechu Mercy wkrada się cień melancholii. — Mama poznała Kevina już wcześniej. Przyproceedziłam go raz do domu, kiedy papa był w podróży. Mama nawet dowiedziała się, że mama Kevina chodziła z nią do liceum w Umouhii, ale była w starszej klasie. Tak się cieszyłam.

— A więc to zachęciło panią do zaproszenia Kevina, żeby poznał pani tatę? — pytam.

— Tak. Właściwie zaprosiła go moja mama. Powiedziała, że od jedzenia na kampusie robi się za chudy.

Śmieje się na to wspomnienie. Chika i ja uśmiechamy się.

— A więc pani mama zaprosiła go tamtego dnia? — podsuwam delikatnie.

— Tak. Byłam w domu i gotowałyśmy, a papa zachowywał się tak, jakby go to nie interesowało. Co za człowiek!

Jej miłość do ojca widać w tym, jak rozjaśnia się jej twarz.

— Kevin przyszedł sam? — pytam łagodnie.

— Tak. Przyszedł rano. I został na cały dzień. Rozmawiali z tatą na wszelkie tematy. Zadzwoniliśmy nawet do mamy Kevina. To było cudowne.

— Kiedy Kevin wyszedł?

Mercy marszczy brwi.

— Chyba około czwartej. Skończyliśmy jeść, umyliśmy naczynia i w ogóle. Tata chciał go podwieźć do kampusu, ale Kevin powiedział, że musi gdzieś iść.

— W Okriki?

— Tak.

— Nie poszła pani za nim?

— Nie! — wykrzykuje Mercy ze zgorzeniem. — To byłoby wywieranie zbyt wielkiego nacisku na mojego biednego ojca. Przyprawiam mojego chłopaka na pierwszą wizytę i wychodzę razem z nim?

Znowu się śmieje, lecz tym razem trochę niepewnie. Ostrożnie. Chika i ja też się śmiejemy, żeby poczuła się swobodniej.

— A więc wyszedł bez pani? — pytam.

— Tak.

— Kiedy... Kiedy się pani dowiedziała, co się stało?

— Ilekroć odwiedzaliśmy się nawzajem na kampusie, potem dzwoniliśmy do siebie, żeby sprawdzić, czy dotarliśmy bezpiecznie do domu. Odczekałam jakąś godzinę, a potem zadzwoniłam, żeby się upewnić, że wyszedł od Tamuna i wraca na kampus.

— Tamuna?

— Studenta, którego poszedł odwiedzić. Nie odbierał telefonu, a ja dzwoniłam i dzwoniłam. — Mercy smutno kręci głową. — On nie dzwonił.

— Wtedy zaczęła się pani martwić?

— Tak. Dzwoniłam wiele razy, a kiedy zaczęła się odzywać poczta głosowa, po prostu zrozumiałam, że coś się stało.

— Co pani zrobiła? — pyta Chika.

Uśmiech Mercy robi się mniej promienny, jej powieki zaczynają lekko drgać, a na jej skroni pulsuje żyłka.

— Ale moi rodzice poszli do kościoła na wieczorne nabożeństwo — kontynuuje dziewczyna. — Powiedziałam więc siostrze, dokąd jadę, i zatrzymałam motocykl, żeby zawiózł mnie do Tamuna.

Znowu to imię.

— Zna pani tego przyjaciela, do którego poszedł Kevin? — pytam.

— Nie bardzo. Byli w jednej grupie.

Chcę zadać kolejne pytania, lecz Mercy znowu nie patrzy na nas, pogrążona w strasznym wspomnieniu, którego przywołania już żałuję. Muszę znaleźć szybki sposób na zakończenie tej rozmowy.

— Kiedy ich zobaczyłam... ten tłum — ciągnie Mercy — powiedziałam kierowcy, żeby pojechał inną drogą. Odmówił.

Na jej czole pojawia się lśnienie potu. Mercy szybko mruga i mówi powoli, jakby była senna.

— Coś skandowali. Śpiewali, że złapali złodziei. Że dzisiaj ukarzą ich dla przykładu. Nie przejęłam się tym. Człowiek przyzwyczajają się tutaj do zamieszek, krzyków i takich rzeczy.

— Co pani zrobiła? — pyta Chika, zanim udaje mi się go powstrzymać.

Dziewczyna jest na skraju załamania. Jedno niewłaściwe słowo i tama pęknie, więc najlepiej

pozwolić jej mówić samej.

— Nic — odpowiada i marszczy czoło. — Motocyklista jechał prosto w stronę tłumu. I wtedy... To wtedy... Wtedy ich zobaczyłam.

Teraz Mercy kiwa się jak dziecko. Patrzę na Chikę i kręcę głową.

— Kogo? — pyta, nie zważając na moje znaki ostrzegawcze.

— Ich trzech — odpowiada Mercy nieobecnym głosem. — Nie znam tych dwóch innych, ale zobaczyłam Kevina. Pobiegłam w stronę tłumu i zaczęłam krzyczeć. Nawet nie wiem co. Wiem tylko, że krzyczałam, ale nikt mnie nie słyszał. Potem zaczęłam się szarpać z ludźmi, ktoś mnie popchnął i upadłam... A kiedy wstałam, tłum już poszedł z nimi dalej. Zadzwoiłam do taty i mamy. Ale oni wciąż byli w kościele. Więc zadzwoniłam do taty Kevina w Lagos i powiedziałam mu, co się dzieje. Powiedział mi, żebym pobiegła za ludźmi i przekonała ich, że Kevin jest moim krewnym czy coś takiego, że jest Ikwerre i absolutnie nie może być złodziejem. Sam miał zadzwonić z Lagos na policję. Znowu pobiegłam za tłumem, błagając, by ludzie przestali bić chłopców. Wtedy ktoś mnie uderzył. Ktoś inny powiedział, że pewnie jestem jedną z tych rozwiązłych dziewczyn, które zachęcają przestępców do przyjeżdżania do Okriki.

Mercy unosi kciuk do ust i zaczyna go ssać. Błądzi wokół wzrokiem, jakby była dzieckiem, które szuka wygodnego miejsca do odpoczynku po długim dniu na placu zabaw. Mimowolnie myślę o mojej córce. To już trwa za długo; kiwam na pielęgniarkę, a w tej samej chwili Chika wyciąga rękę do Mercy.

— Nie! Nie rób tego! — mówię do niego ostro.

Ale jest już za późno. Mercy z płaczem odpycha Chikę, jakby ją atakował. Podbiegają do nas rejestrator i pielęgniarka i w tym samym momencie słyszymy rozbrzmiewający w ogrodzie władczy głos:

— Co tu się dzieje?

Odwracamy się. Mercy teraz szlocha w ramionach pielęgniarki, ssąc kciuk. Przed nami stoi starszy mężczyzna. Jego gniew jest tak wyraźny, jak jego grzmiący głos.

— Papo...

Mercy płacze. Po jej twarzy ciekną łzy.

Jej ojciec! Odsuwamy się odruchowo z Chiką od Mercy; rejestrator znika, a pielęgniarka stara się sprawiać wrażenie, że panuje nad sytuacją.

Starszy mężczyzna podbiega do córki, która pada mu w ramiona jak szmaciana lalka.

— Przepraszam, sir — mówię dość słabym głosem, brzmiącym tak nawet w moich uszach.

— Wynocha stąd! — grzmi ojciec Mercy nad głową córki.

Nasz wstyd i wściekłość w jego oczach sprawiają, że odwracamy się i ruszamy biegiem.

CO WIEZIECIE?

— To był błąd — mówię po tym, jak minęliśmy blokadę żandarmerii wojskowej, gdzie Chika dyskretnie przekazał dwustunairowy banknot.

Wciąż jestem dość zły na siebie za to, do czego dopuściłem w szpitalu, więc to jest pierwszy raz, kiedy się odzywam po opuszczeniu go.

— Tego bym nie powiedział, sir — mówi cicho Chika, wpatrzony w drogę.

— Był. — Nie ustępuję. — Biorąc pod uwagę stan umysłu Mercy, nawet nie możemy polegać na jej opisie wydarzeń.

— Dlaczego, sir?

— Ponieważ ludzie, którzy mają za sobą ciężkie dramatyczne przeżycie, nie są wiarygodnymi świadkami.

— Nawet jeśli ich wersja wydarzeń pasuje do tego, co, jak wiemy, naprawdę zaszło?

— Ogólnie rzecz biorąc, tak.

— Czy dlatego policja nie podjęła dalszych kroków na podstawie jej zeznania?

Kręcę głową.

— Nie, nie. Zeznanie Mercy może zostać uznane za dopuszczalne lub nie tylko w sądzie. Zatem tak naprawdę policja nie miała żadnego usprawiedliwienia, żeby nie potraktować jej zeznań jako wyznacznika kierunku śledztwa.

— Może nie pomogło to, że od czasu tej tragedii Mercy była kilka razy w szpitalu.

Wiem, że biorąc pod uwagę to, co wiemy o tym, jak policja prowadziła śledztwo, Chika odgrywa rolę adwokata diabła, ale i tak przewracam oczyma i głośno cmokam.

— Jej pobyty w szpitalu służyły ich celom. Jej wersja wydarzeń nie pasuje do ich wersji, więc ją odrzucili.

— A zatem nie uważa pan, że ona kłamie? Albo że nie pamięta wydarzeń tak, jak naprawdę przebiegały?

Patrzę na niego z zaskoczeniem.

— Ta dziewczyna sprawiała wrażenie, że dokładnie wie, co się stało. W gruncie rzeczy podejrzewam, że do obecnego stanu jej umysłu musi się przyczyniać ostrość jej pamięci.

Chika wzrusza ramionami.

— Chciałem się tylko upewnić, sir, bo wydaje się, że wątpi pan w samego siebie.

— Wątpię w mądrość tego, co tam zrobiłem.

— Czy przyniosło to coś użytecznego?

— No, tego Tamuna, o którym wspomniała... — zgadzam się niechętnie.

Chcę się zagłębić w tę kwestię, ale zauważam, że Chika marszczy czoło. Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem i widzę trzech uzbrojonych policjantów, którzy machają, żebyśmy się zatrzymali.

— Jak myślisz, czego chcą? — pytam.

To jest rzeczywiście niespotykane, zwłaszcza tak blisko Okriki. Nawet nie pamiętam, żebym podczas naszych przejazdów przez miasteczko widział jakiś policyjny punkt kontrolny.

— Dowiemy się — mówi Chika i powoli skręca na pobocze. — Ma pan przy sobie jakąś gotówkę?

Myślę o moim studolarowym banknocie i kiwam głową, chociaż nie jest to sytuacja awaryjna, o jakiej myślałem, kiedy wsuwałem go do portfela przed wyjazdem z domu.

Jeden z policjantów podchodzi do nas leniwym krokiem. Drugi rozmawia przez telefon, a trzeci pogania gestami inne samochody, żeby jechały dalej.

— Dobry wieczór, sir... — mówi z szacunkiem Chika.

— Wasze dane — żąda policjant głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Staram się ocenić, czy to jest część rytuału przed prośbą o „coś dla chłopców”, ale Chika już grzebie w schowku w desce rozdzielczej, szukając dokumentów samochodu.

Policjant bierze połączony zszywką zbiór zeskanowanych i odbitych na ksero dokumentów, a następnie przesadnie długo przygląda się bacznie każdemu z nich. Parę razy przenosi wzrok z dokumentów na Chikę i z powrotem.

— Proszę wysiąść i otworzyć bagażnik — rozkazuje, po czym demonstracyjnie sprawdza tapicerkę i zagląda pod fotele.

— Czy szuka pan czegoś konkretnego? — pytam niecierpliwie.

Chika rzuca mi spojrzenie, którym nakazuje, bym nic nie mówił.

— Proszę się nie przejmować, mojemu przyjacielowi po prostu się śpieszy.

Policjant patrzy na mnie z dezaprobatą i wraca do sprawdzania dokumentów, co robi chyba już

setny raz.

— To pański samochód? — pyta chłodno, a ja przysięgam sobie w duchu, że nie rozstanę się z moją awaryjną gotówką na rzecz tego nieprzyjemnego osobnika.

— To nie jest mój samochód, sir — mówi nadzwyczaj grzecznie Chika. — Ja jestem kierowcą. Mój *oga* jest w Lagos.

— On... — tu policjant pokazuje na mnie — nie jest właścicielem?

— Nie, sir.

— Skąd mam wiedzieć, czy samochód nie jest kradziony?

Serio? Niemal krzyczę z frustracji, ale Chika szybkim spojrzeniem spod oka zamyka mi usta.

— *Haba*, panie oficerze! — Chika usiłuje żartować w pidżynie. — Ja przypomni złodzieja?

Policjant się nie śmieje, ale odpowiada szybkim potokiem pidżynu, który ledwie rozumiem. Coś o uzbrojonych rabusiach, że nie tatuują sobie na czołach informacji o swoim powołaniu. Znowu spogląda na dokumenty, a potem na funkcjonariusza, który parę metrów dalej rozmawia przez telefon.

— Mogę zadzwonić do właściciela, żeby pan z nim porozmawiał? — proponuje Chika.

— Skąd mam wiedzieć, czy ta osoba po drugiej stronie jest prawdziwym właścicielem?

Albo zaraz wyciągnę moją policyjną odznakę, albo zadzwonię do Abubakara, żeby zakończył te bzdury. Kiedy zastanawiam się, które wyjście będzie skuteczniejsze, policjant kończy rozmowę, podchodzi do Chiki i swojego tępego kolegi, bierze od niego dokumenty i podaje je Chice.

— Możecie jechać — mówi.

Tak po prostu.

Chika bierze papiery, dziękuje niewyraźnie i wsiada do auta.

— Co za bzdury! — warczę gniewnie.

— Proszę, sir, możemy stąd odjechać, zanim powie pan coś więcej?

Chika cofa, zmienia bieg i wjeżdża na drogę.

— Jeśli chciał łąpówki, powinien po prostu poprosić! — mówię, kiedy policjanci zostają daleko za nami. — Po co niepotrzebnie marnować nasz czas?

— Właśnie. O nic nie prosili. Po prostu nas zatrzymali...

— I nie zatrzymali żadnego innego samochodu... — Milknę, bo dociera do mnie wyjaśnienie. — Gra na zwłokę. Ale po co?

— Podejrzewam, że niedługo się przekonamy, sir — odpowiada oschłym tonem Chika.

Wiem, że moja irytacja z powodu zatrzymania i przeszukania auta przez policję bierze się z tego, że byłem czarnym w Ameryce. Zatrzymywano mnie zbyt często, bym mógł zaakceptować takie samo zachowanie w moim własnym kraju. Ale...

— Przepraszam, Chiko. Powinienem się domyślić, że coś jest nie tak. Powinienem być ci zaufać, że wiesz, co robisz.

Chika zerka na mnie i kiwa głową.

— Tak, sir — mówi z poważną miną. — Powinien pan.

Śmieję się i Chika też wybucha śmiechem.

— Daruj sobie tego „sir”, człowieku. To się zaczyna robić śmieszne.

Chika przez chwilę milczy, może zastanawiając się, co oznaczałaby ta zmiana. Staram się rozładować atmosferę, podkreślając mój amerykański akcent:

— Musisz przyznać, że robi się dziwacznie, jak za każdym razem, kiedy mnie obrażasz, dodajesz „sir”.

— Ja? — Robi oburzoną minę. — Obrazić pana? Nigdy.

Zrezygnował jednak z „sir”, więc zerkam tylko na niego z niedowierzaniem i cmokam z dezaprobatą. Chika skręca na drogę prowadzącą do hotelu Royale. Miła atmosfera tężeje, kiedy

zauważamy kasztanowego mercedesa CLS zaparkowanego przed samym wejściem do hotelu.

Wysiadamy z naszej terenówki i idziemy do hotelu, gdzie jego kierownik, Atoka, wita nas w recepcji z nerwowym uśmiechem. Mamrocze coś o gościach, ale ledwie go słyszę. Nie odrywam oczu od starannie zaaranżowanej sceny przede mną. Na jednym z krzeseł ustawionych przodem do telewizora siedzi przywódca z wczorajszego spotkania w ośrodku kultury. Nie odwraca się, chociaż na pewno słyszał, jak kierownik oznajmił nasze przybycie. Głowę trzyma po królewsku, plecy ma wyprostowane, a dłoń zamknął na główce laski.

Wokół przywódcy stoi w milczeniu pięciu mężczyzn w różnym wieku. Jednym z nich jest inspektor Mike Omereji. Jest ubrany w cywilny strój i stoi najbliżej starca. Z bliskiej odległości ich podobieństwo jest jeszcze bardziej uderzające i podejrzewam, że to jego obecność mogła spowodować nasze „opóźnienie”. Miał dość czasu na sprowadzenie tu przywódcy, żeby na nas czekał.

Inspektor Omereji pochyla się do starca. Przywódca odwraca się powoli i patrzy na mnie.

— To pan jest tym Amerykaninem — oznajmia starzec.

— Nie, sir — odpowiadam gładko. — Jestem stuprocentowym Nigeryjczykiem.

Przywódca uśmiecha się i stuka laską. Jakby na ten znak Omereji się cofa, a dwaj inni mężczyźni przybliżają się, żeby pomóc przywódcy wstać, chociaż nie jestem przekonany, że tego potrzebuje. Podchodzę i lekko się kłaniam; nie jestem tak bezczelny, żeby wyciągnąć do niego rękę.

— Joruba — stwierdza przywódca, kiedy podaję nazwisko. — To dobry lud — informuje swoich ludzi. — Oprócz tego Awolowo większość jego członków zachowywała się wobec nas w czasie wojny uprzejmie.

Mężczyźni kiwają głowami ze zrozumieniem, chociaż, sądząc po ich wieku, nie widzę wśród nich żadnego, który mógłby się urodzić przed końcem wojny z Biafrą, do której, jak zakładam, nawiązuje przywódca. Jeśli chodzi o słynnego ministra finansów z czasów rzeszonej wojny — Obafemiego Awolowo — to nie mam pojęcia, do czego pije starzec.

— Z których Jorubów pan pochodzi? — pyta mnie przywódca.

Ach, ta nigeryjska skłonność do precyzowania pochodzenia etnicznego. Ta cecha jest gorsza u starszych ludzi, więc staram się ukryć irytację.

— Jestem z Lagos, sir.

— Ha! — Macha lekceważąco ręką. — Wszyscy twierdzą, że są z Lagos.

Kwituję prawdę tego stwierdzenia uśmiechem.

— Mój prapradziad przybył z Dahomeju i osiadł w Lagos na długo przedtem, nim to miasto stało się częścią Nigerii.

Starzec kiwa mądrze głową.

— Czasem kiedy jakieś miejsce staje się tak duże jak Lagos, dobrze jest pamiętać, że ludzie mieszkali tam jeszcze przed wybudowaniem tych wszystkich wysokich budynków i przybyciem cudzoziemców.

— Przepraszam, sir, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska...

Zawieszam głos z szacunkiem.

Starzec wybucha głośnie śmiechem.

— Zapewne uważa mnie pan za gbura. Przywódca Kinikanwo Omereji, najwyższy przywódca mieszkańców Okriki. Witamy w naszym miasteczku.

Odruchowo spoglądam na obojętną twarz Mike'a Omerejiego. Ojciec, dziad czy wuj?

— Poznał już pan mojego syna...

Przywódca kiwa głową w stronę inspektora.

Zdecydowanie późne dziecko. Przywódca wygląda na siedemdziesiątkę, a wydaje się, że

inspektor Omereji, mimo poważnego zachowania, niedawno skończył trzydzieści lat.

— Poznaliśmy pańskiego syna, sir. To doskonały policjant — stwierdzam.

Nie zwracam uwagi na uniesioną brew inspektora i odwracam się, by przedstawić przywódcy Chikę, ale starzec odzywa się pierwszy.

— Proszę się ze mną przejechać, panie doktorze.

— Przejechać się? — pytam, ale przywódca już wychodzi z hotelowego holu, mijając Chikę, którego obecności nie zauważa, oraz kierownika hotelu, któremu władczo macha ręką. Jego świta idzie za nim, starannie odmierzając krok, by go nie wyprzedzić i zostawić mnie sam na sam z Omerejim.

Patrzę na Chikę, który z kolei patrzy na inspektora.

— Nic mu nie będzie — mówi szorstko Omereji i nakazuje mi gestem, bym poszedł za nim.

CZŁOWIEK LUDU

Przywódca sadowi się na tylnym siedzeniu mercedesa, a jeden z jego ludzi otwiera przede mną drugie tylne drzwi samochodu. Siadam obok przywódcy, Omereji siada na przednim fotelu dla pasażera i po zamknięciu wszystkich drzwi kierowca wyjeżdża tyłem sprzed hotelu. Widzę, że pozostali mężczyźni wsiadają do skromnej mazdy i jadą za nami.

Przywódca odwraca się do mnie.

— Jak się panu podoba nasze miasteczko?

Wie, że nie przybyłem do Okriki dla jego atrakcji turystycznych, ale podejmuję jego grę.

— Jest śliczne. Bardzo spokojne.

— Po Lagos nasze miasteczko musi się panu wydawać niebem — mówi i jednym tchem nakazuje kierowcy: — Jedź drogą obok targowiska. — Z powrotem zwraca się do mnie: — Podobno przyjechał pan, żeby ustalić, co się przydarzyło tym chuliganom, którzy terroryzowali naszą społeczność.

Staram się nie okazać zaskoczenia tą bezpośredniością.

— Nie posunąłbym się aż do takiego ich określenia, sir. Byli studentami...

— Wiem, kim byli. Nawet złodziej jest czymś dzieckiem. Ta społeczność wiele wycierpiała od studentów tej szkoły.

— Tak słyszałem, sir.

Możliwe, że moją najlepszą linią obrony będzie zachowanie pasywno-agresywne.

— Ale pan w to nie wierzy?

— Od czasu mojego przybycia tak naprawdę nikt ze mną nie rozmawiał.

— I nikt nie będzie rozmawiał, jeśli będzie znał powód pańskiego przybycia.

Patrzę mu prosto w oczy.

— Jeśli mogę zapytać, sir, dlaczego według pana tu przyjechałem?

— Żeby wpaść w kłopoty? Podzielić nas swoimi wątpliwościami i sprawić, żeby świat jeszcze bardziej nienawidził mojego ludu.

— Ja piszę raport, sir. To nie ma być osąd.

— Wszystko, co jest na papierze, stanowi swego rodzaju osąd.

Zastanawiam się nad tą dziwną logiką i uznaję, że starzec może mieć trochę racji. Zmieniam taktykę.

— Ale nie przyjechałem tu po to, by powodować kłopoty, sir. To, co robię, może nawet pomóc tej społeczności.

Przywódca unosi brew tak wysoko, że dosięga ona niemal linii jego włosów.

— Przecież na pewno chce pan wiedzieć, sir, dlaczego pański lud zachował się tak okrutnie.

— Sprawiedliwość nie jest okrutna, to jej brak rodzi okrucieństwo — oznajmia przywódca.
Moja prawdziwa ciekawość wymusza szczerość.

— Czy miasteczko naprawdę uważa, że dzika sprawiedliwość była najlepszym sposobem postępowania z tymi chłopcami, nawet jeśli byli, jak pan mówi, chuliganami?
Przywódca wzrusza ramionami.

— Dzika sprawiedliwość jest lepsza od braku sprawiedliwości.

— Można było ich oddać w ręce policji...

— Stop.

Milknę odruchowo i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że przywódca zwracał się do kierowcy, który właśnie powoli zatrzymuje samochód.

— Proszę ze mną — mówi i chyba tym razem ma na myśli mnie.

Kierowca pomaga przywódcy wysiąść z auta. Patrzą na odbicie inspektora Omerejiego w tylnym lusterku. Policjant wzrusza ramionami, jakby mówił, że muszę sobie radzić sam. Wsiadam z samochodu i staję obok przywódcy.

— Widzi pan to?

Pokazuje na imponujące zardzewiałe stare działo, które zajmuje honorowe miejsce pośrodku ronda. Przejeżdżaliśmy już obok niego z Chiką, ale nie przyglądałem mu się z jakąś szczególną ciekawością.

— Przez bardzo długi czas wszędzie tu — starzec unosi laskę i pokazuje nią na okolicę — był tylko busz i dzikie zwierzęta. Mój lud przybył tu wiele, wiele lat temu. Mój pradziad opowiadał o trudach, z jakimi się zmagali, uprawiając tę ziemię, zdobywając ją, ale nigdy nie wątpiąc w swoje do niej prawo. A potem przybył biały człowiek i zabrał wszystko prócz ziemi. Dał nam nowe prawa; przestrzegaliśmy ich, jeśli tylko mieliśmy ziemię. Dał nam nawet nowe nazwiska, nową religię, wtrącał się do naszego języka, ale nigdy nie odebrał nam ziemi.

Oglądam się na inspektora, który wysiadł za nami z auta i teraz stoi, patrząc w dal z beznamiętnym wyrazem twarzy. Starzec mówi bez pośpiechu i nie patrzy na nikogo, chociaż wydaje się, że jego jedynym słuchaczem jestem ja.

— Nawet kiedy Brytyjczycy połączyli kilka plemion, narysowali linię wokół Nigru i Benue i śmieszny teren w środku nazwali Nigerią, nasz lud się nie martwił. Czym jest nazwa? Co mogłoby się zmienić? Nasz lud żył w pokoju ze wszystkimi z zachodu, z północy, a nawet ze wschodu na długo przedtem, nim przybył biały człowiek, by określić nas wszystkich jedną nazwą.

Przywódca zaczyna obchodzić działo. Idę za nim z szacunkiem. Usiłuję nie zważać na spojrzenia przechodniów, na ochroniarzy za nami i przejeżdżające obok samochody z wyraźnie zaciekawionymi pasażerami.

Starzec przesuwa dłonią po dziale, głęboko wzdycha i mówi:

— Posiedźmy tu chwilę.

Powoli opuszcza się na betonowy postument, na którym stoi działo.

— Czy ja pana nudzę, panie doktorze? — pyta, podnosząc na mnie wzrok.

— Bynajmniej, sir.

— Dooooobrze — mówi przeciągle i kontynuuje przemowę dopiero po chwili. — Mój ojciec mówił, że większość z nich przybyła z Enugu. Stamtąd. — Celuje laską w jakiś punkt w dali. — Najpierw pojedynczo, potem parami, a potem całymi rodzinami.

— Brytyjczycy? — pytam.

Starzec patrzy na mnie, jakby się dziwił, że słucham go na tyle uważnie, by zadawać pytania, i klepie w rozgrzany beton obok siebie, żeby też usiadł.

— Nie, Igbowie — ciągnie. — Przed nimi wszyscy byliśmy braćmi i siostrami. Nikt nie rościł

sobie prawa do niczego. Dzieliłiśmy się jedzeniem, imionami i częściami języków, którymi się posługiwaliśmy. Ale oni przyszli z dokumentami twierdzącymi, że ziemia należy do nich, ponieważ tak im powiedział rząd, którego nie wybieraliśmy. Lecz mój lud nie walczył. Po prostu poszliśmy dalej w busz, zdobyliśmy inne ziemie, zaczęliśmy od nowa.

Milknie. Pochyla głowę i wzdyga się, jakby przytłoczył go ciężar wspomnienia.

Do starca podchodzi inspektor Omereji i kładzie mu dłoń na ramieniu.

— Papo?

— Nic mi nie jest — upewnia go starzec lekko drżącym głosem i podnosi głowę.

— Nie musisz tego robić — mówi łagodnie jego syn.

— Przybył po odpowiedzi.

— Ty ich nie masz.

— Ale mam naszą prawdę.

Omereji wzdycha z rezygnacją i się cofa, a jego ojciec patrzy na mnie ze znużonym uśmiechem.

— Pamiętam, kiedy dokładnie rozpoczęła się wojna. Biały człowiek odszedł, lecz lud, który zmusił, by stanowiął jedno, nie chciał już być razem. Od Oamgi po Aluu Igbowie chodzili od wioski do wioski, prosząc mężczyzn, by przyłączyli się do walki mającej na celu oderwanie się i utworzenie Biafry. Jedną z ich obietnic było to, że w Biafrze nie będzie bezmiennego centralnego rządu, który zabiera nam ziemię i rozdaje ją na prawo i lewo. Ci z nas, którzy im uwierzyli, przyłączyli się do walki o Biafrę po stronie Igbów. Ci, którzy nie uwierzyli, zostali w domu. Lecz wojna i tak przyszła do nas. Zmusiła tych, którzy zostali w domu, by stali się żołnierzami i bronili kobiet, dzieci i, oczywiście, ziemi.

— Czy pan został, sir? — pytam, by przerwać kolejne długie milczenie.

— Tak. Lecz mój ojciec poszedł walczyć, ponieważ powiedział, że nikt nie wie, która strona wygra. Powiedział, że lepiej iść i po zakończeniu walk wziąć udział w negocjacjach. Ja zostałem, bo aby chronić mój lud i naszą ziemię, ktoś musiał wziąć odpowiedzialność za tego potwora.

Unosi laskę i stuka nią w stare działo.

— Przez sześć lat słyszeliśmy bomby i wybuchy blisko, w Warri. Pojawiali się umierający żołnierze. Docierały do nas po wielomilowym marszu głodne dzieci i kobiety. Nikogo nie zawracaliśmy. I przez te wszystkie lata to właśnie tu spałem ja, moi dwaj młodsi bracia i jeszcze trzech inni mężczyźni. Zostaliśmy tu, gotowi wystrzelić z tej bestii, by chronić nasz lud.

Czytałem przerażające opisy wojny białrańskiej — może najstraszniejszej z wojen domowych Afryki, ale muszę wyznać, że nigdy nie znajdowałem się tak blisko kogoś, kto brał w niej udział, czy to jako ofiara, czy jako żołnierz. Podnoszę wzrok na działo. Nietrudno sobie wyobrazić obozujących wokół niego młodych ludzi, gotowych strzelić z niego w obronie swojego życia i mienia.

— Kiedy powiedziano nam, że wojna się skończyła — kontynuuje opowieść starzec — zwlekaliśmy z odejściem, by mieć pewność, że wiadomość jest prawdziwa. Czekałem tu, aż zobaczyłem, jak do domu wraca, kulejąc, mój ojciec; nie miał nogi i jednej dłoni. Potwierdził, że wojna się skończyła. Wróciliśmy do buszu i wyprowadziliśmy z niego nasze kobiety i dzieci. I odebraliśmy nasze ziemie. Kiedy przyszło trochę Igbów, pokazaliśmy im Dekret o redystrybucji ziemi, który dostaliśmy od rządu centralnego w zamian za odrzucenie Biafry. Nie byli zadowoleni. Krzyczeliśmy. Walczyliśmy. Byliśmy też jednak bardzo zmęczeni. Po tym całym zabijaniu nikt nie miał energii walczyć dłużej, niż było to konieczne. Dla Igbów ważniejsze od ziemi stało się życie. Dla nas, ponieważ już kiedyś odebrano nam ziemię, bez niej nie było życia.

— Rozumiem — odzywam się po chwili, ale tylko dlatego, że tym razem milczenie starca jest dłuższe niż zwykle.

— Nie, nie rozumie pan, panie doktorze — mówi z większą mocą, niż się spodziewam. —

Przyjechał pan tu szukać sposobów ukarania ludzi, którzy tylko bronili swojego.

— Nie, sir. Rodzice chłopców chcą zakończenia sprawy i...

— Ci chłopcy nie żyją. Jakże może być inne zakończenie?

— Ale to, w jaki sposób umarli... To dręczy ich rodziców.

— Ci chłopcy nas rabowali, robili to od lat, i nikt nie przyszedł nam na ratunek. A kiedy powiedzieliśmy, że mamy tego dość, na naszym progu pojawia się cały świat i krzyczy: „Niesprawiedliwość! Morderstwo!”

— Jeśli to prawda, sir, to nie powinienem mieć żadnych trudności z uzyskaniem odpowiedzi, po które przyjechałem.

— Przyjechał pan po odpowiedzi służące celom osób, które pana przysłały — mówi lekceważąco przywódca i w sposób, do którego zaczynam się przyzwyczajać, bez ostrzeżenia zmienia temat:

— Będę opowiadał dalej.

Na chwilę milknie, jakby prowokował mnie do powstrzymania go.

— Wojna się skończyła. Mieliśmy naszą ziemię i właśnie kiedy odzyskiwaliśmy nasze życie, w Bonny i w kilku innych miasteczkach odkryto ropę naftową. Mieliśmy nadzieję, że zostanie ona odkryta też tu, ale tak się nie stało. Kiedy zobaczyliśmy, co ropa naftowa robi z innymi społecznościami, dziękowaliśmy bogom, że nie ma jej w Okriki. Lecz ziemia już nie wystarczała. Otrzymywana z niej żywność nie wystarczała dla wszystkich i nie było już czego sprzedawać na targu. Kiedy więc przyszedł rząd i bardzo grzecznie poprosił o ziemię, by wybudować na niej uniwersytet, zgodziliśmy się. I przez jakiś czas wydawało się, że to była słuszna decyzja. Do naszej wioski przybyli ludzie i uczynili z niej miasteczko, jedli naszą żywność, wynajmowali naszą ziemię i dawali nam mnóstwo pieniędzy, lecz wiedzę trzymali za murami uniwersytetu wybudowanego na naszej ziemi.

— Nie rozumiem, sir.

— Proszę się rozejrzeć po moim miasteczku, panie doktorze. — Przywódca zatacza łaską łuk. — Ile widzi pan tutejszej młodzieży, która uczy się na tym uniwersytecie? Ilu ludzi z tego miasteczka ma dostęp do szpitala klinicznego bez konieczności płacenia mnóstwa pieniędzy? Ta lista jest długa. Co przyniósł nam ten uniwersytet oprócz niezadowolenia?

— Ale powiedział pan, że przyniósł pieniądze?

Przywódca odetchnął głęboko.

— Pieniądze rodzą jedynie pragnienie posiadania więcej pieniędzy. Nic ponadto.

— Nie rozumiem, w jaki sposób ma to wpływ na moje...

— Kiedy daliśmy ziemię uniwersytetowi, mieszkańcy miasteczka mieli tylko jedną rzecz, której musieli strzec: pieniądze zarobione na jego obecności w miasteczku. A ci studenci przyszli, by te pieniądze ukraść.

— Czy to jest wymówka miasteczka?

Nie potrafię ukryć pogardy w głosie.

— To jest nasza prawda, więc powtarzam, że nikt panu nie pomoże odkryć wersji, której pan szuka.

— Czy to groźba, sir?

— Obietnica.

Przenoszę wzrok na inspektora i z powrotem na starca, który patrzy na mnie przeszywająco wyblakłymi oczami.

Ośmielam się odpowiedzieć:

— Nawet jeśli oznacza to wykorzystywanie własnego syna do tworzenia przeszkód dla wymierzenia sprawiedliwości, sir?

Inspektor Omereji rusza w moją stronę z groźną miną, lecz przywódca powstrzymuje go ruchem

laski.

— Panie doktorze, proszę powiedzieć tym, którzy pana przysłali, że poznał pan najwyższego przywódcę Kinikanwę Omerejiego z Okriki. Proszę im powiedzieć, że dopilnuję, by mój lud nie został ukarany za obronę przed tymi, którzy przybyli, by zabrać to, co do nich nie należy. Rozumie pan?

Mogę jedynie skinąć głową.

COFANIE SIĘ

W drodze powrotnej do hotelu milczymy. Kierowca otwiera moje drzwi i wtedy żegnam się z przywódcą. On jedynie kiwa głową z zamkniętymi oczami, jakbym go nudził. Nie zadaję sobie trudu pożegnania się z inspektorem, który siedzi z kamienną twarzą na przednim fotelu.

Chika czeka na mnie przed wejściem. Zapewniam go, że dobrze się czuję, i mówię, że chcę być sam. Rozumie to.

Idę do mojego pokoju, zdejmuję buty i kładę się na łóżku.

Ten dzień był ciągiem katastrof. Najpierw jeśli chodzi o Mercy i etyczne granice, które przekroczyłem przy próbie zdobycia użytecznych informacji mogących pomóc mi w śledztwie. A potem czarę goryczy przepełniło zetknięcie z niewzruszoną arogancją przywódcy Omerejiego. Wspomnienie miny ojca pocieszającego Mercy wywołuje u mnie wyrzuty sumienia. Co dzieli mnie od kogoś takiego jak przywódca, który usprawiedliwia morderstwo ochroną swojego ludu? Czy nabieram cech makiawelicznych i staję się pozbawiony empatii, całkowicie skoncentrowany na celu?

Po raz milionowy od powrotu za żoną do Nigerii przeklinam okoliczności, które wymusiły na mnie tę decyzję. Mimo dobrej miny, jaką zrobiłem, kiedy Folake przedstawiła mi argumenty przemawiające za naszym powrotem, wiem, że wciąż czuję głęboką niechęć wobec jej nalegań.

„Kochanie, w tym roku chłopcy skończą piętnaście lat. Chcę wyjechać, zanim zaczną myśleć, że stanowi o nich kolor ich skóry”.

Miała rację. Media społecznościowe zdemokratyzowały informacje i wszędzie było pełno doniesień o przemocy wobec kolorowych. Kiedy zaproszono nas na zebranie rodzicielskie, podczas którego wydano czarnym chłopcom cały zestaw instrukcji, co mają robić w razie zatrzymania przez policję, Folake była jednocześnie wściekła i zaniepokojona. Kroplą, która przepełniła czarę, była katastrofa w Seattle, po której Folake postanowiła wyjechać ze Stanów ze mną czy beze mnie. A zatem tak, jestem niechętnym repatriantem. I to położyło się cieniem na moją aklimatyzację w Nigerii. Wykorzystałem własną odmienność do patrzenia na moją ojczyznę jak ktoś z zewnątrz. Mówię sobie, że dopóki będę potrafił wzniesić się ponad chaos i utrzymać swoją odrębność, dopóty nic mi nie będzie.

Moje dzisiejsze zachowanie wskazuje, że być może przegrałem tę bitwę. Wydaje się, że poddałem się mentalności pośpiechu, tendencji chodzenia na skróty i obchodzenia właściwej procedury. Zanadto zaangażowałem się w tę sprawę i odłożyłem zawodową ostrożność na bok.

Winię za to ojca. Chociaż nie chcę mówić, że cała ta sprawa kręci się wokół niego, jego relacja z Emeką ma duże znaczenie. Jego wyznanie, że był na kampusie w sekcie — bractwie — wstrząsnęło mną, ponieważ ujawniło tę stronę jego osobowości, o której istnieniu nie wiedziałem. Cały czas od tamtej rozmowy w jego gabinecie próbuję pogodzić mojego surowego, lecz kochającego ojca z przemocą i chaosem związanymi z sektami istniejącymi na nigeryjskich kampusach. Nawet nie wiem, czego mam nadzieję się dowiedzieć. Że Trzech z Okriki było członkami sekty, a zatem ich gwałtowna śmierć z rąk mieszkańców miasteczka była usprawiedliwiona? Albo że ich śmierć nie miała nic wspólnego z sektami, za to wiele wspólnego

ze źle poinformowaną społecznością doprowadzoną na skraj załamania przez pozbawione poczucia bezpieczeństwa otoczenie?

Rozlega się pukanie do moich drzwi. Otwieram je; na korytarzu stoi Chika z pełną butelką whiskey Jameson i dwiema szklaneczkami nie od kompletu.

— Zwykle kiedy ludzie chcą być sami, tak naprawdę powinni mieć towarzystwo — mówi cierpko.

W tej chwili właśnie potrzebuję tej nowo odkrytej poufałości. Chika wchodzi do pokoju, stawia szklaneczki na stole i zaczyna otwierać whiskey.

— Obawiam się, że dzisiaj nie byłem najlepszą wersją siebie — mówię, zamykając drzwi.

— Ja też nie. — Nalewa złocisty płyn do szklaneczek i podaje mi jedną z nich. — Ale stało się. Możemy znaleźć w całym tym doświadczeniu coś, co nada mu wartość?

Oczywiście ma rację. Może najlepszym sposobem na obrócenie mojego błędu na dobre jest zastanowienie się nad informacjami, jakich dostarczyła rozmowa z Mercy.

— Cóż, na przykład — mówię, czując, jak whiskey pali mi gardło i przętyk — jeśli Kevin odwiedził Mercy wcześniej tego dnia, to możemy potwierdzić, że nie opuścił kampusu z Boną i Winstonem.

— Ale później mogli się wszyscy spotkać.

Chika wychyla swoją whiskey i zaczyna nalewać następną porcję.

— Tak, ale jeśli to był rabunek i został starannie zaplanowany, żeby postawić Kevina na czatach...

— Ale, jak pan powiedział, jeśli Winston i Bona należeli do sekty, to nie potrzebowaliby nikogo takiego...

— Tak, ale pójdź moim tropem... — Milknę, bo Chika dolewa mi whiskey. Powiedzenie mu, że o ile piwo jest w porządku, to moją prawdziwą zgubą jest mocny alkohol, mogłoby być nieuprzejme, więc biorę szklaneczkę do ręki z nadzieją, że zdołam ją sączyć wystarczająco długo, by nie doszło do tańca na suficie. — Jeśli to wszystko zostało zaplanowane i Kevin od początku brał w tym udział, to czy w dniu, w którym szykował się do rabunku, komplikowałby sytuację odwiedzinami u swojej dziewczyny i powiększyłby sobie stres przez pierwsze zetknięcie z jej ojcem?

— Nie rabunek. Wymuszenie.

— To bez znaczenia. Jeden z nich odczuł potrzebę przyniesienia broni. To wyraźny znak, że cokolwiek miało się wydarzyć u Godwina, nie było kurtuazyjną wizytą.

— A więc sądzi pan, że Kevin nie odwiedziłby Mercy tego samego dnia, którego planował wymusić ze swoimi kumplami pieniądze od Godwina?

— Po prostu nie jestem przekonany, że coś takiego mógłby zrobić ktokolwiek.

Podchodzę do ściany samoprzylepnych karteczek. Obok niektórych faktów potwierdzonych przez policyjne raporty przykleiłem wycinki prasowe dotyczące Trzech z Okriki. Znajdują się na części ściany przeznaczonej na to, co wiemy. Przy karteczkach są też zdjęcia Winstona, Bony i Kevina. Młodych, przystojnych i uśmiechniętych. Pod zdjęciem Kevina jest mnóstwo informacji, ale obok słów „członek sekty” umieściłem też duży znak zapytania.

Przez chwilę wpatruję się w to zdjęcie. Wszyscy opisywali go jako człowieka wspaniałego, uprzejmego i bystrego. Szczerze mówiąc, do spotkania z Mercy traktowałem te wszystkie opinie z pewną dozą nieufności. Zwłaszcza rodzice potrafią opisywać swoje dzieci tendencyjnie, ogólnie przechwalając ich umiejętności i przymioty. Kiedy się doda do tego kulturową tendencję niemówienia źle o zmarłych, można zrozumieć, dlaczego raczej unikałem opierania moich profili ofiar na pogłoskach. Jakimś jednak sposobem portret Kevina przedstawiony przez Mercy daje do myślenia. Wydaje się, że chłopak był naprawdę dobrze wychowany, uprzejmy, pełen szacunku

dla innych i lubiany.

Zastanawiam się nad samym Emeką Nwamadim. Dobrze wykształcony. Wedle wszelkich standardów dżentelmen i człowiek sukcesu. Zawdzięczał wszystko własnej sumiennej pracy i wspinając się po szczeblach kariery, został jednym z najbardziej poważanych bankierów w kraju. Nietrudno sobie wyobrazić, że wychowuje syna, który w sumie stałby się chlubą społeczeństwa.

Przypominam sobie powód, dla którego mój ojciec chciał obalić teorię, że Kevin należał do jakiejś sekty. Może przyjąłem niewłaściwe podejście, skupiając się na tym, czy chłopcy należeli do sekty, czy nie. Jak dotąd najlepszym wyjaśnieniem, dlaczego Kevin został zaatakowany razem z Boną i Winstonem, jest to, że należeli do sekty, lecz na tę teorię nie ma ani cienia dowodu. Są tylko słowa osób biorących udział w wydarzeniach, których motywacji nie mogę ufać. Miałem nadzieję, że skończę z tą teorią członkostwa w sekcje, ale znalezienie alternatywnego kierunku śledztwa okazuje się trudne.

— Przywódca upiera się, że jego ludzie zabili chłopców w samoobronie.

Chika prycha.

— Zły człowiek! Wie pan, że zostało oficjalnie zapisane, że kazał swoim ludziom ścigać i zabijać wszystkich rabusiów? Jak może mówić coś takiego, zwłaszcza że karą dla miejscowych złodziei jest publiczne upokorzenie w ośrodku kultury? To obcych pałą żywcem. — Wydaje długi syk. — Ksenofobiczny drań!

— Nie skupiamy się na przywódcy... — usiłuję przypomnieć Chice.

— Niemniej, powinno się go aresztować. Gra w tym wielką rolę.

— Skup się, Chiko.

Chika uśmiecha się ze smutkiem i unosi ręce w udawanym geście poddania się.

— Gdybyśmy zdołali zrozumieć relacje panujące między tymi trzema młodzieńcami — mówię — to może udałoby się nam dociec, jak to się stało, że tamtego dnia znaleźli się razem w Okriki.

— Pan Nwamadi jest dość pewien, że jego syn nie przyjaźnił się z Boną i Winstonem.

— Tak. Ale co z tym Tamunem, z którym, jak mówi Mercy, miał się spotkać Kevin? Też jest studentem? Jak bardzo byli ze sobą zaprzyjaźnieni? Co może nam powiedzieć o tamtym dniu? — Przerwywam krążenie po pokoju i patrzę na Chikę, który obserwuje mnie z kanapy. — Pamiętasz, kiedy pojechaliliśmy na miejsce spalenia i do pensjonatu?

Chika kiwa głową.

— Myślę, że powinniśmy byli cofnąć się nieco dalej.

— Dokąd? — pyta Chika, marszcząc czoło.

— Do momentu, kiedy chłopcy opuścili kampus... Jeśli chcemy otrzymać realistyczną oś czasową wydarzeń tamtego dnia, to musimy zacząć od początku. Musimy się dowiedzieć, co się działo, zanim chłopcy dotarli do Okriki.

— I co to nam da? — pyta sceptycznie Chika.

— No, przede wszystkim okaże się, czy mamy do czynienia z premedytacją. Jeśli to był zaplanowany rabunek, to ktoś musiał wiedzieć, że wybierają się do Okriki. Kto widział, jak opuszczają kampus? O której godzinie? Ktoś ich podwiózł czy wzięli taksówkę?

— Nie wiem, w jaki sposób to nam pomoże. — Chika kręci głową. — Znaleźli się tutaj. To, jak tu dotarli albo kto ich widział, nie może mieć aż takiego znaczenia.

— Ale możemy złożyć w całość to, co zamierzali, a co sprawiło, że to szczególne wymuszenie różniło się od tych, których Godwin, jak mówił, doświadczał w przeszłości. Czy zawsze mieli broń? Czy ktoś widział ich kiedyś z bronią? Czy użyli jej kiedykolwiek wcześniej?

— A jeśli wzięli ją ze sobą specjalnie wtedy?

— To by świadczyło, w jaki sposób to wymuszenie różniło się od innych!

— Aha. Chce się pan oprzeć na zeznaniu Godwina. Ale mówił pan, że on jest niewiarygodny.

— Owszem, jest... Ale jego zeznanie, że Kevin nie brał udziału w tym wymuszeniu, potwierdza wersja wydarzeń przedstawiona przez Mercy.

— Kolejny niewiarygodny świadek — mówi ze smutkiem Chika.

— To, że dwoje nieznających się niewiarygodnych świadków podaje tę samą wersję wypadków, z pewnością o wiele bardziej uwiarygodnia całą historię...

Znowu podchodzę do ściany. Mój wzrok przyciąga rozkład pokojów madam gospodyni.

— Musimy znaleźć tego Tamuna.

Chika podchodzi do mnie.

— W tej okolicy to stosunkowo pospolite imię. Nawet tutaj. — Pokazuje na długą listę osób przesłuchanych przez policję. Trzy strony dziesiątek imion. — Jest tu co najmniej sześciu Tamunów.

— To wszystko są studenci mieszkający na kampusie?

Wpatruję się zmrużonymi oczami w rozkład domu, szukając wśród inicjałów wpisanych do kwadratów przedstawiających pokoje studentów liter „T”. Jest ich dziesięć.

Chika wpatruje się w listę ze zmarszczonymi brwiami.

— Jest tu dwóch studentów imieniem Tamuno, ale niech pan pamięta, że tę listę układała policja. Możemy jej ufać?

— Nie możemy, ale z dwoma damy sobie radę. — Biorę czerwony i pomarańczowy bloczek samoprzylepnych karteczek. — A zatem? Czerwona czy nie wiemy?

Chika chwilę się zastanawia.

— Powiedziałbym, że czerwona, ale biorąc pod uwagę, że to jest informacja od Mercy i policji... Kiwam głową.

— Tak. Bądźmy bardziej ostrożni, niż to potrzebne.

Piszę na pomarańczowym bloczku „Tamuno?”, odrywam karteczkę i podaję Chice, żeby przykleił ją na ścianie. Nalewa obu nam kolejną porcję whiskey; obradujemy do późna w nocy.

Kiedy Chika wychodzi z mojego pokoju, jest dobrze po północy. Butelka Jamesona jest teraz do połowy pusta i podejrzewam, że Chika nie jest o wiele bardziej trzeźwy ode mnie, skoro chyba zapomniał zabrać ją ze sobą. Padam na łóżko, lekko wstawiony i dość zadowolony z siebie, zważywszy na to, jaką katastrofą okazała się wcześniejsza część dnia.

Sięgam po telefon, przygotowując SMS na dobranoc dla dzieci, mimo że już dawno powinny spać. Mam powiadomienie o wiadomości, więc wywołuję ją kliknięciem. Czuję ucisk w dołku.

„Co zrobiłam aż tak złego, że zapomniałeś o dzisiejszym dniu?”

CHŁOPIEC W HAVANIE

Teraz oficjalnie nazywam się John Paul Afini-Clark.

Aby umieścić w dokumentach przy moim prawdziwym nazwisku adnotację „zmarły” i przygotować nowe dokumenty na nazwisko Johna Paula Afini-Clarka, trzeba było kilku tysięcy nair, chętnego urzędnika lokalnego rządu w Owerri, cierpliwości oraz mnóstwa ponagleń. Mam świadectwo urodzenia, podpisane oświadczenia zaprzysiężonych świadków, że moi rodzice nie żyją, oraz że inne dokumenty mojej tożsamości zaginęły przed piętnastu laty podczas powodzi, która zabiła dwoje mojego rodzeństwa.

Nie zakładałem jednak, że tego samego dnia, kiedy zadzwonił do mnie lokalny urzędnik z informacją, że papiery są gotowe do odbioru, wezwie mnie Amaso. Wynajmuję więc motocykl z Owerri do PH i czekam w centrum miasta na spotkanie wyznaczone na późny wieczór.

Havana to obraz zamieszkałej niegdyś przez klasę średnią zamożnej okolicy, która zeszła na psy.

Jeśli się powie taksówkarzowi, że jedzie się do Havany, to ten zrobi podejrzliwą minę i zażąda podwójnej opłaty. Jeśli się zatrzyma motocykl, to zapłaci się straszne pieniądze, a kierowca najprawdopodobniej poprosi o nie, zanim pozwoli pasażerowi usiąść na siodełku. A kiedy już się dotrze na miejsce, to trzeba być gotowym na zejście z motocykla z prędkością światła, bo inaczej można z niego spaść, kiedy kierowca będzie błyskawicznie zawracał.

Niebezpieczeństwa grożące w tej okolicy nie peszą Johna Paula, który zsiada z motocykla i zmierza w stronę domu Amasa Dabary. Pięć lat na szczycie listy najbardziej dochodowych dealerów tego narkotykowego barona ma swoje zalety.

— Mam nadzieję, że przyszedłeś z jakimś planem, Chłopcze — mówi Amaso, kiedy John Paul staje przed nim.

Otoczają go dziewczyny i zbiry; wszyscy są pod wpływem narkotyków, które im dostarcza, by utrzymać ich na swojej smyczy.

Twarz Johna Paula nie zdradza nienawiści, jaką czuje on do przezwiska nadanego mu przez Amasa, który od początku ich znajomości uparł się nazywać go „Chłopcem”.

— Owszem, jeśli się na niego zdecydujesz.

Powietrze wypełniają gryzące zapachy palonych papierosów i marihuany. Sam Amaso ma na sobie luźne lniane spodnie i gruby złoty naszyjnik. Jego sterczące żebra wyglądają jak powykręcane palce ściskające zawieszkę w kształcie gwiazdy Dawida, która wisi na jego zapadłej piersi.

— Posłuchajmy — mówi Amaso.

John Paul przedstawia plan.

— Ufasz im? — pyta Amaso, kiedy John Paul milknie.

— Kupują ode mnie od lat i o ile wiem, żaden z nich nie zażywa. A więc, owszem, są godni zaufania.

— Nie jak ten Godwin?

John Paul stara się, by w jego głosie zabrzmiał żal. Obaj wiedzieliśmy, że wypłynie kwestia Godwina.

— Godwin to był błąd, ale on już nie sprzedaje dla mnie. Mówiłem ci.

Amaso kręci głową, co rozprasza otaczającą go chmurę marihuanowego dymu.

— Kiedy tak nas naraził, powinieneś być pozwolić mi się z nim rozprawić.

John Paul milczy. Już to przerabiali i John Paul nauczył się nie lękać przynęty.

— Ci kupcy — przerywa długą ciszę Amaso — chcą się poprawić? Zostać bezpośrednimi dostawcami?

— Próbowałem ich wybadać, ale się ciebie boją.

— I słusznie... — mówi aroganckim tonem Amaso.

— Dlatego powinieneś się z nimi spotkać — przerywa mu John Paul. — Porozmawiać z nimi. Zapewnić ich, że jeśli będą utrzymywać łańcuch dostaw, to się nimi zaopiekujesz.

— Jak mogę ci zaufać? Obiecałeś, że odczekasz jeszcze jeden rok na uczelni...

— Poprosiłeś mnie o to, ale ja ci niczego nie obiecałem. Poza tym jak by wyglądał prymus, który nagle oblewa egzaminy końcowe?

— Przestań się przechwalać.

— Ja po prostu stwierdzam fakty — mówi John Paul prostodusznie.

— Zanim pozwolę ci odejść, chcę gwarancji.

Spodziewaliśmy się tego.

— Na przykład?

— Czegoś o tych typkach, żeby mieć na nich haka.

John Paul odwraca się i zdejmuje plecak. Pochyla się, żeby go otworzyć, świadom, że

ochroniarze są w stanie najwyższej gotowości. Powoli wyjmuję twardy dysk i podaje go Amasowi.

— *Co to?*

— *Informacje. Ich nazwiska. Wszystkie poprzednie transakcje. Ich cała przeszłość i wielkość miesięcznej sprzedaży każdego z nich.*

Amaso obraca w dłoniach dysk.

— *Czy to wystarczy?*

— *Sam możesz to ocenić.*

— *Przyprowadź ich tu.*

— *Za bardzo się boją. Ty przyjdź do nich. Spotkaj się z nimi w moim pokoju. To ich uspokoi.*

Amaso musi się zgodzić na ten plan, lecz John Paul nie może go naciskać. Amaso jest nieprzewidywalny i nie lubi, jak mu się mówi, co ma robić.

Czekamy.

— *Kiedy? — rzuca wreszcie pytanie w chmurę dymu Amaso.*

SEKTA WYTWORNYCH DŻENTELMENÓW

Po raz pierwszy od siedemnastu lat zapomniałem o rocznicy naszego ślubu. Tkwiący we mnie psycholog siłą rzeczy zastanawia się, czy tkwi w tym jakaś freudowska logika.

Mógłbym się usprawiedliwić, że wczorajszy dzień był chyba najbardziej pracowity od czasu, kiedy zacząłem prowadzić to śledztwo. Jeśli jednak mam być szczery, to wiem, że obecny brak harmonii w moim małżeństwie czyni ze mnie chętnego zakładnika sieci intryg związanych z Trzema z Okriki.

Rosnącemu poczuciu winy przeciwstawiam irytację. Powinna była zadzwonić. Albo wysłać SMS o treści „Szczęśliwej rocznicy!”. Ale nie, zaczekała do końca dnia, do czasu, kiedy stracę wszelką szansę odkupienia, i dopiero wtedy wysłała swój potępiający SMS.

„Co zrobiłam aż tak złego...?” Prycham. A więc wie, że zrobiła coś złego? A może to taka prawnicza sztuczka — pytanie naprowadzające? Niewątpliwie, biorąc pod uwagę moje zachowanie z ostatnich paru tygodni, Folake wie, że coś jest nie tak, ale do tego SMS-a nie wiedziałam, że wie, że powodem jest ona.

Czy jakaś część mojego jestestwa chciała, żeby Folake się dowiedziała, że ja wiem? Czy wczoraj zapomniałem o naszej rocznicy, ponieważ nie chciałem o niej pamiętać?

Mój stan zmienia się z podchmielenia na upicie, a myśli zaczynają błędzić. Nagle znalazłem się w zamkniętym land cruiserze. Próbuję z niego wysiąść, ale wszystkie drzwi są zablokowane. Od walenia w nieustępliwe szkło bolą mnie knykcie. Widzę Folake i Mercy, które celują we mnie oskarżycielsko palcami. Nie słyszę ich, ale są na mnie złe.

Pojawia się ojciec Mercy z plastikowym kanistrem i zaczyna oblewać z niego samochód. Walę w okna mocniej. Folake i Mercy wciąż wykrzykują słowa, których nie słyszę, i nie zwracają uwagi na moje błagania. Widzę przywódcę, inspektora Omerejiego i kilka innych osób, w tym madam gospodynię. Wszyscy unoszą pięści i skandują coś, co najwyraźniej zachęca ojca Mercy do zapalenia zapalki i rzucenia jej w stronę samochodu z paskudnym uśmiechem. Krzyczę i...

Budzę się.

Chwytam się za pulsującą głowę, idę chwiejnym krokiem do walizki i wyjmuję buteleczkę z aspiryną. Popijam trzy tabletki mnóstwem wody i sprawdzam godzinę. Do spotkania z Chiką w recepcji mam niecałe dwie godziny.

Biorę długi prysznic i ponieważ ból głowy znika, postanawiam trochę popracować, by przygotować się na nadchodzący dzień. Zacząłem wpisywać do wyszukiwarki słowo „sekty”, ale

przypomniałem sobie niechęć, jaką żywił do niego mój ojciec, więc zmieniłem je na „konfraternie na nigeryjskich uniwersytetach” i półtorej godziny później jestem równie poinformowany, co przerażony.

Wstrząs, jaki wywołała u mnie wiadomość, że ojciec w czasie studiów należał do bractwa, wziął się wyłącznie z miejskich legend. To były opowieści przekazywane sobie szeptem przez uczniów nigeryjskich liceów przygotowujących się do studiów uniwersyteckich. Były jak bajki o straszidłach, opowiadane ku przestrodze chłopcom na pierwszym roku studiów i przedstawiające zagrożenia związane z przystąpieniem do tego, co zdegenerowało się do „sekty”. Jeśli chodzi o fakty, wiedziałem bardzo niewiele, ale, zważywszy na to, co czytam w internecie, rzeczywiście lepiej jest nie wiedzieć.

Wedle Wikipedii pierwsza znana konfraternia powstała na uczelni, którą ukończył mój ojciec, czyli na University College w Ibadanie, a założył ją z sześcioma innymi studentami sam laureat Nagrody Nobla, Wole Soyinka. Ich Konfraternia Piratów została początkowo uznana za bractwo obiecujących studentów kwestionujących *status quo* i zarejestrowana później jako Narodowe Stowarzyszenie Wilków Morskich. Mieli kodeks zachowania, język, który przypominał mowę europejskich piratów, oraz symbol przedstawiający trupa czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami.

To nie do wiary, jak kilka kliknięć później okazuje się, że coś, co zaczęło się w latach pięćdziesiątych jako bractwo najlepszych studentów, zmieniło się w ogólnokrajową sieć szerzącą chaos, którą obecnie określa się ogólnie mianem sekciarstwa. W ciągu tych wielu lat chyba na wszystkich kampusach w Nigerii dochodziło do jakiejś przemocy ze strony sekt. W całym kraju od północy po południe konfraternie te weszły na drogę takiej przemocy, że większość uniwersytetów stosuje wobec nich politykę zera tolerancji. Zepchnęło to owe bractwa do podziemia i uczyniło „tajną” część ich nazw normą.

Kiedy docieram do historii odciętej głowy zatkniętej przy bramie wejściowej do Uniwersytetu w Port Harcourt, uznaję, że przeczytałem już dosyć. Patrzę na zegarek. Nadal mam trochę czasu do spotkania z Chiką, więc dzwonię do ojca.

Jest już w pracy, ale odbiera telefon i po kilku jego niezręcznych pytaniach o moje samopoczucie i postępy śledztwa skaczą na głęboką wodę.

— Tato, w kwestii tych sekt, przepraszam, bractw. Czy... Czy brałeś kiedykolwiek udział w aktach przemocy, o których czytałem?

Słyszę długie westchnienie.

— Kenny, mówiłem ci, w naszych czasach to nie była sekta.

— No to co to było?

— Chlubiliśmy się, że jesteśmy grupą wytwornych dżentelmenów o wysokich standardach moralnych i wyjątkowych osiągnięciach akademickich.

— Co poszło nie tak? Kiedy stało się to tym, czym jest dzisiaj?

Kolejne długie milczenie. Mogę sobie wyobrazić, jak pociąga za nieskazitelnie zawiązany krawat, siedząc wygodnie na ergonomicznym skórzanym fotelu, który dostał od mojej siostry Kenny Girl na siedemdziesiąte urodziny.

— Kiedy wstąpiłem na uniwersytet, w kraju tworzył się nowy naród i nierówności były wszechobecne. Większość z nas poszła na uniwersytet jako pierwsi w naszych rodzinach. Mieliliśmy obowiązek to zmienić. Niektórzy z nas działali w związkach, inni zajęli się pisaniem artykułów, a inni, cóż, zostaliśmy aktywistami politycznymi, w rzeczywistości stając się opozycją wobec autorytarnego rządu.

— To nie różni się od poglądów większości studentów w każdym społeczeństwie. Oni zwykle są idealistami.

— I my nimi byliśmy. Ale działaliśmy. Stworzyliśmy świadomość tego, co się wówczas działo. Sądzę, że problem leżał w tym, że zbyt dobrze nam poszło.

— Nie rozumiem.

— Kiedy skończyłem studia medyczne, naira była warta jednego funta brytyjskiego i więcej niż jeden dolar amerykański. Kraj tarzał się w pieniądzech za ropę naftową, a społeczność globalna pomagała odbudować go po wojnie. Sądzę, że wszyscy uznaliśmy, że wykonaliśmy swoją pracę, i dlatego przed przekazaniem władzy nad bractwami w ręce młodszych nie zbudowaliśmy żadnych struktur. Może myśleliśmy, że zorganizują się sami, tak jak my. Albo po prostu nie myśleliśmy. Chodzi o to, że ci, którzy przyszli po nas, nie mieli z czym walczyć, nie mieli czego naprawiać i nie spoczywała na nich odpowiedzialność za ulepszanie społeczeństwa, które wyraźnie pięło się w górę.

— Buntownicy bez powodu?

— Właśnie. A przynajmniej ja to tak widzę. Wielu z nas wyjechało za granicę na dalsze studia, a inni byli zbyt zajęci swoim nowym życiem w zamożnym społeczeństwie. Kiedy wszyscy uświadomiliśmy sobie, że to, co stworzyliśmy na uniwersytetach, stało się tym wielogłowym potworem, było już za późno.

— Ale kraj nie zawsze był zamożny, tato. Naira poleciała na łeb na szyję i było kilka wojskowych zamachów stanu.

— Przez co studenci, którzy przyszli po nas, stracili wiarę w nasze pokolenie. Zawaliliśmy sprawę, Kenny. Kiedy bractwa stały się sektami, moim zdaniem to było niemal tak, jakby młodsze pokolenie pokazało nam środkowy palec.

— A jeśli Kevin naprawdę należał do jakiejś sekty? — pytam. — A jeśli to wszystko przydarzyło się synowi Emeki dlatego, że naprawdę zrobił to, o co był oskarżany?

— Synu, nie namówiłem cię do podjęcia się tego zadania, żebyś się dowiedział, czy ten chłopiec należał do sekty. Chciałem, żebyś się dowiedział, dlaczego ten chłopiec został zabity, ponieważ widziałem, jak ta tragedia dręczy Emekę, dosłownie zabijając go na naszych oczach.

— A więc to jest misja ocalenia Emeki?

— Można tak powiedzieć. Tak zawsze robiliśmy od śmierci jego ojca.

Chociaż ta zasada wzajemnego dbania o siebie wydaje mi się godna podziwu, to nie mogę się pozbyć poczucia, że mój tata nie mówi mi wszystkiego. Za dobrze go znam — kiedy zaczyna filozofować, to zwykle dlatego, że odwraca uwagę od sedna sprawy. Lecz mija czas i wiem, że Chika będzie na mnie czekał, więc dziękuję papie i szybko się rozłączam.

Darujemy sobie śniadanie — chociaż wypijam duży kubek nie dobrej kawy, by złagodzić delikatne pulsowanie w głowie — i kwadrans po ósmej jedziemy w stronę US.

Wyciągam notatnik. Chika wydaje jęk. Patrzę na niego z uniesioną brwią.

— Kiedy pan to wyciąga, to znaczy, że pan nie spał.

— Cóż, nie spałem... A przynajmniej nie dość długo. — Przerzucam notatki. — Czy znamy liczbę bractw na US?

— Bractw? To tak je teraz nazywamy?

Nie mogę mu powiedzieć o moim tacie i jego przeczuleniu w kwestii sekt i bractw.

— A zatem sekt — poprawiam się, nie podnosząc wzroku. — Czy więc można się dowiedzieć, ile ich tam jest?

— Będą wszystkie te, które są reprezentowane w całym kraju na wszystkich kampusach...

— Jak Piraci?

— Tak, Wikingowie, Czarny Topór i Mafia...

— I będą też te specyficzne dla US? — przerywam, wertując notatki.

— Prawdopodobnie. — Chika kiwa głową. — Większość sekt powstaje w odwecie za działania

jakiejś innej. Jest bardzo prawdopodobne, że jacyś rozczarowani członkowie istniejącej sekty postanowili utworzyć własną, i nie jest ona jeszcze reprezentowana na innych uniwersytetach.

— I w tych wszystkich sektach są tylko chłopcy?

— Studentki też mają swoje, ale zdecydowanie nie tak brutalne. Do żeńskich wersji wstępują zwykle dziewczyny członków jakiejś sekty — mówi Chika i skręca.

W polu widzenia pojawia się wjazd do uniwersytetu.

— Jeśli Trzech z Okriki było członkami jakiejś sekty, to mamy jakieś szanse dowiedzieć się której?

— Usłyszysz pan plotki. — Chika wzrusza ramionami i przejeżdża przez potężną bramę. — Studenci będą szeptać nazwiska.

— Ale nie będziemy mogli potwierdzić, do której sekty należeli?

Chika znowu wzrusza po swojemu ramionami.

— To przecież tajemnica.

ODDZIELNE PLEMIE

Budynek Harcourta Whyte'a na Uniwersytecie Stanowym został tak nazwany ku czci autora piosenek, u którego zdiagnozowano trąd i który został wykluczony ze swojej społeczności na ponad trzy dekady. W tym czasie Harcourt założył z innymi trędowatymi chór i stworzył ponad sześćset hymnów. Jak na ironię, nie umarł na trąd, lecz zginął w wypadku samochodowym w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku.

W tym akademiku mieszkali Winston, Bona i Kevin w czasie, kiedy ponieśli śmierć. Posługując się moją listą rozmówców, wybranymi nazwiskami z dokumentów policyjnych oraz informacjami, które Tom Ikime polecił wydać mi swojej sekretarce, a także uniwersyteckim raportem na temat Trzech z Okriki, udało mi się wydedukować, że w okresie, w którym został zabity, Winston miał dwóch oficjalnych współlokatorów i trzech waletów. Dwaj z nich są obecnie na ostatnim roku studiów i nadal mieszkają w tym akademiku. Żaden ze współlokatorów Bony nie jest obecnie studentem, ale mamy nazwisko jednego ze studentów z jego grupy, który zajmował sąsiedni pokój. Ponieważ Kevin mieszkał w jedyńce i nie miał waleta, nie ma z kim rozmawiać.

Parkujemy przed wejściem do akademika; ja się rozglądam, a Chika idzie do ochroniarza, żeby zapytać o drogę i poprosić o jakiegokolwiek informacje, które pomogą nam rozpocząć rozmowę.

Po kilku minutach Chika wraca do mnie na parking. Uśmiecha się, w rękę trzyma pomiętą kartkę papieru. Przedziera ją na pół i jeden kawałek podaje mnie.

— Ochroniarz zna studentów, z którymi chcemy porozmawiać, a także numery pokoiów większości z nich.

Na mojej połówce figurują trzy nazwiska z ciągami liczb przy dwóch z nich.

— Domyślam się, że nie masz żadnej wskazówki co do naszego Tamuna.

Chika wzdycha.

— Mówiłem, że to pospolite imię.

Podnoszę wzrok na budynki: sześć trzypiętrowych bloków.

— Na którym piętrze jest E287?

Chika wskazuje kierunek, w którym powinienem się udać, po czym umawiamy się na spotkanie przy land cruiserze za godzinę. Jeśli nasze rozmowy się przedłużą, będziemy dzwonić.

Schody prowadzące na pierwsze piętro bloku nie są tak trudne do pokonania, jak się spodziewałem z uwagi na mojego kaca. Drzwi do pokoju E287 są uchylone, najwyraźniej po to, by się wietrzył, wzięwszy pod uwagę panującą spiekotę. W środku znajduje się dwóch młodych

ludzi: jeden leży na niepościelonym łóżku i jedząc ogromny kawał chleba, przerzuca podręcznik, a drugi podnosi z podłogi sfatygowany pojedynczy materac i wsuwa go pod drugie łóżko. Walet.

— Dzień dobry?

Obaj spoglądają na mnie.

— Szukam... — zerkam na kartkę papieru — Sobiego Karubo.

— Kto go szuka? — pyta ten od materaca.

— Jesteś Sobi?

— A jeżeli?

Jego podejrzliwość mnie nie zniechęca. Jestem pewien, że wyglądam tu tak samo nie na miejscu, jak striptiz w Watykanie.

— Jestem doktor Philip Taiwo.

Wchodzę do pokoju i wyciągam rękę. Słyszac mój amerykański akcent, drugi współlokator się ożywia.

— Chcę ci tylko zadać kilka pytań do prowadzonych przeze mnie badań. Nazywasz się Sobi Karubo?

Po chwili ostrożnego namysłu Sobi ściska moją dłoń.

— Jak mogę panu pomóc, sir?

Jego współlokator wstaje i zaprasza mnie, bym usiadł na łóżku. Dziękuję mu skinieniem głowy i przyjmuję propozycję. Student pakuje kilka książek, je i zarzuca sobie plecak na ramię serią zwinnych ruchów. Zostawia mnie z Sobim, który teraz siedzi naprzeciwko mnie na drugim pojedynczym łóżku.

— Chciałbym porozmawiać z tobą o Winstonie Babajidem Cokerze.

Przez sekundę panuje cisza.

— Jest pan z policji czy co?

— Nie. Piszę raport na temat tego incydentu.

— Ale nie jest pan stąd...

— Jestem związany z uniwersytetem w Stanach Zjednoczonych. — Ponieważ nie jest to całkowicie prawdą, dodaję szybko: — Prowadzę badania na temat działań wspólnych i w porozumieniu oraz panowania nad tłumem.

— Z którym uniwersytetem?

— USC.

— Karolina czy Kalifornia?

Wiedza chłopaka trochę mnie zaskakuje, ale szybko odzyskuję rezon.

— Kalifornia.

— Fajnie. Jak tylko się stąd wyniosę, złożę tam papiery na letni kurs produkcji filmowej.

— Świetny kurs. Dać ci kontakt do mnie? Kiedy będziesz gotowy, mogę cię poprzeć...

Trzy kwadranse później, odpowiedziawszy na wszystkie moje pytania, oprowadziwszy mnie po Budynku Harcourta Whyte'a i pokazawszy mi pokój, w którym mieszkał Winston — zamknięty na klucz, ale ze zdjęciem Winstona z napisem „Niezapomniany” przyklejonym na drzwiach — Sobi informuje mnie, że drugi rozmówca na mojej liście to „duch”.

— Tak naprawdę skończył studia w zeszłym roku, ale dostał pokój za dodatkową opłatą i go wynajmuje.

Nawet nie staram się udawać, że jestem zaskoczony.

— Bardzo mi pomogłeś, Sobi, ale zastanawiam się, czy znasz niejakiego Tamuna, który był przyjacielem Kevina Nwamadiego...

Sobi marszczy brwi.

— Nie jestem pewien, ale jeśli dobrze pamiętam, jedyny Tamuno, jakiego mogę powiązać

z Kevinem, to ten, który studiował na jego wydziale.

— Kevin miał się spotkać z Tamunem w dniu swojej śmierci.

— Poza kampusem? To byłoby dziwne, bo ten Tamuno mieszka tutaj.

Nie jestem przekonany, czy mówimy o tym samym Tamunie, ale nigdy nic nie wiadomo.

— Może wtedy mieszkał poza kampusem?

Sobi kręci głową.

— T-Man — tak go nazywamy — zawsze mieszkał na kampusie.

Patrzę na zegarek i szybko piszę SMS do Chiki, żeby dał mi jeszcze pół godziny.

— Myślisz, że gdzieś tu jest? — pytam Sobiego.

Sobi pokazuje ręką, żebym poszedł za nim.

— Nie zaszkodzi spróbować.

Zatrzymujemy się przed pokojem 481 i Sobi puka do drzwi. Cisza.

— To pracowity okres. Przykładowe posiedzenia sądu na wydziale prawa. Zwłaszcza dla studentów ostatniego roku.

Rozglądam się. Na tym piętrze jest mniej drzwi. Mówię o tym Sobiemu.

— Pojedyncze pokoje — wyjaśnia Sobi. — Droższe. Można taki dostać, jeśli złoży się podanie na czas i nie ma się nic przeciwko dawaniu w łapę. T-Man zawsze tu mieszkał.

To bezsensowne, żeby Kevin jechał aż do Okriki, żeby zobaczyć się ze studentem, który mieszkał w tym samym akademiku. Nie jestem całkiem przekonany, że ten Tamuno jest Tamunem, o którym mówiła Mercy.

Sobi idzie ze mną na parking. Dziękuję mu za poświęcony mi czas. Chika patrzy, jak student zapisuje mój numer i podaje mi dłoń, okraszając pożegnanie licznymi „sir”. Rusza w stronę akademika, ale najpierw nieśmiało macha Chice, lekko marszcząc czoło.

— Wie pan, że na pewno zadzwoni, prawda? — mówi Chika, kiedy tylko chłopak wychodzi poza zasięg słuchu.

— Nie szkodzi. Sprawia wrażenie bystrego młodzieńca. Jak ci poszło?

— Cóż, nie mogłem się uciec do amerykańskiego akcentu, ale tak się składa, że Tochukwu Nwandu jest z Enugu i odkryliśmy, że pochodzimy z tej samej okolicy.

— Jesteś z Enugu?

— Z Owerri. Ale Tochukwu tego nie wie.

Parskam śmiechem, ale jestem trochę zaniepokojony, że Chika potrafi mnie tak rozszyfrować. Rozszyfrować tak dobrze, że się domyślił, jak przekonałem Sobiego do rozmowy.

Wsiadamy do samochodu i Chika wyjeżdża z parkingu. Wcześniej umówiliśmy się na spotkanie z Ikimem, ale musi je potwierdzić jego sekretarka. Podobnie jak w kwestii dziekana wydziału prawa, niejakiego profesora Esohego, który upiera się, że zgody na spotkanie twarzą w twarz musi mu udzielić na piśmie sekretarz uniwersytetu.

— Pojedźmy gdzieś, gdzie możemy zaczekać, dzieląc się wrażeniami — proponuję. Na światłach Chika skręca, stosując się do drogowskiego z napisem „Do Wioski Studenckiej”.

Po dotarciu na miejsce okazuje się, że jest tam pełno stołówek, prowizorycznych antykwariatów i kilka kafejek internetowych. Wszędzie kręcą się studenci, niektórzy czytają, a inni już piją piwo, mimo że nie ma jeszcze południa. Atmosfera jest przesycona młodzieńczą beztróską, co sprawia, że się odprężam.

Znajdujemy dość spokojną stołówkę ze stolikami na zewnątrz. Przy stoliku obok nas siedzi troje studentów pochylonych nad laptopem: dwóch chłopców i dziewczyna w okularach. Zachowują się głośno, ale nie cały czas. Zamawiamy zimne napoje i coś, co chyba jest specjalnością stołówki — jajka zapieczone w grzance. Kiedy danie łąduje przed nami, okazuje się, że jest gorące, złocistobrazowe i przepyszne.

Mówię Chice, co Sobi powiedział o Tamunie.

— Mówiłem panu. To mógłby być każdy.

— Ten Tamuno stanowi klucz do wiedzy o tym, co Kevin robił tamtego dnia w tamtym pensjonacie. Ale jeśli ten, który mieszka na kampusie i przypadkiem jest też kolegą Kevina z grupy, nie jest tym Tamunem, którego szukamy...

Kręcę głową, już zastanawiając się nad kolejnymi posunięciami.

— Najpierw porównajmy, czego się dowiedzieliśmy — przerywa moje wywody Chika, wyciągając telefon, a następnie czyta z jego ekranu.

— To chukwu był współlokatorem Bony i pamięta, że kiedy Winston wyszedł tamtego dnia, był w pokoju.

Sprawdzam w moich ręcznie zapisanych notatkach.

— Pamiętał godzinę?

— Powiedział, że to było po południu. Tuż przed czwartą.

Marszczę brwi.

— Dlaczego jest taki pewien?

— Powiedział, że był jedną z osób, które złożyły oświadczenie policji i uniwersyteckiej komisji śledczej.

Przerzucam notatki.

— Sobi mówi, że mniej więcej o tej porze też był w pokoju i że po Winstona przyszedł Bona.

— Tak, najwyraźniej Bona powiedział Tochukwowi, że jedzie do miasta z Winstonem. Tochukwu powiedział, że założył, że chodzi o jakąś imprezę, bo Winston wyglądał naprawdę modnie.

— To samo z Sobim. Powiedział, że Winston sprawiał wrażenie podekscytowanego i że jest pewien, że miało to związek z dziewczynami, bo kiedy przyszedł Bona, to zanim wyszli około czwartej, obaj dużo gwizdali i się śmiali.

Chika kiwa głową.

— Zgadza się z czasem podanym przez Tochukwu.

— Jeśli skorzystali z transportu publicznego, to dotarcie do Okriki zajęło im przynajmniej pół godziny.

— Tak. Z policyjnych raportów wynika, że chłopcy zostali schwytani — Chika przy tym słowie pokazuje w powietrzu palcami znak cudzysłowu — około siedemnastej trzydzieści.

Wzdrygam się mimowolnie, obliczając w myślach czas trwania gehenny chłopców. Z raportów wynika, że tych trzech chłopców spalono około dziewiętnastej piętnaście, i potwierdzają to sygnatury czasowe na niektórych nagraniach umieszczonych w internecie. To by oznaczało, że chłopców bito i torturowano niemal dwie godziny, zanim ich w końcu uśmiercono.

— Sobi powiedział, że Kevina nie było. Że do pokoju po Winstona przyszedł tylko Bona.

— Co więcej — mówi Chika — Tochukwu powiedział, że wiedziałby, gdyby Kevin wybrał się z Boną do Okriki.

— Dlaczego?

— Bo Kevin był jego przyjacielem. Mówi, że Kevin wciąż go pytał, jak może mieszkać z kimś takim jak Bona.

— Dlaczego Kevin miałby o to pytać Tochukwu?

— Z powodu plotek, że Bona należy do jakiejś sekty. Zdaje się, że Bona i Kevin trochę się przyjaźnili, ale pokłócili się, kiedy Kevin się dowiedział, że Bona jest w sekcie.

— A więc Tochukwu może potwierdzić, czy Bona był członkiem sekty? — przerywam szybko Chice.

Ten wzrusza ramionami.

— Twierdzi, że nikt nie wie tego na pewno. Z pewnością Bona miał liczne powiązania i był lubiany, ale nie był brutalem. Zawsze dobrze ubrany, zawsze pilnował swojego wizerunku, jeśli chodzi o dziewczyny, i zdecydowanie był imprezowiczem.

— Sobi to samo mówi o Winstonie. Powiedział, że czasami myślał, iż Winstonowi zależy na plotkach, że należy do sekty, i że zdarzało mu się przechwalać, iż — czytam z notatek — „przy...doli każdemu, kto z nim zadrze, bo jest donem”.

Chika ściera z podbródka i warg okruszki chleba.

— Według Tochukwu Bonie zdarzało się grozić i przechwalać swoimi powiązaniem, ale nikt nie potrafi przypisać mu bezpośrednio jakiegokolwiek przemocy. Domyślam się jednak, że jeśli stali wysoko w hierarchii sekty, to mogli wydawać rozkazy, niekoniecznie brudząc sobie ręce.

— To dlaczego nie rozkazali udać się do Okriki swoim sługusom? — pytam.

— Może pula była wyższa?

— Pula, w której był laptop i telefony komórkowe? — Parskam. — Przedmioty tego samego rodzaju jak te, które według Godwina zabierano mu w przeszłości przy minimum przemocy?

— Ma pan rację — zgadza się Chika.

Kiedy przetykam ostatni kęs kanapki z jajkiem, dzwoni mój telefon. Nie rozpoznaję numeru, ale odbieram połączenie.

— Słucham?

— Doktor Taiwo?

Nie znam tego głosu.

— Przy telefonie.

— Kiedy wychodziłem z zajęć, spotkałem Sobiego. Mówi, że pan mnie szuka.

Staram się, by w moim głosie nie brzmiało podekscytowanie.

— A mam przyjemność z...?

— Tamunem.

PRZEŁOM

Do stołówki wchodzi młodzieniec, który, jak zakładam, jest Tamunem. Wydaje mi się, że to on, ponieważ zatrzymuje się w drzwiach i rozgląda dookoła, omijając wzrokiem grupkę rozdyktowanych studentów i zatrzymując go na stoliku, przy którym siedzę z Chiką.

Jest wysoki, a nawet tyczkowaty; jego jasnobrażową skórę pokrywa lśniąca warstewka potu, który być może wywołał wysiłek, jakiego wymagało dotarcie piechotą z Budynku Harcourta Whyte'a do Wioski. Ma na sobie nieco pomiętą białą koszulę wyłożoną na starannie wyprasowane ciemnoniebieskie spodnie.

Podchodzi do nas i przenosi wzrok z Chiki na mnie.

— Doktor Taiwo?

Podoba mi się, że nie jest zarozumiały. Wyciągam rękę.

— To ja. Tamuno?

— Tak, sir. Tamunotonye Princewill. Wszyscy nazywają mnie Tamunem.

Chika wysuwa krzesło, chłopiec na nim siada.

— Jestem Chika Makuochi.

— Miło pana poznać, sir.

— Dziękuję, że przyszedłeś — mówię, by młodzieniec poczuł się swobodniej. — Już mieliśmy porzucić nadzieję, że uda nam się do ciebie dotrzeć. W okolicy jest dużo Tamunów, a mieliśmy tylko samo imię bez nazwiska.

Chłopak śmieje się z zażenowaniem.

— To przekleństwo i błogosławieństwo, sir.

— Czy Sobi powiedział, dlaczego cię szukamy? — pytam, ciekaw, ile wie.

— Tak, sir. Dlatego musiałem się z panami spotkać.

Zapał chłopca mnie zaskakuje, a tkwiący we mnie śledczy robi się podejrzliwy. Pełni zapału świadkowie stanowią zwykle sygnał ostrzegawczy.

Decyduję się na szczerłość.

— Prawda jest taka, że piszemy raport w sprawie Trzech z Okriki i nie jest to losowe badanie działań wspólnych i w porozumieniu, jak powiedziałem Sobiemu.

Mina Tamuna się wydłuża.

— Rozumiem, sir. W gruncie rzeczy podejrzewałem, że chodzi o to, ponieważ Sobi powiedział, że wszystkie pańskie pytania dotyczyły właśnie ich.

Kiwam głową do Chiki, żeby się odezwał, bo widzę, że aż się do tego pali, a ja chcę na spokojnie przyjrzeć się młodzieńcowi.

— Powiedziano nam, że tamtego dnia Kevin udał się do pensjonatu w Okriki, żeby się z tobą spotkać.

Tamuno patrzy na Chikę ze zmarszczonym czołem.

— Nie całkiem. Umówiliśmy się tam na spotkanie.

Usiłuję pohamować ekscytację. To naprawdę jest właściwy Tamuno.

— Dlaczego? — pytam. — Obaj mieszkaliście na kampusie, prawda?

— Powodem był nasz referat, sir — odpowiada Tamuno. — A właściwie mój referat. Pisałem pracę o skutkach antygejowskich przepisów, które weszły w życie kilka miesięcy przed tą tragedią.

Chika patrzy na mnie z lekko uniesionymi brwiami, jakby pytał, co o tym wiem.

Kiwam głową. Razem z Folake należeliśmy w Stanach do grupy Nigeryjczyków, która podpisała sporządzoną w mocnych słowach petycję do konsulatu w Waszyngtonie, potępiającą to homofobiczne prawo, które wprawiło w przerażenie większość międzynarodowej społeczności oraz działających na całym globie aktywistów na rzecz praw człowieka.

— W referacie badałem formalne konsekwencje ścigania osób oskarżonych o podejmowanie działań homoseksualnych.

— Kevin pomagał ci w pisaniu? — pyta Chika.

— Nie bardzo. Miał w tym własny interes. Jego przyjaciel Momoh został aresztowany na podstawie podejrzeń o angażowanie się w działania homoseksualne, ale umarł w areszcie.

Marszczę czoło.

— Momoh?

— Momoh Kadiri, tak.

— Tego Momoha aresztowała policja w Okriki? — pyta Chika, biorąc przykład ze mnie i zachowując się, jakbyśmy zetknęli się z tym imieniem po raz pierwszy.

— Tak, ale umarł w areszcie. Doznał ataku astmy, a w więzieniu nie miał dostępu do opieki medycznej.

— I Kevin o tym wiedział? — pytam.

— Kevin nie wiedział niczego poza tym, że chciał, by policja została pociągnięta do odpowiedzialności. Momoh był jego przyjacielem i Kevin zapoczątkował na kampusie ruch żądający od uniwersytetu pozwania policji do sądu. Oczywiście nie doszło do tego, ale moim zdaniem policja w Okriki była bardzo świadoma działań Kevina i dlatego nie wkroczyła do akcji, żeby pomóc jemu i tym dwóm innym, kiedy zaatakował ich tłum.

— Myślisz, że policja ich wystawiła? — pytam.

— Gdyby chodziło tylko o Kevina, powiedziałbym, że tak, lecz udział tych dwóch innych podaje

moją hipotezę w wątpliwość.

— A jeśli chodzi o tego Momoha, to jakie wydano orzeczenie w związku z jego śmiercią? — pytam.

— Przypadek — mówi lekceważąco Tamuno. — Dowiedziono, że chociaż podczas pobytu Momoha w areszcie śledczym jego pojemnik z ventolinem był pusty, to policja mu go nie skonfiskowała, jak początkowo zapisano w raporcie. Po prostu robiła, co do niej należało.

Wygodnie. Moje następne spotkanie z inspektorem Omerejim zapowiada się bardzo interesująco.

— A więc po co dokładnie miałeś się spotkać z Kevinem? — pyta Chika.

— Mieliliśmy wypytać o to Godwina.

— Godwina? — mówimy z Chiką prawie jednocześnie, nie mogąc ukryć zaskoczenia.

W tym momencie Tamuno rozgląda się, jakby sprawdzał, czy ktoś nas nie podsłuchuje, i konspiracyjnie ścisza głos.

— Kevin miał informację z wiarygodnego źródła, że to Godwin doniósł policji na Momoha, twierdząc, że ma w telefonie gejowskie porno.

— Kevin ci to powiedział? — pytam.

— Tak. — Tamuno kiwa głową. — Pokazał mi SMS-y, jakie wymienił w tej sprawie z Godwinem. Zapytał go o to, a Godwin oczywiście wszystkiemu zaprzeczył.

Za każdym razem, kiedy Tamuno wypowiada imię Godwina, robi to z wyraźną pogardą.

— A więc postanowiliście pójść do niego, żeby porozmawiać z nim osobiście...? — podsuwa mu Chika.

— Kiedy Kevin dowiedział się, o czym jest mój referat, zaproponował mi pomoc. Zamierzaliśmy tylko zadać Godwinowi kilka pytań, które albo potwierdziłyby, albo obaliłyby jego podejrzenia.

— Ale dlaczego Godwin miałby robić coś takiego temu Momohowi? — pytam ze szczerym zdziwieniem.

Tamuno znowu się rozgląda, chcąc się upewnić, że w zasięgu słuchu nie ma nikogo.

— Bo Momoh odkrył, że Godwin sprzedaje narkotyki, i zamierzał to ujawnić.

— Godwin sprzedawał narkotyki? — pyta Chika, w żaden sposób nie dając do zrozumienia, że to potwierdza jego wcześniejszą teorię.

— Na dużą skalę, sir. Kiedy Momoh to odkrył, Godwin kazał mu siedzieć cicho, strasząc, że w przeciwnym razie pożałuje. Momoh powiedział, że źle się czuje z podejrzanymi ludźmi, którzy przychodzą do pensjonatu o różnych porach nocy. Hałasowali, a czasem dopuszczali się przemocy. Momoh dał Godwinowi ultimatum, żeby się wyprowadził, bo inaczej zamierzał donieść na niego policji i władzom uczelni.

— Chcesz powiedzieć, że Godwin miał na pieńku z tym Momohem? — pytam, także ścisząc głos.

— Tak, sir. Kevin powiedział mi, że Momoh poprosił go o radę, jak ma postąpić w tej sytuacji, więc wiedział, że to Godwin powiedział policji o zdjęciach w telefonie Momoha. Policja powiedziała, że podjęła działania po anonimowym zgłoszeniu, a fakt, że w dniu aresztowania Momoha jego inhalator był jakimś sposobem pusty, wskazywał, że ktoś to wszystko zaplanował.

— Ale Kevin nie miał pewności, że to był Godwin?

Kevin wiedział, że nikt inny nie miał motywu. Pytanie, czy Godwin wiedział, że Momoh umrze w areszcie, a Kevin uznał, że rozmowa z Godwinem ujawni prawdę.

— I chciał, żebyś z nim poszedł?

— Nie, sir, nie chciał. — Tamuno znowu robi smutną minę. — Ja mu to zaproponowałem. Ponieważ mój referat dotyczył ciężaru dowodów w sądowym ściganiu takich wykroczeń, chciałem się dowiedzieć, czy założenia Kevina są słuszne.

— Czy Kevin wiedział, że Godwin bierze narkotyki? — pyta Chika.

— Wszyscy to wiedzieli — mówi Tamuno lekceważącym tonem. — W gruncie rzeczy liczyliśmy z Kevinem na to, że Godwin będzie tak naćpany, że przyzna się do roli, jaką odegrał w śmierci Momoha. Nawet zamierzaliśmy nagrać tę rozmowę.

— Godwin twierdzi, że nie wie, w jaki sposób Kevin stał się jednym z Trzech z Okriki — mówię, patrząc Tamunowi w oczy.

— Kłamie! — Tamuno podnosi głos, w którym pogarda miesza się z oburzeniem. — Może nie wiedział, że chcemy go odwiedzić, ale przypuszczam, że Winston i Bona przyszli do niego, żeby kupić narkotyki, musiała się wywiązać walka i pewnie wtedy na scenę wkroczył Kevin.

Kręcę głową.

— Ale jeśli przyszli kupić narkotyki, to po co broń? Przecież byli klientami.

Tamuno wzrusza ramionami.

— Z tym chłopakiem nigdy nic nie wiadomo. Niektórzy mówią, że był winien Winstonowi pieniądze, że oni chcieli zamiast nich narkotyki i że on nie chciał ich dać. A jeśli był tam Kevin i zarzucał mu przyczynienie się do śmierci Momoha, to mogę sobie wyobrazić, że Godwin czuł się zagrożony ze wszystkich stron. To zapewne było za wiele dla jego umysłu otumanionego narkotykami. Zawołał o pomoc i mieszkańcy miasta ruszyli do pensjonatu. Reszta to już...

Tamuno kręci ze smutkiem głową i sprawia wrażenie, że jest bliski łez. Pozwalam mu się uspokoić. Zapada krótka cisza.

— Miałeś się spotkać z Kevinem. Dlaczego cię tam nie było? Gdzie byłeś?

Tamuno oddycha głęboko.

— Może to wszystko to moja wina, sir.

— Dlaczego tak mówisz? — pytam.

— Bo tamtego dnia miałem mnóstwo zajęć, które się przeciągnęły, więc zadzwoniłem do Kevina, żeby przełożyć to spotkanie na później, ale on powiedział, że już tam jedzie. Błagałem go, żeby zaczekał, ale się nie zgodził.

Poznawszy jego ojca, potrafię sobie wyobrazić, że Kevin Nwamadi tak by postąpił.

— A więc nawet nie widziałeś, co się naprawdę wydarzyło? — pyta Chika, zanim udaje mi się poradzić młodzieńcowi, żeby nie winił się za coś, co wyraźnie nie zależało od niego.

Tamuno kręci głową i wzdycha głęboko.

— Nie podzieliłeś się tymi informacjami z policją? — pyta Chika.

— Zrobiłem to, sir! — mówi Tamuno takim tonem, jakbyśmy mu zaprzeczali. — Przysięgam, że poszedłem tam zaraz następnego dnia po tej tragedii i poprosiłem o rozmowę z oficerem śledczym. Powiedziałem mu, co wiedziałem, ale odparł, że ponieważ mnie tam nie było, to to wszystko są tylko domysły. Posunąłem się do tego, że powiedziałem mu, iż dlatego nie chce przyjąć mojego zeznania, że jest ono dowodem na to, iż Godwin być może posłużył się policją do pozbycia się Momoha. Śledczy mnie odesłał i powiedział, że mam wrócić, kiedy będę gotów mówić prawdę.

Nawet jeśli inspektora Omerejiego nie było w Okriki, kiedy doszło do tych wydarzeń, to nie tłumię to gniewu, jaki odczuwam za każdym razem, kiedy zastanawiam się nad rolą, jaką odegrała — lub nie — w tym wszystkim policja. Tak przekonujący opis przedstawiony przez kogoś takiego jak Tamuno rzuciłby mnóstwo nowego światła na to, co się wydarzyło tamtego październikowego dnia.

— Bardzo ci dziękuję, Tamunie — mówię. — Ogromnie nam pomogłeś.

Chłopak kiwa głową, w jego oczach lśnią łzy.

— Cieszę się, że w końcu ktoś mnie wysłuchał. Wiem, że nie przywróci to życia Kevinowi ani tamtym dwóm, ale mogę zrobić chociaż tyle.

Nie mam więcej pytań do Tamuna, ponieważ myślę tylko o tym, że jeszcze raz muszę

porozmawiać z Godwinem.

MOCNE PODEJRZENIE

Kiedy tylko wypuszczamy Tamuna z samochodu przy Budynku Harcourta Whyte'a, dzwonię do biura Toma Ikimego. Sekretarka mówi, że go nie ma. Proszę o list dla dziekana wydziału prawa i słyszę, że nie jest jeszcze gotowy. Ukrywam irytację i proszę o przekazanie informacji o moim zamiarze przeprowadzenia ponownej rozmowy z Godwinem.

— Dam mu znać, sir.

Sekretarka przerywa połączenie bez pożegnania.

Odkładam telefon ze złością.

— Możemy pojechać do jego akademika — mówi Chika.

— Znasz go?

Jestem zaskoczony, chociaż teraz już wiem, że niesłusznie.

— Jeśli popytamy, to może ktoś nam powie, gdzie on mieszka.

Jestem pewien, że Chika ma rację, lecz jeżeli porozmawiamy z Godwinem bez zgody lub wiedzy sekretarza, to może się on nie wykazać podobnym zrozumieniem.

— Nie — mówię. — Wracajmy do hotelu. Zanim ponownie spotkamy się z Godwinem, chcę dokładnie wiedzieć, co ma nam wyjaśnić.

— Na przykład?

— Obraz wydarzeń, jaki ma Tamuno, zgadza się z tym, co zapamiętała Mercy, ale czy może też być tak, że Godwin nie przypomina sobie prawdziwego ich przebiegu, bo był naćpany?

— Możliwe, ale miał półtora roku na zmianę zeznania i tego nie zrobił. Twierdzi, że nie wie, dlaczego Kevin znalazł się w pensjonacie. Jego opis zgadza się z chronologią wydarzeń aż do incydentu z Momohem i ją potwierdza. W końcu wyjaśnia się, dlaczego policja nie pomogła, kiedy okazało się, że jest w to też zamieszany Kevin.

Zgadzam się, lecz to wszystko jest zbyt łatwe. To, że trzy osoby straciły życie z powodu kłamstw Godwina, wydaje się zbyt wygodne. Poza tym nie chcę być na tyle arogancki, by uważać, że znalazłem odpowiedzi w niecałe cztery dni, kiedy nawet wielomiesięczne niezależne śledztwo Emeki nie potrafiło odkryć prawdy o tym, co doprowadziło do wydarzeń owego dnia.

Kiedy, wyjeżdżając przez główną bramę kampusu, mijamy uniwersytecki przystanek autobusowy, coś mi przychodzi do głowy.

— Czy zawsze tak jest? — pytam, rozglądając się po rzędach samochodów i motocykli.

— Jak?

— Bez dużego ruchu.

— Ale ruch jest duży — mówi Chika i zwalnia. — Transport publiczny ma zakaz wjazdu na kampus. To są akredytowane taksówki. Ruch jest bardzo duży.

— A motocykle? One wyjeżdżają też poza kampus?

— Jeśli odpowiednio się zapłaci, ale służą głównie do jeżdżenia po kampusie. Nie ma powodu wyjeżdżać nimi poza kampus, chyba że komuś bardzo się śpieszy.

Obserwuję zdyscyplinowany ruch podjeżdżających i odjeżdżających taksówek. Chika ma rację.

— Jeśli tak tu wygląda największe nasilenie ruchu, to Bona i Winston nie mieliby powodu, by korzystać z motocykla.

— Zgoda — mówi Chika. — A ponieważ to był weekend i ruch niemal na pewno nie był większy niż teraz, to najprawdopodobniej po wyjściu z akademika od razu wsiedli do taksówki.

Kiedy wyjeżdżamy z kampusu, naciskam stoper w telefonie.

— Sądzę, że przejście z Budynku Whyte'a do przystanku nie powinno zająć więcej niż piętnaście

do dwudziestu minut. Jak się do tego doda godzinę, o której wyszli, to do taksówki wsiedli, powiedzmy, około szesnastej dwadzieścia?

Chika kiwa głową.

— Brzmi sensownie...

Kiedy wjeżdżamy do miasteczka, wciąż obliczam, ile czasu musiało zająć Bonie i Winstonowi dotarcie do Okriki. Na wysokości posterunku policji zerkam na stoper.

— Siedemnaście minut od postoju taksówek — mówię, marszcząc czoło. — Czy pasażerowie wysiadają z taksówek u celu podróży, czy tylko na przystankach autobusowych?

— To zależy. Każdy może dojechać aż do ostatniego przystanku, ale jeśli po drodze jest cel podróży, to kierowca się tam zatrzyma.

Oglądam się na posterunek policji i znowu uderza mnie myśl, że to jest zbyt łatwe. Nawet próba odtworzenia osi czasowej przybycia chłopców do Okriki wydaje się niepotrzebna, jeśli Godwin kłamał.

— Złożmy krótką wizytę naszym przyjaciółom na policji.

Chika zawraca bez słowa sprzeciwu. Może ze względu na porę dnia posterunek jest stosunkowo pusty. Nie ma niegrzecznego żółtodzioba, a funkcjonariusza ze znudzoną miną, który po potwierdzeniu, że inspektor może nam poświęcić chwilę czasu, nie każe nam czekać, wcześniej nie widzieliśmy.

— Jest pan tego pewien? — pyta ściszym tonem Chika, kiedy po drodze do biura Omerejiego mijamy cele.

— Nie. — Zwalniam kroku, ale mówię szybko. — Nie było go tu, kiedy to wszystko się wydarzyło, ale chcę zdobyć jakieś pojęcie o tym, co wiedział i ukrył, a czego wprost nie chciał badać dalej.

— To dużo.

— Powiedzmy, że po rozmowie z Tamunem czuję, że mam szczęście.

Kilka minut później biuro inspektora Mike'a Omerejiego rozbrzmiewa jego szyderym śmiechem.

— Czy to najlepsze, co może pan wymyślić?

— Nie zaprzecza pan — mówię, patrząc mu w oczy.

— Bo nie ma tu czemu zaprzeczać — odpowiada ostro.

— Musi pan przyznać, że nie wygląda to dobrze dla policji... — odzywa się Chika, który stoi przy drzwiach.

— Nie mówiłem do ciebie — warczy Omereji.

— Proszę się tak do mnie nie zwracać — mówi bardzo cicho Chika.

Chociaż wiem, że nie kieruje tego do mnie, czuję zimny dreszcz.

— Jesteś w moim biurze — stwierdza Omereji takim samym tonem.

— A pan jest urzędnikiem publicznym, który nie ma powodu, by tak do mnie mówić — odpowiada Chika.

— Panowie!

Podnoszę głos, by przeciąć narastające między nimi napięcie, bo patrzą na siebie jak wygłodniałe psy, które chcą się nawzajem rozszarpać na kawałki.

— To koniec tej rozmowy — syczy inspektor Omereji. — I, dla ścisłości, wszystkich innych rozmów z panami w przyszłości. Mogą panowie odejść.

— Chcemy po prostu otrzymać odpowiedzi na kilka pytań, panie inspektorze — mówię.

— Rzuca pan mnóstwo oskarżeń.

— Mówimy panu, czego się dowiedzieliśmy! — Mimowolnie podnoszę głos. — Tego Momoha Kadiriego aresztowała tutejsza policja. Został umieszczony w areszcie, doznał ataku astmy

i umarł.

— Policja zaraziła go astmą?

Nie zwracam uwagi na jego sarkazm.

— Nie otrzymał leczenia...

— A co to ma wspólnego z Trzema z Okriki? — znowu przerywa Omereji.

— Wiemy, że Kevin zapoczątkował w mediach społecznościowych ruch mający na celu zmuszenie policji do przyjęcia odpowiedzialności za to, co się stało z Momohem — mówi Chika.

— Kampania #sprawiedliwosc4momoh zyskiwała popularność...

— Gdzie? — pyta drwiąco Omereji. — Na kampusie? Wśród podobnych mu awanturników i członków sekt?

— Nieważne, czyją przyciągnęła uwagę — warczę, nie posiadając się z irytacji. — Przyciągnęła uwagę, a policji to się nie spodobało.

— A więc my go wystawiliśmy? Policji jakimś sposobem udało się zrobić go w rabunek z bronią w rękę i napuścić na niego całe miasteczko, żeby mieszkańcy go pobili wraz z jego przyjaciółmi i spalili?

Oddycham głęboko i próbuję innej taktyki.

— Nawet tu pana nie było, kiedy do tego doszło. My tylko prosimy, żeby zajął pan...

— Panie doktorze, oskarża pan policję o morderstwo i zmowę. Ja mam na tym posterunku najwyższą rangę, proszę o wybaczenie, jeśli czuję się urażony w imieniu całej jednostki.

— Proszę mnie wysłuchać — mówię, wyciągając rękę w pojednawczym geście. — Nie mówimy, że policja wystawiła tych chłopców. Mówimy, nie: sugerujemy, że może kiedy zdała sobie sprawę, że jednym z nich jest Kevin, nie czuła się zmotywowana, by im pomóc.

— Panie doktorze, to był tłum. Rozzłoszczony tłum. Naprawdę myśli pan, że ktokolwiek miał dość przytomności umysłu, by działać w tak wyrachowany sposób?

— Ale pan temu nie zaprzecza — upieram się przy swoim.

— Dobra, amatorzy. — Inspektor odchyła się na oparcie krzesła; teraz jego uśmiech jest protekcyjny. — Zadam wam tylko dwa pytania, a jeśli na nie odpowiecie, to pójdę na dalsze ustępstwa. Gotowi?

Milczymy. Omereji brnie dalej.

— Po pierwsze, ten Momoh został aresztowany, bo policja dostała cynk. Czytałem raport. Czy ktoś się kiedykolwiek zastanawiał, od kogo pochodził ten cynk?

— Policja powiedziała, że był anonimowy — odpowiadam.

— Anonimowy cynk po prostu oznacza, że w ujawnieniu danej informacji ktoś ma jakiś interes

— mówi drwiącym tonem inspektor. — Co więcej, policja usiłowała się dowiedzieć, kto zadzwonił z donosem na tę konkretną osobę, i udało nam się jedynie ustalić numer telefonu na kartę, który nie był nawet zarejestrowany u operatora sieci.

— To wygodne — mówi Chika, a ja rzucam mu ostrzegawcze spojrzenie.

Inspektor Omereji nie zwraca na niego uwagi.

— Po drugie, jeśli sąd już orzekł, że śmierć Momoha była przypadkowa, to za jak szkodliwą waszym zdaniem policja uznałaby kampanię Kevina w mediach społecznościowych?

— On pochodzi z wpływowej rodziny. Mógłby przyciągnąć więcej uwagi niż ktoś z rodziny mniej ustosunkowanej — ripostuję.

— Bzdura. Kevin Nwamadi nie ogłaszał na swojej stronie na facebooku swojego pochodzenia. Był po prostu studentem, który robił trochę hałasu w związku ze śmiercią innego studenta. Proste. Myślicie, że policję obchodziło to na tyle, żeby doprowadzić do jego śmierci?

— Posłuchaj, Mike. — Milknę na chwilę. — Mogę ci mówić po imieniu, tak? — Nie czekam na odpowiedź. — Prosimy cię tylko o to, żebyś rozważył różne możliwości. W związku z tą sprawą

pojawia się mnóstwo pytań pozostawionych bez odpowiedzi, a ja mam nadzieję, że twoje poczucie odpowiedzialności każe ci te odpowiedzi znaleźć. Tylko zastanów się nad możliwością, że w twoim zespole doszło do zmywy. Pozwól mi porozmawiać ze śledczymi, podaj mi kontakt do tego przeniesionego funkcjonariusza. Pozwól mi...

— Nie.

Mówi to tonem stanowczym i ostatecznym.

— I dziwisz się, dlaczego podejrzewamy policję o nieczystą grę?

— Kiedy przyszłście tu pierwszy raz, powiedziałem, żebyście nie rozdrapywali starych ran. A teraz prosicie mnie o pomoc w robieniu dokładnie tego, co zakazałem wam robić.

Nagle mam dość uporu Omerejiego. Poza tym przyszedłem tutaj powodowany przecuciem, bez sprecyzowanej strategii, więc jałowość tej rozmowy staje się wyraźna. Wstaję.

— Po prostu się nad tym zastanów. Jesteśmy w tej sprawie po tej samej stronie.

— Doprawdy?

Wzrok Omerejiego jest wrogi.

— Chodźmy, Chiko.

— Już mu powiedziałeś, Chiko? — mówi Omereji, kiedy znajdujemy się przy drzwiach. — Czy powiedziałeś dobremu doktorowi, kim jesteś?

— A kim jestem?

W głosie Chiki brzmi wyzwanie.

Inspektor uśmiecha się okrutnie i rozsiada wygodnie na krześle, nie spuszczać z nas wzroku.

— Byłem studentem bawiącym się w detektywa.

Chwytam Chikę za ramię i kręcę głową.

— To jest nie na miejscu...

Chika próbuje strząsnąć moją dłoń, ale ja ją zaciskam mocniej.

— Proszę cię, Chiko — mówi zza biurka inspektor. — Jak to się mówi w filmach, popraw mi humor. W areszcie jest bardzo przyjazna grupa mężczyzn, którzy bardzo chętnie by cię poznali.

— Chiko!

Pociągam mocniej i Chika ulega. Wyszarpuje się z mojego uścisku i wychodzi.

— Co to wszystko miało być? — pytam Omerejiego.

— To ty jesteś śledczym. Zajmij się śledztwem. Ja tylko sugeruję, żebyś zaczął na swoim podwórku.

JA IM ZABIĆ?

Za dużo się dzisiaj wydarzyło i płonę z ciekawości, ale muszę się skupić na moim prawdziwym zadaniu w Okriki i nie pytam Chiki, co Omereji miał na myśli. Wsiadam do land cruisera i pokazuję ręką w stronę pensjonatu.

— Podjedźmy bliżej.

Chika bez słowa jedzie we wskazanym kierunku i parkuje naprzeciwko budynku, który sprawia wrażenie tak samo opuszczonego, jak za pierwszym razem, kiedy tu byliśmy. Wsiadam z auta. Chika idzie za moim przykładem.

— Dojazd do tego miejsca z Budynku Whyte'a nie mógł im zająć więcej niż czterdzieści minut. Pasuje to do zeznania Godwina, że dotarli do jego domu około piątej.

— Nawet w tak stresujących okolicznościach zapamiętał dokładną godzinę, o której przybyli tu Winston i Bona — mówi znacząco Chika.

— W gruncie rzeczy ten stres tak naprawdę nie był duży — mówię, mrużąc oczy w tak ostrym blasku słońca, że nie chronią mnie przed nim nawet moje okulary przeciwsłoneczne. — Przede

wszystkim zadawano mu to pytanie tyle razy, że można dojść do wniosku, że na poparcie swoich twierdzeń musiał nabrać pewności co do przedstawianych przez siebie faktów. Poza tym sądzę, że pod groźbą użycia broni człowiek zapamiętuje wszystko z dokładnością co do sekundy.

— I nie pamięta, kiedy do towarzystwa dołącza inny człowiek?

— Mówił, że nie wie — zauważam. — Nie, że nie pamięta...

Chika prycha.

— Bardzo bym chciał umieścić go w jednym pokoju z Tamunem.

Już mam powiedzieć, że mogłoby to być niezłym pomysłem, ale kątem oka widzę, że zza budynku wyłania się madam gospodyni z dużą chustą zawiązaną na biuście. W rękę trzyma maczetę. Idzie wprost na nas, a jej agresywna postawa świadczy, że teraz już zna prawdziwy cel naszego przyjazdu do Okriki.

— Znowu wy! — krzyczy, zbliżając się do nas. — Awanturnicy!

— Proszę pani... — zaczynam uspokajającym tonem.

— Mów tak do swojej mamy! Wynocha z mojej działki! Już!

— Formalnie rzecz biorąc, znajdujemy się poza nią — mówi spokojnie Chika.

Wściekłość gospodyni sięga punktu wrzenia.

— Chcecie mi prawnik na mojej posiadłości? — Odwraca głowę i podnosi głos. — Oni tu znowu, o! Ludzie mi na pomoc, o! Oni tu znowu, o!

Chika i ja biegniemy do land cruisera i szybko do niego wsiadamy.

— Wy uciekacie? Wracać już! Awanturnicy! Ludzie mi na pomoc, o!

Wrzeszczy na całe gardło i wygraża nam maczetą, a całe jej ciało trzęsie się z gniewu. Pokazały się trzy, a potem cztery osoby, bardziej zaciekawione niż groźne, ale żadna z nich nie prosi gospodyni, by się uspokoiła. Chika gwałtownie wyjeżdża na drogę do wtóru wrzasków madam gospodyni, mającej teraz więcej słuchaczy.

— Awanturnicy! Dajcie mi spokój! Ja im zabić? Nie zapłaciłam już dość? Dajcie mi spokój! Czego znowu ode mnie chcecie?

Krzyczy z takim wigorem, że boję się, że spadnie jej ta chusta.

Nawet kiedy Chika skręca za róg i gospodyni już nie widać, przez całą drogę do hotelu Royale towarzyszy mi w wyobraźni jej piskliwy głos i rozgniewana twarz. Dzisiejszy dzień potwierdza to, że brawura, którą popisywała się podczas naszego pierwszego spotkania, była udawana. Jeśli ktokolwiek w miasteczku odczuwał skutki tragedii Trzech z Okriki, to byli to ludzie jak gospodyni, którzy stracili przychody, reputację i spokój ducha.

Chociaż bardzo się staram przywołać trochę współczucia dla niej, nie mogę opanować irytacji pochopnością jej działania. Bezmyślna wściekłość malująca się na jej twarzy, kiedy ruszyła na nas, zapewne przypomina gniew, jaki czuli jej sąsiedzi, słysząc strzały i wrzaski Godwina.

Nie mogę się przyzwyczaić do tej natychmiastowej gwałtownej reakcji na niemal wszystko w Nigerii. Tyle agresji i gniewu w powietrzu. Są takie miejsca w Stanach, gdzie wyczuwam podobny rodzaj poruszenia. Odwiedziny w Nowym Jorku wprawiają mnie w trwały stan niepokoju, a mój brat bliźniak, który mieszka w Chicago, nie potrafi mnie namówić, bym spędził u niego w domu więcej czasu niż jeden wieczór. Rozumiem więc, jak przestępstwa napędzają niepokój w większości dużych miast. Wiem także, jak powtarzające się przestępstwa potrafią określić stan emocjonalny danej społeczności. Lecz Okriki to nieduże miasto. Mimo to jest tu wściekłość, która, jak się zdaje, jest zwrócona przeciwko wszystkiemu i wszystkim naraz.

— Dlaczego oni są tak rozżłoszczeni? — zastanawiam się na głos.

— Bo nie mają powodu do zadowolenia? — odpowiada oschłym tonem Chika. — Niech pan się rozejrzy. Nie ma elektryczności, budynki szkolne są zniszczone, nie ma bieżącej wody, bezpieczeństwa...

— Czy to jest powód, żeby zwracać się przeciwko sobie nawzajem? — pytam, zdeprymowany aż nazbyt rzeczywistym obrazem, który maluje Chika.

— Powiedzmy sobie wyraźnie, że zwracają się przeciwko obcym albo przeciwko komukolwiek, kogo nie uważają za członka swojej społeczności. Może dzieje się tak dlatego, że obcy reprezentują firmy naftowe z centralami w Europie i Ameryce. Albo nawet rząd i polityków w odległej Abudży. Kiedy skończą im się obcy, na których mogą wyładować swój gniew, może wtedy zwrócą się przeciwko sobie nawzajem — kończy Chika.

Nie potrafię temu zaprzeczyć i ogarnia mnie smutek.

— Ci chłopcy nie mieli żadnych szans.

— Dlaczego pan to mówi?

— Widziałeś tę gospodynię. Widziałeś, jak szybko zaczęli się gromadzić ludzie, kiedy krzyczała? Jak można zapobiec temu, co przydarzyło się tym chłopcom, jeśli ludzie nie chcą się uczyć na swoich błędach?

— Zanim będą mogli to zrobić, najpierw muszą przyznać, że w ogóle popełnili błąd.

Milknę, wspominając, w jaki sposób przywódca usprawiedliwiał działania swojej społeczności oraz hardą postawę mieszkańców miasteczka wobec ogólnonarodowego potępienia. Całość przypomina mi badania, w których brałem udział kilka lat temu i których celem było przyjrzenie się historii rekompensat w różnych kulturach na przestrzeni dziejów. Narody, które zamiatały swoje niesprawiedliwości pod dywan jedynie z energicznym okrzykiem „nigdy więcej!”, raczej powtarzały te same błędy. Narody podejmujące wspólne działanie na rzecz uznania niesprawiedliwości, zrozumienia, dlaczego i jak do niej doszło, a następnie wdrażające konkretne środki zaradcze, by te niesprawiedliwe działania nigdy się nie powtórzyły, raczej odnosiły sukces. Wnioski płynące z tych badań nie wróżyły dobrze przyszłości Stanów Zjednoczonych, jeśli chodzi o niewolnictwo i jego wpływ na obecne stosunki rasowe, ani przyszłości Afryki Południowej po zniesieniu apartheidu. Z drugiej strony, prognoza dla postnazistowskich wysiłków Niemiec była wyjątkowo pozytywna, co dowodziło, że chociaż może to trwać kilka dziesięcioleci, zbiorowe krzywdy można naprawić.

Dojechaliśmy już do hotelu Royale. Wsiadamy i od razu po wejściu do recepcji czuję się nieswojo. Kierownik rzuca nam wojownicze powitanie, a kelnerka odwraca wzrok. Zniknęło ciepłe przyjęcie, z którym się spotykaliśmy od czasu, kiedy Chika zaczął wydzielać napiwki za każdą usługę. Na obu ekranach telewizorów trwa mecz piłki nożnej. Oglądało go kilku miejscowych młodzieńców, ale teraz, mimo podkręconego dźwięku, sprawiają wrażenie bardziej zainteresowanych pokonywaniem schodów przez Chikę i mnie.

Niepokój sprawia, że jestem spięty.

— Proszę nie okazywać emocji — mówi Chika po drodze do naszych pokojów. — Niech nie myślą, że grają panu na nerwach.

— Ale oni grają mi na nerwach.

Znalazłszy się przy moich drzwiach, wsuwam klucz do zamka, a Chika idzie dalej korytarzem do swojego pokoju. Przekręcam klucz w lewo, żeby otworzyć drzwi, ale zamek nie ustępuje. Przekręcam klucz w prawo i zamek zaskakuje.

— Chiko?

Mój asystent zatrzymuje się i odwraca.

— Mój pokój jest otwarty.

Chika wraca do mnie; patrzymy na siebie.

— Może zapomniała go zamknąć sprzątaczką, kiedy...

Otwieram drzwi i widok przedstawiający się naszym oczom zamyka mu usta.

Przez mój pokój równie dobrze mogło przejść tornado. Podarty materac wyładował na podłodze,

strasząc widokiem swoich wnętrzności. Krzesła i biurko zostały przewrócone. Wszędzie są porozrzucane moje ubrania i przybory toaletowe. Drzewny zapach moich perfum Armaniego świadczy, że gdzieś pod tym całym bałaganem jest rozbity flakon. Ściana z samoprzylepnymi karteczkami jest z nich ogołociona, a one same są podarte na drobne kawałki i zaścielają podłogę jak konfetti.

Miejsce karteczek na ścianie zajął niestarannie przyklejony artykuł prasowy o Trzech z Okriki. Czarno-białe zdjęcia Winstona, Bony i Kevina pod wytłuszczonym nagłówkiem: „Gang złodziei spalony żywcem”.

Obok tego wycinka zrobiono na ścianie czerwoną farbą napis: „Wyjedź albo spłoniesz!”.

WALKA LUB UCIECZKA

Podnoszę materac, a potem pod przewróconym biurkiem znajduję mój laptop. Chika wraca pędem ze swojego pokoju. Klawisze rozsypują się po podłodze jak żetony do scrabble, a strzaskany ekran został oddzielony od korpusu jak odcięta głowa. Moja walizka wygląda tak, jakby ktoś ją potraktował siekierą.

Co za bezmyślność i niekczemność. Podnoszę dwa kawałki kosztownego urządzenia, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio robiłem kopie zapasowe plików.

— Twardy dysk chyba można odzyskać — mówi Chika, rozglądając się.

— Twój pokój?

— Nie tak zniszczony, jak pański. Tylko ta sama wiadomość.

Pokazuje na ścianę.

W drzwiach staje Atoka z miną świadczącą o tym, że jest bardziej zadowolony z siebie niż skruszony.

— Ty draniu — mówi Chika i rzuca się na kierownika, lecz chwytam go za rękę.

— I jeszcze się sady — prowokuje go Atoka.

— Wiesz, kto to zrobił, prawda?

Chika trzęsie się z wściekłości.

— Dlaczego miałbym komuś pozwolić, by tak postąpił z moją własnością?

Jednym gwałtownym ruchem Chika wyrывa rękę z mojego ucisku, chwytając Atokę za szyję i uderza nim o ścianę.

— Chiko! — krzyczę, ale on wbija płonące spojrzenie w kierownika, który znacznie spuścił z tonu, szukając stopami oparcia.

— Kto. To. Zrobił.

— Nie wiem!

Dłonie Chiki zaciskają się mocniej wokół szyi Atoki. Rzucam się do Chiki i ciągnę go za ramiona, ale równie dobrze mógłbym ugniatać skałę.

— Chiko. Proszę. To nie jest warte...

— Czy to był przywódca? — Chika nie patrzy na mnie; kierownik walczy o oddech. — Czy on to nakazał?

— Nie... nie wiemmm... — bełkocze kierownik, dusząc się.

Oczy ma wytrzeszczone i boję się, że jeśli Chika zaraz go nie puści, to mogę być zmuszony do zrobienia tej podłej kreaturze sztucznego oddychania metodą usta-usta.

— Chiko, puść go!

Może chodzi o panikę w moim głosie, ponieważ Chika nagle puszcza kierownika, który prawie natychmiast zrywa się na nogi i cofa przed nami na korytarz.

— Musicie opuścić hotel! — skrzeczy wyzywająco, rozcierając posiniaczoną szyję. — I nie

zwrócę wam zaliczki!

Atoka umyka. Ja ciężko dyszę. Natomiast Chika oddycha tak równo, jakby właśnie wrócił ze spokojnego spaceru. Jedynie jego oczy zdradzają, jak blisko był wyciśnięcia z kierownika życia gołymi rękami.

— Musimy opuścić hotel — stwierdzam.

— Bank ma dom gościnny w Port Harcourt, ale to za daleko stąd.

— Możemy nie mieć wyboru.

— Możemy też spróbować zatrzymać się w pokojach gościnnych uniwersytetu. Są zawsze zajęte, ale może się nam poszczęścić.

— Czemu nie? To jest jakiś plan. W gruncie rzeczy jestem pewien, że jeśli zadzwonimy do sekretarza, to może będzie mógł nam pomóc.

Sięgam po telefon i sprawdzam, czy jest odpowiedź na któryś z moich SMS-ów do sekretarza. Nie ma, ale jest SMS od Salome Briggs. Widzę, że został wysłany przed siedemnastoma minutami: „Przyjedź do PH. Tam nie jest bezpiecznie. Zaufaj mi, Sal”.

Pokazuję to Chice. Czyta, marszczy brwi i spogląda na mnie.

— Kto to?

— Znajoma w Port Harcourt. No, tak jakby. Poznaliśmy się w samolocie. Jej mama pochodzi stąd.

— Sprawia wrażenie dobrze poinformowanej, jak na kogoś w odległym PH.

— Wiem. — Rozglądam się po pokoju. — Musiał jej ktoś powiedzieć.

— Ufasz jej?

— Nie mam powodu, by nie ufać.

Chika kiwa głową i oddaje mi telefon.

— A więc musimy się pośpieszyć. Im dłużej tu zostaniemy, tym większe jest niebezpieczeństwo, że zrobię coś, czego będę żałował.

Zaczyna zbierać z podłogi kawałki papieru, a ja dzwonię do Salome. Odbiera po pierwszym sygnale.

— Dzięki Bogu, nic ci nie jest.

— Skąd wiedziałaś?

— Nie ma czasu na pytania. Po prostu przyjedź. Zadzwoni, jak tylko znajdziesz się w PH. Już zarezerwowałam dla was dwa pokoje w hotelu.

— Będziesz tam?

— Jeśli chcesz...

Podejmuję szybką decyzję, zanim to zawieszenie głosu stanie się niezręcznym milczeniem.

— Jeśli to nie za duży kłopot, to tak, chciałbym, żebyś tam była.

Widzę, że mimo mojego energicznego tonu Chika na chwilę przerywa zbieranie kawałków papieru z podłogi.

— Nie ma problemu — mówi Salome praktycznym tonem. — Tylko się pośpieszcie.

Przerywa połączenie.

Chika zebrał znaczną ilość podartego papieru; pomagam mu sortować te kawałki.

— Czy twoja pani powiedziała, kto jest jej źródłem informacji? — pyta oschłym tonem Chika.

— To nie jest moja pani — odwaruję niepotrzebnie. — I na pewno wszystko mi powie, kiedy zobaczymy się później. Zarezerwowała nam hotel.

— Hm... Tak przypadkiem zarezerwowała nam hotel, spodziewając się zdemolowania naszych pokoi?

Kiedy Chika ujmuje to w ten sposób, pośpieszne przeniesienie się do Port Harcourt na słowo Salome rzeczywiście wydaje się dość głupim posunięciem. Szczerze mówiąc, co ja tak naprawdę

wiem o tej kobiecie?

— Więc nie jedziemy? — pytam.

— To wyjście bardziej interesujące od domu gościnnego banku w PH. Moim zdaniem powinniśmy, to znaczy ty powinienes, pójść za tym tropem. Ciekawie będzie się dowiedzieć, co ona wie. Poza tym mówisz, że jej ufasz.

Nie mogę mu powiedzieć o moich nagłych wątpliwościach, więc milczę. Pośpiesznie zgarniamy dające się uratować rzeczy do prześcieradła, które Chika zmienił w prowizoryczny plecak. Wycieram zniszczony laptop i wkładam go do jego torby, po czym rozglądamy się, by sprawdzić, czy mamy wszystko, co można naprawić.

Kiedy schodzimy z powrotem do recepcji, mecz nadal się toczy, lecz wszyscy młodzieńcy stoją plecami do telewizorów, nieporuszeni podnieconym głosem komentatora. Kierownik stoi przy drzwiach wejściowych z rękami na biodrach i wojowniczym wzrokiem.

Kiedy mijam młodych mężczyzn, uderza mnie znajomy zapach. Zatrzymuję się i odwracam do nich.

— Niektórzy albo wszyscy z was pachną gwiazdkowym prezentem od mojej żony. Zakładam zatem, że za zdemolowanie mojego pokoju są odpowiedzialni niektórzy albo wszyscy z was.

Milczą, lecz mowa ich ciał świadczyo tym, że rwą się do bójki. Przeszywa mnie obezwładniające poczucie zbrukania. Te zbiry grzebały w moich rzeczach osobistych, a teraz stoją tu i patrzą, jak, stanowiąc obraz klęski, opuszczam hotel Royale. Na tę myśl burzy się we mnie krew, ale zdaję sobie sprawę, że nie mogę pogarszać nieprzewidywalnej sytuacji.

— Powiedźcie temu, kto was przysłał, że popełnił wielki błąd, ponieważ nie spocznę, dopóki się nie dowiem, co próbujecie ukryć — mówię do grupki.

Wyglądamy jak postacie z westernu: ja gromię spojrzeniem krnąbrnych młodzieńców, a Chika blokuje kierownikowi możliwość wkroczenia do akcji.

Odwracam się i ruszam do wyjścia. Następne wydarzenia toczą się szybko. Chika robi zamach pięścią, zdążam się uchylić i odwracam się w chwili, kiedy jego cios trafia w podbródek jednego z młodych ludzi, który, jak właśnie sobie uświadamiam, zamierzał rzucić się na mnie z tyłu. Pada na ziemię z bolesnym skowyt, zaciskając z bólu zakrwawione zęby. Pozostali ruszają groźnie w stronę Chiki, który upuszcza „plecak” na podłogę.

— Każ im się cofnąć, bo przysięgam, że nikt nie zdoła pokryć szkód wyrządzonych w hotelu — mówię spokojnym głosem do kierownika.

Atoka zwleka z reakcją, więc Chika powala kopniakiem drugiego mężczyznę.

— Dosyć! — krzyczy Atoka. Wbijają we mnie wzrok, w którym gniew miesza się po równo ze strachem. — Po prostu wynieście się! Proszę.

Zachowując wojowniczą pozycję, Chika przenosi wyzywające spojrzenie z kierownika na młodzieńców.

— Chiko! — mówię podniesionym głosem.

Niechętnie podnosi swoją walizkę i „plecak” z moimi rzeczami, odwraca się i wychodzi na dwór. Idę za nim z moją poobijaną samsonite i torbą z laptopem; wsiałam do land cruisera w chwili, kiedy uruchamia silnik.

Ledwie zamykam drzwi pasażera, cofa samochód z taką siłą, że czuję zapach palonej gumy.

WPLYWOWA DAMA

Kiedy w drodze do PH zatrzymuje nas żandarmeria wojskowa, jest dobrze po dziewiątej wieczorem. Bez żadnych uprzejmości Chika podaje przez okno dwieście nair i wtedy pika mój telefon. To Salome przysłała swoje położenie. Klikam w nie i mapy Google informują mnie, że

do celu mamy jeszcze szesnaście minut jazdy.

Włączam elektroniczny głos nawigacji, żeby poprowadził nas przez miasto do Tropicany. Wzdłuż alei prowadzącej do ogromnej bramy hotelu rosną na zadbanych trawnikach olbrzymie palmy. Przy bramie stoją mocno uzbrojeni strażnicy, którzy świecą latarkami do land cruisera i pytają, czy jesteśmy gośćmi hotelu, czy kogoś w nim odwiedzamy.

— Gośćmi — odpowiada opryskliwie Chika.

Jeden ze strażników przegląda listę, przyświecając sobie latarką.

— Philip Taiwo?

— To ja.

— Proszę o dokument tożsamości.

Sięgam do kieszeni po mój amerykański paszport, przechylam się przez Chikę i podaję strażnikowi. Ten znowu świeci latarką do samochodu, sprawdza paszport, zamyka go i wręcza Chice, który podaje go mnie.

— Proszę jechać.

— Twoja znajoma musi mieć dobre znajomości — mówi Chika, przejeżdżając przez bramę. — Tropicana to jeden z najlepszych hoteli w mieście. To tu mieszkają repatrianci.

— To wyjaśnia, dlaczego jest tak bardzo strzeżony.

— Ubezpieczenie na życie tutejszych gości wynosi tyle, co PKB niektórych krajów.

Hotel jest ogromny, a jeśli istnieje jakieś podobieństwo między nim a hotelem Royale, to jest nim szum generatorów. Cały teren jest oświetlony jak bożonarodzeniowa choinka i trudno sobie wyobrazić, że jakaś jego część może być ukryta przed czujnym wzrokiem krążących po nim uzbrojonych ochroniarzy.

Kiedy wysiadamy z land cruisera, podbiega do nas konsjerż w mundurze.

— Witamy w Tropicanie. — Dotyka kapelusza, który byłby odpowiedniejszy dla konferansjera w cyrku, i składa ukłon. Na lewej górnej kieszeni jego dwurzędowego płaszcza jest wyhaftowany herb hotelu. — Mam na imię George. Potrzebują panowie pomocy z bagażami?

Jak na tę porę nocy mówi dość radosnym tonem. Nie pojmuję, jakim cudem nie poci się pod tyloma warstwami ubrań. Chika otwiera bagażnik, a George bez mrugnięcia okiem wyjmuje z niego prowizoryczny plecak z hotelu Royale, traktując go z takim namaszczeniem, jakby to była torba od Luisa Vuittona.

Do George'a dołącza inny konsjerż z wózkiem. Wchodzimy za nimi do wspaniałego holu, gdzie Salome wygląda tak olśniewająco, jak kiedy widziałem ją ostatni raz niemal pięć dni temu.

Podchodzi do nas, jakby hotel należał do niej.

— Dzięki Bogu, udało ci się.

Powiniem podać jej rękę czy ją uściskać? Podejmuje decyzję za mnie uściskiem tak ciepłym, że topnieją wszystkie moje zastrzeżenia i przedstawiam ją Chice, jakby była dawną przyjaciółką.

— Dziękuję za wszelką pani pomoc, madam — mówi Chika w ten sam sposób, jak kiedyś zwracał się do mnie: „Tylko dotąd, ale nie dalej”.

Jeśli Salome zauważy rezerwę Chiki, to tego nie okazuje, śmiejąc się z tą samą swobodą, która przyciągała spojrzenia pasażerów w samolocie.

— Przede wszystkim proszę sobie darować to „madam”. Po drugie, idźcie do swoich pokoi i się odświeżcie. Poprosiłam w kuchni, żeby przygotowali dla was coś lekkiego. Zejdźcie, jak tylko będziecie gotowi.

Podchodzi do nas jeden z konsjerżów z dwiema kartami magnetycznymi do otwierania drzwi. Salome je od niego odbiera i podaje nam.

— Jesteście na tym samym piętrze. George was zaprowadzi.

Odwraca się do niego i mówi szybko w języku ikwerre.

— Dziękuję — mówię.
— Podziękuj mi, jak będziesz wyglądał i mówił jak człowiek. Będę tam.
Pokazuje w głąb holu, gdzie widzę garstkę klientów siedzących przy barze.
— Idźcie. Nie mogę trzymać kuchni otwartej w nieskończoność. Zamykają punktualnie o dziesiątej.
Powodowany wdzięcznością i poczuciem ulgi, ściskam ją ponownie.
— Idź! — Odpycha mnie ze śmiechem. — Sentymentalny Amerykaana.
Trochę skrępowany, parskam śmiechem i idę za Chiką do windy, którą przytrzymują dla nas George i jego kolega.
Mój pokój to czysty luksus w porównaniu z pokojem w hotelu Royale, a według wszelkich standardów znacznie wykracza ponad przeciętną. Jego środek zajmuje wielkie łóżko, a wszędzie widzę pięciogwiazdkowe wyposażenie. George stawia moje bagaże z jednej strony pokoju, a „plecak” umieszcza delikatnie na grubym dywanie. Jak każdy dobrze wyszkolony konsjerż, demonstruje wyposażenie pokoju. Minibar jest w pełni zaopatrzone, telewizja ma więcej kanałów kablowych niż ktokolwiek mógłby potrzebować, a łazienka jest większa od całego mojego pokoju w hotelu Royale.
— Dziękuję, George.
Zaczynam szukać po kieszeniach portfela i nagle uświadamiam sobie, że nie mam żadnych pieniędzy prócz mojego awaryjnego studolarowego banknotu.
— Proszę się nie martwić, sir — mówi George. — Panna Salome zajęła się wszystkim. Salome dała konsjerżowi napiwek przed moim przyjazdem? Nagłe skrępowanie pokrywam uśmiechem.
— Ale i tak obiecuję, że przed wyjazdem coś ci dam.
— Nie ma problemu, sir. Powiem pani, że zejdzie pan na dół za dziesięć minut?
— Proszę. W którym pokoju jest mój przyjaciel?
George podaje mi numer i wyjaśnia, jak mogę zadzwonić do Chiki.
Kiedy tylko George kłania się i wychodzi, padam na łóżko i na chwilę zamykam oczy. Mimowolnie czuję się jak żebrak wyniesiony do pozycji księcia. W jednej chwili jestem w Okriki i walczę z napastnikami, a w następnej znajduję się w pięciogwiazdkowym hotelu w Port Harcourt. To możliwe tylko w Nigerii.
Podsakuję na dzwonek telefonu i sięgam po słuchawkę leżącą na nocnym stoliku.
— *Oga...*
— Przeszliśmy z „sir” na „oga”? — mówię cierpko do Chiki.
— Każdy, kto zna kogoś, kto potrafi znaleźć nam pokoje w Tropikanie, jest *oga*. W gruncie rzeczy taka osoba jest Wielkim Oga.
Śmieję się serdecznie, rozbawiony i zadowolony, że obu nam nic się nie stało.
— Zakładam, że podoba ci się twój pokój.
— Podoba mi się tak bardzo, że dziś z niego nie wychodzę. Poprosiłem o przyniesienie posiłku na górę. Przekaż swojej przyjaciółce słowa podziękowania.
— Chiko, myślę, że spodziewa się nas obu... — mówię, martwiąc się, że Chika uważa, że będzie nam przeszkadzał.
Nie mogę przyznać, że trochę się denerwuję na myśl o spotkaniu z Salome w cztery oczy.
— Na pewno. I wierz mi, że chciałabym zadać jej mnóstwo pytań, ale dzisiaj chyba zostaną w pokoju i będę się modlić, żeby nie okazało się to snem. Nie kładź się spać zbyt późno. Wciąż musisz zakończyć to śledztwo.
— Jak mogę o tym zapomnieć? — mówię i wzdycham.
— I, Philipie, nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć, ale uważaj, proszę cię.

Przez chwilę milczę. Mogę udawać, że nie wiem, o czym mówi, ale już przekroczyliśmy z Chiką tę granicę.

— Dobrze. Dzięki.

Rozłączam się i idę do łazienki.

Kiedy patrzę na moją twarz w lustrze nad umywalką, w głowie rozbrzmiewa mi przestroga Chiki. Czy to się aż tak rzuca w oczy? Pewnie, Salome jest atrakcyjna, ale mam nadzieję, że Chika nie to miał na myśli, prosząc, bym uważał. A może jego przestroga dotyczyła śledztwa?

W lustrze przede mną pojawia się twarz Folake. „Uważaj”. Ale mówi to drwiącym tonem.

Chcę zawołać do jej wizerunku: „widziałem was!”, ale tego nie robię. Dlaczego podaję w wątpliwość powody, dla których idę na drinka z życzliwą znajomą, która nie zrobiła nic, co uzasadniałoby podejrzenia?

Twarz Folake w lustrze wykrzywia się, a jej wargi układają się tak, jakby wypowiadała słowo, które przypomina mi, jak się ze mną pożegnała: „psychobełkot”.

Wydaję z siebie syk i się odwracam. Wychodząc z pokoju, mówię sobie, że w tej chwili potrzebuję właśnie drinka. Nic więcej.

Salome czeka. Wstaje ze stołka przy barze i z uśmiechem rusza w moją stronę.

— No, nieźle się oczyściłeś.

Czuję pełznącą po twarzy falę gorąca.

— Bez ubrania na zmianę nie mogłem zrobić więcej.

— Dla kogo się przebierasz? — Salome prychnęła. — Chodź coś zjeść.

Prowadzi mnie ku jednemu ze stolików w barze.

Jest nakryty. Zauważam, że patrzą na nas niektórzy z klientów, w większości białych mężczyzn w średnim wieku w spodniach khaki i koszulach firmy J. Crew z krótkim rękawem lub z wysoko podwiniętymi rękawami.

Kiedy siadamy na krzesłach, Salome mówi:

— Twój przyjaciel mówi, że zje w swoim pokoju. Posłałam kolację na górę.

— Dziękuję.

— Na pewno masz mnóstwo pytań...

Danie składa się z kurczęcia pieczonego z ziemniakami pokrojonymi w grube łódeczki i warzyw gotowanych na parze. Tak smacznego kurczaka nie jadłem od dawna, a że jestem głodny jak wilk, bezwstydnie mówię z pełnymi ustami.

— Pierwsze pytanie: jak nas tu umieściłaś?

— Z łatwością. Właściciel jest klientem naszej firmy, dawnym przyjacielem, który jest mi winien kilka przysług. Poza tym nasza firma organizuje tu liczne konferencje, więc jesteśmy dobrymi klientami. Po postu zadzwoniłam.

— Skąd wiedziałaś, co się dzieje w Okriki?

— Poprosiłam kuzyna, żeby cię pilnował. No wiesz, żeby mieć pewność, że nic ci nie jest.

— Sprawdziałaś mnie?

— Nie tak, jak to brzmi w twoich ustach, Amerykaana. Miałam na myśli, że tylko się upewniałam, że jesteś cały i zdrowy.

— No to dziękuję. A kim jest ten twój kuzyn?

— Chyba go poznałeś. Jest inspektorem policji...

Kawałek kurczęcego udka zatrzymuje się w pół drogi do moich ust.

— Żartujesz, prawda?

— Nie. Mike jest moim kuzynem pierwszego stopnia.

— A więc przywódca jest...

— Moim wujem. Najstarszym bratem mojej zmarłej matki.

Upuszczam widelec.

— Wiesz, że rozkazał splądrować mój pokój, tak?

Macha lekceważąco elegancką dłonią.

— Nic podobnego. Jedz. Wierz mi, że gdyby mój wuj chciał, żeby stała ci się jakakolwiek krzywda, to doprowadziłby do tego w chwili, kiedy postawiłeś stopę w tamtym miasteczku.

— Powiedział mi prosto w twarz, że nie jestem mile widziany w Okriki.

— To samo powiedziałam ci ja, kiedy wyjaśniłeś, po co jedziesz do Okriki, i proszę, gdzie jesteśmy.

— Mówisz, że przywódca i inspektor Omereji nie wiedzieli, co się dzisiaj stało w hotelu?

— Dowiedzieli się dopiero po fakcie. Co mogli zrobić?

— Omereji mógł ich aresztować!

— Uspokój się. Albo przestań mówić.

Biorę głęboki wdech. Patrzę na nią, a potem rozglądam się dookoła. W niecałe trzy godziny Salome przejęła cały hotel dla mnie. Zbliżyła się jedenasta, a ona mnie tu wita i jest nadzwyczaj miłą gospodynią.

— Tak, Philipie Taiwo, możesz mi zaufać.

Tak jak przedtem, zupełnie jakby czytała mi w myślach. Wypuszczam powietrze z płuc i patrzę na jedzenie, a potem z powrotem na nią. Zaczynam znowu jeść, lecz nie spuszczam wzroku z jej obwiedzionych czarną kredką oczu.

— Dobra, słucham.

— No, no, ależ jesteśmy apodyktyczni.

— Salome...

W moim głosie pobrzmiewa delikatne ostrzeżenie.

— Dobrze, już dobrze. To proste. Kiedy tylko powiedziałeś mi, po co jedziesz do Okriki, poprosiłam Mike'a, żeby miał na ciebie baczenie...

— Raczej żeby mnie szpiegował.

Wiem, że to nieuprzejme, ale nie mogę się powstrzymać.

— Jak chcesz. Wiedziałaś, że wasze drogi i tak się skrzyżują, ale chciałam, żeby wiedział, że jesteś przyjacielem.

— Nie traktował mnie jak przyjaciela...

— A czego się spodziewałeś? Tak czy owak, miał na ciebie oko częściej, niż myślisz.

— Ma moją dozoną wdzięczność.

— Sarkazm zupełnie nie pasuje do amerykańskiego akcentu...

— Muszę się napić.

Przywołuję barmana, który podchodzi w chwili, kiedy odsuwam od siebie talerz z na wpół zjedzonym daniem.

— Proszę o podwójnego Jacka.

— Dla pani?

— Courvoisier. Dużo lodu.

Barman się oddala, a Salome mówi dalej:

— No więc to on odkrył, co ci chłopacy zrobili w pokojach twoim i twojego kolegi.

— I ich nie zgarnął, jak powinien to zrobić każdy funkcjonariusz przestrzegający prawa?

— Źle go oceniasz.

— On coś ukrywa. To całe miasteczko jest w zмовie, łącznie z twoim wujem — syczę.

Na wspomnienie stanu, w jakim znajdował się mój pokój hotelowy jeszcze parę godzin temu, i tego, jaki się czułem zbrukany, wraca cały mój gniew.

Pojawiają się nasze drinki. Chwytam moją whiskey i wypijam ją jednym haustem.

— Philipie Taiwo, nie zmuszaj mnie do żałowania, że ci pomogłam.

— To powiedz mi, dlaczego w ogóle mi pomagasz.

— Bo robisz to, co należy zrobić. Rodzice tych chłopców zasługują na informację, co się naprawdę wydarzyło.

— To wszystko?

— A jaki mógłby być inny powód?

— Może ten, dla którego inspektor został z powrotem przeniesiony do Okriki, żeby mieć oko na śledztwo i pilnować, żeby nie zostało odkryte nic, co jeszcze bardziej zaszkodzi miasteczku.

— A więc pomagam ci tylko po to, by mieć wpływ na twoje badania? — mówi drwiącym tonem, ale wygięcie jej ust sugeruje, że się ze mnie śmieje. — Bo to są badania, prawda?

— A cóż innego mogę myśleć?

Nagle zaczyna mi się kręcić w głowie. Poniewczasie uświadamiam sobie, że powinienem był zamówić piwo.

Salome dopija koniak i sięga po telefon, stuka w ekran i przykłada go do ucha.

— Podjedź do wejścia. — Rozłącza się i spogląda na mnie. — Nie szkodzi, że mnie podejrzewasz, Philipie, ale może skup się na ważniejszych zadaniach. Uratowałam ci dzisiaj tyłek. Tobie i twojemu przyjacielowi. Dlaczego miałabym to robić? Zadaż sobie to pytanie, zanim zaczniesz szastać oskarżeniami.

Wstaje. Jestem zmuszony podnieść wzrok na jej piękną twarz.

— Krewni mojej matki nie są złymi ludźmi — mówi, patrząc na mnie z góry. — Nie są też dobrzy. Są po prostu ludźmi. To, co zrobili, jest niewybaczalne w świecie, który ma jakiś sens. Jesteś już tu jednak wystarczająco długo, by zauważyć, że w tej części świata bardzo mało rzeczy ma sens. A przynajmniej nie ostatnio. Lecz podoba mi się pomysł poznania przyczyn wydarzeń, które nas tu doprowadziły. Może jeśli uda ci się znaleźć powody tego szaleństwa, to znowu będę mogła patrzeć na moich krewnych bez wstydu. Dlatego ci pomagam.

Odchodzi, zanim udaje mi się coś powiedzieć.

SPODZIEWANY WYPADEK

Pocierając oczy, Chika otwiera drzwi, w które gorączkowo stukam.

— Co się stało? Nic ci nie jest?

W odpowiedzi odtwarzam z telefonu wiadomość głosową: „Dzień dobry, panie doktorze. To ja. Tom Ikime. Wczoraj znaleźliśmy Godwina martwego w jego pokoju. To bardzo smutny rozwój wypadków. Zadzwoń jeszcze raz rano”.

— Cholera — mówi Chika.

Nie ma już zaspanej twarzy.

— Musimy jechać do uniwersytetu.

— Która godzina?

Patrzę na telefon komórkowy.

— Ósma siedemnaście.

— Zaraz się ubiorę.

Wracam pośpiesznie do mojego pokoju i wskakuję pod prysznic.

Godwin nie żyje, a wzięwszy pod uwagę moją wczorajszą rozmowę z Tamunem, to nie jest smutny rozwój wypadków, tylko poważna komplikacja. Wiadomość o tym przyszła po zdemolowaniu naszych pokoi i nagle czuję się przytłoczony przez te wszystkie ślepe uliczki, w które obfituje ta sprawa. Nie znoszę poczucia, że nie panuję nad sytuacją, a wokół mnie wciąż dochodzi do wydarzeń, które pozornie w niewielkim stopniu wiążą się z zadaniem, jakie mam do

wykonania w Okriki, ale i tak na nie wpływają.

Uczucie zwątpienia towarzyszy mi cały czas, kiedy wkładam wczorajsze ubranie i zmierzam do windy, żeby się spotkać w holu z Chiką.

— A jeśli to się nie składa? — pytam, kiedy wyruszamy w drogę do Okriki.

— Co takiego?

— Wszystko. Co, jeśli wszystko, co wiemy o tej sprawie, nie składa się w całość, bo nie ma się składać?

— A skąd ci się to wzięło?

— Nie zwracaj na mnie uwagi.

Wyglądam przez okno, nie chcąc obciążać Chiki moimi wątpliwościami.

— To z powodu śmierci Godwina? Ale obaj widzieliśmy, dokąd zmierza ten chłopak...

— Tak, wiem, ale to wcale nie ułatwia zaakceptowania jego śmierci. Może to znak...

— Że wszystko się nie złoży?

— Znak, że cała ta sprawa Trzech z Okriki była tylko kolejnym przypadkowym aktem przemocy, które zdarzają się w całym kraju.

— Nawet po tym, co powiedział nam Tamuno?

— Tak. Godwin mógł skłamać, że nie zna Kevina, mógł zawołać o pomoc, jeśli uznał, że Bona i Winston go atakują, ale nie kazał mieszkańcom Okriki torturować i zabić tych chłopców. To spada na nich.

— Może to prawda, ale czy nie po to tu jesteś? Żeby znaleźć sens w tym, co wszyscy uważają za bezsensowne?

— A ja mówię, że chyba tego nie potrafię.

— Proszę cię, nie pozwól, żeby śmierć Godwina sprawiła, że zwątpisz w postępy, jakie robisz w tej sprawie. Zobacz, jak daleko zaszliśmy od twojego przyjazdu. Ile teraz wiemy...

Chcę zapytać, po co, ale jesteśmy już przy punkcie kontrolnym żandarmerii wojskowej, więc nic nie mówię. Chika zwalnia, ale mocno uzbrojeni żołnierze machają, żebyśmy jechali dalej, a jeden z nich nawet się do nas uśmiecha.

— Staliśmy się bywalcami — mówi Chika, przyspieszając i machając do żołnierzy.

— Czy to dobrze?

— Można tak powiedzieć. To po prostu oznacza, że następnym razem dam im coś bez prośzenia. Może jednak wszystko nie jest tak bezsensowne. Z jednej strony, profilaktyczne przekupywanie uzbrojonych żołnierzy, żeby przejechać publiczną drogą, może zostać uznane za korupcję, ale z drugiej strony, ludzie, którzy płacą, akceptują to jako właściwy sposób postępowania. Najwyraźniej istnieje wśród złodziei jakiś rodzaj honoru. Uzbrojony żołnierz pamięta nasze poprzednie spotkania i pozwala nam przejechać bez marudzenia, a Chika to uszanuje i następnym razem, kiedy będziemy przejeżdżać przez ten punkt kontrolny, profilaktycznie da żołnierzowi w łapę. W tym szaleństwie jest metoda.

Jedziemy prosto do biura sekretarza uniwersytetu, ale sekretarka przekazuje nam wiadomość od niego, że jest w kostnicy szpitala klinicznego. Już mam pytać, jak tam dojechać, ale Chika mówi, że zna drogę, i wkrótce jedziemy do Kampusu Północnego.

— Szpital nie znajduje się w tym kampusie?

— Jest w innym miasteczku. Uniwersytet Stanowy składa się z trzech dużych kampusów. Jedziemy z Kampusu Wschodniego, w którym mieszczą się wydziały nauk humanistycznych i sztuk pięknych. Kampus Zachodni to inżynieria, a Północny to medycyna.

— Ten Kampus Północny jest daleko?

— Nie, pośrodku miasteczka Apamor, i jeśli pojedę krótszą drogą, to powinniśmy tam dotrzeć za około pół godziny.

Kiwam głową i sięgam po mój dzwoniący telefon. Ikime.

— Jedziemy — mówię.

— Senat zwołał nagłe posiedzenie i muszę na nim być. Poprosiłem doktor Okaro, żeby panom towarzyszyła. Jest głównym koronerem i kierowniczką patologii.

— Na pewno nie może pan na nas zaczekać?

Jeszcze to mówiąc, czuję ulgę. Rola Ikimego jako trybiku maszyny kreującej wizerunek uniwersytetu mogłaby utrudnić mi zadanie niektórych pytań, jakie zamierzam postawić pani koroner.

— Przykro mi, panie doktorze. Zapewniam jednak, że poprosiłem doktor Okaro, by służyła panu jak największą pomocą. Jeśli nadal chce się pan ze mną spotkać, może pan zadzwonić do mojego biura. Znajdę dla pana czas.

Mówię mu, że rozumiem, i dziękuję za wiadomość o Godwinie. Wciąż jednak się zastanawiam, co to wszystko oznacza, więc przez resztę drogi milczę.

Szpital kliniczny to ogromny wielopiętrowy kompleks. Zatrzymujemy się przy wejściu do izby przyjęć i prosimy o informację, jak dotrzeć do patologii. Kiedy tam wchodzimy, pierwszą rzeczą, jaka mnie uderza, jest to, jak podobne do siebie są wszystkie kostnice na świecie: sterylne, ciche i smutne.

— Doktor Okaro czeka na panów — mówi recepcjonistka w mundurze, kiedy się przedstawiamy, i sięga po słuchawkę telefonu żywcem przeniesionego z lat osiemdziesiątych. — Proszę spocząć. Siadamy na twardej ławce naprzeciwko niej. Recepcjonistka odkłada słuchawkę i uśmiecha się do nas.

— Pani doktor zaraz przyjdzie.

Do kostnicy wchodzi z zewnątrz kilkoro studentów w białych fartuchach; uśmiechają się i rozmawiają między sobą w sposób kłócający się z ponurością kostnicy. Znikają za podwójnymi drzwiami, z których chwilę później wychodzi rześko wyglądająca kobieta. Nie ma makijażu, włosy zaplotła w zebrane z tyłu dobrane warkoczyki. Nosi okulary dwuogniskowe, a pod śnieżnobiałym fartuchem laboratoryjnym widzę prostą sukienkę z drukowanego materiału.

— Doktor Taiwo? — pyta, podchodząc do nas.

Wstajemy z ławki.

— Ja jestem doktor Taiwo, a to mój kolega, Chika Makuochi.

— Jestem doktor Ngozi Okaro. Sekretarz poinformował mnie, że interesuje panów przywiezione wczoraj ciało.

Mówi rzeczowo i sprawia wrażenie, że wymaga tego samego. W momencie, kiedy chcę wygłosić przeciwzoną mowę na temat charakteru mojego zainteresowania, nakazuje nam gestem, byśmy poszli za nią.

Przechodząc z nami przez podwójne drzwi, mówi dalej:

— Muszę powiedzieć, że to w wysokim stopniu niezwykle. Normalnie taki poziom zainteresowania dopuszczamy tylko u członków rodziny lub policjantów. Ikime powiedział mi, że panowie nie są ani jednymi, ani drugimi.

— Zgadza się — mówię.

— Niemniej, służę tu na prośbę uniwersytetu i jeśli sekretarz uważa, że powinnam odpowiedzieć na pytania panów, to tak zrobię. — Zatrzymuje się i odwraca do nas. — Czy któryś z panów widział już kiedyś zwłoki?

Jej nagłe zatrzymanie się zaskakuje mnie na równi z obcesowością jej pytania.

— Ja tak — odpowiada beznamiętnym tonem Chika.

— A pan?

Patrzy na mnie nad krawędzią okularów.

— To nie jest problem.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Nie zadaję sobie trudu potwierdzenia, że jestem jedną z tych osób, u których przebywanie w pobliżu zmarłych wywołuje niepokój. Martwi mnie nie tyle oglądanie zwłok, ile to, że przypominają mi o mojej własnej śmiertelności. W tym sensie to nigdy nie staje się łatwiejsze.

Doktor Okaro wzrusza ramionami i otwiera drzwi, zapraszając nas gestem do środka. W niewielkim pomieszczeniu, w którym na metalowych noszach leży sześć ciał, uderza w nas smród chloroformu. Zwłoki są przykryte wytartymi prześcieradłami, spod których sterczą ich nagie stopy. Na paluchach nie ma karteczek, tylko na obu podszewkach są wypisane czarnym markerem liczby.

Doktor Okaro obchodzi zmarłych, zatrzymuje się przed jednym z nich i bez ceregieli unosi białe prześcieradło, odsłaniając nieruchomą twarz Godwina. Błyskawicznie wracam myślami do ostatniego razu, kiedy go widziałem. Był poruszony, a nawet wzburzony — antyteza tego nieruchomego ciała. Na jego wychudłej twarzy nie ma żadnych śladów, żadnych oznak nagłego urazu.

— Czas zgonu? — pytam.

— Oceniamy go na wczoraj między dziewiętnastą a dwudziestą. Kiedy przewieziono go do szpitala, był martwy.

Zapamiętuję, żeby poprosić o raport w celu sprawdzenia, czy jakiegokolwiek próby resuscytacji mogły wpłynąć na dokładność określenia przyczyny śmierci.

— Przyczyna śmierci?

— Wciągnięcie dymu do płuc. Najprawdopodobniej przypadkowe.

— Skąd wiadomo? — pytam.

W odpowiedzi doktor Okaro odciąga prześcieradło dalej; obraz potężnych oparzeń na prawym boku Godwina mógłby przypisać osoby nienawykłe do takich widoków o wymioty. Zerkam na Chikę. Ma nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Był praworeczny — mówi doktor Okaro. — Sądząc po głębokości oparzeń, uważamy, że palił i zasnął. Papieros musiał wypaść mu z palców na materac. Widzą panowie jego palce? Oparzenia trzeciego stopnia doprowadziły do zwęglenia. Oparzenia z prawej strony torsu mają ten sam stopień...

— Był pożar?

— Studentów zaalarmował dym wydobywający się z jego pokoju. Kiedy długotrwałe dobijanie się do drzwi nie odniosło skutku, wyłamali je.

— A zatem nie wybuchł pożar?

— Ogień tylko się żarzył — mówi doktor Okaro. — Podejrzewam, że dzięki rodzajowi materaca. Tlił się tylko wokół ręki i prawego boku. Proszę popatrzeć tutaj.

Doktor wskazuje dłoń Godwina, która jest tak spalona, że widać szerniałe kości.

— Przespał taki ból?

Chika odezwał się pierwszy raz od wejścia do kostnicy. Głos ma spokojny i neutralny.

— Możemy założyć, że zażył środek nasenny, którego działanie zostało zwiększone poprzez spożycie alkoholu.

— Toksykologia? — pytam.

— Wysłałam rutynowo próbki do laboratorium, lecz wkrótce przyjeżdżają po ciało rodzice. Jeśli nie dadzą na to zgody, nie będziemy mogli przeprowadzić kolejnych badań.

— Nawet jeśli podejrzewamy dokonanie przestępstwa?

Jestem zaskoczony, ponieważ w tych okolicznościach sekcja zwłok powinna być obowiązkowa.

— A podejrzewamy, panie doktorze?

Doktor Okaro patrzy mi w oczy wyzywajaco, jakby zarzucała mi, że mówię jej, jak ma wykonywać swoją pracę.

— Po prostu wydaje mi się — mówię bardziej pojednawczym tonem — że musimy zrobić wszystko, by przed orzeczeniem, że to była przypadkowa śmierć, wykluczyć przestępstwo, zwłaszcza biorąc pod uwagę przeszłość ofiary.

— To właśnie przeszłość ofiary związana z zażywaniem narkotyków potwierdza diagnozę przypadkowej śmierci.

— Bez toksykologii tylko się domyślamy.

Doktor Okaro pokazuje na straszliwe oparzenia na ciele Godwina.

— Jedynym wyjaśnieniem takiej śmierci jest wypadek.

— Toksykologia z pewnością dostarczy rozstrzygającej diagnozy co do przebiegu tego wypadku

— brnę dalej. — Uważam, że powinniśmy przynajmniej stwierdzić, czy ofiara umarła przed wciągnięciem dymu do płuc, czy później.

Doktor Okaro unosi brew.

— Nie mogę go otworzyć bez pozwolenia jego rodziców. Tak mówi prawo.

— Rozumiem, ale przynajmniej możemy się dowiedzieć, jaki rodzaj narkotyków mógłby spowodować tak głęboki sen.

Doktor Okaro w milczeniu przenosi wzrok z ciała Godwina na mnie.

Naciskam dalej.

— Chyba chciałaby to pani wiedzieć, choćby tylko ze względów naukowych?

Podejrzewam, że doktor Okaro nie jest osobą, która cofa się przed wyzwaniem. Sięga do kieszeni fartucha i podaje mi nad ciałem Godwina Emefelego swój telefon komórkowy.

— Pański numer — mówi. — Jeśli znajdę coś interesującego, zapytam Ikimego, czy mogę to panu przekazać.

Zaraz po wprowadzeniu numeru mojego telefonu dziękujemy z Chiką pani doktor i pośpiesznie wychodzimy z kostnicy.

— Co teraz? — pyta Chika, kiedy wskakujemy do land cruisera.

— Muszę obejrzeć pokój Godwina.

AKT III

przy przechodzeniu z jednego medium do innego fale świetlne zmieniają kierunek

PLANY I ZNAKI

John Paul siedzi spokojnie naprzeciwko zdenerwowanego dyrektora jednego z mieszczących się w Port Harcourt oddziałów Banku Narodowego.

— To bardzo niespotykane — mówi dyrektor, kręcąc głową.

— To moje pieniądze — mówi spokojnym tonem John Paul, poprawiając swoje okulary na swoim nosie.

— Tak, oczywiście, to pańskie pieniądze, ale jesteśmy małym oddziałem.

— Nie wycofuję gotówki teraz; ja tylko kupuję od was dolary amerykańskie i przelewam je na rachunek domowy.

— Tak, ale przelewa pan fundusze na inne konto w imieniu tego... — Bankier zagląda do papierów leżących na biurku — Johna Paula Afini-Clarka. To oznacza, że zamyka pan swój rachunek. Przepisy związane z FOREX-em bardzo się zmieniły. Aby kupić tyle USD, musimy złożyć podanie o...

— Proszę zaoszczędzić mi opisu tej procedury, błagam. Obaj mamy wybór: albo ja wycofam w tej chwili całą moją gotówkę, całe dwadzieścia osiem milionów nair, i kupię dolary na czarnym rynku, albo pan spełni moją prośbę i zarobi wysoką prowizję.

Możliwość stracenia klienta i premii jest nie do przyjęcia.

— Zobaczę, co się da zrobić, sir.

John Paul wstaje i zbiera dokumenty tożsamości, które przyniósł dla uzasadnienia prośby o spotkanie z dyrektorem oddziału.

— Jeśli mogę zapytać, sir, co mam przedstawić jako cel takiej transakcji?

John Paul nie traci rezonu.

— Transakcję handlową z Amasem Dabarem. Chce go pan sprawdzić?

Jąkając się, dyrektor zapewnia Johna Paula, że nie będzie takiej potrzeby. Ścisła podaną sobie dłoń Johna Paula drżącą ręką.

Odwiedziny w następnych dwóch bankach przebiegają w taki sam sposób. Jediną różnicą jest to, że w jednym John Paul żąda euro, a w ostatnim funtów szterlingów.

Wieczorem John Paul narusza rutynę i nie idzie do kafejki internetowej wysyłać wiadomości ze strony Alfurqurana na Facebooku i konta @ZadnegoBogaProczJezusa na Twitterze. Zamiast tego pisze we własnym pokoju, posługując się swoim laptopem i smartfonem z nowiutką kartą SIM, który służy mu do wysyłania wiadomości poprzez hot spot.

Aby zarejestrować kartę SIM na nazwisko Amasa Dabary, zapłacił sprzedawcy operatora komórkowego mnóstwo pieniędzy, by ten przeoczył brak dokumentu tożsamości, a to, że sprzedawca nie rozpoznał tego nazwiska, uznałem za dobry znak.

Za bardzo dobry znak.

POCHODZENIE ŻARU

Aby dostać się do pokoju Godwina, wystarczyło zadzwonić do Ikimego. Aby zostać wpuszczonym na miejsce zbrodni w Stanach, musiałbym wypełnić kilka formularzy w czterech

egzemplarzach, a w oględzinach mogłaby chcieć uczestniczyć policja, adwokat podejrzanego — gdyby istniały przesłanki, że doszło do przestępstwa — i prokurator. Klucze do pokoju znajdowałyby się najprawdopodobniej w jakimś skarbcu włożone do specjalnej saszetki z przymocowaną do niej listą wszystkich osób, które miały do nich dostęp.

Jednak jeśli chodzi o tutejszy Uniwersytet Stanowy, o śmierci Godwina nie została nawet poinformowana policja w Okriki. Ochrona kampusu wciąż przygotowuje raport, który zostanie zamknięty, kiedy doktor Okaro określi przyczynę śmierci, a następnie wysłany do policji, która może poprosić o dalsze śledztwo — lub nie. Gdyby rodzice Godwina upierali się, że doszło do przestępstwa, policja skieruje do uniwersytetu oficjalną prośbę i dopiero wtedy zostanie wpuszczona na kampus, by przeprowadzić śledztwo.

Wszystko to wyjaśnia Chice i mnie Johnny, funkcjonariusz ochrony kampusu pełniący teraz służbę, wyciągając z kieszeni klucz do pokoju Godwina tak spokojnie, jakby to były klucze do jego domu. Jest sympatycznym gościem, który mówił bez przerwy przez całą drogę; zabrał się z nami land cruiserem, ponieważ uniwersytecki dział transportu nie miał wolnego auta.

— Każdy wiedział, że tak to się skończy — mówi, otwierając drzwi.

— Wszyscy to powtarzają — mamrocze oschle Chika.

— Ten chłopak sprawiał kłopoty od samego początku. O tym, że sprzedaje narkotyki, było głośno już na pierwszym roku, ale nikt nie miał dowodu. Jeszcze przed tą historią w Okriki miał przechlapane. Codziennie naćpany. Opuszczał zajęcia. Awanturował się na imprezach. Wszyscy się ucieszyli, kiedy wyprowadził się z kampusu, ale potem stało się to w Okriki i musiał wrócić.

Śmiem twierdzić, że Emeka i inni rodzice nie nazwaliby tego naszyjnikowego zabójstwa ich synów „tym”, ale nic nie mówię. Nigdy nie lubiłem, kiedy podczas oględzin miejsca zbrodni było dookoła mnie za dużo gadaniny.

— Zamek nie został porządnie naprawiony — mówi Johnny, zmagając się z drzwiami. — W środku jest okropny bałagan. Nasz *oga* powiedział, że dopóki nie zostanie sporządzony raport dla policji, nikt nie powinien niczego dotykać.

Jedyna sensowna rzecz, jaką zrobiono do tej pory, myślę, kiedy Johnny’emu w końcu udaje się otworzyć drzwi.

Mocno uderza nas swąd, ale staram się tym nie przejmować. Stoję w progu niedużego pokoju i się rozglądam.

Niezorganizowane miejsce zbrodni.

Niedopałki papierosów w prowizorycznych popielniczkach, butelki piwa w kącie i mnóstwo pustych buteleczek po czymś, co wygląda na syrop od kaszlu. Na bazie kodeiny. Na podłodze obok pojedynczego łóżka stoi otwarta butelka miejscowego dżinu. Krawędź łóżka jest zwęglona. Tuż przy nim na podłodze leżą brudne ubrania i chyba zaschnięte wymiociny.

— Dobrze, że ludzie zobaczyli dym wydobywający się z jego okna — mówi Johnny. — Gdyby kierowali się samym zapachem, wszyscy uznaliby, że Godwin pali marychę albo coś.

— Studenci wyłamali drzwi, żeby dostać się do środka? — pytam, rozglądając się po pokoju.

— Tak.

— Ale ty użyłeś klucza...

— Drzwi naprawił sam kierownik akademika. Powiedział, że nie chce, żeby okradziono pokój.

To, dlaczego studenci mieliby okraść pokój, w którym właśnie stracił życie inny student, jest poza moimi zdolnościami pojmowania. Wychodzimy z Chiką z pokoju i przyglądamy się drzwiom. Istotnie, widać ślady wyłamania, a zamek został naprędce krzywo zamocowany, żeby można było używać klucza.

Patrzę wzdłuż korytarza. O tej porze dnia w budynku jest stosunkowo cicho, ponieważ większość studentów jest na zajęciach lub egzaminach.

Chika nadal pochyla się nad zamkiem.

— Nie możemy stwierdzić, czy ktoś majstrował przy drzwiach, zanim zostały wyłamane przez studentów — stwierdza.

— Wiem. Gdyby zamek nie został naprawiony, moglibyśmy się domyślić, czy forsowano je dwa razy.

Nie okazuję irytacji, ponieważ nie chcę wzbudzić podejrzliwości u sympatycznego Johnny’ego.

Chika wyprostowuje się znad zamka.

— Dobra wiadomość jest taka, że pokój został zamknięty.

— A zła?

— Że musimy do niego wejść.

Obaj nabieramy powietrza i jeszcze raz wchodzimy do środka.

Chika wyjmuje z portfela kilka banknotów i podaje je Johnny’emu, który rozgląda się, jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

— Nie martw się o nas, bracie. Spróbuj coś zjeść, a potem wróc za jakąś godzinę.

Johnny bierze pieniądze.

— To mój numer. Niech panowie zadzwonią, jak skończą.

Chika zapisuje numer w swoim telefonie z szerokim, fałszywym uśmiechem wdzięczności.

Kiedy tylko Johnny znika, bierzemy się do pracy.

Sufit pokrywa szarawy popiół. Świadczy to o tym, że nie było płomienia albo przynajmniej dużego płomienia, który dałby więcej dymu i to dymu bardziej czarnego, który wypełniłby pokój. W ścianie naprzeciwko drzwi znajduje się okno, także pokryte szarą sadzą. Odwracam się do drzwi i z powrotem oglądam na okno.

— Od drzwi jest przeciąg — mówię na głos. — Skierował dym na tę stronę, a dym, który nie mógł się wydostać przez okno, osadził się na tej ścianie. Widzisz, jaka gęsta jest sadza po tej stronie pokoju?

Chika kiwa głową i ze zmarszczonym czołem nachyla się nad łóżkiem. Razem z nim przyglądam się zużytemu materacowi. Środek miękkiej pianki jest przepalony na wskroś i przez tę dziurę widać metalowe sprężyny łóżka. Jeśli Godwin trzymał palącego się papierosa, to wzrost studenta i długość jego rąk powinny potwierdzić, że ten punkt był źródłem żaru. Pochylam się bliżej materaca. Coś tu nie gra.

— Co? — pyta Chika, podążając wzrokiem za moim spojrzeniem.

— Materac jest z pianki syntetycznej.

— I?

— Spójrz tutaj. — Pokazuję na najbardziej wypaloną część. — Widzisz, jak bardzo żarzyło się tutaj w porównaniu z krawędzią?

— Tak.

— Widzisz, że materac jest przepalony na wylot tylko tutaj?

— No i?

— Intensywność żarzenia się maleje w miarę rozprzestrzeniania... Spójrz tutaj i tutaj... — Pokazuję na krawędź spalonego miejsca. — Kiedy sztuczny materiał jest wystawiony na działanie ognia, pali się szybko i pożar się rozprzestrzenia, ale tutaj tak nie było.

— Może rozprzestrzenianie się ognia zatrzymało ciało Godwina.

— W normalnym przypadku to miałyby sens, ale niedopałek papierosa to nie ogień. Potrafi rozżarzyć włókno sztuczne jak pianka, ale temperatura jego żarzenia nie jest wystarczająco wysoka, by wypalić w materacu dziurę, zanim proces się rozprzestrzeni.

— Rozumiem. Najpierw powinien się rozgrzać materac, a potem żar powinien zacząć się rozprzestrzeniać na boki i w głąb łóżka.

— W równym, wolnym tempie, a nie gwałtownie.

Chika przygląda się uważniej miejscu, w którym przez wypaloną dziurę widać stalowe sprężyny materaca.

— Chyba że coś sprawiło, że żar rozpalił się szybciej...

— Na to miejsce zostało wylane coś, co przyspieszyło powstanie ognia, lecz nie wystarczyło do podtrzymania równomiernego rozprzestrzeniania się go.

— Nie benzyna albo nafta?

— Nie. Nie wskazuje na to zapach. Coś łagodniejszego.

Pochylam się niżej, aż mój nos znajduje się kilka centymetrów nad materacem, i wciągam powietrze, usiłując doszukać się zapachu innego niż swąd panujący w pokoju. I wtedy zauważam przez dziurę i sieć sprężyn walizkę. Jest wepchnięta pod łóżko, blisko wezgłowia, więc przez wypaloną dziurę widać ją dopiero pod pewnym kątem. Niestety, to jest miejsce położone najbliżej wyschniętych wymiocin, więc wyciągnięcie walizki spod łóżka wymaga ogromnej siły woli i zatkania nosów.

Jest zamknięta na kłódkę i nietknięta, a pokrywający ją kurz świadczy, że nie ruszano jej od dłuższego czasu. Umieszczenie jej tak głęboko pod łóżkiem ocaliło ją także przed sadzą pokrywającą wszystkie powierzchnie w pokoju.

Patrzymy z Chiką na siebie nawzajem.

— Myślisz to samo co ja? — pytam.

— Zróbmy to.

Rozglądam się za czymś do wyłamania zamka, lecz uprzedza mnie Chika. Podchodzi do stolika i znajduje spinacz do papieru. Widziałem, jak to się robi w filmach, i nawet zapytałem moich kolegów w policji San Francisco, czy to jest możliwe. Zapewnili mnie, że to w większości wypadków licencja twórcza i że mało który zamek da się otworzyć wyprostowanym spinaczem. Powiedzieli, że to musi być okropny, tani zamek, żeby dało się go otworzyć tak łatwo.

Cóż, albo Godwin użył taniej kłódki, albo Chika naprawdę umie otwierać zamki, bo patrzymy na zawartość walizki po niespełna półtorej minuty.

Trochę ubrań, czasopisma pornograficzne, torebka marychy i płyty DVD, które, sądząc po okładkach, są filmowymi wersjami czasopism. Ponieważ nie mam rękawiczek, posługuję się środkowym palcem, żeby jak najmniej naruszyć zawartość walizki. Widzę jakieś papiery i wysuwam je na zewnątrz, żeby je szybko przejrzeć. Korespondencja od władz uczelni w związku z podejrzeniami o handel narkotykami i ręcznie napisane różne wersje listów odpierających zarzuty. Podaję je Chice i wracam do walizki.

Po upewnieniu się, że mój palec nie napotka nic lepkiego ani płynnego, macam nim pod czasopismami i papierami. Dotykam czegoś twardego i nieruchomieję.

— Co to? — pyta Chika, widząc, że marszczę brwi i się nie ruszam.

Powoli wyciągam z walizki przedmiot, w którym natychmiast rozpoznaję pistolet automatyczny kalibru czterdzieści pięć.

DYM

Broń jest bezpiecznie ukryta w land cruiserze i kiedy wraca Johnny z szerokim uśmiechem na twarzy, nasze są jak z kamienia. Z sił wywieranych na dolne guziki jego koszuli widać, że dobrze wykorzystał hojność Chiki.

Wypuszczamy go pod biurem ochrony kampusu i zmykamy do Okriki.

— Nie możemy powiedzieć sekretarzowi, tak? — pyta Chika, jadąc na terenie uniwersytetu szybciej, niż powinien.

— Powiedzieć Ikimemu, że znaleźliśmy w pokoju Godwina broń? Nie ma mowy! Dopiero jak potwierdzimy, że należała do Godwina.

— Jak to zrobimy?

— Musi być jakiś ślad sprzedaży albo zgłoszenie kradzieży...

Milknę, bo Chika kręci głową w aż zanadto znany mi już sposób.

— *Oga*, powiedziałem ci, żebyś zapomniał o tych wszystkich amerykańskich procedurach, do których się przyzwyczaiłeś. Gdzie w tej okolicy człowiek ma zacząć śledzić drogę przemierzoną przez broń palną? Z łatwością mogła zostać przemyciona przez granicę albo ukradzioną policji. Równie dobrze mogła ją odzyskać od uzbrojonych złodziei sama policja i sprzedać ją na czarnym rynku. W najlepszym razie to szukanie wiatru w polu.

Odwracam się do niego.

— Skoro już mowa o policji, czy tylko mnie wydaje się dziwne, że Godwin ginie zaraz po tym, jak zapytaliśmy Omerejiego o jej związek ze śmiercią Momoha? — pytam.

— Nie wiem, czego szukałeś, ale w tym pokoju nie pasowało do siebie mnóstwo rzeczy.

— Całe miejsce zostało zaaranżowane; wszystko zostało precyzyjnie rozmieszczone, by wyglądało to na wypadek.

— I myślisz, że może być za to odpowiedzialna policja?

— W tej chwili jestem otwarty na wszelkie możliwości, ale to się nie trzyma kupy. Dlaczego teraz?

— Bo się ich czepiasz? Połączyłeś ich motyw uciszenia Kevina z ich zaniedbaniem w sprawie Momoha — wylicza Chika.

— Tamuno powiedział, że poszedł na policję ze swoim oświadczeniem, to znaczy, że policja od początku wiedziała, że ktoś połączył śmierć Momoha z działaniem wspólnym i w porozumieniu. To po prostu nie ma sensu.

Wypuszczam z irytacją powietrze z płuc.

— Myślisz, że to Godwin mógł strzelić, a nie Winston, jak utrzymywał? — pyta Chika, nie odrywając wzroku od drogi.

— To jedna z możliwości. Lecz jest także możliwe, że Godwin ukradł pistolet już po tym, jak tłum rzucił się na tych trzech chłopców.

— Po co?

— Teraz nie mamy jak się tego dowiedzieć, ale jeśli Godwin strzelił, a potem zawołał o pomoc, to z całą pewnością wskazuje to na premedytację. Liczyliby na właśnie taką reakcję mieszkańców miasteczka.

— Sugerujesz, że krzyczał, wiedząc, że przybędzie tłum, schwyta chłopców i ich zabije?

— No, może nie zabije, ale przynajmniej zakłóci spokój albo spowoduje poważną krzywdę. Przemoc zlecona.

Chika przez chwilę zastanawia się nad moimi słowami, a potem kiwa głową.

— To ma sens. Biorąc pod uwagę serię kradzieży w Okriki i to, że miasteczko zorganizowało w samoobronie straż obywatelską, sprawcy udaremnionej próby kradzieży z bronią w ręku za dnia z pewnością nie uszliby karze.

— Rzecz w tym, że jakoś nie widzę Godwina jako autora takiego pomysłu.

— Ja też nie.

Cieszę się, że ktoś myśli podobnie.

— Zrobił na mnie bardziej wrażenie kogoś, kto działa pod wpływem kaprysu, a narkotyki nie pomogłyby mu starannie zaplanować takiego przedsięwzięcia.

Znajdujemy się teraz na drodze, która prowadzi obok miejsca, gdzie zostali zabici chłopcy, posterunku policji i pensjonatu madam gospodyni.

— Czuję się tak, jakby coś nam umykało, jakby ktoś pociągał za sznurki — zastanawiam się na głos.

— Może jego dostawca narkotyków?

— Może. A poza tym, jaki dostawca posługuje się uzależnionym dealerem, chyba że to uzależnienie jest częścią planu? Tak czy owak, jeśli Godwin dopiero teraz stał się ciężarem, który trzeba było wyeliminować, to co się zmieniło w ciągu ostatnich kilku dni?

— Rozmawiał z nami — odpowiada Chika, widząc sensowność całego obrazu.

— Tak, a jeśli gdzieś tu krąży morderca, który zabił Godwina, ponieważ rozmawiał z nami...

— To jesteśmy w niebezpieczeństwie.

— Tak. Dlatego musimy mieć policję po naszej stronie.

— Zakładając, że to nie dzieło policji... — mówi cierpko Chika.

— Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. — Wyjmuję mój telefon komórkowy i stukam w niego. — Daj mi sekundę.

Salome odbiera po pierwszym sygnale.

— Nic ci nie jest?

— Potrzebuję twojej pomocy. — Szybko wszystko wyjaśniam: od odkrycia pistoletu w pokoju Godwina do naszego podejrzenia, że mógłby to być ten sam pistolet, który zwrócił uwagę mieszkańców Okriki na rzekomy rabunek w dniu egzekucji tych trzech chłopców. — A dzwonię dlatego... Muszę o tym porozmawiać z inspektorem, ale biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się rozstaliśmy...

— Jesteś pewien, że tę broń można powiązać z zabójstwem tych chłopców? — pyta Salome.

— Mam pewne podejrzenia.

— Może to by oznaczało, że oprócz aktualnie oskarżonych czekających na proces są w to wpłątane inne osoby?

Myślę intensywnie. Oczywiście Salome byłaby zainteresowana wszystkim, co zmniejsza winę jej współmieszkańców związaną z tymi zabójstwami. A zatem powinien też być tym zainteresowany inspektor.

— Nie mogę na to odpowiedzieć, skoro nie znam roli pistoletu w tym wszystkim.

Po drugiej stronie opanuje cisza. Jeśli to prawda, że Salome pomaga mi ze względu na chęć poznania, co pchnęło mieszkańców Okriki do tego czynu, to mam nadzieję, że załatwi mi dojsście, którego potrzebuję.

— Chcesz, żebym poprosiła Mike'a, żeby to dla ciebie sprawdził? — pyta Salome.

— Tak, ale powiedział, że sprawa jest zamknięta.

— Bzdura. — Wyobrażam sobie lekceważący ruch upierścienionych palców. — Sprawa jest zamknięta dopóty, dopóki nie pojawi się nowe odkrycie. Działaj dalej. Mike'a zostaw mnie.

— Kto to był? — pyta Chika, kiedy się rozłączam.

— Salome. Chcę, żeby porozmawiała z Omerejim, zanim do niego przyjdziemy.

W dali ukazuje się posterunek policji w Okriki.

— Nie wiem, czy powinieneś to robić.

— Dlaczego? Może zdobyć dla nas dostęp do Omerejiego, są kuzynami.

— Mały świat — mówi z wyraźnym sarkazmem, lecz twarz ma nieprzeniknioną.

— Jestem pewien, że może nam pomóc namówić go...

— Do czego? Do pomocy samym sobie?

— Salome nie dała mi żadnego powodu, by nie...

— *Oga*, moim zdaniem zbyt ufasz tej przyjaciółce.

— Wciąż to powtarzasz. Czy wiesz coś, o czym mi nie mówisz?

W moim głosie brzmi wyzwanie i może właśnie teraz oczekuję, by Chika wyjaśnił, co inspektor

miał na myśli podczas naszego ostatniego spotkania. Lecz wyraźnie to jeszcze nie ten moment, bo Chika wpatruje się w drogę i wrusza ramionami, jakby mówił „wszystko jedno”.

Nalegałbym dalej, ale jesteśmy już przy posterunku policji. Zerkam na Chikę i zastanawiam się, czy rosnące stawki w tej sprawie martwią go bardziej, niż chce okazywać. Spodziewanie się dziecka i odkrycie, że własnemu życiu może zagrażać jakieś niebezpieczeństwo, nie idą w parze.

— Porozmawiam z Omerejim. Wybadam, co sądzi o tych nowych informacjach. Wtedy będziemy lepiej wiedzieli, z czym mamy do czynienia.

Mój uspokajający ton chyba nie ma zbyt wielkiego wpływu na Chikę, który po prostu sięga pod swój fotel i podaje mi czarny plastikowy worek.

Szybko sprawdzam czterdziestkę piątkę, czy jest nienaładowana i zabezpieczona. Wkładam ją z powrotem do worka i wtykam za pasek spodni, a po wyjściu z land cruisera naciągam na nią koszulę.

Kiedy wchodzę do budynku, panuje w nim wrzawa. Jakiś funkcjonariusz wyższej rangi uderza w swoje biurko pałą, co chwila krzyząc: „cisza!”, jakby był sędzią albo strażnikiem w sądzie. Zauważam kilku muzułmanów, których widzieliśmy z Chiką w ośrodku kultury.

— Jeśli policja nie będzie nas chronić, to będziemy musieli chronić się sami!

— Przed jakim zagrożeniem mielibyśmy was chronić? — pyta pogardliwie funkcjonariusz.

Wszyscy mężczyźni podnoszą głos i mówią jednocześnie. Rozlegają się kolejne uderzenia pałki w biurko i robi się trochę ciszej. Główny krzykacz podtyka pukającemu pałą pod nos telefon komórkowy.

— Widziałeś to? Tak właśnie o nas mówią. Zagrożone jest nasze życie!

Wybucha jeszcze większe zamieszanie; uznaję, że widziałem dosyć. Najwyraźniej tamto spotkanie w ośrodku kultury nie zażegnało konfliktu między chrześcijanami i muzułmanami. A sądząc po minach funkcjonariuszy obserwujących urażonych muzułmanów, konflikt ten nie zostanie zażegnany także i tutaj.

Odsuwam na bok obawy związane z rozgrywającą się przede mną sceną i zmierzam w stronę biurka żółtodzioba. Młodzieniec patrzy na mnie z taką samą niechęcią, jak za pierwszym razem.

— Chciałbym się zobaczyć z inspektorem Omerejim — mówię, nie zadając sobie trudu przywitania się z nim.

Mój głos musiał się roznieść po posterunku, bo w pomieszczeniu zapada cisza. Wszystkie oczy są skierowane na mnie.

— Inspektor? — dopowiadam spokojnie. — Jest w biurze?

— Jest pan umówiony?

— Nie.

— A zatem zaczeka pan, jak wszyscy inni.

Zwraca głowę do bazgrołów, którymi zapełnia jakąś księgę.

— Kto jeszcze czeka na spotkanie z nim?

Żółtodziób się rozgląda.

— Ty? Nie przyszedłeś do inspektora?

Pokazuje na młodzieńca, który siedzi na podłodze; ma złamany ząb, zakrwawiony nos i półprzymknięte spuchnięte oko. Nie wiem, czy składa zawiadomienie o napaści, czy został zaciągnięty na posterunek w celu ukarania za przestępstwo popełnione w barze lub na targowisku.

— Ja? Tak. Chcę się zobaczyć z inspektorem — odpowiada nieco bełkotliwie młodzieniec.

Zdecydowanie sprzeczka w piwiarni.

Kiedy tylko z trudem staje na nogach, inni też zaczynają twierdzić, że przyszli do inspektora. Patrzę na żółtodzioba, który teraz ma minę człowieka, który zapoczątkował coś, co go przerosło.

— Zaczekam — mówię z uśmiechem.

Udaję się do kąta, a żółtodzioba dopada chmara ludzi żądających spotkania z inspektorem. Funkcjonariusz z pałką wali nią w biurko głośniej i woła o zachowanie porządku.

Wysłałam SMS do Salome: „Jestem tu, ale mnie do niego nie dopuszczają”.

Udaję, że nie zwracam uwagi na spojrzenia ludzi, którzy nie wiedzą, czy lepiej na złość mnie domagać się widzenia z inspektorem, czy zaryzykować gniew funkcjonariusza, który krzyczy i wygląda tak, jakby chciał użyć swojej pałki na ich głowach, a nie na wytrzymałym biurku.

Na moim ekranie wyskakuje SMS od Salome: „Zaczekaj. Przyjdzie”.

Staram się nie liczyć minut, ale już po niedługim czasie w drzwiach pojawia się inspektor Omereji i, nie patrząc na nikogo w tłumie, przyzywa mnie machnięciem ręki. Idę za nim przez pomieszczenie, omijając po drodze do jego biura meble i sterty akt.

— Dwie wizyty w ciągu dwudziestu czterech godzin, panie doktorze. To musi być ważne albo coraz bardziej się panu podobamy.

Siadam na wskazanym krześle.

— Przyjmijmy to pierwsze.

Inspektor Omereji odchyła się na oparcie swojego krzesła.

— Kuzynka mówi, że potrzebuje pan mojej pomocy. Jak to jest w ogóle możliwe?

— Mam dowód, który może rzucić więcej światła na wydarzenia tamtego dnia.

— Wiemy, co się wydarzyło.

Jestem zmęczony tą zabawą w kotka i myszkę.

— Proszę mnie wysłuchać. Jeśli potem nadal nie będzie chciał pan pomóc, nie będę nalegał.

Omereji unosi dłoń w udawanym geście kapitulacji.

— Dobrze. Słucham.

— Pod jednym warunkiem.

— Prosi mnie pan o pomoc pod jakimś warunkiem? — pyta drwiącym tonem, lecz w jego oczach nie ma uśmiechu.

— Kiedy opowiem panu, co wiem, i pokażę, co mam... to jeśli nie będzie mógł pan pomóc, ta rozmowa na razie zostanie między nami.

— Panie doktorze, pamięta pan, że jestem policjantem, tak?

— Wiem. I daję panu słowo, że nie usiłuję pana w żaden sposób skompromitować. Po prostu mówię, że jeśli nie będzie pan mógł mi pomóc, to będzie pan musiał dać mi możliwość poszukania pomocy gdzie indziej.

— Niczego nie obiecuję, ale dam panu kredyt zaufania.

To najlepsze, co mogę uzyskać, więc podciągam koszulę, wyjmuję za paska plastikowy worek i kładę go na biurku między nami.

— Co to?

Wyciągam czterdziestkę piątkę i kładę ją na worku. Wyraz twarzy Omerejiego się nie zmienia.

— Jednak cieszę się, że niczego nie obiecałem...

— Pamięta pan Godwina?

Nie spuszcza z niego wzroku.

— Tego chłopca, który wczoraj umarł?

Wie, bo mu powiedziano, czy...?

— Jesteśmy policją, panie doktorze — mówi oschłym tonem Omereji, a ja widzę, że znowu mnie zdradziła moja twarz. — Mówi nam się takie rzeczy, a nawet jeśli chodzi o uniwersytet, to czekamy w pogotowiu, by wkroczyć, jeśli okaże się, że jest potrzebna nasza pomoc.

— Cóż, powinniście byli zostać poproszeni o pomoc, ponieważ ochrona kampusu bardzo ingeruje w dowody na tym miejscu.

— Powiedzieli, że to przypadkowa śmierć.

— Sądząc z tego, co widziałem, to nie.

Omereji się wyprostowuje.

— Sądzi pan, że został zabity?

Jego ożywienie i nuta czujności w głosie nie są udawane. Śmierć Godwina mogła nie być dla Omerejiego zaskoczeniem, ale możliwość, że został zamordowany, już nim jest. To tym bardziej mnie upewnia, że warto było podjąć ryzyko związane z tą rozmową.

— Nie wiem — przyznaję uczciwie. — Ale wiem, że ten pistolet znalazłem w jego pokoju.

Omereji wytrzeszcza oczy.

— Wpuścili pana do jego pokoju?

Wzruszam ramionami.

— Nie uważają go za miejsce zbrodni, ponieważ zakładają przypadkową śmierć...

— Nawet mimo to...

Omereji kręci głową.

— Pamięta pan stwierdzenie z raportu — ciągnę szybko, zanim policyjna procedura, lub też jej brak, zakłóci przebieg rozmowy — że na terenie pensjonatu znaleziono wystrzelone kule i ich łuski jako dowody na to, iż padły strzały, które wszyscy słyszeli?

— Tak. Mieszkańcy miasteczka zawsze utrzymywali, że to strzały przekonały ich o tym, iż właśnie dochodzi do przestępstwa.

— Obaj wiemy, że takie automaty zostawiają po strzale łuski. Nie mam na to żadnego dowodu, lecz instynkt mówi mi, że jeśli przeprowadzi pan analizę balistyczną tej broni, może się okazać, że to z niej wystrzelono kule przechowywane jako dowody.

Omereji patrzy na pistolet, jakby to była sycząca kobra.

— Co pan chce powiedzieć?

— Godwin powiedział, że jeden z tych chłopców, a dokładnie mówiąc, Winston, strzelił z pistoletu kilka razy. Jeśli to ta sama broń, to na pewno chciałby się pan dowiedzieć, jak znalazła się w posiadaniu Godwina i dlaczego nie przyznał się on w zeznaniu, że ją ma.

Omereji przenosi wzrok z pistoletu na mnie.

— Może to on z niej strzelał?

— Albo ktoś inny, kogo ochraniał Godwin...?

— Ktoś, kto teraz zapragnął jego śmierci...

Patrzymy z Omerejim na siebie nawzajem. Nie ma już nic więcej do powiedzenia.

— Będę musiał wysłać go do balistyki w PH.

Podnoszę torbę z laptopem i wstaję, a inspektor pakuje broń.

— Gdzie pański pomagier?

— Jeśli ma pan na myśli Chikę, to jest w samochodzie.

— On kłamie — oświadcza inspektor.

Marszczę brwi, lecz nie mogę zignorować delikatnego łaskotania w żołądku.

— To poważny zarzut.

— Nie studiował na Uniwersytecie Stanowym. Na liście absolwentów z dwa tysiące dwunastego roku nie ma jego nazwiska.

To mnie zaskakuje, ale szybko odzyskuję rezon.

— Może to było drobne kłamstewko, żeby nawiązać z panem więź?

— To jakimi kłamstwami raczył pana, żeby nawiązać więź z panem?

NIESPODZIEWANA OBRONA

Droga powrotna do Tropicany stanowi moje oficjalne zapoznanie się z legendarnym ruchem ulicznym Port Harcourt. Przedtem zawsze udawało się nam omijać godzinę szczytu, ale dzisiaj najwyraźniej się przeliczyliśmy. I to poważnie.

Spędzamy w drodze wiele godzin, więc kiedy wracamy do hotelu, jesteśmy zbyt wyczerpani, by zrobić coś więcej niż potwierdzić grafik następnego dnia, zjeść i położyć się spać.

Budzę się zupełnie wypoczęty i chętny do kontynuowania tego, co uznaję za szczęśliwą passę, jeśli chodzi o wczorajsze odkrycia. Tego ranka mam o wiele mniejsze obawy związane z tym zadaniem i przez chwilę z żalem, ale i nadzieją myślę, że śmierć Godwina może doprowadzić do znalezienia pewnych odpowiedzi, w których poszukiwaniu przyjechałem do Okriki.

Właśnie mam wyskoczyć z łóżka, kiedy przychodzi SMS z obrazkami. Trouble od Boucheron, ulubione perfumy mojej żony. „Wolałabym telefon, ale na razie to są najlepsze przeprosiny!” Folake dodaje do tego kilka emotikonów przedstawiających buziaki i serduszka.

Wciąż usiłuję to wszystko zrozumieć, ale pojawia się SMS od Taia: „Wisisz nam, tatku”. Kiedy pojawia się SMS od Lary: „Tato, mam długa listę rzeczy które bedziesz musial zrobic żeby wynagrodzic mi wydanie calego mojego kieszonkowego”, dodaję dwa do dwóch i otrzymuję cztery. Jestem jednocześnie wzruszony i zawstydzony. Natychmiast dzwonię do Lary.

— Możemy rozmawiać? — pytam, kiedy tylko odbiera telefon.

— Czekaj, tato, pójdę do pokoju chłopców.

Wyobrażam sobie, jak idzie cicho w górę po schodach do ich sypialni.

— Włączyłam głośnomówiący, tato...

— Kochani, chcę wam bardzo podziękować...

— Nie! — To Kay. — Nie wywiniesz się tak łatwo, tatku. Słuchajcie, nie możemy mu odpuścić.

— Kayu, pamiętasz ten obóz koszykówki w Montanie, na który chcesz jechać? — pytam znacząco.

— Wiesz co, tato, mogliśmy zrobić chociaż tyle, żeby się zrzucić na prezent dla mamy...

Potrafię sobie wyobrazić, jak Tai daje mu kuksańca za ten zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, a Lara przewraca oczami. Śmieję się i dziękuję im jeszcze raz. Naprawdę mam najlepsze dzieci na świecie.

Rozmawiam z nimi jeszcze chwilę; żegnam się, kiedy mówią, że mama jest gotowa zawieźć je do szkoły. Powinienem się martwić, że tym razem nie błagają mnie, żebym do niej zadzwonił, ale dzieci są wrażliwe. Wyczuwają sytuację i czasem lepiej ich posłuchać, więc nie proszę, żeby dali do telefonu ich matkę.

Idę pod prysznic, ubieram się we wczorajsze ekspresowo wyprane ubranie i dołączam do Chiki w restauracji.

— Mógłbym się do tego przyzwyczaić — mówi Chika, rozglądając się po szwedzkim stole.

Po panującym wczoraj między nami napięciu nie ma śladu.

— Ja też!

Zamawiam omlet i biorę sobie płatki.

Dzisiaj mieliśmy odwiedzić więzienie i porozmawiać z niektórymi z oskarżonych. Rozmowy zostały umówione, ale Chika otrzymał od swojego kontaktu w więzieniu wiadomość, że wszyscy mają pojawić się w sądzie. Zgadza się, że przyjście do sądu i oglądanie przewodu jest lepszym pomysłem. Powinno mi to pozwolić na zobaczenie większości graczy w jednym miejscu. To, jak zachowują się wobec siebie nawzajem, może okazać się odkrywcze.

— O której sąd zaczyna pracę? — pytam Chikę.

— O ósmej.

Pojawiają się nasze omlety; jemy pośpiesznie, by uniknąć porannego ruchu, który jest charakterystyczny dla wszystkich większych miast, lecz zważywszy na wczorajsze

doświadczenie, w Port Harcourt musi być o wiele gorszy.

Główna droga zachwyca kolorami, rozbrzmiewa klaksonami i tętni przedsiębiorczością. Przydrożni obnośni sprzedawcy biegają od samochodu do samochodu, handlując wszystkim — od akcesoriów do telefonów komórkowych po gotowaną kukurydzę. Tablice reklamowe wychwalające liczne osiągnięcia obecnego gubernatora sąsiadują z reklamami Coca-Coli oraz kaznodziejów zapraszających do krucjat pod hasłami napisanymi z błędami gramatycznymi. Droga jest pełna życia i energii, a po nieprzychylności, z jaką traktowali nas mieszkańcy Okriki, w tym mieście czuję się anonimowo i bezpiecznie. Podoba mi się to uczucie.

Komisja Służby Sądowej Stanu Rivers jest swego rodzaju kompleksem prawniczym. Zanim udaje się nam zaparkować, Chika musi zapytać o drogę, która prowadzi obok sądów pokoju, sądów niższej instancji, Federalnego Sądu Najwyższego i w końcu do Stanowego Sądu Najwyższego.

Kiedy tylko wysiadamy z samochodu, podbiega do nas dwóch mężczyzn.

— Ksero? — pyta jeden z nich.

— Oświadczenie? — pyta drugi.

Chika odmawia obu, lecz pyta o salę, w której jest rozpatrywana sprawa Trzech z Okriki.

Kiedy tam docieramy, stojący przed nią urzędnik informuje nas pompatycznie, że czcigodny sędzia Saronwiyo Dakolo-Jack nie toleruje zakłócania posiedzeń sądu. Jednak schowawszy do kieszeni pieniądze wręczone mu dyskretnie przez Chikę, urzędnik otwiera przed nami drzwi.

Sala sądowa jest wypchana po brzegi — są tylko stojące miejsca — więc od razu trafiamy na plecy ludzi, którzy przyszli wcześniej. Przemieszczamy się do miejsca, skąd widzimy więcej.

Po lewej stronie sali znajduje się ławka, na której siedzą oskarżeni — dwie kobiety i pięciu mężczyzn. Mają na sobie zielone kombinezony, są wymizerowani i sprawiają wrażenie zmęczonych. Patrzą prosto przed siebie, mają tępy wzrok, a ich otępienie każe mi się zastanawiać, czy nie podano im środków odurzających. Czytałem wystarczająco wiele sprawozdań na temat reform prawa kryminalnego w Nigerii, by wiedzieć, że lekiem najczęściej stosowanym do panowania nad więźniami jest chloropromazyna. Dość bierne zachowanie oskarżonych mogło także stanowić smutne świadectwo tego, jak długo ta sprawa tkwi w sądzie.

Z miejsca, w którym się znajdujemy, widzę jedynie plecy prawników. Jest ich całkiem sporo po obu stronach, a ich peruki sprawiają wrażenie, że są aktorami w kostiumach. Zakładam, iż prawnicy reprezentujący oskarżonych to ci, którzy siedzą najbliżej nich, a reprezentanci oskarżenia siedzą po prawej. W tej chwili nie wiem, która strona zadaje pytania, ale w kwadratowym drewnianym stanowisku dla świadka siedzi doktor Ngozi Okaro.

— ...mówi pani, że przeprowadzona przez panią sekcja zwłok nie ujawniła niczego, co może rzucić więcej światła na przyczynę śmierci? — pyta adwokat.

— Jak już mówiłam wiele razy, ciała były tak spalone, że nie dało się rozpoznać, czyje są. Jakiegokolwiek wnioski wychodzące poza ustalenia, że powodem śmierci były oparzenia trzeciego stopnia, musiałyby się opierać na domysłach.

— Pani doktor, dała pani wyraźnie do zrozumienia, że znajduje się tu pani nie pierwszy raz. Czy możemy pominąć ten wstęp do każdej z pani odpowiedzi?

Upomnienie to wygłasza wysoki sąd w osobie mężczyzny, który właśnie dobiega sześćdziesiątki lub niedawno ją przekroczył i wygląda na równie zmęczonego, co oskarżeni. Zdejmuje i wkłada okulary w zależności od tego, czy czyta coś w dokumentach tworzących przed nim stertę (wkłada), czy patrzy na świadków albo prawnika (zdejmuje). Podczas zadawania pytań pisał cały czas i później się dowiem, że prawnicy wolą jego posiedzenia, ponieważ pisze szybciej od innych. Najwyraźniej tutejsi sędziowie ręcznie protokółują przebieg przewodu sądowego. Ręczę, że Folake nigdy nie podejmie praktyki w Nigerii. Nie pozwoli na to jej niecierpliwość.

— Przepraszam, wysoki sędzie — mówi nieprzekonująco doktor Okaro. — Byłam tu jednak wiele razy w imieniu stanu i pytania w tej sprawie zadawali mi wszyscy prawnicy obu stron. Kiedy to się skończy, wysoki sędzie?

— To nie takie proste, pani doktor — mówi niemal współczującym tonem sędzia. — Musimy stwierdzić, że oskarżeni są odpowiedzialni za pobicie i podpalenie, w wyniku których ofiary poniosły śmierć.

— Jakoś nie widzę w tym logiki, wysoki sędzie. Są tutaj, ponieważ zostali zidentyfikowani jako osoby, które znajdowały się na miejscu zbrodni, tak?

— Sprzeciw, wysoki sędzie. Świadek nie znajduje się tu po to, by orzekać o stopniu winy oskarżonych.

Otwieram szeroko oczy. Chociaż nie widzę twarzy, tego głosu nie mogę pomylić. Spoglądam na Chikę. Minę ma niewzruszoną, ale kiwa głową w stronę przodu sali, jakby prosił mnie o potwierdzenie tego, co usłyszał.

Adwokatem zgłaszającym sprzeciw jest Salome!

Siedzi po lewej stronie sali. Znowu patrzę na Chikę, ale chociaż nadal nie umiem odgadnąć wyrazu jego twarzy, wiem, że musiał rozpoznać Salome. Wiedział! Zawsze wiedział. Ale jak?

— ...świadek powstrzymała się od wygłaszania uwag niezwiązanych z zadawanymi jej pytaniami — mówi sędzia. — Zrozumiano?

Doktor Okaro rzuca Salome pogardliwe spojrzenie. Napięcie, które panuje między tymi kobietami, jest wyczuwalne nawet tu, gdzie stoimy z Chiką.

— Pani doktor — kontynuuje oskarżyciel, skłoniwszy się sędziemu — w swoim raporcie napisała pani, że jedna z ofiar poniosła śmierć wskutek tępego urazu głowy. Zgadza się?

— Tak — odpowiada doktor Okaro.

— Czy może pani dla przypomnienia stwierdzić, która to ofiara?

— Kevin Nwamadi.

— A przyczyna śmierci pozostałych dwóch?

— Rozległe oparzenia.

— Pani doktor, czy wedle pani zawodowej opinii jeśli ktoś poniósł śmierć w ten sposób, to czy mielibyśmy słuszność, zakładając, że taka osoba została podpalona z wyraźnym zamiarem odebrania jej życia?

— Sprzeciw. To prośba o konstruowanie domysłów.

Salome i jeszcze dwóch prawników tworzą chór głosów o różnym poziomie natężenia.

— Sformułuję to inaczej — kontynuuje niewzruszony oskarżyciel. — Pani doktor, czy sądzi pani, że płonące ofiary można by uratować?

— Umieszczono na nich opony. Oblano je benzyną. Zostały podpalone. Nie jestem specjalistką w dziedzinie prawa, ale wiem, że ten, kto zrobił to wszystko, chciał zadać ofiarom śmierć. Czy można było je uratować? Oczywiście. Może zanim ogień rozpałił się na dobre, ktoś mógłby ich wyciągnąć spod opon i zalać ogień wodą czy coś. Lecz moim zdaniem taka intensywność oparzeń z pewnością prowadzi do śmierci.

— Ale nikt nie usiłował uratować ofiar, tak?

— Mnie tam nie było — odpowiada doktor Okaro, zanim rozmaici adwokaci zdążą zgłosić kolejną serię sprzeciwów. — Wiem jednak, że zostały spalone tak bardzo, że w celu ich identyfikacji mogliśmy się posłużyć jedynie danymi stomatologicznymi oraz nagraniami ich torturowania. Zatem, owszem, mogę potwierdzić, że nie ma żadnych dowodów na to, że ktoś próbował ocalić tych młodych ludzi przed spalaniem żywcem.

— Dziękuję, pani doktor. Nie mam dalszych pytań.

— Czy obrona ma jakieś pytania do świadka?

Wstaje Salome.

— Salome Briggs reprezentująca oskarżonego numer cztery.

Wysoki sąd patrzy w stronę ławki, na której siedzą oskarżeni. Rozlega się głośne warknięcie kogoś, kto musi być sekretarzem sądu albo strażnikiem:

— Oskarżony numer cztery, wstać!

Wstaje jeden z pięciu mężczyzn. Wygląda na dwudziestokilkulatka, ale jest tak wyczerpany, że sprawia wrażenie znacznie starszego.

Sekretarz/strażnik każe mu usiąść, a sędzia zwraca się do Salome:

— Proszę kontynuować.

— Pani doktor, potwierdziła pani, że przyczyną śmierci jest poparzenie ofiar?

— Z wyjątkiem Kevina Nwamadiego, który doznał tępego urazu głowy, owszem, główną przyczyną śmierci dwóch innych ofiar były rozległe oparzenia.

— Czy mogę poprosić, żeby mój klient wstał jeszcze raz?

Przykro patrzeć, jak Oskarżony Numer 4 wstaje tak szybko po tym, jak usiadł. Jak marionetka. Prawie na pewno chloropromazyna.

— Obrona oficjalnie przedstawia Ezenwę Dikeha. — Salome pokazuje ręką na swojego klienta, a następnie odwraca się do doktor Okaro. — Pani doktor, czy widziała pani nagrania zabójstw?

— Wszyscy je widzieli.

— A pani?

— Tak. Wiele razy.

— Czy na którymś z nagrań widziała pani mojego klienta?

— Zdecydowanie.

Ze swojego miejsca szybko wstaje oskarżyciel.

— Wysoki sędzie, doktor Okaro jest patologiem, a nie recenzentką wideo. Czy pani Briggs zechciałaby określić związek tego pytania z tematem?

— Do tego zmierzam, wysoki sędzie — odpowiada Salome, a ja widzę w wyobraźni jej drwiący uśmiech. — A zatem potrafi pani zidentyfikować mojego klienta jako jedną z osób w tamtym tłumie?

— Widziałam go na nagraniach, tak.

— Czy widziała pani kiedykolwiek, by mój klient nakładał na ofiary opony, oblewał je benzyną i podpałał?

Nawet ja widzę, dokąd zmierza Salome. Mam ochotę zawołać do oskarżyciela, by natychmiast zgłosił sprzeciw. Salome wcale nie chce udowodnić związku swojego pytania z tematem.

— Oczywiście, że nie — odpowiada doktor Okaro z oburzeniem.

Podejrzewam, że wie, że została wrobiona.

— A zatem jeśli to ogień zabił ofiary i jeśli mój klient nie nałożył na nie opon, nie oblał ich benzyną ani nie zapalił zapałki, to nie powinien stawać przed sądem za ich zamordowanie?

Cała sala się ożywia. Przepęniają ją oburzenie i szok wywołane tupetem Salome. Chyba nie może mieć nadziei, że ujdzie jej to płazem.

— To absurd! — Prawnicy oskarżenia stoją i mówią wszyscy jednocześnie. Ten, który zadawał pytania doktor Okaro, zwraca się do Salome. — Pani klient wyraźnie tam był. Widać go na nagraniu i mamy dowody, że kilka razy uderzył więcej niż jedną ofiarę.

Salome wrusza ramionami i pokazuje na doktor Okaro.

— Ale nie ma dowodów, że uderzenia mojego klienta były bezpośrednią przyczyną śmierci.

Oskarżyciel wstrzymuje dla efektu oddech.

— Mówi pani poważnie?

— Dosyć! — Wysoki sąd kilka razy uderza swoim młotkiem w blat, dzięki czemu w sali sądowej

stopniowo zapada cisza. — Pani Briggs, czy zabiega pani o uniewinnienie swojego klienta?

— Wysoki sędzie, mój klient nigdy nie zaprzeczał, że brał udział w niefortunnym incydencie, który doprowadził do śmierci tych ofiar. Mówię tylko, że jeśli nie zostaną udowodnione *mens rea* i *actus rea*, to wysuwane przez stan żądanie postawienia mojemu klientowi maksymalnego zarzutu jest działaniem nadmiernym.

— Właśnie przeprowadzamy taki dowód! — krzyczy z wściekłością oskarżyciel.

Salome nie daje się zbić z tropu.

— Jeśli, jak oświadcza pański biegły świadek, przyczyną śmierci były oparzenia, a pańskim głównym dowodem winy jest obecność mojego klienta na miejscu zbrodni, to żądam, by wykazał pan, że mój klient umieścił na szyjach ofiar opony, zapalił ogień i patrzył, jak ofiary płoną, nie usiłując ich uratować. Jeśli nie może pan tego zrobić, niech pan wycofa obecne zarzuty i postawi zarzut mniejszego kalibru.

W sali panuje wrzawa. Zgiełk jest tak wielki, że wołanie wysokiego sądu o spokój nie dociera do nikogo.

Gdybym nie był wstrząśnięty widokiem Salome na tej rozprawie, biłbym jej brawo.

POTWIERDZENIA I ODKRYCIA

Stojąc obok land cruisera, patrzymy z Chiką na idącą ku nam Salome. Słońce świeci jej w twarz; zastanawiam się, jak jej się udaje wyglądać, jakby właśnie wyszła z klimatyzowanego pomieszczenia, podczas gdy wszyscy inni pocą się jak w saunie.

— Panowie — mówi.

— Jesteś pełna niespodzianek.

Bezskutecznie staram się, by w moim głosie nie brzmiała uraza.

— Wiedziałaś, że jestem prawniczką...

— Mówiłaś, że od ropy naftowej i gazu.

— I to jest prawda — mówi Salome spokojnie.

— A nie obrończynią oskarżonych w sprawie, nad którą pracuję!

Jej spokój sprawia, że podnoszę głos bardziej, niżbym chciał.

— Czy to ma jakieś znaczenie? Powiedziałaś, że jesteś tu po to, by się dowiedzieć, dlaczego do tego doszło, a nie obarczać ludzi winą — odpowiada spokojnie.

— Istnieje coś takiego, jak ujawnienie — wtrąca się Chika, zanim zdążam odpowiedzieć.

— Stronie zainteresowanej, owszem — mówi Salome głosem nieco chłodniejszym od tego, którego użyła wobec mnie, i który mówi Chice: „Uważaj. Znaj swoje miejsce”.

Chika wbija w nią gniewne spojrzenie i zaciska pięści; zapada niezręczna cisza. Właśnie wtedy podchodzi do nas doktor Okaro i napięcie rośnie o tysiąc stopni.

— Pani Biggs.

— Doktor Okaro.

Kobiety mierzą się wzrokiem jak dwa drapieżne ptaki szukające najlepszej pozycji do ataku.

— Widzę, że upiera się pani przy zapewnieniu bezkarności winnym — mówi z pogardą w głosie doktor Okaro.

— Zakładam, że pracownik naukowy, jakim pani jest, powinien wiedzieć, iż bez dopuszczenia wiarygodnej obrony stan był winny takiego samego samowolnego wymierzenia sprawiedliwości, o jakie są oskarżeni moi klienci.

— Naginanie prawdy to nie obrona — mówi doktor Okaro z drwiącym prychnięciem.

— To się nazywa przedstawieniem dowodu w sprawie. Czymś, z czym pani strona kiego sobie radzi. Przepraszam.

Salome odchodzi, zostawiając po sobie pełną napięcia ciszę. Uśmiecham się do doktor Okaro zaciśniętymi ustami, usiłując stłumić chęć przeproszenia za uwagi Salome.

— Bardzo dobrze poszło pani w sądzie — mówi Chika.

Mógłbym go uściskać, bo pani doktor patrzy na niego z nieco smutnym uśmiechem i jej sztywne zachowanie nagle znika.

— I co to da? Zeznawałam w sądzie wiele razy i pani Biggs nadal udaje się wybronić kolejnego oskarżonego, ponieważ oskarżyciele nie zrobili tego, co do nich należy.

— To musi być frustrujące — mówi współczująco Chika.

— Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo. A teraz, skoro Godwin Emelele nie żyje, będzie jeszcze gorzej. Dlatego przyjechałam. — Doktor Okaro przenosi na mnie już nie tak ciepły wzrok. — Widziałam, jak wchodzi pan do sali sądowej, i pomyślałam: „Co za zbieg okoliczności”. Zamierzałam do pana zadzwonić...

— Znalazła coś pani? — pytam, nie umiejąc ukryć w głosie podekscytowania.

— Nie jest to rozstrzygające, ale w krwi Godwina znajdują się liczne ślady alkaloidów.

— Alkaloidów? — pyta Chika.

— Trucizny — wyjaśniam i zwracam się do doktor Okaro. — Są jakieś szanse, by ją zidentyfikować?

— Chłopak miał w ciele tyle substancji chemicznych, że samo ich wydzielenie stanowiło poważną misję. Biorąc jednak pod uwagę to, jak umarł, jestem teraz niemal pewna, że trucizna nie została przyjęta celowo.

— Zmieni pani swój raport? — pytam, zastanawiając się, jak uniwersytet wykorzysta tę informację.

— Omówię to z Ikimem, ale owszem, zmienię raport. Resztę pozostawiam władzom — mówi doktor Okaro zrezygnowanym tonem jak ktoś, kto miał do czynienia ze zbyt wieloma takimi sprawami. — Tak czy owak, mam nadzieję, że pomoże to panom w tym, co panowie robią. W razie pytań ma pan mój numer.

Doktor Okaro żegna się z nami skinieniem głowy i odchodzi.

— Został zamordowany — stwierdza oczywisty fakt Chika.

— Tak jak podejrzewaliśmy...

Wibruje mój telefon. Otwieram SMS. „Kule pasują”. Domyślam się, że wysłał go Omereji. Pokazuję wiadomość Chice.

— To zdecydowanie jest dzień potwierdzeń i odkryć — mówi.

Słowo „odkryć” wypowiada oschłym tonem, więc podejrzewam, że ma na myśli Salome.

— Jeśli kule pasują do siebie — ciągnie Chika — to oznacza to, że Godwin albo sam strzelił z tego pistoletu i spowodował atak na tych chłopców, albo im go ukradł.

— Tak czy owak, nie możemy wierzyć niczemu, co mówił nam Godwin. Wiemy jednak dwie rzeczy.

— To znaczy?

— Morderca jest na wolności.

— I?

— Dopóki nie nabierzemy pewności, że śmierć Godwina nie ma nic wspólnego z tą sprawą, grozi nam niebezpieczeństwo.

DZIWNA ROZMOWA

Nie mogę pracować. Bez laptopa nie mogę uaktualnić obszernego raportu, który tworzę dla Emeki, chociaż ostatnia jego wersja została zapisana i jest bezpieczna w chmurze. Gdybym

zdobył klawiaturę do iPada, mógłbym trochę podgonić robotę. Nadal nie mam pojęcia, jak poruszyć w raporcie temat morderstwa Godwina, i jestem nieprzygotowany do ukrywania się przed zabójcą.

Stukanie do drzwi. Kiedy je otwieram, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że sprowadziły go moje myśli, ponieważ na korytarzu stoi Chika z nieprzeniknioną miną.

— Potrzebujesz czegoś? — pytam najspokojniej jak umiem.

— Jest tu szef — odpowiada beznamiętnym tonem.

— Emeka? Teraz? Powiedziałeś mu...?

— Idzie pan, sir? — przerywa mi.

— Daj mi chwilę, żebym coś na siebie włożył.

Odwraca się i odchodzi. Nie mogę się pozbyć niepokojącego uczucia, że doniesiono na mnie do dyrektora szkoły. Emeka nieprzypadkowo pojawił się w Port Harcourt zaraz po tym, jak Chika zakwestionował moją ocenę Salome.

Kiedy docieram do kąta w ogromnym holu, Emeka sący powoli koniak. Ma rozpiętą marynarkę, lecz jego krawat jest idealnie zawiązany. Chika siedzi naprzeciwko niego i, sądząc po ich milczeniu, podejrzewam, że rozmawiali o mnie.

— Emeko, co za niespodzianka — mówię z wymuszonym entuzjazmem.

— Philipie. — W głosie Emeki brzmi chłód. — Usiądź, proszę.

Siadam i zwracam się do Chiki.

— Coś się stało?

Chika natychmiast wstaje i patrzy na Emekę.

— Zaczekam na dworze, sir.

— Napijesz się? — pyta Emeka, kiedy zostajemy sami.

— Nie. Nie mam ochoty. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Zdaje się, że jeśli chodzi o tę sprawę, grozi ci niebezpieczeństwo skompromitowania się.

— Tak ci powiedział Chika?

— Moje źródła donoszą, że zatrzymałeś się tutaj — przy tych słowach szerokim gestem ręki obejmuje hol — z woli prawnej obrończyni ludzi, którzy zamordowali mojego syna.

Gdyby Emeka nie miał tak poważnej miny, wyśmiałbym jego słowa stwierdzeniem, że może się spodziewać rachunku za hotel jako składowej moich wydatków. Patrząc jednak na niego i widząc, jak jest wymizerowany, jak ma zapadnięte i podkrążone oczy. Ogarnia mnie współczucie, więc kiedy się odzywam, głos mam cichy i łagodny, lecz stanowczy.

— Czy tak wszystko postrzegasz? Że jest z tobą lub przeciwko tobie?

— Zabili mojego syna...

— I bardzo mi z tego powodu przykro, Emeko. Ale jestem dorosłym, a nie uczniem na wycieczce szkolnej. Nie możesz się do mnie zwracać tak, jak robisz to teraz.

— Tracisz z oczu cel, Philipie.

— Celem jest dowiedzenie się, jak i dlaczego został zabity twój syn, i w minionym tygodniu ani razu nie myślałem o niczym innym ani nie robiłem niczego innego.

— Ta kobieta broni ludzi, którzy zabili mojego syna.

— Jej zbrodnią jest wykonywanie swojej pracy czy bycie moją znajomą?

— I jedno, i drugie!

Emeka wyrzuca to z siebie tak głośno, że otaczający nas hałas z lekka przycicha. Rozglądam się ukradkiem i widzę, że niektórzy klienci zręcznie udają, że nie patrzą na nas.

— Posłuchaj, Emeko. — Ściszam głos do pojedynczego poziomu. — Przysięgam, że nie zrobiłem nic, co mogłoby przeszkodzić w wykonaniu tego zlecenia. Jeśli Chika informuje cię tak dokładnie, jak powinien, to powie ci, że uczyniliśmy znaczny postęp...

— Postęp, który rodzi więcej pytań, niż daje odpowiedzi, o których znalezienie cię prosiłem — mówi już spokojniej Emeka.

— To zajmuje czas. W takiej sprawie pytania dostarczają wskazówek.

Emeka upija koniaku, stawia kieliszek na stole i pochyla się do przodu.

— Nie mam czasu na więcej pytań. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem pani Biggs, to do następnego posiedzenia sądu zostanie wypuszczony kolejny oskarżony.

— Nie jestem policją, Emeko. Od samego początku mówiłem ci, czym się zajmuję. Nie potrafię dostarczyć ci informacji pozwalających na ustalenie winy...

— To może powinienem po prostu przestać to wszystko finansować.

Spoglądam na niego, by ocenić, czy blefuje, ale nie umiem czytać w jego myślach.

— Chcesz zakończyć to śledztwo?

Emeka kręci głową.

— Nie ma sensu go kontynuować.

Nabieram tchu.

— Emeko, obaj wiemy, że nie mogę stanąć przed moim ojcem, nie znając odpowiedzi, do których szukania mnie przekonał.

Zapada krępująca cisza. Emeka przerywa kontakt wzrokowy, dopijając koniak i ponownie stawiając kieliszek na stole.

— Posłuchaj, doktorze, zawsze byłem wdzięczny twojemu ojcu i jego przyjaciółom za wszelkie wsparcie po śmierci mojego ojca.

— A zatem rozumiesz...

— Proszę dać mi dokończyć. Moja wdzięczność nie oznacza akceptacji tego, co przed wielu laty ich pokolenie stworzyło w naszym systemie uniwersyteckim.

— Wiedziałeś?

— Nie od razu. Sądziłem, że po prostu są bliskimi przyjaciółmi. I nie przeszkadzało mi to do czasu, kiedy mój syn wyjechał na uniwersytet i został zabity, ponieważ ludzie podejrzewali, że należał do sekty.

— A kiedy się dowiedziałeś?

— Zerwałem z nimi kontakty.

— Zerwałeś z nimi kontakty?

Emeka kiwa głową.

— Tak. Jeśli istniała choćby szansa, że powodem zabicia mojego syna było częściowo sekciarstwo, to nie mogłem mieć żadnych związków z przyjaciółmi mojego zmarłego ojca.

Teraz rozumiem, dlaczego ojciec chciał, żebym zajął się tą sprawą. Usiłuje pogodzić się z Emeką.

— A zatem nie powiedziałeś mojemu ojcu, żeby przekonał mnie do wzięcia tej sprawy?

Emeka kręci głową.

— Jakiś czas temu podszedł do mnie w klubie golfowym i powiedział, że wróciłeś do kraju i że może mógłbyś pomóc mi w tym śledztwie. Podziękowałem mu i odmówiłem, ale przeprowadziłem rozeznanie, dowiedziałem się, gdzie pracujesz, i reszta doprowadziła nas tutaj.

Skąd więc mój ojciec wiedział, że się do mnie zwrócono i że nie byłem skłonny wziąć tej sprawy? Od mojego powrotu ze Stanów był dość opiekuńczy wobec mnie; nie spuszczał ze mnie oka, a kiedy wydawało mu się, że zbyt długo szukam pracy, przekazał mi kontakty Abubakara.

Abubakar! Zadzwoił do mojego ojca? Nie mogę się doczekać porządnej rozmowy z moim starszym, kiedy wrócę do Lagos.

— Rozumiesz, dlaczego jest tak ważne, bym zamknął to dochodzenie. — Patrzę Emece w oczy, prawie go błagając. — Mój ojciec liczy na mnie. Najwyraźniej ty i twoja rodzina wiele dla niego

znaczący. Dla nich.

Emeka macha niecierpliwie ręką.

— Jak? Nie robisz postępów.

— Chika na pewno powiedział ci o Godwinie...

— Kolejny fałszywy trop — przerywa mi ostrym tonem. — Z całego serca współczuję jego rodzicom, ale ten chłopak był tykającą bombą. Wszyscy wiedzieli, że raczej prędzej niż później dokona samozniszczenia.

— W tym sęk. Wiem na pewno, że to nie samozniszczenie.

— Nawet jeśli ten młodzieniec został zabity, to kto mógłby być za to odpowiedzialny, jeśli nie ci sami ludzie, którzy zabili mojego syna?

— A jeśli się mylisz? A jeśli...

— Nie ma żadnego „a jeśli” — przerywa mi ostro. — Jedynym powodem, dla którego rozważasz jakąś inną możliwość, jest to, że dokonałeś niewłaściwego osądu.

Zapada pełna napięcia cisza, znowu patrzymy sobie w oczy. Wiem, że nadszedł czas.

— A to dobre — mówię swobodnym tonem, odchylając się na oparcie fotela. — Zwłaszcza w ustach kogoś, kto sam nie jest wobec mnie do końca uczciwy.

— Nie rozumiem... — mówi Emeka, marszcząc brwi.

— Chika nie jest kierowcą, prawda? — mówię beznamiętnym tonem.

Emeka pochyla się lekko, by sięgnąć po kieliszek, zauważa, że jest pusty, zostawia go na stole i z powrotem opiera się wygodnie w skórzanym fotelu. Kiedy spogląda na mnie, minę ma niewzruszoną, ale nic nie mówi.

— Nie zamierzasz temu zaprzeczyć?

— Czemu?

— Że wysłałeś Chikę, żeby mnie szpiegował?

Emeka krzyżuje nogi.

— Wpadasz w paranoję, doktorze. Chika tkwił w tym wszystkim na długo przedtem, nim w związku z tą sprawą pomyślałem o panu.

— Jako kierowca?

— Jak myślisz, kto skompletował dokumenty, które dał ci Abubakar?

To wszystko ma sens. Znajomość Chiki tak wielu aspektów tej sprawy. Jego szybkie myślenie i celne spostrzeżenia.

— Dlaczego po prostu nie powiedziałeś mi na samym początku?

— Bo nie chciałem, żebyś był uprzedzony. Chciałem, żebyś zaczął od nowa, gdyby coś ci umknęło.

— No więc kim jest? Jakimś detektywem?

Emeka wyprostowuje nogi, wstaje i patrzy na mnie z góry z uśmiechem, który nie dosięga jego oczu.

— Doktorze, od pięciuset siedemdziesięciu sześciu dni czekam na odpowiedzi, za których znalezienie ci płacę. Chyba zrozumiesz, jeśli powiem, że moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

— Nie odpowiadasz na moje pytanie — mówię, także wstając.

— To pytanie nie dotyczy omawianej sprawy.

— Kim jest Chika Makuochi? — upieram się nadal.

— To jest pytanie, za którego zadanie nie płacę. Proszę nie spuszczać wzroku z celu dochodzenia, doktorze. Masz tydzień, żeby dać mi coś, co mogę wykorzystać.

— Do czego? — pytam, ale on już się oddala, ubrany w elegancki garnitur, który musiał zostać uszyty na miarę.

Siadam i kiwam na kelnera. Kiedy przynosi mi podwójną whiskey, wypijam ją od razu. Właśnie

mam zamówić następną, ale zaczyna mi się kręcić w głowie. Proszę o rachunek i wpisuję numer pokoju. Wstaję, chwytam równowagę i ruszam ku windzie. Kiedy mijam duże szklane drzwi imponującego wejścia do hotelu, coś zwraca moją uwagę.

Na parkingu Emeka rozmawia z Chiką z większym ożywieniem, niż kiedykolwiek je u niego widziałem, i szaleńczo gestykuluje rękami. Chika stoi plecami do mnie, ale widzę, że kręci głową.

I wtedy podchodzi do nich mężczyzna w mundurze, którego rozpoznaję jako kierowcę Emeki. Ma dużą torbę, którą z szacunkiem podaje Emece. Ten podaje ją Chice, który kilka wypowiedzianych nieco spokojniej słów kwituje skinieniem głowy. Zaraz potem range rover zawraca i przejeżdża przez wielką bramę hotelu, a Chika kieruje się do land cruisera.

Lekko się odwracam, żeby mnie nie zauważył. Dociera do auta i otwiera bagażnik. Z mojego miejsca niewiele widzę, ale kiedy zamyka klapę i odwraca się w stronę wejścia do hotelu, jak najszybciej ruszam do wind. Na szczęście jedna z nich otwiera się, gdy tylko naciskam strzałkę skierowaną w górę.

Przez zamykające się drzwi widzę, jak Chika wchodzi do hotelu i idzie w stronę baru w holu. Z pustymi rękami.

NIEWINNE KŁAMSTEWKA

— Zostawiłem w samochodzie iPad — mówię jeszcze raz przed lustrem w łazience.

Wiem, że to idiotyczne, że ćwiczę sposób zdobycia od Chiki kluczyków do samochodu, ale dość dobrze zdaję sobie sprawę, jakim złym jestem kłamcą i jak doskonale Chika potrafi odczytać cudze intencje. Muszę powiedzieć, że potrzebuję iPada do pracy, bez pośpiechu, ale dość stanowczo, z odpowiednią dozą swobody.

— Chyba zostawiłem w samochodzie iPad...

Tak, tak jest o wiele lepiej. Dodanie „chyba” sprawia, że całość brzmi odpowiednio niepewnie. Dopijam drink, który zamówiłem, i idę korytarzem do pokoju Chiki.

Gdyby nie otworzył drzwi po moim pierwszym nieśmiałym zapukaniu, od razu bym zawrócił.

— Chyba... — Słowa więzną mi w gardle. Chika wygląda na znękanego, więc mój planowany podstęp zamienia się w szczerę pytanie. — Co się stało?

— Nic.

— Twoja żona?

— Nic jej nie jest. Chcesz wejść?

Odsuwa się na bok, a ja nie mam dobrego powodu, by odmówić.

W pokoju jestem zdezorientowany — zastanawiam się, czy wrócić do mojego pierwotnego zamiaru, czy przekonać go, żeby mi powiedział, co go gnębi.

— Jestem ci winien przeprosiny — mówi Chika, nadal stojąc przy drzwiach.

Jestem zaskoczony, ale nie mogę udawać, że nie wiem, za co przeprasza.

— Mogłeś mi powiedzieć. To by mi znacznie ułatwiło pracę.

Chika kiwa głową.

— Zamierzałem ci powiedzieć... Naprawdę mi przykro, Philipie.

Mówi to z powagą, ale myślę, że gdyby dodał „sir”, to nie przyjąłbym przeprosin. Lecz wypowiedział moje imię z szacunkiem i żalem i gdybym nie odpowiedział w podobnym duchu, to wykazałbym się brakiem uprzejmości.

— W porządku. Na pewno mieliście z Emeką swoje powody.

Wzruszam ramionami.

— Powinienem był ci powiedzieć, jaka była moja prawdziwa rola w tym wszystkim.

— Nie zaszkodziłoby.

— Ani by nie pomogło.

Gdybym pomyślał o rozmaitych sposobach realizacji tego zlecenia, które mógłbym przyjąć, gdybym wiedział, kim naprawdę jest Chika, to wyraziłbym odmienne zdanie. Najbardziej ze wszystkiego nie lubię być oszukiwany.

— Jesteś detektywem?

Chika kręci głową.

— Specjalistą do spraw ochrony. Jednym z moich klientów jest Bank Narodowy. Oceniam zagrożenia dla ich systemów, organizuję szkolenia dla strażników przewożących gotówkę, a czasami jestem wzywany do zadań specjalnych, jak to.

— Naprawdę jesteś żonaty?

Uśmiecha się.

— Tak. I tak, moja żona naprawdę spodziewa się naszego pierwszego dziecka.

— Dzięki Bogu. Nie chciałbym myśleć, że moja porada małżeńska poszła na marne.

Chika się śmieje.

— Wcale nie poszła na marne. Posłuchałem jej i miło mi donieść, że moja żona jest o wiele spokojniejsza i bardziej mnie wspiera.

Przez głowę przebiega mi seria obrazów. Chika opierający się o land cruisera i czekający na mnie po rozmowie z Sobim. Poufałość, z jaką zagadnął ochroniarza w Budynku Harcourta Whyte'a i ich swobodny śmiech. Sposób, w jaki Sobi zmarszczył brwi na widok Chiki.

— Nie było żadnego Tochukwu, prawda? — pytam.

— Co?

Chika wygląda na zaskoczonego.

— Tamtego dnia w Budynku Harcourta Whyte'a... Ty byłeś tam już wcześniej. Z nikim nie rozmawiałeś. Podałeś mi informacje, które zdobyłeś przedtem.

— Tak. Ale przysięgam, że nie wiedziałem o Tamunie.

— Nie rozmawiałeś z Mercy?

Kręci głową.

— W tych pierwszych miesiącach to było zbyt ryzykowne. Była zbyt delikatna. Wtedy byłoby to okrucieństwem.

To dlatego zachęcał mnie do udania się do szpitala i był tak natarczywy w trakcie naszej rozmowy z Mercy. Teraz to wszystko nabiera sensu.

— Sekretarza też spotkałeś wcześniej...

Chika odwraca wzrok. Chciałbym myśleć, że trochę się wstydzi.

— Tak. Rozmawiałem z nim kilka razy w pierwszych tygodniach po tragedii.

— A co z Godwinem? — pytam, wstrzymując oddech.

Chika spogląda na mnie ostrym wzrokiem i kręci głową.

— Nie. To była taka sama sytuacja jak z Mercy. Nie pozwolono mi z nim porozmawiać, ponieważ uznano go za zbyt niestabilnego, a ja nie byłem ani śledczym, ani policjantem. To był jeden z warunków udzielenia nam teraz pomocy przez Ikimego, zwłaszcza że wtedy uniwersytet prowadził jeszcze własne śledztwo. Wysłuchałem nagrań przeprowadzonych z nim rozmów, zebrałem informacje od innych studentów i obserwowałem go z daleka, ale przysięgam, że nie rozmawiałem z nim osobiście.

Chcę mu wierzyć, ale w tej chwili poziom mojego zaufania jest beznadziejnie niski. Kto jeszcze wie? Z pewnością w tym przedstawieniu nie może brać udziału mój tata. Abubakar? Salome? Inspektor? W głowie wirują mi pytania, ale mając świeżo w pamięci tę dziwną rozmowę z Emeką na parkingu, nie jestem przekonany, że wydobędę teraz z Chiki całą prawdę.

Odtwarzam sobie słowa, które potwierdziły niepokojące uczucie, że Chika nie jest tym, za kogo się podaje.

„Były student bawiący się w detektywa”.

— A Uniwersytet Stanowy? — pytam na głos. — Naprawdę na nim studiowałaś?

Chika podchodzi do okna i wygląda przez nie.

— Tak, tyle że go nie ukończyłem.

— Co się stało?

— Zostałem relegowany na trzecim roku za przynależność do sekty.

Nie jestem przygotowany na to wyznanie. Nabieram tchu, usiłując znaleźć właściwą odpowiedź, ale nie pojawiają się żadne słowa.

— Nie jestem z tego dumny — rozlega się w ciszy głos Chiki.

— Czy wiesz na pewno, czy ci chłopcy byli członkami sekty, czy nie? — pytam jak najbardziej neutralnym tonem.

Chika odwraca się do mnie, lecz nic nie mówi. Wyraźnie się waha.

— Chiko?

Powoli przenosi wzrok na moją twarz, ale jakby błaga mnie oczami, bym nie zadawał więcej pytań.

— Rzeczywiście dowiedziałem się, że Winston i Bona byli lubiani, ponieważ na imprezach dostarczali narkotyki — ecstasy, amfę, a nawet kokainę.

— Ich dostawcą był Godwin?

Chika kiwa głową.

— Na to wygląda. Kupowali od niego i sprzedawali na imprezach, na które chodzili, ale nie należeli do żadnej sekty.

— A Kevin?

Chika wypuszcza powietrze z płuc i znowu odwraca wzrok.

— Musisz mi obiecać, że nie powiesz panu Nwamadiemu, że o tym wiedziałem.

Nie chcę brać udziału w tym całym oszustwie, ale podejrzewam, że jeśli się do tego nie zobowiążę, to Chika nie powie nic więcej.

— Spróbuję. To mogę obiecać.

Patrzy prosto na mnie smutnym wzrokiem.

— Kevin należał do sekty. Znalezienie dowodu zajęło mi wiele tygodni, ale tak, należał do sekty.

Wzdycham i siadam na najbliższym krześle.

— Nie powiedziałaś Emece?

Chika kręci głową.

— Nie mogłem. Szczególnie że dowiedziałem się też, że kiedy Kevin związał się z Mercy, usiłował wyjść z sekty. Przestał chodzić na spotkania, a żeby udowodnić, że się poprawił, zaczął zajmować się sprawami typu Sprawiedliwość dla Momoha.

— Ale nadal nie umiałaś wyjaśnić, w jaki sposób Kevin znalazł się w towarzystwie Winstona i Bony?

Chika znowu kręci głową.

— Kiedy tylko się dowiedziałem, że Winston i Bona nie należą do żadnej sekty i nie znalazłem dowodu, że Kevin zażywa lub sprzedaje narkotyki, wszystko się poplątało. A nie mogłem grzebać dalej, nie mówiąc Emece, że jego syn rzeczywiście należał do sekty.

— Dlatego zgodziłeś się pomóc mi odkryć to, co już wiedziałeś, żebym to ja mu powiedział.

Chika kiwa głową i uśmiecha się ze smutkiem.

— I to chyba odniosło odwrotny skutek, bo teraz wiemy, że chłopcy nie zostali zabici dlatego, że należeli do sekty. Nie dowiedzielibyśmy się tego, gdyby Emeka nie zatrudnił ciebie.

Słaba to pociecha, zważywszy na skalę oszustwa potrzebnego do wciągnięcia mnie do zespołu.

— Odkryłeś kilka kluczowych aspektów, które ułatwiłyby mi pracę, gdybym je znał.

— Bez twojej wnikliwości i wiedzy jestem tylko wychwalanym mięśniakiem — mówi lekceważąco Chika.

— Nie doceniasz się.

— Jesteś miły, ale znam swoje ograniczenia.

Przez chwilę milczymy.

— To relegowanie...?

Chika się śmiecha; nie wiem, czy to wyraz rezygnacji, czy żalu.

— Zasłużyłem na nie. Byłem głupi. Cofnęło mnie to o parę lat i zamknęło przede mną wszystkie uniwersytety w kraju.

— Jeśli mogę zapytać, dlaczego wstąpiłeś do sekty?

Myślę o moim ojcu.

Chika wzrusza po swojemu ramionami.

— Chciałbym powiedzieć, że przez presję rówieśników, ale tak nie było. Poszedłem na uniwersytet z dobrymi stopniami i, szczerze mówiąc, czułem się jak ktoś wyjątkowy. Pochodzę z rodziny kupców. Jako pierwszy poszedłem na uniwersytet, ale równie dobrze mógłbym być niewidzialny. W domu byłem wyjątkowy, lecz byłem tylko jednym z kilkudziesięciu tysięcy studentów. Chciałem się wyróżniać, być kimś, z kim inni się liczą, mieć władzę. Nie zverbowali mnie. Sam ich znalazłem, a spełniałem wymagania: byłem chętny, lekkomyślny i głupi.

W jego głosie nie ma nuty użalania się nad samym sobą. To są jedynie szczegóły przeszłości, z którymi już się pogodził. Czekam, żeby powiedział coś więcej, a kiedy milczy, zmieniam kierunek rozmowy.

— Czy Emeka ma prywatny odrzutowiec?

— Tak. — Zerka na mnie ze zmarszczonymi brwiami. — A bo co?

— To by wyjaśniało, jakim sposobem tak szybko tu dzisiaj dotarł.

Chika nie odpowiada, a ja się uczę, że zamiast kłamać, woli milczeć. Mogę zatem wyciągnąć wniosek, że Emeka nie przybył do Port Harcourt dzisiaj, lecz wcześniej. Może nawet w tym samym czasie, co ja. Człowiek tak zdeterminowany jak Emeka jest zdolny do tak ścisłej kontroli. Ten tok myśli naprowadza mnie na mój pierwotny cel przyjscia do pokoju Chiki.

— Przyszedłem, bo nie mogę znaleźć mojego iPada. Chyba zostawiłem go w samochodzie — oznajmiam z zaskakującą łatwością.

Może dlatego, że atmosfera jest naładowana i Chika czuje się winny z powodu swojego szeroko zakrojonego oszustwa, sprawia wrażenie wdzięcznego za zmianę tematu.

— Mogę pójść sprawdzić.

— Nie, nie. Nie trzeba. Ja to zrobię.

Zauważam leżące na biurku kluczyki do samochodu i biorę je do ręki. Klepię Chikę po ramieniu.

— Wykonałeś dobrą robotę, Chiko. Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego wszystkiego na początku, ale rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłeś. Mogłoby to nawet wpłynąć na moje postrzeganie całej sprawy, więc chyba nawet wyszło na dobre.

Mój uśmiech jest szczerzy, lecz jego nadal jest ostrożny.

— Zaraz wracam — mówię tak lekkim tonem, na jaki udaje mi się zdobyć, i wychodzę.

Winda nie przyjeżdża dłużej niż zwykle i prawie wybieram schody, ale nakazuję sobie luz. Kiedy winda wreszcie przyjeżdża, wsiadam do niej spokojnie, a w holu pozdrawiam portiera przy wejściu i idę na parking.

Podnoszę wzrok na hotelowe okna, by sprawdzić, czy Chika nie patrzy. Podchodzę do samochodu i szybko otwieram bagażnik.

Lewarek i klucz do kół leżą na wykładzinie, a nie pod nią. Ostrożnie odsuwam je na bok i unoszę dywanik. Jest czarna torba. Odwracam się i rozglądam. Nic. Nikt nie patrzy.

Z mocno bijącym sercem szybko rozsuwam zamek błyskawiczny torby. Na pewnym poziomie cały czas wiedziałem, co znajdę, lecz potwierdzenie domysłu jedynie pogłębia moje poczucie zagubienia.

Wyjmuję telefon i lekko drżącą ręką robię zdjęcie zawartości torby. Zamykam ją i starannie zakrywam dywanikiem, zamykam bagażnik i naciskam guzik pilota.

Mam nadzieję, że wracając do hotelu, stanowią obraz spokoju. Znalazłszy się w moim pokoju, rzucam się do mojego iPada.

Szukanie w internecie trochę trwa, ale udaje mi się znaleźć odpowiednik tego, co zobaczyłem w torbie.

APR 338 firmy Brügger & Thomet. Snajperski karabin znany zarówno z cichego działania, jak i dalekiego zasięgu.

ODWRÓCENIE SYTUACJI

Stukając do drzwi Chiki, udaję, że rozmawiam przez telefon z Folake. Macham mu przed twarzą iPadem i mamrocze: „Chwileczkę” do udawanej rozmówczyni.

— Dzięki — mówię, podając kluczyki Chice i pokazując na telefon. — Z domu. Na razie.

— Co mówiłaś, kochanie? — pytam, kiedy zamykają się za mną drzwi pokoju Chiki.

Natychmiast po przekroczeniu progu mojego pokoju zmierzam do minibaru i kiedy naprawdę dzwonię do żony, jestem dobrze podпиты. Albo to, albo wmaszerowanie do pokoju Chiki i zażądanie odpowiedzi.

— Hej — mówi półprzytomnie Folake.

— Przepraszam, że cię budzę.

— Nie szkodzi. U ciebie wszystko dobrze?

— Nie.

— Co jest? — Wyobrażam sobie, jak Folake siada w łóżku. — Co się stało?

Mówię jej wszystko. Miniony tydzień wylewa się ze mnie potokiem słów, które zaczynają tracić sens.

— Kochanie, upiłeś się? — pyta Folake, kiedy milknę.

— Prawie.

— Może się prześpisz i zadzwonisz rano?

— Nie. Wracam do domu.

— Ale jeszcze nie skończyłeś.

— Słuchałaś, co mówiłem? Zrobił się straszny bałagan. Niczego już nie wiem.

— Ponieważ w torbie, którą twój klient dał temu Chice, znalazłeś snajperski karabin, wszystko nagle nie ma sensu?

— Dlaczego Emeka miałby mu dać karabin, Folake? Wyjaśnij mi to...

— Nie umiem. Wiem tylko tyle, że jeśli wrócisz, nie znalazłszy odpowiedzi, których pojechałeś szukać, to chyba nie spodobasz się sobie samemu.

— Nikt nie mówi prawdy...

— Zwykle tak się dzieje, kiedy ukrywa się zbrodnię.

Słyszę oschłość w jej głosie.

— Cóż, nie zamierzam już brać w tym udziału. Wracam do domu.

— Jako kto?

Teraz w jej głosie brzmi wyzwanie.

— Co masz na myśli?

— Słyszałeś, Phil. Wracasz jako mój mąż czy jako rozgniewany mężczyzna, który tydzień temu wyszedł z tego domu?

Milczę. Część mojego mózgu usiłuje pogodzić się z tym, że wydarzenia minionych dni rozegrały się w ciągu jednego tygodnia.

— Phil?

— Nie wiem — odpowiadam w końcu.

— Sądzę, że powinienes wiedzieć, nim wrócisz. Miałam nadzieję, że to zlecenie przywróci to, co według ciebie straciliśmy, wyjeżdżając ze Stanów. Może to jest prestiż albo duma, cokolwiek.

— Straciłem ciebie — mówię, zanim udaje mi się powstrzymać.

Jakąś częścią umysłu uświadamiam sobie, że nie jestem podпиты, tylko zupełnie pijany. Ale jest już za późno.

— Co masz na myśli?

— Widziałem was, Folake — mówię, usiłując stłumić gniew, który grozi przemianą w szloch. — Widziałem was.

— Co widziałeś?

— Ciebie i tego chłopca. Twojego asystenta!

Słowa wylewają się ze mnie. Mówię Folake, jak przyjechałem po nią do jej biura, mając nadzieję, że po drodze na mecz naszych synów w ramach szkolnego turnieju koszykówki uraczę ją moimi wrażeniami ze spotkania z Emeką Nwamadim. Mówię jej, jak zaparkowałem i zadzwoniłem do niej, żeby zeszła do mnie. Kiedy nie odbierała, spojrzałem w górę na duże okna jej biura. I wtedy ich zobaczyłem.

Ją i młodzieńca, który wiele razy przychodził do naszego domu, żeby zostawiać dokumenty, oceniać zadane prace i przekazywać informacje administracyjne, które wymagały uwagi Folake. Pamiętam, jak się nazywał: Soji Bello. Całkiem sympatyczny młodzieniec, któremu nigdy nie poświęcałem większej uwagi — do czasu, kiedy ujrzałem w jego ramionach moją żonę.

— Powiedziałaś, że utknąłeś w korku — mówi Folake, kiedy przerywam dla nabrania tchu.

— Odjechałem. Musiałem pomyśleć. Oczyszczyć umysł.

Zapada milczenie. Chcę wrzasnąć, żeby coś powiedziała, cokolwiek na swoją obronę, ale...

— Prześpij się — mówi Folake. — Nie mogę rozmawiać z tobą w takim stanie.

— A co byś powiedziała? Wiem, co widziałem!

— Idź spać, proszę cię. Zadzwonię jutro.

I z tymi słowy przerywa połączenie ze stanowczością, która rozwsiecza mnie jeszcze bardziej. Ponownie wybieram jej numer. Po kilku sygnałach zgłasza się poczta głosowa. Przy wszystkich kolejnych próbach operator informuje mnie, że jej telefon jest wyłączony. Odrzucam go. Ćwiczyłem w myślach, jak stawię jej czoło: twarzą w twarz, spokojnie i na chłodno. Zupełnie nie tak, jak zrobiłem to przed chwilą.

Minibar jest już pusty, więc zamawiam u obsługi hotelowej więcej bourbona i zapadam w niespokojny sen.

Kiedy się budzę, ku mojemu zaskoczeniu nie boli mnie głowa. Mam sucho w ustach i trochę mnie mdli, ale poza tym czuję się nieźle. Źle jednak wyglądam. Po ulżeniu pęcherzowi patrzę na siebie w lustrze i widzę, że mam przekrwione oczy, i trzymam się umywalki, żeby nie stracić równowagi. Jak to skacowani, usiłuję przypomnieć sobie wszystko, co się wydarzyło zeszłego wieczoru, i dokładność mojej pamięci nie poprawia mi samopoczucia.

Wracam do pokoju i sprawdzam telefon. Niczego od Folake. Chcę do niej zadzwonić, ale się powstrzymuję. To ona powinna zadzwonić do mnie i błagać o wybaczenie.

Rzucam telefon na łóżko i idę pod prysznic. Kiedy wracam, znajduję cztery nieodebrane

połączenia od Salome. Nie zostawiła żadnej wiadomości. I tak nie jestem w nastroju, żeby z nią rozmawiać. Jest częścią tego całego bałaganu. Nie, pani Salome Briggs, nie zamierzam brać udziału w jakiegokolwiek twojej grze. Nie dzisiaj.

Muszę znaleźć mordercę.

Kiedy spotykamy się w hotelowej restauracji, Chika jest chyba w dobrym nastroju.

— Ciężka noc? — pyta.

— Naprawdę musimy jechać. Nie ma czasu na pogaduszki.

Gestem ręki odprawiam kelnera. Dzisiaj żadnego śniadania.

— Salome ma paskudny nastrój — mówi Chika z beztróską, która irytuje mnie jeszcze bardziej, a potem parska śmiechem. — No, miejmy nadzieję, że to cię rozweseli.

— Co takiego?

Bardzo potrzebuję jakichś dobrych wiadomości, więc odsuwam krzesło i siadam.

Chika z uśmiechem wyjmuje swój telefon komórkowy i tryumfalnie nim macha.

— Zobacz, co przysłał mi mój znajomy haker.

Patrzę na niego zmrużonymi oczami.

— Weszli na konto Kevina?

Chika kiwa głową i podaje mi telefon.

Przesuwam zrzuty ekranu wiadomości potwierdzających to, co Tamuno powiedział nam o Godwinie. On rzeczywiście bardzo dobrze znał Kevina. Jak wynika z wiadomości, które pisali do siebie nawzajem, Godwin zaprzeczał oskarżeniom, że to on dał cynk policji w sprawie tych obciążających zdjęć znalezionych w telefonie Momoha.

„Mieszkał obok ciebie. Wiesz, że to była podpucha!” — napisał Kevin.

„Jeśli ktos dał cynk policji, to nie ja!!!!” — odpowiedział Godwin i dodał kilka emotikonkowych buziek wyrażających gniew i dezorientację.

„Ktoś wysyłał te zdjęcia Momohowi. Powiedział mi”.

„Jak będziesz mi wysyłał te wiadomości, to cię zablokuje. Już cię blokuje!”

„Możesz mnie zablokować, ale nie możesz się ukryć! Wiem, że coś o tym wiesz”.

I na tym się skończyła korespondencja Kevina i Godwina.

Patrzę na Chikę.

— A więc to wszystko się wiąże ze #sprawiedliwosc4momoh?

Chika kiwa głową.

— Pamiętasz, jak Tamuno powiedział, że pisze referat, przy którym pomagał mu Kevin?

— Tak?

— Kliknąłem w link pod jednym z postów Kevina na #sprawiedliwosc4momoh i zostałem przekierowany do artykułu w czasopiśmie poświęconym reformom prawnym. Ściągnąłem go.

Chika macha pendrive'em.

— Pamiętasz, ja już nie mam laptopa.

Praca z iPadem bez klawiatury jest mordęgą.

Chika wstaje.

— Każę to wydrukować w recepcji.

— Dziękuję.

Kiedy odchodzi, wracam do korespondencji Kevina i Godwina ściągniętej na jego telefon. Przychodzi mi do głowy, że jeśli znajomy Chiki może się włamać na konto Kevina na Messengerze, to może zrobić to samo z kontem Godwina. Może dałoby to nam jakąś wskazówkę co do tożsamości zabójcy Godwina i powiązań tego wszystkiego z Trzema z Okriki. Przychodzi mi też na myśl, że wiedząc to, co teraz wiemy, moglibyśmy odnieść korzyść z ponownej rozmowy z Tamunem.

Kiedy wraca Chika, towarzyszą mu trzech policjanci z dobytą bronią. Rozpoznają żółtodzioba z posterunku w Okriki i serce zaczyna mi nierówno bić. Za policjantami widzę uzbrojonych strażników, którzy mają bronić hotelu przed atakiem bojówkarzy, rabusiów i porywaczy, ale nie policjantów.

— Philip Taiwo? — odzywa się żółtodziób.

— To ja.

Usiłuję zachować spokój, ale przypominam sobie zbyt wiele z tego, co wiem. Całą siłą woli przybieram minę uprzejmego zaskoczenia zabarwionego lekkim zażenowaniem z powodu zaistnienia tego incydentu.

— Jest pan aresztowany.

— Za co? — pyta bezczelnie Chika, niewątpliwie n-ty raz.

Żółtodziób wydyma pierś.

— Za usiłowanie zabójstwa przywódcy Kinikanwy Omerejiego, najwyższego przywódcy społeczności Okriki.

SIŁY WYŻSZE

Trzy godziny i trzydzieści sześć minut. Tyle czasu zostawiono mnie samego w tym niewielkim pomieszczeniu na posterunku policji w Okriki. Żółtodziób, który wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, skonfiskował mój telefon po drodze do samochodu policyjnego, podczas gdy ja podawałem spotulniałemu kierownikowi hotelu numer Abubakara. Wziął też od Chiki numer Emeki. Zapytał mnie, czy jest jeszcze ktoś znaczący, do kogo miałby zadzwonić. Zważywszy na to, jak potoczyła się zeszłej nocy rozmowa z Folake, powiedziałem mu, że na razie wystarczy poinformować Abubakara. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, to komendant zadzwoni do mojego ojca, który, mam nadzieję, podejmie rozważną decyzję, co powinna wiedzieć Folake.

Przez całą drogę do Okriki żółtodziób nie odpowiadał na żadne z moich pytań. Chika jechał w innym samochodzie i nie miałem nikogo, z kim mógłbym się podzielić oszołomieniem wywołanym tym nagłym obrotem wydarzeń. Jak to się stało, że w ciągu kilku godzin ze śledczego stałem się obiektem śledztwa?

Otwierają się drzwi i do pomieszczenia wchodzi inspektor Omereji. Wygląda paskudnie, a po jego minie widzę, że nie cofnie się przed niczym, żeby uzyskać odpowiedzi, których szuka.

— Wczoraj wieczorem strzelano do mojego ojca — oznajmia, odsuwając krzesło naprzeciwko mnie i siadając na nim.

— Strzelano? — pytam ostrożnie. Muszę uważać. — Dobrze się czuje?

— OIOM. Ma ponad siedemdziesiątkę, więc rokowania nie są dobre.

— Przykro mi to słyszeć — mówię szczerze.

— Naprawdę?

— Oczywiście. A jeśli sprowadził mnie tu pan, ponieważ sądzi, że mam z tym coś wspólnego, to popełnił pan błąd.

— A pański przyjaciel Chika?

Wymazuję powstający w mojej głowie obraz karabinu Brügger & Thomet.

— Co Chika?

— Gdzie był zeszłej nocy?

Wzruszam ramionami i mówię prawdę.

— Wyjechaliśmy stąd, dotarliśmy do hotelu i poszliśmy do swoich pokoi.

— To bardzo wygodne.

— Mike... — Przeszywa mnie gniewnym wzrokiem, więc zdaję się na oficjalne podejście. — Panie inspektorze, musi mi pan uwierzyć, że nie wiem, co się przytrafiło przywódcy.

— A ja myślę, że pan wie i opowie mi pan o tym.

W jego głosie brzmi wyraźna groźba. W Stanach prosiłbym o mojego adwokata i protestowałem przeciwko zatrzymaniu bez odczytania mi praw Mirandy. Zasady te jednak nie mają zastosowania w Okriki, i to mnie przeraża.

— Proszę posłuchać... — mówię pojednawczym tonem. — Wiem, że musi być pan w tej chwili straszliwie zdenerwowany, ale przysięgam, że rozmawiając ze mną, kiedy prawdziwy winny jest na wolności, marnuje pan czas.

— Ja to ocenię. O której godzinie dotarł pan do hotelu w PH?

— Około osiemnastej trzydzieści.

— I co pan zrobił po dotarciu do hotelu?

— Powiedziałem panu... Rozdzieliliśmy się z Chiką. Wypiłem kilka drinków w holu i postanowiłem położyć się wcześniej.

— Nie wie pan, co wczoraj robił Chika?

— Nie. A przynajmniej, co robił w nocy.

— To dziwne, bo on przysięga, że byliście razem...

Chika nie może być taki głupi, żeby użyć mnie jako alibi, zwłaszcza że nie omówiliśmy tego wcześniej. Nie mówię więc nic i wytrzymuję nieruchome spojrzenie Omerejiego.

Inspektor zmienia taktykę. Uśmiecha się i przysuwa do mnie. Ma minę mówiącą „możesz pomóc mi dorwać tego złola i zostać bohaterem”. Najwyraźniej wie o moim byłym życiu w policji w San Francisco.

— Proszę posłuchać, panie doktorze, jestem pewien, że to nie pan pociągnął za spust. Potrafię rozpoznać zabójcę.

— Co więc tu robisz?

— Wie pan, kto to uczynił.

— Czy pan w ogóle powinien brać w tym udział? Ta sprawa nie jest panu zbyt bliska, żeby zachował pan całkowitą bezstronność?

Jego uśmiech jest protekcyjny.

— Nie jest pan w Ameryce, panie doktorze.

Uśmiecham się do niego oschle.

— Wszyscy wciąż mi o tym przypominają.

Omereji ma znowu coś powiedzieć, ale dzwoni jego telefon. Spogląda na niego, marszczy brwi, wstaje i bez słowa przeprosin wychodzi.

Czekam, płonąć z ciekawości.

Snajperski karabin.

Chika.

Emeka.

Postrzelenie przywódcy Omerejiego.

Co się dzieje? Usiłuję powstrzymać się od myślenia, aby utrzymać spokojną minę, kiedy wróci inspektor. Zatrzymuje się w drzwiach, ale nie potrafię nic wyczytać z jego twarzy.

— Może pan iść.

— Co?

Uśmiecha się chłodno.

— Pańskie kontakty zadzwoniły do wyższych kontaktów, które twierdzą, że bez kolejnych dowodów przeciwko panu i pańskiemu przyjacielowi muszą panów wypuścić.

— Zadzwonił do pana Abubakar?

— Ktoś wyżej. Może pan iść. Ale niech się pan modli, żeby mój ojciec przeżył, bo jeśli umrze, to przysięgam, że nie uratuje pana i pańskiego przyjaciela żaden z pańskich potężnych kontaktów.

— Jeśli ma to jakieś znaczenie, naprawdę mam nadzieję, że pański tata z tego wyjdzie.

— Do widzenia, panie doktorze. Może pan być pewien, że nie jest to nasze ostatnie spotkanie. Ruszam w jego stronę, ale zaraz się zatrzymuję.

— Odpocznij trochę, Mike.

Nie patrzy na mnie, więc wychodzę.

Mijam biuro Omerejiego, cele i po chwili znajduję się w pomieszczeniu recepcji, w którym panuje zwykły tłok i hałas. Żółtodziób podaje mi spokojnie mój telefon w plastikowej torbie z symbolem popularnej sieci supermarketów. Patrzę na ludzi, którzy jak jeden mąż przerwali swoje działania, żeby wytykać mnie palcami i szeptać. Jeden szczególnie rozzłoszczony mężczyzna spluwa na podłogę i wbija we mnie pogardliwy wzrok.

Idąc przez tłum, udaję, że nie zauważam tego wszystkiego. Ledwie wychodzę z posterunku, słyszę wybuch głosów posługujących się różnymi dialektami i postawiłbym ostatniego dolara na to, że tematem rozmów jestem ja.

Dostrzegam stojącego na zewnątrz Chikę; po jego pomiętym ubraniu widać, że został porządnie poturbowany. Oczy płoną mu gniewem.

— Przywożą nas tu swoimi pojazdami, a potem odmawiają odwiezienia z powrotem — odzywa się, kiedy tylko podchodzę bliżej.

— Możemy wziąć taksówkę — mówię, usiłując go udobruchać.

— A niby dlaczego? Przywieźli nas tutaj!

Patrzę na niego, szukając jakichś oznak poczucia winy, ale widzę tylko irytację.

— Dali ci w kość? — pytam, kiedy ruszamy na ulicę.

Chika wzrusza ramionami.

— Nie bardziej, niż się spodziewałem.

— Wiesz, dlaczego myślą, że coś wiemy?

— Czyż nie są policją? — syczy Chika. — Czy muszą mieć jakiś powód, by zastraszać praworządnych obywateli? Zamiast robić swoje, jechali niemal godzinę, by aresztować nas bez żadnych dowodów. Bzdura.

— Chiko! Zaczekaj. Idziesz za szybko.

— Przepraszam. — Zwalnia. Wypatrujemy przejeżdżających taksówek. Niektórzy kierowcy zatrzymują się, patrzą na nas, wymieniają spojrzenia i lawinę komentarzy w ikwerre ze swoimi pasażerami, po czym odjeżdżają. Jest jasne, że nie znajdziemy tu transportu do Port Harcourt. A przynajmniej nie wśród miejscowych taksówek.

— Zadzwoń do szefa — mówi Chika, wyjmując swój telefon. — Może przysłać samochód...

— Emeka wciąż jest w Port Harcourt?

— Wcale z niego nie wyjeżdżał — mówi szorstkim tonem Chika i przykłada telefon do ucha.

Myślę, czyby nie zadzwonić do Salome. Na pewno jest zdruzgotana zamachem na życie wuja. Może to dlatego dzwoniła wcześniej, ale nie chcę z nią rozmawiać w obecności Chiki, więc wysyłam jej SMS.

„Przykro mi z powodu twojego wuja. Właśnie wychodzimy z posterunku. Zadzwoń”.

Chika zakończył rozmowę.

— Powinniśmy iść do przystanku autobusowego — mówi, pokazując ręką. — Tam jest cień. Szef mówi, że wysłał samochód, ale w zależności od natężenia ruchu potrwa to parę godzin.

Zmierzamy w stronę tej części drogi, gdzie zostali zabici Trzej z Okriki. Kiedy tak idziemy poboczem, wypatrując taksówki wśród mijających nas samochodów i motocykli — w większości wiozących więcej niż jednego przepisowego pasażera — doznaję wrażenia déjà vu. W powietrzu

unoszą się też niepokoje, z którego nie mogę się otrząsnąć, ponieważ na powierzchnię wypływa znajoma już niechęć miasteczka wobec naszej obecności.

— Myślisz, że wszyscy wiedzą, o co byliśmy pytani?

— Możemy założyć, że tak — odpowiada Chika, przyspieszając kroku. — Chodźmy po prostu na przystanek i może jeśli dopisze nam szczęście, podjedzie autobus, którego nie prowadzi miejscowy.

— A samochód wysłany przez Emekę?

— Chcę się po prostu stąd wydostać — mówi szorstko Chika. — Możemy się z nim spotkać w innym miasteczku.

Może powodem jest to, jak patrzą na nas ludzie, albo to, że jestem zdenerwowany, ale idę tak szybko jak Chika. Zwiększamy nawet tempo, żeby jak najszybciej przejść obok pensjonatu madam gospodyni.

Kiedy docieramy do ronda, na którym stoi słynne działo, jestem spocony i niemal brak mi tchu. Naprawdę nie czułbym się bezpiecznie, siedząc wśród wrogo nastawionych ludzi czekających na taksówkę, więc proponuję, żebyśmy poczekali na rondzie, a nie na samym przystanku.

Rondo okrąży samochód i zatrzymuje się przy nas. Kierowca, który ma już jednego pasażera na przednim siedzeniu, pochyla się, żeby spojrzeć na nas.

— Wy jadą kampus? — pyta taksówkarz.

Patrzę na Chikę i na zatłoczony przystanek.

— Wydostaniemy się stąd — mówię.

ATAK POTĘPIONYCH

Sadowimy się z tyłu, a taksówka okrąży rondo i jedzie w stronę pustej drogi, której ludzie przestali używać po tym incydencie, co dowodzi, że kierowca jest tu nowy. Odprężamy się.

Chika nadal pisze SMS-y, a ja wyjmuję telefon, żeby sprawdzić, czy Salome czegoś nie przysłała. Żadnego SMS-a. Kierowca skręca z drogi.

— Hej, hej! — protestuje Chika. — To nie jest...

Pasażer siedzący z przodu odwraca się do nas z bronią w ręku. Odruchowo upuszczam telefon i podnoszę ręce. Chika się nie rusza.

— Nie powinniście byli wracać.

Pasażer zdejmując ciemne okulary i przesuwając bejsbolową czapkę na tył głowy. Wstrzymuję oddech, bo rozpoznaję w nim jednego z młodzieńców, którzy zdemolowali nasze pokoje w hotelu Royale.

— Dokąd nas wieziecie? — pyta Chika.

— Tam, skąd już nie wrócicie. — Kierowca rzuca nam w lusterko wstecznym paskudne spojrzenie. — Próbowaliście zabić naszego przywódcę i teraz za to zapłacicie!

— Właśnie przesłuchiwała nas policja — odzywam się, nie opuszczając rąk. — Inspektor może udowodnić, że nie usiłowaliśmy zabić waszego przywódcy.

Pasażer grożący nam bronią ani drgnie, wbija we mnie spojrzenie płonące nienawiścią. Zerkam na Chikę. Sprawia wrażenie tak odprężonego, jakby obwożono go po turystycznych atrakcjach miasteczka. Nie podniósł rąk i widzę, że dyskretnie przyciska coś na telefonie.

Samochód staje. Rozglądam się. Znajdujemy się na terenie pozbawionym drzew, z dala od utartego szlaku. Serce zaczyna mi szybciej bić, a pod pachami zbiera się pot.

— Rozmawiaj z nimi — szepcze pośpiesznie Chika, kiedy zostajemy szorstko wyciągnięci z samochodu. — Szef słucha.

— Klękać! — rozkazuje pasażer.

Teraz ręce Chiki też wędrują w górę. Klękamy powoli.

Kierowca taksówki rozmawia z podnieceniem przez telefon w ikwerre, wymachując bronią. Mam nadzieję, że dzwoni po posiłki. Potrzebujemy czasu.

— Mówiliśmy, żebyście trzymali się z dala!

Pasażer kopie Chikę.

— Uderz mnie jeszcze raz, nie celując we mnie z broni, to się przekonamy, kto tu jest mężczyzną.

Pasażer częściowo słucha Chiki, ponieważ uderza go kolbą pistoletu w twarz.

— Przestań! Dlaczego to robicie? — Panika sprawia, że mówię głośniejszym głosem niż zwykle. — Powiedzieliśmy wam, że nie mamy nic wspólnego z...

— Kłamiesz! — odzywa się kierowca. — Ktoś go widział zeszłej nocy.

Też zaczyna kopać Chikę, który teraz kuli się na ziemi z zakrwawioną twarzą.

— Stać was tylko na to? — Chika wstaje z wrogim uśmiechem, co, zważywszy na to, że ma rozbite wargi i zęby czerwone od krwi, wygląda dość niesamowicie. — Tak właśnie zabijacie ludzi w tym miasteczku? Porywając tych, którzy nie mogą się bronić, i paląc ich?

Przeprowadzam szybką kalkulację. Jeśli Emeke wciąż słucha i może dzwonić po pomoc, to skąd ona przybędzie? Kogo poprosi, żeby przybył nam na ratunek aż z Port Harcourt? Sądząc po tym, jak obrywa Chika, to kiedy młodzieńcy wezmą się za mnie, nie wiem, czy wytrzymam ich ciosy tak dobrze, jak on.

— Ci chłopcy byli złodziejami!

— A całe wasze miasteczko to mordercy! — drażni się z nimi Chika. — To właśnie chcecie zrobić, tak? Przywieźliście nas w to samo miejsce, gdzie zabiliście tych biednych chłopców, żeby zabić nas.

Czy Chika mówi Emece przez telefon, gdzie jesteśmy? O Boże, mam nadzieję, że tak.

Kierowca wbija Chikę kopniakiem mocniej w ziemię, a pasażer celuje teraz bronią we mnie. Słyszę ryk zbliżających się motocykli i samochodu. Posiłki dla tych ludzi czy pomoc dla nas?

— Ty! Nasz przywódca kazał ci wracać. Powiedział ci, co się stanie, jeśli będziesz nadal węszył. Powiedz coś, Philipie — myślę. Żeby tylko mówił dalej.

— Tak. I wyjechałem. Powiedziałem wam, że aresztowała nas policja.

— Bo próbowaliście zabić naszego przywódcę!

— To dlaczego zostaliśmy wypuszczeni, jeśli to zrobiliśmy?

W ułamku sekundy, w którym pasażer szuka odpowiedzi, Chika odrobinę się uniósł i pluje w twarz kierowcy taksówki. Pasażer klnie, a rozwścieczony kierowca kopie Chikę tak mocno, że ten lądzuje poślizgiem kilka metrów dalej w błocie.

Wtedy wypada mu z kieszeni telefon komórkowy. Kierowca go podnosi i to, co widzi, sprawia, że jego wściekłość rośnie jeszcze bardziej.

— Kto słucha?

Chika się śmieje.

— Świat. Dowie się, kim naprawdę jesteś ty i wszyscy inni w tym miasteczku!

— Chiko! — krzyczę ostrzegawczo.

Prowokowanie prowokowaniem, a narażanie się na prawdziwe niebezpieczeństwo narażaniem się na prawdziwe niebezpieczeństwo.

— Nie uratujesz ich! — krzyczy do telefonu kierowca, po czym rzuca go na ziemię i kilka razy uderza w niego z góry nogą.

W polu mojego widzenia pojawiają się trzy motocykle, każdy z dwoma pasażerami, i samochód. Kierowca taksówki i jego pasażer mówią coś z podnieceniem, unosząc pięści i machając do nowo przybyłych.

Cholera! Posiłki.

Chika przesunął się nieznacznie, zmuszając atakujących, by się cofnęli ode mnie, skupiając całą uwagę na nim. Korzystam ze sposobności, podnoszę się szybko z kolana i biegnę na nich z całą siłą, na jaką mnie stać. Wiem, że to bezużyteczne posunięcie, ale wszystko jest lepsze od klęczenia w błocie z rękami w górze.

Chika błyskawicznie podrywa się z ziemi, a ja na oślep walę ręką, która styka się z kością policzkową — a może to szczeka? Nie wiem, ponieważ w żebra trafia mnie coś, co jest kijem lub czymś równie twardym, więc zginam się wpół.

Do akcji wkraczają inni. Słyszę trzask łamanej kości i widzę przez opary bólu, jak Chika kopnięciem obunóż z podskoku powala pasażera i usiłuje mu odebrać broń.

Spada na mnie grad kopnięć i ciosów kilku atakujących; kulę się, ale na próżno. Widzę, jak Chika pada na ziemię, ale wzrok mi się mąci. A potem słyszę głośny trzask. Jakby wystrzał. Chyba. Rozlega się jeszcze jeden. Widzę Chikę na ziemi. Wszystko zaczyna się robić czarne.

Czy został postrzelony?

A może to mnie postrzelili.

Jakoś nie mogę tego rozgryźć, bo zaczynam spadać w pustą, niekończącą się przestrzeń.

TEN DRUGI SYN

Dalem Johnowi Paulowi światło, żeby mógł się spotkać z matką.

Ostatnio często to robię, zwłaszcza że przybliża się Ostateczny Plan. Poza tym pora, by mama poznała dwie osobowości jej syna.

John Paul jedzie windą aż na oddział onkologii, nie przejmując się zapachami leków, wymiocin i choroby. Posyła uśmiech pielęgniarce dyżurnej, której wydaje się, że go poznaje, i kieruje go machnięciem ręki w stronę oddziału naszej matki.

Kiedy tam wchodzi, przyciąga do jej łóżka krzesło, siada i szepcze jej do ucha:

— *Zabieram cię stąd.*

Oczy mojej matki lśnią uśmiechem.

— *Nie opowiadaj bzdur. To dobry szpital.*

— *Mogę się tobą zająć lepiej.*

— *Nie jesteś lekarzem.*

— *W klasztorze nauczyłem się wielu rzeczy, mamo, a jedną z nich jest zajmowanie się chorymi.*

— *Moją chorobą nie możesz się zająć.*

— *To po co mnie wezwałaś? — pyta John Paul dość ostrym tonem.*

Moja matka patrzy na niego ze zmarszczonym czołem. Z jej twarzy znika uśmiech.

— *Nie jesteś nim — mówi bez emocji.*

John Paul nie zavraca sobie głowy zaprzeczaniem.

— *Skąd wiesz?*

— *Twoje oczy są martwe. Jesteś diabłem, który go przejmuję. Tym, który zabił jego ojca.*

— *Nie był jego ojcem.*

— *Był dobrym człowiekiem, który wziął nas do siebie, kiedy twój ojciec nas porzucił.*

— *Wykorzystywał twój syna.*

— *Kłamiesz!*

Mama zaczyna się denerwować, więc ja też, obserwując to spośród cieni. Chcę wrzasnąć na Johna Paula, żeby skończył tę rozmowę, ale jego uścisk jest zbyt silny.

— *Wiesz, że nie kłamię.*

— *Był dobrym człowiekiem — upiera się moja matka.*

— Był bogatym człowiekiem, który oślepił cię swoimi pieniędzmi.

— Kochał cię... Po prostu był czuły.

— On mnie gwałcił, mamo...

Przestaję sięgać po światło. Czy John Paul właśnie powiedział, że jest mną? To niemożliwe. To się przydarzyło mnie! To ja potrzebowałem ocalenia, nie on.

— *To ten zły w tobie mówi takie rzeczy. Zawołaj pielęgniarkę. Musisz stąd wyjść. Nie wracaj, dopóki nie będziesz miał ze sobą mojego syna.*

Mama próbuje zawołać pielęgniarkę, ale ma za słaby głos. John Paul wstaje i zaciąga zasłonę, ukrywając jej łóżko przed wzrokiem pielęgniarek i innych pacjentów.

— *Chcę pielęgniarkę — upiera się mama.*

— *Pokazywałem ci siniaki, krew, ale nie chciałaś mi wierzyć. — John Paul pochyla się nad nią z twarzą wykrzywioną gniewem. — Złożyłaś mnie w ofierze swojemu mężowi, bo dał ci dach nad głową i kupował kosztowne prezenty.*

— *Masz żywą wyobraźnię. Ciągłe wymyślałaś jakieś opowieści, rysowałaś szalone obrazki na każdym kawałku papieru, jaki był w domu. Skąd miałam wiedzieć, że to nie była jedna z tych twoich opowieści?*

— *Zapytałaś go? Skonfrontowałaś go z faktami?*

— *Jakimi faktami? Nigdy nie widziałam, by zachowywał się wobec ciebie nie tak jak ojciec, a ty go zabiłaś.*

— *A nawet kiedy umarł, porzuciłaś swoje dziecko...*

— *Byłaś u ludzi Boga!*

— *Nic nie wiesz o Bogu! — syczy John Paul. — Oni nic nie wiedzą o Bogu.*

— *A ty wiesz?*

— *To ja jestem moim jedynym bogiem.*

— *Jesteś diabłem. — Jakby jakaś siła czerpana z nieznanego źródła nappełniła mamę, ponieważ mama chwytła Johna Paula za rękę i unosi ku niemu głowę. — Ale nie jest za późno. Możesz zostać ocalony.*

— *Ocalony?*

— *Spójrz na mnie. Umieram na chorobę, na którą nie ma lekarstwa. To moja kara. Ale dla ciebie nie jest za późno. Gdybyś poszedł na policję...*

— *Nie.*

Odpowiedź Johna Paula jest echem mojej odpowiedzi w cieniach.

— *Zabiłaś człowieka!*

— *Zasługiwał na śmierć, a gdybyś w ogóle była matką, zrobiłabyś to za mnie.*

— *Po prostu przyznaj się, mój synu. Wezwę policję i księdza, przyznamy się razem...*

John Paul wyprostowuje się na całą wysokość i wyszarpuje dłoń z jej uścisku.

— *Możemy im nawet powiedzieć, że to było w samoobronie — mówi mama błagalnym, nagłym tonem. — Ale nie możemy skazać naszych dusz na piekło, nie wyznając tego grzechu śmiertelnego.*

John Paul zbliża się do mojej matki. Sprawdza kroplówkę, spogląda na urządzenie monitorujące parametry życiowe, a potem przenosi wzrok na nią.

Mama nadal mówi.

— *Mój synu, proszę, nawet jeśli zostaniemy ukarani na tej ziemi, to znajdziemy pokój w niebie.*

Musimy się przyz...

John Paul nachyla się nad mamą i delikatnie całuje ją w czoło.

— *To od twojego syna — szepcze.*

Następnie wyciąga spod jej głowy poduszkę i zakrywa nią twarz mamy.

— *A to ode mnie.*

AKT IV

fale świetlne przechodzące przez otwór lub omijające jakąś przeszkodę zmieniają kierunek

POWIETRZE

Usiłuję oddychać. Czuję się tak, jakby boki przesywały mi setki noży. Ból zmusza mnie do otwarcia oczu.

Widzę chaos.

Ludzie mówią szybko, ale nie rozumiem co.

Wszędzie jest białe. Nawet ludzie są biali, a ich twarze rozmywają się w ich białe ubrania jak na akwareli.

Bardzo blisko mnie pojawia się jakaś rozmazana twarz, a w oczy bije promień światła.

Wzdrygam się od tej światłości. Ostry, paraliżujący ból prawie wciąga mnie z powrotem w ciemność.

— Jest z nami. Jak się pan nazywa! Proszę podać swoje imię!

Chcę powiedzieć: „nie krzycz”, ale zamiast tego...

Philip.

— Jaka liczba następuje po jedynce?

Dwójka.

Mój głos jakby dochodzi z bardzo odległego miejsca. Ale to ja odpowiadam.

Oddycham.

— Kto jest prezydentem Nigerii?

Nabieranie powietrza sprawia ból.

A kogo to obchodzi?

— Dobrze. Jest z nami. Przygotujcie salę operacyjną...

Żyję. Ale gdzie jest Chika?

Nie wiem, czy zadaję to pytanie, zanim wszystko znowu robi się czarne.

NIEMIŁE PRZEBUDZENIE

Kiedy pierwszy raz otwieram oczy, widzę oślepiająco biały sufit. Wentylator obraca się powoli, co sprawia wrażenie, że to pokój wiruje. Zamykam oczy i wszystko nieruchomieje. Postanawiam nie otwierać ich jeszcze chwilę.

Za drugim razem do zaciśnięcia oczu zmusza mnie przejmujący ból głowy. Nawet wtedy uporczywe łupanie nie ustaje. Pokój wypełnia świdrujący dźwięk; chcę zakryć uszy, ale uniemożliwiają mi to te wszystkie podłączone do mnie kabelki. Przeszywający dźwięk się nasila. Nie otwieram oczu, aż stały dźwięk przechodzi w serię pisków, a łupanie w głowie staje się jednostajnym bólem.

Następnym razem otwieram oczy, ponieważ słyszę głosy.

— On coś wie...

— Tego nie wiesz.

Nie umiem rozstrzygnąć, czy mi się to śni, czy rzeczywiście w nogach mojego łóżka stoją naprzeciwko siebie Omereji i Salome i z ożywieniem rozmawiają.

— Usiłowali zabić mojego tatę. Twojego wuja — mówi Omereji szeptem.

Wszystko mi się przypomina. Posterunek policji. Porwanie. Chika!

— Tego nie możesz udowodnić... — mówi Salome.

— Słuchajcie — wołam słabym głosem.

Omereji i Salome jednocześnie odwracają się do mnie, ale to ona podchodzi bliżej.

— Obudziłeś się!

— Kto może spać w takim hałasie? — staram się żartować, usiłując podnieść się do pozycji siedzącej.

— Nie ruszaj się. Masz pęknięte żebro i wstrząśnienie mózgu.

Dotykam głowy i wyczuwam bandaże. To wyjaśnia te bóle głowy. A ucisk w piersiach nie bierze się z powodu braku powietrza, tylko z tego, że jestem owinięty bandażami jak mumia.

— Jak długo tu jestem?

Salome patrzy na Mike'a, który nie spuszcza ze mnie wzroku od chwili, kiedy się odezwałem, a potem znowu na mnie.

— Trzy dni. Lekarze obawiali się o krwawienie w mózgu, więc wprowadzili cię w stan śpiączki.

— Trzy? — Usiłuję gwałtownie usiąść i natychmiast tego żałuję. — Gdzie jest Chika?

— Pańskiemu przyjacielowi nic się nie stało — odpowiada beznamiętnym tonem Omereji. — Odnosił drobne obrażenia po tym, jak zadał ich znacznie więcej waszym napastnikom.

Wracam do pozycji leżącej.

— Nie zastrzelili go?

— Nie, Philipie — odpowiada Salome. — Nic mu nie jest.

— Ale słyszałem strzały...

— Chyba na razie powinieneś odpocząć — mówi Salome. — Mike i ja przyjechaliśmy do szpitala zobaczyć się z moim wujem, więc pomyśleliśmy, że wpadniemy do ciebie.

— Jak się czuje twój wuj?

— Wyszedł z OIOM-u i jest stabilny.

— Dzięki Bogu.

Ponieważ Omereji ma charakterystyczną minę, wyczuwam, co będzie dalej. Nagle czuję się wykończony.

— Jak pan sądzi, może pan odpowiedzieć na kilka pytań? — pyta, podchodząc bliżej.

Wciąż wygląda, jakby nie spał od wielu dni.

— Nie musisz tego robić, Philipie... — protestuje Salome.

— O co nie zdążył mnie pan zapytać, kiedy mnie pan bezprawnie aresztował?

— Niech pan posłucha, jeśli o to chodzi, to zapewne rozumie pan moje położenie...

Staram się uśmiechnąć, ale kończy się to grymasem, ponieważ ból głowy wraca z większą siłą.

— To nie są przeprosiny — mówię, aby zyskać na czasie i uspokoić myśli.

— Przeprosiny?

Gdyby nie bolało mnie całe ciało, to na widok konsternacji widocznej na twarzy inspektora Omerejiego wybuchnąłbym śmiechem.

— Aresztował mnie pan na podstawie przypuszczeń i osobistej...

— Miałem podstawy! — syczy Omereji.

— Chcesz to powiedzieć jego prawnikowi? — mówi Salome, patrząc wyzywająco na kuzyna.

Przez dłuższą chwilę panuje nerwowa cisza. W głowie mi teraz łupie i serce bije dość szybko, ale wiem, że muszę zachować spokój.

— Panie doktorze, skłamałbym, gdybym powiedział, że przykro mi, że pana aresztowałem. Przepraszam jednak za to, że nie stosowałem się do procedur, za to, że nie dałem panu ochrony w miasteczku, które, jak wiedziałem, jest nastawione do pana wrogo i, cóż...

— Nie szkodzi... Naprawdę. — Widok dumnego funkcjonariusza przyznającego się do winy

sprawia mi ból, a gdybym, wiedząc to, co wiem, pozwolił mu mówić dalej, wykazałbym się brakiem uprzejmości. — Rozumiem.

Przywołuję na twarz porządny uśmiech, a Salome rozpromienia się jak przedszkolanka, która właśnie zażegnała konflikt na placu zabaw.

— Co chce pan wiedzieć? — pytam.

Do akcji wkracza Salome.

— Philipie, naprawdę nie musisz...

Omereji mówi równocześnie z nią.

— Przeprowadziliśmy badania balistyczne kuli, która trafiła mojego tatę. Pochodzi ze snajperskiego karabinu. Nie jest standardowa. Jest droga i w tej okolicy dość trudno taką znaleźć. Sądzę, że była to próba zamachu.

— I nadal pan myśli, że coś o tym wiem? — pytam spokojnie, mimo że ból głowy narasta, a serce szybko mi bije.

Salome wzdycha.

— Mike nie ma dowodów, ale podejrzewa, że do mojego wuja strzelał Chika.

— Dlaczego? — pytam.

— Bo znajdował się w mieście tuż po tym, jak ci chłopcy zostali zabici — odpowiada Omereji.

— Węszył, zadawał pytania i śledził ludzi. Łącznie z moim ojcem.

— Dlaczego wtedy go pan nie aresztował? — pytam i się krzywię.

Widzę, że Salome dotyka Mike'a, jakby go prosiła, by traktował mnie łagodnie.

— Zrobiłbym to, gdybym wtedy tam był, ale nawet gdyby, to na jakiej podstawie? Początkowo ludzie myśleli, że jest dziennikarzem, a potem, kiedy nie wyjechał, niektórzy uznali, że pisze książkę. Po pewnym czasie po prostu zniknął i wszyscy o nim zapomnieli, a kiedy wrócił z panem, ledwie go rozpoznali.

— To wtedy dowiedzieliśmy się, że wynajął cię Emeka Nwamadi — mówi Salome.

— Co oznacza — dodaje Omereji — że Nwamadi wynajął też tego pańskiego Chikę.

Przenoszę wzrok z Salome na niego. Salome pozna, jeśli skłamię, więc mówię prawdę.

— Gwarantuję panu, że gdyby do przywódcy strzelał Chika, toby nie spudłował.

Salome i Omereji patrzą na siebie nawzajem. Inspektor z rezygnacją wzrusza ramionami. Salome patrzy na mnie z góry. Makijaż wokół oczu ma rozmazany i podejrzewam, że, podobnie jak jej kuzyn, ma kłopoty ze snem.

— Pójdziemy odwiedzić wuja — mówi. — Jesteście na tym samym piętrze, ale on leży w skrzydle zachodnim i ze względu na wiek ma całodobową opiekę. Może mi się jednak uda znowu do ciebie wpaść.

Klepie mnie po dłoni i odwraca się do Omerejiego, który wbija we mnie nieruchome spojrzenie.

— Chodźmy, Mike.

— To był Brügger & Thomet.

— Słucham?

Drży mi głos.

— Karabin, z którego strzelano do mojego ojca. Brügger & Thomet. Proszę dać mi znać, jeśli się pan na taki natknie.

— Proszę dać mi znać, kiedy pan aresztuje ludzi, którzy zaatakowali Chikę i mnie.

— Już to zrobił — mówi Salome. — Mike aresztował ich tego samego dnia, kiedy zostałeś tu przywieziony.

— Zanim postawimy oficjalne zarzuty, będzie musiał pan dokonać identyfikacji i złożyć zeznanie, ale owszem, mamy w areszcie śledczym dziesięciu miejscowych młodzieńców.

— Dziękuję — mówię, nieco zawstydzony.

— Proszę dać mi znać, jeśli natknie się pan na ten karabin, panie doktorze. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia.

Odwraca się i wychodzi. Salome wzdycha, kiwa do mnie ręką i idzie w jego ślady.

NIEPRZEWIDZIANA UPRZEJMOŚĆ

Wiedząc to, co wiem, nie jestem przekonany, kogo wolałbym ujrzyć najpierw: Chikę czy Emekę. Nie jest mi jednak dane dokonać tego wyboru, ponieważ do mojego szpitalnego pokoju wchodzi Emeka w towarzystwie mężczyzny, którego pamiętam z mojej katastrofalnej wizyty w Stanowym Szpitalu Psychiatrycznym.

— Panie doktorze.

— Emeko — odpowiadam z rezerwą, patrząc na ojca Mercy.

— Przyprowaǳiłem ci gościa. Elechi Opara, przedstawiam ci doktora Philipa Taiwę.

Elechi Opara podchodzi do mojego łóżka z pogodnym, ciepłym uśmiechem. Znowu czuję wstyd.

— Naprawdę bardzo mi przykro z powodu... — zaczynam, lecz ojciec Mercy unosi rękę.

— W porządku, panie doktorze — mówi łagodnie. — Nie chowam do pana urazy. Emeka wyjaśnił mi, że bardzo pana naciskał.

— Mimo to bardzo pana przepraszam, sir. Jak się czuje Mercy?

— Już lepiej i wróciła do domu. Mamy nadzieję, że zostanie na długo.

Emeka wysuwa się przed niego.

— Przyprowaǳiłem Elechiego, żebyśmy obaj mogli mu oficjalnie podziękować...

Patrząc na nich zdezorientowany, marszcząc czoło. Emeka uśmiecha się szeroko i kładzie rękę na ramionach Elechiego Opary.

— Podziękować mu?

— Nie powiedzieli ci?

— O czym?

— To Elechi uratował was przed tymi chuliganami.

To jest całkowicie nieoczekiwane.

— Jak... pan...? — jąkam się, nie wiedząc, co powiedzieć albo o co zapytać.

— Kiedy zadzwonił do mnie Emeka, przez czysty przypadek znajdowałem się niezbyt daleko od miejsca, gdzie was atakowano...

— Zadzwoniłeś do niego?

Emeka kiwa głową.

— Kiedy zadzwonił Chika, słyszałem, że grozi wam niebezpieczeństwo. Musiałem działać szybko, a jedyną osobą w okolicy, do której mogłem zadzwonić, był Elechi.

— Nie było trudno was znaleźć. Kiedy zobaczyłem kierunek, w którym zmierzali niektórzy młodzieńcy, robiąc już hałas, wiedziałem, że jadą do was, więc zatrzymałem motocykl i pojechałem za nimi.

— Pomógł nam pan, mimo tego, co zrobiłem... — mówię, kręcąc ze zdumieniem głową.

— A jak inaczej mogłem postąpić?

— Przeprosiłem Elechiego w naszym imieniu i powiedziałem mu, jak cię naciskałem, żebyś zakończył ten raport — wyjaśnia Emeka. — Był naprawdę jedyną osobą, jaka przyszła mi na myśl, ponieważ żadnym sposobem nie zdążyłbym do was dotrzeć, zanim ci chłopcy zrobiliby wam prawdziwą krzywdę.

Patrząc na Elechiego.

— To pan do nich strzelał?

— W powietrze, nie do nich. Tylko w ten sposób mogłem zwrócić ich uwagę.

— Jakie to szczęście, że był pan uzbrojony.

To pytanie i stwierdzenie zarazem. Nawet w Stanach nigdy nie mogłem zrozumieć, że ludzie noszą przy sobie broń jako element wyposażenia. W ciągu niecałych dwóch tygodni widziałem tu więcej broni niż przez cały rok pracy w policji w San Francisco.

— Mieszkańcy mojego miasteczka zabili przyjaciela mojej córki i zaatakowali nawet ją, kiedy próbowała ratować Kevina. Od tamtej pory noszę przy sobie broń.

— A jeszcze większym szczęściem dla nas jest to, że miałeś ją przy sobie, kiedy został zaatakowany doktor Taiwo — mówi Emeka, klepiąc Elechiego po ramieniu z przesadną wesołością, która ma chyba maskować jego ból, ilekroć zostaje wymienione imię Kevina.

— I Chika — zauważam spokojnie.

Mina Emeki staje się nieprzejeźnana.

— Oczywiście. I Chika.

— Gdzie on jest? — pytam, zawiedziony, że nie przyszedł mnie odwiedzić, jeśli rzeczywiście dobrze się czuje.

— Załatwia dla mnie pewne sprawy w Port Harcourt. Wkrótce przyjedzie. Na razie odzyskuj siły. Musisz jak najszybciej stanąć na nogi. — Spogląda na Elechiego. — Dajmy mu odpocząć.

— Dziękuję, panie Opara — mówię szczerze.

— Chociaż tyle mogłem dla pana zrobić, panie doktorze.

Ściskamy sobie słabo dłonie, bo nawet najmniejszy ruch przyprawia mnie o ból.

— Nie wiem, jak mogę się panu odwdziaczyć, sir — mówię.

Elechi patrzy na Emekę, który kiwa głową.

— Emeka powiedział mi, że jest pan psychologiem — zaczyna ze skrępowaniem Elechi. — Nie chcę pana wykorzystywać i wiem, że lekarze w szpitalu psychiatrycznym robią dla Mercy, co mogą...

Milknie, a ja usiłuję zrozumieć, co ma na myśli. Kiedy mi się to udaje, natychmiast zaczynam kręcić głową i wtedy wkracza do akcji Emeka.

— Wyjaśniłem Elechiemu, że nie jesteś takim rodzajem psychologa, ale on tylko prosi o dodatkową opinię.

— Tak. O nic więcej. Mam nadzieję, że może dostrzeże pan coś, czego nie dostrzegają nasi nigeryjscy lekarze...

Elechi uśmiecha się do mnie, lecz w oczach ma smutek, który przypomina mi o smutku Emeki, kiedy mówi o Kevinie.

— Ale, sir, ja nie jestem takim rodzajem psychologa. Nie jestem klinicystą.

Mina Elechiego się wydłuża, więc proszę Emekę wzrokiem o pomoc, lecz on tylko wzrusza ramionami, jakby mówił, że jestem w tym sam.

— W najlepszym wypadku jestem badaczem, sir.

— Ale psychologiem...

Elechi nie ustępuje.

— Tak, ale nie takim, który może stawiać diagnozę albo przepisywać leki.

— Ale może pan wydać opinię? A może nawet poradzić, dokąd możemy się udać po pomoc?

— Specjalizuję się w przestępstwach i...

Przerywam moją dobrze przećwiczoną mowę, ponieważ widzę, że Elechi nie zrozumie moich oporów. Jeśli o niego chodzi, to jestem psychologiem. Jakiegokolwiek wyjaśnienie na temat mojej wiedzy zostanie odczytane jako wymówka lub, co gorsza, odmowa. Poza tym zawdzięczam temu człowiekowi życie.

— Mogę tylko powiedzieć, co myślę, i może podać panu kilka nazwisk klinicystów... — mówię.

— To mi wystarczy. — Elechi Opara uśmiecha się szeroko. — Kiedy tylko się panu polepszy,

mogę pana odebrać w Port Harcourt...

Chcę powiedzieć, że Elechi działa za szybko, ale nie mogę zgasić ulgi malującej się na jego twarzy.

— W gruncie rzeczy — Elechi zwraca się do Emeki — może podczas dziękczynienia?

— Dziękczynienia? — pytam.

Łupanie w mojej głowie stanowi wyraźną oznakę, że nie jest to coś, w czym chciałbym brać udział, lecz być może nie będę mógł tego udziału odmówić.

— Elechi wydaje u siebie dziękczynny lunch z okazji powrotu Mercy do domu — wyjaśnia Emeka.

— Tego dnia rodzice chrzestni Mercy organizują skromne nabożeństwo w ich kościele i potem pójdziemy do nas coś zjeść. Gdyby pan do nas dołączył, mógłby pan poobserwować Mercy i porozmawiać z nią...

Wpatruję się w Emekę, lecz nie umiem z jego twarzy nic wyczytać. Czy chce, żebym tam poszedł? Czy on tam będzie?

— To wszystko oczywiście, jeśli poczuje się pan lepiej...? — mówi Elechi.

Jego zastrzeżenie sprawia, że uśmiecham się szczerze i obiecuję, że zastanowię się nad zaproszeniem.

Emeka postępuje krok do przodu.

— Powinniśmy pozwolić ci odpocząć.

Nie zważam na niewygodę i przytrzymuję jego dłoń, którą umieścił w mojej, dając mu do zrozumienia spojrzeniem, że powinien zostać.

Emeka odwraca się do ojca Mercy.

— Zaraz do ciebie dołączę, Elechi...

Opara kiwa głową, lecz zatrzymuje się w drzwiach.

— Da mi pan znać, czy pan przyjdzie?

Wciąż ściskam dłoń Emeki, ale udaje mi się uśmiechnąć z wdzięcznością.

— Byłbym zaszczycony, sir — odpowiadam.

Kości zostały rzucone.

— Przyślę szczegóły panu Nwamadiemu.

Opara uśmiecha się do mnie jeszcze raz, a kiedy znajduje się za drzwiami, pytam Emekę bez ogródek:

— Kazałeś Chice zabić przywódcę Omerejiego?

Emeka wrywa dłoń z mojej.

— O czym ty mówisz?

— Widziałem, jak dajesz mu torbę z karabinem, Emeko. Powiedz mi prawdę.

— Mocno oberwałeś w głowę, Philipie.

— Nie traktuj mnie protekcjonalnie, Emeko.

Rozgląda się, jakby ktoś mógł podsłuchiwać. Kiedy z powrotem przenosi wzrok na mnie, twarz ma wykrzywioną udawanym oburzeniem.

— Oskarżasz mnie o coś strasznego...

— Jesteś zrozpaczonym ojcem. Człowiekiem trawionym gniewem. Zrozumiałbym...

— Nikt nie może zrozumieć — mówi zimnym tonem Emeka i rusza do drzwi.

— Czy przynajmniej rozmawiałeś z moim ojcem? Powiedziałeś mu, co mi się stało?

Z twarzy Emeki znikają wszelkie emocje.

— Jeśli ma to jakieś znaczenie, Philipie, to rzeczywiście z nim rozmawiałem. I podziękowałem mu, że przekonał cię do wzięcia tej sprawy. Poinformowałem go także o twoim stanie zdrowia. Chyba rozmawiał z tutejszymi lekarzami.

Kiwam głową. Może mój tata i jego przyjaciele wykorzystają to jako sposób na wciągnięcie go z powrotem do ich grupy.

— Chcę się zobaczyć z Chiką — mówię.

Emeka kiwa głową z fałszywym uśmiechem.

— Dam mu znać.

— Wiesz, że celowo spudłowałem, prawda?

— Nie wiem, o czym mówisz. Musisz teraz odpocząć.

— Spudłowałem, żeby ocalić cię przed strasznym błędem — nie ustępuję, wzburzony.

— Proszę odpocząć, panie doktorze.

Ton Emeki świadczyo tym, że dyskusja jest skończona, a sprawę przypieczętowują zamykające się za nim drzwi.

Drugi raz dzisiejszego dnia zostaję sam, by się zastanawiać, kto jest prawdziwym złoczyńcą w tragedii Trzech z Okriki.

SPOTKANIA

Śni mi się, że w nogach mojego łóżka siedzi Folake. Uśmiecham się do niej, a ona oddaje mi uśmiech.

— Hej, kochanie — mówię.

Kiedy wstaje i podbiega do mojego boku, uświadamiam sobie, że naprawdę tu jest. Serce bije mi radośnie. Czuję perwersyjną wdzięczność do młodzieńców z Okriki, którzy zaatakowali Chikę i mnie. Troska malująca się na twarzy mojej żony sprawia, że prawie warto cierpieć ból pękniętych żeber i pulsujący ból głowy.

— Dzięki Bogu — mówi.

— Nie śnię...

— Jestem tu, kochanie.

— Dzieci?

Patrzę za nią.

— Nic im nie jest. Są z twoją mamą.

— Ale jak ty...?

— Twój tata. Powiedział mi, że był wypadek, i połączył mnie z Emeką, który zorganizował mój przyjazd.

— Jego prywatnym samolotem?

Folake uśmiecha się szeroko.

— A żebyś wiedział.

— Ha. Jakbyś była gwiazdą.

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, chociaż bolą mnie od tego żebra. Folake też się śmieje i ściska mnie za rękę, ale bez ostrzeżenia jej śmiech zmienia się w szloch.

— Nie płacz, proszę cię...

— Tak się bałam — mówi przez łzy. — Nie mogłam się z tobą połączyć. Twój telefon był wyłączony. — Podchodzi do leżącej na krześle torebki, wyjmuje z niej chusteczkę i wydmuchuje nos. — I... bo pomyślałam, no wiesz, to, co powiedziałeś, kiedy rozmawialiśmy...

Znowu zaczyna płakać. W tej chwili wiem, że bez względu na to, co widziałem, bez względu na to, co zrobiła, Folake mnie kocha. A ja kocham ją. Lecz między nami stoi to, co powiedziałem. Co zobaczyłem. Kiwam ręką, żeby podeszła bliżej. Tak robi, hałaśliwie wydmuchując nos.

Powoli, lekko się krzywiąc, przesuвам się na jedną stronę łóżka i Folake kładzie się obok mnie. Nie może oprzeć głowy o moją pierś, więc przesuwa się nieco i opiera ją na moim ramieniu.

Zamykam oczy i wdycham zapach oleju kokosowego i masła shea, którym są przesiąknięte jej loki. Przechylam głowę i całuję ją w czoło.

I tak sobie leżymy. W milczeniu. Razem.

Folake nie odchodzi, a pielęgniarkom chyba to nie przeszkadza. Ponieważ nie dzieje się nic złego, pozwalają jej zostać i po raz pierwszy od niemal dwóch tygodni spędzamy razem noc.

Jestem zmęczony i śpiący, ale tak bardzo tęsknięm za żoną. Nie zasypiam, by mogła mnie raczyć opowieściami o dzieciach, swojej pracy i wszystkim innym oprócz naszej ostatniej rozmowy telefonicznej.

Niecałe czterdzieści osiem godzin po przybyciu Folake tomografia komputerowa wykazuje, że z moją głową wszystko jest dobrze. Przez kilka dni nie powinienem się przemęczać ani denerwować oraz muszę przyjmować środki przeciwbólowe na ból żeber, ale poza tym jestem wystarczająco zdrowy, by opuścić prywatny oddział szpitala klinicznego Uniwersytetu Stanowego.

Już mam wzywać taksówkę, żeby wrócić z Folake do PH, ale przychodzi SMS od Emeki, że jedzie do mnie Chika. Zatem czekam.

— Naprawdę nie widziałeś go od tego ataku? — pyta Folake, pomagając mi włożyć ubranie, które przywiozła mi z Lagos.

— Ani razu. Myślę, że jest mu wstyd — odpowiadam i krzywię się z bólu, unosząc rękę, by włożyć koszulę.

— Dlaczego miałby się wstydzić?

Usiłuję wzruszyć ramionami, ale mi się to nie udaje.

— Ja byłem z nim szczery, a on ze mną nie całkiem.

Chcę się z nią podzielić moim podejrzeniem co do próby zabójstwa przywódcy Omerejjiego, ale wolę zaczekać, aż przyjedziemy do hotelu. Chcę się stąd wydostać.

Właśnie wtedy otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi Salome. Na widok Folake zatrzymuje się. Jej uśmiech niemal niezauważalnie drga, a potem, kiedy Salome podchodzi do nas, robi się jeszcze szerszy.

— Pani to zapewne profesor Taiwo. Cześć, jestem Salome Briggs.

Jeśli Folake jest zaskoczona, to tego nie okazuje. Wyciąga do Salome rękę.

— Miło mi panią poznać.

— Amerykaana — zwraca się Salome do mnie. — Wyglądasz o wiele lepiej.

— Czuję się w tych bandażach jak zapakowany prezent.

Salome śmieje się wesoło.

— A teraz masz tu swoją panią, która może prezent rozpakować. — Jej mrugnięcie jest bardziej żartobliwe niż lubieżne; nie czeka na naszą reakcję, bo już zmierza do drzwi. — Odwiedzam wuja, więc pomyślałam, że zanim pójdę do niego i utknę tam z całą rodziną, powinnam sprawdzić, co u ciebie.

— Jak on się czuje? — pytam.

— O wiele lepiej. Miło mi panią poznać, pani profesor.

I z tymi słowy wychodzi.

— Amerykaana? — mówi Folake w zapadłej na chwilę ciszy.

Nie wyjaśniam przezwiska, jakie mi nadała Salome.

— To była krótka wizyta — ciągnie Folake, nie patrząc na mnie.

— Jest dość zajęta. Jestem zaskoczony, że znajduje czas na tak regularne odwiedziny u wuja.

— Kto to jest?

I wtedy to do mnie dociera. W ciągu minionych dwóch dni opowiedziałem Folake niemal wszystko o moich przeżyciach w Okriki i PH, ale ani razu nie wspomniałem o Salome.

A przynajmniej nie z imienia. Freud ma używanie.

— Pamiętasz tę znajomą, o której mówiłem, że zorganizowała nam pobyt w PH?

— To jest ta znajoma?

Nie zwracam uwagi na nacisk, jaki Folake kładzie na słowo „znajoma”.

— Jest obrończynią niektórych oskarżonych w sprawie Okriki.

Folake szeroko otwiera oczy.

— I jest twoją znajomą?

— Tak.

Odwracam się i powoli biorę zegarek ze stolika przy łóżku, ale czuję na plecach żar jej spojrzenia.

— I jej wuj jest tutaj?

Szkiełko jest pęknięte w kilku miejscach, ale zegarek wciąż działa.

— Jej wujem jest przywódca Omereji — mówię neutralnym tonem.

— No, no, kochanie. Ty to umiesz dobierać sobie znajomych.

Zostaje mi oszczędzone wymyślenie odpowiedzi, bo właśnie wtedy do pokoju wchodzi Chika.

Wygląda na zmęczonego, a przez plaster na czole sprawia wrażenie chorego. Cieszę się na jego widok, ale jeszcze bardziej się cieszę z przerwania tej rozmowy.

— Witaj, nieznajomy — mówię.

Uśmiech nie dociera do jego oczu.

— Dzień dobry, sir — odpowiada Chika.

Oddycham głęboko. Wróciliśmy do punktu wyjścia.

WYZNANIA ZAMACHOWCA

Po niewygodnych nocach, które Folake spędziła ze mną w szpitalu, Tropicana jest rajem. Zaraz po powrocie do mojego starego pokoju przygotowuje dla siebie kąpiel, wybiera playlistę w swoim telefonie i właściwie wprowadza się do luksusowej łazienki.

Może sprawia to środek przeciwbólowy albo fakt, że spałem niemal sześć dni bez przerwy, ale jestem niespokojny, a mój umysł odtwarza wszystkie wydarzenia minionych dwóch tygodni.

Jestem świadom, że usiłowanie zabójstwa przywódcy Kinikanwy wywołało szereg wydarzeń w Okriki. Wszędzie jest pełno doniesień o niepokojach w tej społeczności. Zabawne, że miesiąc wcześniej mojej ciekawości co do Okriki nie pobudziła nawet śmierć trzech studentów. Dzisiaj mogę myśleć tylko o tym miasteczku i jego mieszkańcach.

Duże dawki tramadolu, plaster z opatrunkiem wielkości planety na moim czole i grube bandaże wokół żeber przypominają mi, jak blisko otarłem się o śmierć. Po zastanowieniu muszę przyznać, że ten atak mnie nie zaskoczył. Po tym, jak został zdemolowany mój pokój hotelowy i jak spotykaliśmy się z Chiką przy wielu okazjach z wrogością, wybuch przemocy tak naprawdę był tylko kwestią czasu.

Rozmawiałem z mamą i dziećmi, które dziadkowie rozpuszczają jak dziadowskie bicze. Zapewniłem wszystkich o moim dobrym samopoczuciu, ale do taty wysłałem tylko krótki SMS z podziękowaniem. Wiem, że kiedy to wszystko się skończy, odbędziemy kilka bardzo poważnych rozmów, które przeciągną się długo poza świt.

Słyszę, jak Folake nuci *Feeling Good* Niny Simone, i mimowolnie zastanawiam się nad jej krótkim wcześniejszym spotkaniem z Salome. Moja żona nie jest głupia i na pewno wyczuła napięcie istniejące między mną i Salome. Obciąża mnie to, że relacjonując wydarzenia, które doprowadziły mnie do Tropicany, nie wymieniłem jej z imienia, a chociaż w ciągu siedemnastu lat małżeństwa nigdy nie byłem niewierny, to nie mogę z całą pewnością powiedzieć, że

w odmiennych okolicznościach pozostałbym niewrażliwy na uroki Salome.

No i jest jeszcze Chika.

Z łazienki dobiegają teraz największe przeboje Anity Baker; rozpoznaję tę szczególną playlistę i wiem, że upłynie jeszcze sporo czasu, zanim moja żona stamtąd wyjdzie. Sprawdzam, która godzina, i nieco zbyt szybko wstaję z łóżka. Chwytam równowagę i podchodzę do biurka, by skreślić parę szybkich słów do Folake. Nieruchomieję.

Na biurku leży szara koperta z napisanym na niej moim nazwiskiem i numerem pokoju. Otwieram ją i widzę wydruk artykułu oraz jego streszczenia z „Nigeryjskiego Przeglądu Reform Prawa” zatytułowanego *Konsekwencje prawne antygejowskich przepisów w Nigerii. Studium sprawy Momoh Kadiri przeciwko policji stanu Rivers* autorstwa Tamuna Princewilla z wydziału prawa Uniwersytetu Stanowego.

Ach, tak. Plik, który Chika poszedł wydrukować tuż przed naszym aresztowaniem. Zapewne podał moje nazwisko. Widzę, że studium nadzorował profesor Esohe, i zdumiewam się tym, jak szybko zmieniła się sytuacja, ponieważ nie udało mi się spotkać dziekana wydziału prawa na Uniwersytecie Stanowym.

Nie wkładam wydruków z powrotem do koperty. W ten sposób będę pamiętał, żeby poczytać je sobie do poduszki.

Idę do pokoju Chiki.

— Masz odpoczywać — mówi, otworzywszy drzwi.

— To samo mógłbym powiedzieć o tobie.

Jak zwykle, wzrusza ramionami.

— Nie wpuścisz mnie? — pytam.

Chika odsuwa się na bok po chwili wahania.

Wchodzę za nim do środka. W moim pokoju rozrzucone rzeczy Folake i moje stwarzają wrażenie, jakbym w nim teraz mieszkał, a w pokoju Chiki panuje porządek — oraz otwarta walizka.

— Wybierasz się dokądś?

— Do domu.

— Nie poinformowawszy mnie o tym?

Chika nie patrzy na mnie.

— Szef mówi, że sam cię poinformuje.

— Dlaczego?

Chika nadal nie patrzy na mnie. Podchodzi do walizki i zaczyna przekładać starannie poukładane ubrania.

— Dlaczego? — ponawiam pytanie. — Dlaczego wyjeżdżasz?

— Kiedy szef będzie gotowy, to cię poinformuje.

— Ale ja pytam ciebie.

— Zostałem zwolniony, Philipie — oznajmia zwięźle Chika. — Powiedział mi, że nie wykonuję poleceń i mam jechać do domu. Zadzwoił, żebym wrócił wczoraj, tylko dlatego, że chciał zachować pozory wobec ciebie.

— Co? Ale po co w ogóle miał zachowywać jakieś pozory?

Chika patrzy mi w oczy.

— Wiesz, po co.

Emeka musiał mu opowiedzieć o moich podejrzeniach, może nawet myśląc, że Chika mi się zwierzył.

— Spudłowałeś celowo.

Chika śmieje się ironicznie.

— Wykazałem się nieudolnością.

— Chciałeś, żeby Emeka tak myślał. Dlaczego?

Chika z powrotem skupia uwagę na walizce.

— Chiko, bądź ze mną szczery, proszę cię. Kim jesteś? Co robisz?

Chika przestaje bawić się ubraniami i zaczyna krążyć po pokoju. Widzę, że zastanawia się, czy rozsądnie jest ze mną rozmawiać. Podchodzę do dużego łóżka i siadam na nim. I czekam.

Jakby ponaglony czymś, nad czym nie panuje, Chika spogląda na mnie.

— Pamiętasz, co ci mówiłem o przynależności do sekty.

Kiwam głową. Boję się, że jeśli odezwę się za szybko, to Chika straci odwagę.

— Nie powiedziałem ci, co robiłem po relegowaniu z uniwersytetu.

Milczę.

Chika wzdycha.

— Wstąpiłem do firmy ochroniarskiej. Szkoli ona młodych mężczyzn i kobiety w zakresie ochrony osobistej. Ci spośród nas, którzy okazują się dobrzy, są wysyłani do bardzo ważnych osób jako osobista ochrona. Najlepsi zostają członkami elitarniej grupy wojowników. I dostajemy kontrakty na pracę w strefach wojny. W większości i tak zostajemy w końcu ochroniarzami ambasadorów i podróżujących dygnitarzy, ale czasami niektórzy z nas są wynajmowani jako wojownicy.

— Najemnicy?

— Tak.

To jest jak historia prosto z filmu albo jakiejś powieści Johna Le Carré, lecz widzę po minie Chiki, że nie jest to coś, co sfabrykował, by mnie zaintrygować czy zabawić. Pamiętam te blizny na jego plecach.

— Byłeś jednym z wysłanych do walki?

Chika wzrusza ramionami.

— To mi dało cel. Zostałem wyrzucony ze studiów, nie przyjęłaby mnie żadna szkoła, moja rodzina była mną rozczarowana, no i potrzebowałem pieniędzy.

— Nie musisz niczego wyjaśniać. To była twoja praca.

— Nie znosiłem jej, ale dobrze ją wykonywałem. I nadal bym to robił, ale zostałem schwytany w Say'un. W Jemenie. Ja i dwaj moi kumple. Jeden był ze Stanów; natychmiast doszło do porozumienia i został deportowany. Drugi pochodził z Afryki Południowej. Trochę to trwało, ale też doszło do porozumienia i został wypuszczony. A ja? Cóż, Nigeria nawet nie chciała przyznać, że istnieje ktoś taki jak najemnicy. Spędziłem w tamtym więzieniu dwa lata i trzy miesiące, aż firma, dla której pracowałem, zdobyła wystarczająco dużo pieniędzy, żebym został wypuszczony.

— To stamtąd masz te blizny...

Chika uśmiecha się ze smutkiem.

— To są te, które widać. Ale owszem, to się stało tam. W kraju znajdującym się w stanie wojny regularne bicie i głodzenie są standardowymi technikami zadawania tortur.

— Ale to nie była twoja wojna...

— Co tylko pogarszało sprawę. Nie należałem do żadnej ze stron, więc byłem zwierzyną łowną. Bycie czarnym też nie pomagało.

— A więc zostałeś wypuszczony... — mówię, by zachęcić go do kontynuowania opowieści.

Jego charakterystyczne wzruszenie ramion oznacza teraz otrząśnięcie się z historii, której nie da się poprawić.

— Zatrudniłem się za biurkiem w firmie ochroniarskiej, odpracowałem wypłacony za mnie okup i zostałem wolnym człowiekiem.

— Ale Emeka o tobie wiedział?

Chika kiwa głową.

— Kiedy założyłem własną firmę, która zapewniała jego bankowi ochroniarzy i doradzała w zakresie oprogramowania, musiałem powiedzieć mu o moich kwalifikacjach.

— Więc kiedy został zabity Kevin, zaangażował cię?

— Właściwie sam mu zaproponowałem moje usługi. Byłem tak wściekły z powodu tego, co się stało, że poszedłem do niego i zaproponowałem wsparcie. Powiedziałem, że pojadę do Okriki i dowiem się, jak Kevin został w to wszystko zamieszany.

— To wtedy zebrałeś te wszystkie informacje...

— Tak. Ale nie zdołałem dowiedzieć się niczego poza tym, co wyczytałem w tym pliku. A Emeka zaczął się niecierpliwić.

— Kto zaproponował zabójstwo przywódcy?

Na chwilę zapada cisza, a potem Chika spogląda na mnie z zimnym uśmiechem.

— Przywódca nie był jedynym celem.

Dopiero po chwili odzyskuję głos.

— Chyba nie masz na myśli... Chciał, żebyś zabrał się za morderców?

Milczenie Chiki stanowi potwierdzenie.

— Jeśli taki był plan, to dlaczego wynajął mnie? — udaje mi się wykrztusić.

— Kiedy odkryłem, że Kevin należał do sekty, zacząłem we wszystko wątpić. Zaskoczyło mnie to i skłoniło do zastanowienia, czy mogę się mylić co do większej liczby spraw. Nie mam wiedzy wystarczającej do potwierdzenia tego, czego się dowiedziałem, i powiedziałem to Emece. Nie zgodził się ze mną, a ja nie mogłem mu wyjawiać tego, co wiem o Kevinie. Powiedziałem mu, że nie jestem detektywem i że jeśli mam zostać poproszony o zabicie kogoś, to muszę mieć pewność, czy dana osoba zasługuje na śmierć. To wtedy Emeka powiedział mi, że twój tata poinformował go, że wróciłeś do kraju.

— Byłem ćwiczeniem z weryfikacji?

Znowu to wzruszenie ramion.

— Możesz to tak nazwać...

Będę jeszcze miał dość czasu na zastanawianie się nad tym ciosem w moje ego. W tej chwili musiałem zdobyć wiedzę.

— Mówisz, że nie chodzi tylko o przywódcę...

Chika podchodzi do biurka i otwiera swój laptop, na którego klawiaturze leży kartka papieru. Przygląda jej się przez chwilę, a potem mi ją podaje.

To lista nazwisk dopasowana do formatu A4, wydrukowana z podwójną interlinią. Wiele z nich rozpoznaję z listy podejrzanych postawionych w stan oskarżenia w procesie morderstw w Okriki. Przenoszę wzrok na Chikę, który potrząsa głową jak ktoś, kto musi się obudzić ze złego snu.

— Nie mogłem tego zrobić, Philipie. Po prostu nie mogłem. Zwłaszcza kiedy się dowiedzieliśmy, że po okolicy może krążyć prawdziwy zabójca. Nie mogłem pociągnąć za spust, wiedząc to, co odkrywaliśmy.

— Dlatego spudłowałeś.

— Ale on nie odpuści. Znam Emekę. Albo znajdzie kogoś innego, albo zrobi to sam.

Z powrotem spoglądam na papier, który trzymam w rękach. Pod nazwiskiem przywódcy Kinikanwy widnieją kilkanaście innych, które rozmazują się w jedną plamę, kiedy mój wzrok pada na jedno z nich.

Salome Briggs.

INTYMNE ROZMOWY W ŁÓŻKU

Wracam do mojego pokoju późno. Folake jeszcze nie śpi; czyta w łóżku. Kiedy zamykam drzwi, zdejmuję okulary do czytania i unosi jakieś papiery.

— Czytałeś to? Zobaczyłam je na twoim biurku.

Zaczynam zażywać moją nocną dawkę środków przeciwbólowych i antybiotyków.

— Jeszcze nie.

Wciąż nie mogę dojść do siebie po tym, co powiedział mi Chika, i po zobaczeniu tej listy.

— Rozmawiałeś ze studentem, który to napisał?

— Tak, a bo co?

— Wiesz, że Godwin jest tu wspomniany jako policyjny świadek, ponieważ miał opartą na własnym doświadczeniu wiedzę o rzekomych homoseksualnych działaniach tego Momoha?

— Wyobrażam sobie, że o to właśnie chodzi w tej całej pracy — mówię, kładąc się do łóżka.

Streszczam jej pokrótce kampanię Kevina #sprawiedliwosc4momoh.

Folake marszczy brwi i kręci głową.

— Czytałam tony dokumentacji różnych spraw, ale tę się czyta jak zeznanie świadka, przynajmniej w części opisującej realia. Argumentacja prawnicza jest błyskotliwa, ale relacja, wrażenia i spostrzeżenia są zbyt — jak by to powiedzieć — zbyt bezpośrednie.

— Chłopak zna się na tym, o czym pisze. Do przełomów, jakich dotąd dokonaliśmy z Chiką, doprowadziło dużo z tego, co nam powiedział.

Folake znowu spogląda na papiery trzymane w ręku.

— Profesor Esohe. Słyszałam o nim...

— Jest dziekanem wydziału prawa.

— Rozmawiałeś z nim?

— Jeszcze nie.

I może nigdy nie porozmawiam, myślę. Poznanie prawdziwego powodu wynajęcia mnie do tej sprawy wstrząsnęło mną i na razie nie mam żadnego planu ponad znalezienie jakiegoś sposobu przekonania Emeki do porzucenia zamiarów związanych z ludźmi z tej czarnej listy. Nie mogę jednak powiedzieć tego Folake, więc próbuję odwrócić jej uwagę — a także uspokoić własne niespokojne myśli — przyciągając ją do siebie mimo obolałego boku.

— Jak myślisz, mogłabyś na chwilę odłożyć ten artykuł? — pytam znacząco.

Lecz jest nieco sztywna i wyczuwam u niej niechęć do rozpląnięcia się w moich ramionach, jak bywało dawniej. Patrzę na nią ze zmarszczonym czołem i szukam jakiejś wskazówki co do jej myśli. Folake oddaje mi spojrzenie, jakby robiła to samo, ale jej ciało odgina się od mojego.

— Zapewniam cię, że bardzo ładnie zdrowieję, jeśli to cię martwi.

Ta próba żartu chyba nie wypala, ponieważ Folake stanowczym ruchem wysuwa się z moich objęć i odwraca się, by położyć papiery na nocnym stoliku z jej strony łóżka.

Obejmuję ją od tyłu i kiedy udaję pozycję na łyżeczkę, Folake się nie odsuwa, ale czuję, że jest spięta, jakby chciała rzucić się do ucieczki.

— Kochanie? — mówię niepewnie do jej potylicy.

Nie odpowiada, ale wyczuwam napięcie jej mięśni jak u kota sprężonego do skoku. Przytulam się do niej mocniej.

Leżymy tak przez chwilę, a potem jej ciało się porusza i wyczuwam, że Folake płacze. Nie ruszam się i czekam. Może rozmowa o tym da mi sposobność powiedzenia, że jej wybaczyłem. Może sprawiło to moje otarcie się o śmierć albo prosty, niezaprzeczalny fakt, że kocham moją żonę, ale od chwili, kiedy ujrzałem ją w nogach mojego szpitalnego łóżka, wiem, że zostawiłem to już za sobą. Chcę tylko się dowiedzieć, co takiego mogłem zrobić, że pchnąłem ją w ramiona

innego mężczyzny.

— Winiłam siebie — wcina się Folake w tok moich myśli.

— Słucham?

Nie wiem, czy dobrze usłyszałem. Przyciągam ją bliżej, nie zważając na ból w boku i mając nadzieję, że się odwróci i będę mógł zobaczyć jej twarz.

Lecz ona wysuwa się z moich ramion i wstaje z łóżka. Patrzę, jak otula się hotelowym szlafrokiem i podchodzi do okna. Patrzy w milczeniu na nocne niebo, a ja cierpliwie czekam.

— Za to, co zdarzyło się z Sojim, moim asystentem, winiłam siebie — mówi do okna — i dlatego nic nie mówiłam.

Przysięgam, że w ciszy, która zapada po jej słowach, słyszę bicie mojego serca.

— Lubiłam go i może zachowywałam się wobec niego zbyt otwarcie — ciągnie Folake, a ja wyteżam słuch, bo jest odwrócona ode mnie i mówi cicho. — To bystry chłopak, szybko myśli i ma prawniczy umysł znacznie wykraczający poza jego doświadczenie. Wzięłam go pod moje skrzydła. Chyba widziałam w nim swego rodzaju przyjaciela. Zwierzałam się mu i zachęcałam go do tego samego. W Stanach to by było w porządku. Ale tutaj... — Przy tych słowach spogląda na mnie oczyma pełnymi żalu. — Chyba przekroczyłam pewną granicę.

Odwraca się do okna i bardzo głęboko wzdycha. Ociera twarz dłonią i chociaż na widok jej cierpienia pęka mi serce, znam ją na tyle dobrze, że zostaję w łóżku i pozwalam jej mówić.

— Przystawiał się do mnie, Phil. Myślał, że cała ta poświęcana mu uwaga oznacza, że mnie pociąga, i zaczął mi się narzucać. Wyznał mi miłość. Nawet kiedy mu powiedziałam, że zachowuje się nieodpowiednio, nie słuchał. Zrobił się... bardzo nachalny. — Folake odwraca się do mnie i uśmiecha z goryczą. — Musiałeś odejść, zanim go odepchnęłam i kazałam szukać innego promotora doktoratu.

— Drań!

Ten młodzieniec ma szczęście, że nie ma go w pobliżu mnie.

— Czułam się zbrukana, tania, łatwa.

W chwili, kiedy Folake odwraca się z powrotem do okna, wstaję i podchodzę do niej. Usiłuję wziąć ją w ramiona, lecz moja żona się opiera.

— Zgłosisz jego zachowanie — mówię z oburzeniem.

Folake odwraca się do mnie, ocierając łzy.

— I co to da? Jestem wykładowczynią w systemie uniwersyteckim, w którym roi się od napaści na tle seksualnym dokonywanych tak przez wykładowców, jak przez studentów. Potrafisz sobie wyobrazić, jak zostanie odmalowana? Amerykańska wykładowczyni, która wróciła do kraju i nie umie postawić granicy. — Kręci głową i widząc, że nie zgadzam się z jej podsumowaniem, pośpiesznie mówi dalej: — On był nierozważny. Młody. Zdecydowanie głupi. To ja powinnam wykazać się mądrością i nie zacierać granic. Ja byłam starsza, mądrzejsza i czułam, że we mnie, w moim zachowaniu jest coś, co pozwoliło mu sądzić, że wolno mu to zrobić. I owszem — odwraca i spuszcza wzrok — pomyślałam też, że może powinnam była coś zauważyć, coś podejrzewać. I że jeśli niczego nie zauważyłam ani nie podejrzewałam, to dlatego, że mi to schlebiało. To wtedy zaczęłam odczuwać wstyd.

Chcę jej powiedzieć, że nie zrobiła nic, czego mogłaby się wstydzić, i że to ja powinienem się wstydzić, że jej nie ufałem. Że mnie tam nie było, by ją chronić.

Folake przerywa krótkie milczenie głębokim westchnieniem.

— W Stanach w ogóle bym się nie zastanawiała nad wszczęciem przeciwko niemu postępowania dyscyplinarnego. Ale tutaj... cóż, to jest nowy teren. Kto by mi uwierzył? On jest młody, przystojny i bystry. Ja jestem kobietą w średnim wieku...

— Bynajmniej! — przerywam jej. — Poza tym jesteś doskonałą prawniczką...

— Przede wszystkim kobietą. Oczywiście mogę bardzo przekonująco przedstawić moją sprawę. Sęk w tym, czy chcę to zrobić? Czy muszę?

— Tak! — mówię z przekonaniem, ale widzę, do czego zmierza Folake, i robi mi się smutno. W ciągu niecałego roku od powrotu do kraju moja żona, którą na uniwersytecie San Francisco nazywano Czarną Panterą, chyba straciła ducha walki. Zastanawiam się, co jest tego przyczyną. Co kazało nam wyjechać ze Stanów albo wrócić do Nigerii?

— Nie możesz pozwolić, by uszło mu to płazem. Nie pozwolę mu...

— Pozwolisz — mówi Folake stanowczym tonem. — Musisz. Poza tym pomyśl o dzieciach. Jak na nie wpłynie złożenie skargi na niego? Dopiero zaczynają sobie radzić w tej szkole. Co bym osiągnęła oprócz zwrócenia na siebie uwagi i zaniedbania kariery?

— A więc wywinie się z tego? — wyrzucam z siebie gorzko.

— Mówiłam ci, nie jestem pewna, czy go nie zachęcałam. Nie mogę uczciwie powiedzieć, że nigdy się nie zastanawiałam, co by było, gdybym nie była mężatką i matką...

Widzę w myślach obraz Salome. Tę listę nazwisk. Lecz ta rozmowa jest zbyt ważna. Tutaj, w tym pokoju, jest moje życie.

— To dlatego nic nie mówiłaś? — pytam łagodnie. — Nawet mnie?

— Przepraszam, Philipie. Naprawdę. Gdybym wiedziała, że dlatego jesteś taki oziębły, powiedziałabym ci.

— Ale kiedy ja się odezwałem, nic nie mówiłaś.

— Byłam zła. — Podnosi głos, pojawia się cień mojej silnej żony. — Czułam, że zbyt szybko uwierzyłeś w najgorsze, i to mnie bolało.

— Przepraszam — mówię cicho. — Jestem idiotą.

— Chociaż bardzo chciałabym zaprzeczyć...

Folake wzrusza ramionami, ale się uśmiecha.

— Nadal chcę zrobić z niego miazgę.

— Nie warto — mówi drwiącym tonem Folake.

Przytulam ją.

— Nie zgadzam się.

Nie odsuwa się.

— To znaczy?

— Że nie jesteś tego warta.

— Chcę powiedzieć, że on nie jest...

Zakrywam jej usta swoimi, tłumiąc słowa, które nie mają już żadnego znaczenia ani dla teraźniejszości, ani przyszłości.

Kiedy w końcu poddaje swoje wargi moim, rozluźnia ramiona i oplata mnie rękami. Patrę jej w oczy i szukam w nich jakichkolwiek wątpliwości co do mnie, co do niej i co do nas. Nie znajduję ich.

Kiedy delikatnie ciągnę ją w stronę łóżka, idzie za mną.

SZUM INFORMACYJNY

Następnego ranka czekam na Chikę przy śniadaniu. Powstrzymuję się od bębnienia palcem o stertę pozszywanych papierów z kilkoma zakreślonymi przeze mnie fragmentami tekstu. Nie mogę sobie pozwolić na niecierpliwość. Od tej chwili muszę uważać, zwłaszcza że jest tu Folake. Niecałe dwa tygodnie temu, pracując z kilkoma niewiadomymi, nawet bym nie pomyślał, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. Lecz morderstwo Godwina, a teraz atak na Chikę i na mnie oraz możliwość, że Emeka planuje serię zabójstw, sprawiają, że jestem zdecydowanie

podenerwowany.

Nie mogę narazić na niebezpieczeństwo Folake, ale jak mam odwrócić katastrofę, którą uważam za nieuchronną od chwili, w której Chika pokazał mi tę listę osób do zlikwidowania? Jeśli zostałem wynajęty po prostu po to, by potwierdzić, kto naprawdę zasłużył na karę, i to na karę śmierci, za zabicie Trzech z Okriki, to czy wycofanie się nie byłoby nieodpowiedzialne? Zwłaszcza skoro teraz wiem, że większość ludzi z tej listy, jeśli nie wszyscy, nie zasługuje na los, jaki przygotowuje dla nich Emeka?

Do restauracji wchodzi Chika. Macham do niego. Kiedy podchodzi bliżej, widzę, że prawie nie spał. Oczy ma przekrwione, a ponieważ się nie ogolił, wygląda niechlujnie.

Kiedy tylko siada, podsuwam mu dokument. Chika patrzy na mnie pytająco.

— Mówiłem ci, Philipie, że zostałem zwolniony...

— Tak, ale ja nie. I bije mi licznik. Emeka dał mi tydzień na wykonanie tego zadania, więc praktycznie mam trzy dni na dostarczenie mu informacji, które powstrzymają go przed zrobieniem tego, co, jak powiedziałeś, jest zdeterminowany zrobić.

— O czym ty mówisz?

Wyjmuję spod kubka z kawą kartkę papieru i podaję ją Chice.

— To jest twoja rezerwacja w Tropicanie na mój rachunek na te trzy dni. Wszystko zapłacone.

— Philipie, nie mogę...

— Wiem, że masz w Lagos ciężarną żonę i życie. — Ściszam głos i pochylam się bliżej niego. — A po tym, co zrobiłeś przywódcy Omerejiemu, naprawdę nie powinieneś przebywać w tej okolicy. Ale teraz, wiedząc to, co wiemy, i co planuje Emeka, nie możemy się wycofać.

Chika patrzy na mnie, a następnie na trzymaną w ręce kartkę papieru.

— Nie wiem, czy coś może sprawić, że Emeka zmieni zdanie.

— Możemy spróbować, a jedynym sposobem na przekonanie go, jaki mi przychodzi do głowy, jest przedstawienie mu faktów.

— Nie dysponujemy nimi.

— Dlatego powinieneś to przeczytać.

— Wszystko? — Chika czyta stronę tytułową i krzywi się. — Nie przepadam za artykułami naukowymi.

Parskam śmiechem.

— Nie musisz czytać wszystkiego. Na szczęście dla ciebie zakresiłem najważniejsze miejsca, które powinny cię zainteresować.

Chika odkłada formularz rezerwacji, bierze do ręki artykuł i przerzuca strony. Czekam, żeby dotarł do zaznaczonych przeze mnie miejsc. Jeśli mam rację, to wyraz jego twarzy powinien stanowić dowód na to, że jestem na właściwym tropie.

Chika marszczy lekko brwi, wyprostowuje się na krześle i czyta:

— „W wyniku uchwalenia antygejowskich przepisów z wykorzystaniem archaicznej ustawy o wykroczeniach przeciwko obyczajności rząd Federalnej Republiki Nigerii faktycznie dał do ręki obywatelom broń, zwracając przeciwko sobie sąsiadów, rodziny i społeczności...”

— To sformułowanie: „dał do ręki broń” skłoniło mnie do rozmyślań o naszej rozmowie z zeszłego tygodnia. Pamiętasz, jak powiedziałem „przemoc zlecona”?

Chika krzywi się lekko, a następnie kiwa głową, przypomniawszy sobie, o czym mówiliśmy.

— Czytaj dalej.

Chika przewraca kilka stron i znajduje zakreślony fragment.

— „Czy Momoha Kadiriego przekazano policji za wykroczenie przeciwko obyczajności, czy był on ofiarą rywalizacji toczącej się na uniwersytecie między sektami, która jeszcze nie znalazła ujścia...” — Chika patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczami. — Myślisz, że Tamuno wiedział,

że Kevin należał do sekty?

— Nie wiem, ale jeśli przeczytasz wszystkie zakreślone fragmenty, przekonasz się, że Tamuno dużo wiedział. Folake nazywa to prekognicją.

— Jak się czuje twoja żona? Nie zejdzie na śniadanie?

— Gdyby Folake zobaczyła to wszystko, udławiłaby się — mówię, pokazując ręką na bufet. — Zdecydowanie nie lubi śniadań.

— Powiedziałeś jej to, co ci powiedziałem...

— Nie, nie. Poza tym nadal dochodziłem do siebie po tym, jak uraziłeś zeszłego wieczoru moje ego.

Uśmiecham się krzywo.

Chika wraca do artykułu.

— Trzeba przyznać, że Tamuno mówił, że dużo wie o tej sprawie, ale policja nie chciała go słuchać.

— Tak, ale przejdź do strony ósmej, do zakończenia.

Chika przerzuca kartki i zatrzymuje się na ostatniej stronie.

— „Bez wyraźnych procedur przedstawiania dowodów na działania homoseksualne antygejowskie przepisy stwarzają zagrożenie dla wszystkich obywateli. W sprawie Momoha Kadiriego policja nie kwestionowała źródła cynku, pochodzącego z telefonu na kartę, który nie był nawet zarejestrowany u operatora sieci”.

Chika podrywa głowę i patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczami. Na taką reakcję miałem nadzieję.

— Właśnie — mówię, kiwając głową. — Użył słów Omerejiego. A zatem moje pytanie brzmi: skoro Tamuno twierdził, że nie udało mu się skłonić policji do wysłuchania tego, co miał do powiedzenia na temat Trzech z Okriki, to jak uzyskał dostęp do informacji, sugerującej, że ma kontakty z przynajmniej jednym tamtejszym funkcjonariuszem policji, albo skąd wie coś, co wie tylko policja?

— Rozumiem, co masz na myśli. Chłopak wie o wiele więcej, niż nam powiedział.

— Odpowiadał na pytania, które zadawaliśmy. Skoro wiemy tyle więcej, ciekawie będzie porozmawiać z nim teraz. Wchodzisz w to?

Chika uśmiecha się do mnie szeroko.

— Pokrycie wszystkich kosztów pobytu w Tropicanie i szansa dotarcia do sedna tego wszystkiego? Jasne, że wchodzę.

TO SAMO, NIE TO SAMO

Wróciwszy do pokoju, wyjaśniam Folake, dlaczego muszę pojechać do Uniwersytetu Stanowego. Nie udało mi się jej przekonać, ale chyba emanowało ze mnie przeświadczenie o konieczności pośpiechu, bo każe mi obiecać, że będę działać spokojnie. Pytam ją, czy chce jechać ze mną, a ona stanowczo odmawia zbliżenia się do Okriki, z wyjątkiem przyjęcia zaproszenia ojca Mercy na nabożeństwo dziękczynne i lunch.

— I to dlatego, że jestem wdzięczna za to, co dla ciebie zrobił — mówi z naciskiem Folake.

Szczerze mówiąc, bardzo się z tego cieszę. Im mniej kontaktów z Okriki, tym lepiej dla nas wszystkich. Jakby na zawołanie rozlega się sygnał SMS-a. „Mam nadzieję, że czujesz się lepiej. Daj mi znać, kiedy będziemy mogli porozmawiać, chcę ci coś powiedzieć”.

Marszczę brwi.

— Kto to? — pyta Folake.

— Inspektor Omereji...

— Ten, którego ojciec został postrzelony? Znaleźli tego, kto strzelał?

Mam nadzieję, że nie. ale czego chce ode mnie inspektor?

— Nie wiem, kochanie, ale i tak jedziemy z Chiką do uniwersytetu, więc wpadnę na posterunek. Na pewno dasz sobie radę?

Folake układa się wygodnie na łóżku.

— Nic mi nie będzie.

Całuję ją i pędzę do Chiki, ale przedtem obiecuję, że skontaktuję się z Elechim Oparą i zapytam go o jego adres oraz o adres kościoła, gdzie odbędzie się nabożeństwo dziękczynne.

Kiedy docieramy z Chiką na uniwersytet, jedziemy prosto do Budynku Harcourta Whyte'a.

Wysiadamy pośpiesznie z samochodu i z równym pośpiechem wchodzimy po wielu schodach do pokoju 481, a ponieważ moja poranna dawka tramadolu wciąż działa, niemal dotrzymuję kroku Chice. Ale mimo wszystko...

— Zwolnij! — wołam.

— Przepraszam.

Chika zwalnia.

Jesteśmy już na trzecim piętrze i kiedy docieramy do pokoju 481, oddycham prawie normalnie.

Chika puka do drzwi. Cisza. Kolejne pukanie i drzwi otwiera szarpnięciem rozczochrany Tamuno.

— Czego?! — wyrzuca z siebie tak głośno, że cofamy się z Chiką o krok.

Zauważam, że nie ma okularów, ale spojrzenie ma ostre i czujne, nawet kiedy mruży oczy, nagle nas rozpoznał. Usiłuje przywołać na twarz minę podobną do tej, jaką widzieliśmy u niego podczas naszego pierwszego spotkania ponad tydzień wcześniej.

— Dzień dobry. Doktor Taiwo, prawda?

— Tak, i zapewne pamiętasz mojego kolegę Chikę.

Tamuno sprawia wrażenie zniecierpliwionego.

— Tak, tak. Czym mogę służyć?

— Mamy tylko parę pytań na te...

— Jestem zajęty — przerywa nieuprzejmie Tamuno.

Chika pochyla się lekko do przodu.

— Chcemy tylko wyjaśnić...

— Jestem zajęty. Gość... — Zerka do środka pokoju, po czym przenosi wzrok na nas ze znaczącym mrugnięciem. — Nie wchodźcie i nie psujcie mi imprezy. — Ścisza głos do konspiracyjnego szeptu. — Wróćcie kiedy indziej!

Tamuno stanowczo zamyka nam drzwi przed nosem.

Patrzymy na siebie z Chiką.

— Czy to ten sam gostek...? — pyta Chika, kręcąc ze zdumieniem głową.

Nawet intonacja Tamuna była inna. W porównaniu z naszą pierwszą wizytą, kiedy mówił odmierzonym głosem, sprawiając wrażenie osoby kształconej w prywatnych szkołach i mającej nienaganne maniery, dzisiaj brzmiał jak raper usiłujący znaleźć rym.

Zastanawiam się nad waleniem do drzwi, żeby zmusić Tamuna do ich otwarcia i nabrać pewności co do tego, czego właśnie doświadczyliśmy. Mam jednak mocne poczucie, że młodzieniec, którego przed chwilą widziałem, ma skłonności do agresji. Sądząc z tego, co wiem o Chice, taka agresja na pewno doprowadzi do przemocy, która przyniesie efekt przeciwny do zamierzonego. Muszę znaleźć inny sposób na rozmowę z Tamunem. I to szybko.

Wracamy do land cruisera i zastanawiamy się nad możliwościami postępowania. Jedną z nich jest wymuszenie kolejnej rozmowy za pośrednictwem dziekana wydziału prawa.

— Folake mówi, że o nim słyszała — oznajmiam, wsiadając do samochodu i uważając na moją

obandażowaną klatkę piersiową. — Nie możemy wciąż czekać na pisemne pozwolenie z biura Ikimego.

— To chyba prawda — zastanawia się Chika, włączając silnik. — Te dzieciaki zachowują się inaczej w obecności starszych, a inaczej, kiedy są same.

— O to chodzi, Chiko — mówię, odtwarzając w pamięci scenę sprzed pokoju 481. — Jesteśmy tymi samymi starszymi, którym okazywał szacunek podczas wcześniejszego spotkania. Co się zmieniło dzisiaj?

— Może się naćpał albo coś. Narkotyki dają taki efekt, prawda? Robią z człowieka jedną osobę w danej chwili, a w następnej kogoś innego?

Nie wiem, czy się z tym zgadzam, nawet jeśli w teorii to prawda. Pamiętam wyraz twarzy Tamuna. Bystry. Czujny. Chłopak nie sprawiał wrażenia naćpanego. Inne było jego zachowanie, postawa i aura.

Odwracam się do Chiki.

— Wiesz, że mam bliźniaki. — Chika kiwa głową, a ja mówię dalej. — Są jednojajowi...

— Identyczni.

Kiwam głową.

— Jak dwie krople wody. Ja jednak nigdy ich nie myliłem. Nawet jako niemowlęta mieli wyraźne, odmienne osobowości. Potrafię ich rozróżnić po sposobie chodzenia, gestach, a nawet stylu wysławiania się. Folake jest jeszcze lepsza ode mnie. Ona ich czuje. Nigdy ich nie pomyliła.

— Chcesz powiedzieć, że Tamuno może ma bliźniaka?

— Nie wiem, ale kiedy go poznaliśmy, naprawdę zrobił na mnie dobre wrażenie, więc się mu przyglądałem.

— I?

— Ten gostek w akademiku nie jest tym samym Tamunem, z którym się spotkaliśmy w Wiosce Studenckiej.

ŹRÓDŁO NIESZCZĘŚĆ

Gdybym poprosił Chikę, żeby towarzyszył mi podczas spotkania z inspektorem Omerejim, wykazałbym się brakiem taktu.

— To nie potrwa długo. Jestem po prostu ciekawy, co mi chce powiedzieć...

Chika kiwa głową. Sądząc po zaciętej minie, jakby spodziewał się najgorszego, i rozbieganym wzrokiem, czuje się w miasteczku wyraźnie źle.

— Może mógłbyś zadzwonić do sekretarki Ikimego w sprawie tego pozwolenia na rozmowę z profesorem Esohe. Jeśli to zajmie dłużej, mogę poprosić Folake, żeby z nim porozmawiała...

— Już — mówi Chika i wyjmuję telefon komórkowy.

Wchodzę do posterunku policji i, nie zwracając na nikogo uwagi, idę prosto do biura inspektora Omerejiego.

Jestem nieco zaskoczony, że nikt nie próbuje mnie zatrzymać, chociaż czuję na sobie pełne napięcia spojrzenia. Podejrzewam, że inspektor powiedział im o zaproszeniu.

Kiedy wchodzę do biura, jego zachowanie jest inne niż ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, nawet biorąc pod uwagę, że nadal wygląda na bardzo zmęczonego.

— Przyszedełś — mówi, wstając na powitanie. — Powiedziałem, że to nic pilnego.

— Wiem, ale byliśmy w okolicy.

Zastanawiam się, czy powiedzieć mu o naszym spotkaniu z Tamunem, ale odrzucam ten pomysł. To nie ma znaczenia. Na razie.

— W porządku.

Zaprasza mnie gestem, bym usiadł na krześle, ale ja się nie ruszam.

— Mike, twoja wiadomość. Czy ma ona coś wspólnego z tymi chłopcami, którzy zaatakowali Chikę i mnie?

— Nie bardzo. Ale ma wiele wspólnego z napięciem panującym w całym miasteczku.

Jestem zaciekawiony i trochę zdezorientowany.

— I chciałeś się ze mną zobaczyć?

— Rozmawiałem z moją kuzynką i wygooglałem cię. Zobaczyłem, jakie masz doświadczenie. Dość imponujące.

Podejrzewam, że to największa pochwała, jaką kiedykolwiek uzyskam od inspektora, lecz jeśli taki był powód jego prośby o spotkanie, to wezmę, co się da.

— A więc chciałbym cię zapytać o zdanie w sprawie tego, co tu mam, Philipie — mówi i przywołuje mnie gestem.

„Philipie”. To musi być coś poważnego. Szybko staję za nim i pochylam się w stronę ekranu jego laptopa.

Inspektor otwiera kilka plików, a ja od razu widzę, że to zrzuty ekranów z Twittera i Facebooka.

— Co to? — pytam, przeczytawszy z niedowierzaniem kilka postów.

Poziom jadu wylewanego w nich w imię religii napawa mnie obrzydzeniem.

— Jakies cztery, może sześć miesięcy temu, nikt nie wie kiedy dokładnie, media społecznościowe zaczęły zalewać wiadomości na temat Okriki. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Miasteczko było podmiotem takiej burzy już wcześniej, więc je zignorowaliśmy. Po kilku tygodniach stały się bardziej konkretne... — Omereji pokazuje na stronę Facebooka. — Ten gość, Alfurquran, jest muzułmaninem i najwyraźniej wzniera w mediach społecznościowych antychrześcijańską atmosferę.

— Przeciwno chrześcijanom konkretnie w Okriki?

— Tak. To nie jest ktoś przypadkowy gdzieś na świecie; on jest tutaj, wśród nas. I wygląda na to, że stworzył swój odpowiednik...

Inspektor Omereji klika i ekran wypełniają zrzuty ekranów innego użytkownika Twittera. Jeśli Alfurquran przywodzi na myśl ekstremistycznie nastawionych dżihadystów z całego świata, to @ZadnegoBogaProczJezusa zdobywa nagrodę za niepohamowaną nienawiść wspieraną konkretnymi cytatami z Biblii. I ma ogromną rzeszę obserwujących. Smuci mnie, że tacy fanatycy potrafią przyciągnąć tak wielu popleczników.

— Sądysz, że stąd bierze się to całe napięcie? — pytam Omerejiego.

Inspektor kiwa głową.

— Wiemy, że stąd się bierze. Spójrz na ten wpis chrześcijanina — nawołuje do spalenia jedyne meczetu w Okriki. Zobacz, ile dostał lajków...

Pochylam się bliżej ekranu.

— Siedem tysięcy dwieście trzy. No, no. Co zamierzasz z tym zrobić?

— Sprawa wygląda tak. Udało mi się użyć moich kontaktów w Interpolu i policyjnej jednostce do spraw cyberprzestępczości... — Omereji chyba zauważył moją minę. — Owszem, panie doktorze, nigeryjska policja ma jednostkę do spraw cyberprzestępczości.

Unoszę ręce i mówię najlepszym amerykańskim akcentem, na jaki mnie stać:

— Nic nie mówiłem.

Inspektor odwraca się z powrotem do laptopa.

— Próbowaliśmy znaleźć adresy IP komputerów, z których pochodzą te wiadomości.

Znowu klika i po ekranie przewijają się w dół rząd adresów IP.

— Dużo ich. — Przyglądam się bliżej ekranowi i na widok rozmaitych adresów marszczę brwi.

— To oznacza, że nie jest to jedna osoba...

— Albo nie jest to jeden komputer. Ale wszystkie mają jedną rzecz wspólną. Wszystkie te adresy pochodzą z kafejek internetowych na terenie Uniwersytetu Stanowego.

Jestem zaskoczony.

— Uniwersytetu Stanowego? Jesteś pewien?

— Tak. I zanim pomyślisz, że to garstka psotnych dzieciaków, spójrz tutaj.

Pokazuje na najnowszy zestaw adresów IP z niedawnymi datami.

— Zauważasz coś?

— Wszystkie są takie same.

— Właśnie. Po pierwsze, wygląda na to, że teraz wszystkie wiadomości pochodzą z jednego adresu IP. Po drugie...

Kończę za niego.

— Alfurquran i chrześcijanin używają tego samego komputera i/lub adresu IP. — Spoglądam na inspektora. — Dlaczego mi to mówisz?

— Bo rozumiesz ludzką naturę. I masz oczy osoby z zewnątrz. Czy to, co się stało z tymi trzema chłopcami, było dla ciebie normalne?

— Ale się stało, Mike — mówię łagodnym tonem. — Możesz tego żałować, bo kochasz swoich pobratymców, ale to się stało.

— Ale dlaczego? — W jego głosie brzmi ból, więc mu nie przerywam. — Czy wtedy ludzie nie byli pionkami, jak robi z nich teraz pionki ten Alfurquran i/lub chrześcijanin?

Zastanawiam się nad tym chwilę i możliwe, że na mojej twarzy pojawia się cień wątpliwości, bo inspektor Omereji mówi dalej.

— Posłuchaj, wiem, że to brzmi wariacko, ale ja już coś takiego widziałem. Parę lat temu w Jos doszło do kilku gwałtownych starć między grupami religijnymi. Znasz to miejsce?

Kiwam głową.

— Tam w środkowym pasie. To zwykle spokojne miasto, w którym przez wiele lat muzułmanie i chrześcijanie żyli w harmonii. Wybuch przemocy był tak gwałtowny, tak zaskakujący, że nikt nie umiał go wyjaśnić. Policja wyznaczyła dodatkowych ludzi do wykrycia jej źródła. Zaczęło się tak jak to. Posty w mediach społecznościowych podlegające do nietolerancji. Należałem do tego zespołu śledczego. Przez wiele miesięcy usiłowaliśmy odkryć, skąd pochodzą te posty i masowo wysyłane wiadomości. W końcu dokonaliśmy przełomu z pomocą Interpolu. Wiesz, skąd pochodziły?

Kręcę głową.

— Z mieszkania w Brixton, aż z Londynu.

— Ale dlaczego?

— Nikt nie wie. — Inspektor wzrusza ramionami. — Kiedy angielska policja wtargnęła do mieszkania, zobaczyła wszystkie te komputery, ale nie znalazła nikogo. Nadal szuka. Chodzi o to, że jakaś osoba albo osoby manipulowały ludźmi, posługiwały się nimi.

Kiwam głową. Hipertargetowanie. Wykorzystywanie danych do manipulowania opinią publiczną i publicznym postrzeganiem. Stosuje się je w reklamach, a za jego pomocą zmieniano nawet wyniki wyborów. Potrafię uwierzyć, że robi to grupa ludzi w Europie i Stanach Zjednoczonych, ale to wymaga wiedzy i mnóstwa środków. Usiłuję wyjaśnić to inspektorowi.

— Do tego, co się wydarzyło w Jos, doszło kilka lat temu, Philipie. Dzisiaj więcej ludzi ma smartfony niż kiedykolwiek wcześniej, a do stworzenia takich wiadomości nie trzeba mieć aż tak wielu danych. Zwłaszcza jeśli chodzi o religię w takim małym miasteczku jak nasze.

Od rozpoczęcia mojego śledztwa pracowałem według założenia, że do tragedii Trzech z Okriki przyczyniły się wspólnie zdeorganizowany system społeczno-polityczny, środowisko i kultura

chaosu. Chciałem wierzyć, że niepowodzenia rozmaitych krajowych systemów zmusiły ludzi do polegania na samych sobie, do tworzenia rozwiązań, które z zasady nie są trwałe, ale służą zaspokajaniu bezpośrednich potrzeb. Brak wody? Wykop sobie studnię. Brak prądu? Zdobądź generator. Brak bezpieczeństwa? Powołaj samozwańczych stróżów prawa.

To było łatwiej zrozumieć, ponieważ miało sens. Mieszkańcy Okriki zabili trzech młodzieńców, ponieważ okradano ich już wcześniej. Ponieważ przeraziły ich odgłosy strzałów. Ponieważ, ponieważ...

Lecz to, co sugeruje teraz Omereji, jeszcze bardziej mrozi krew w żyłach. Że jakiś twórca zagrożenia wykorzystuje chaos i wciekłość panujące wśród ludzi do wzbudzania niepokojów.

„Przemoc zlecona”.

— To jeszcze nie wszystko.

Podnoszę wzrok znad ekranu komputera na Mike’a Omerejiego.

— Jest tego więcej?

— Ten adres IP... — inspektor pokazuje na ekran — został zlokalizowany w Budynku Harcourta Whyte’a.

ZNIKNIĘCIE BRONI

Po powrocie do hotelu zastaję Folake w dobrym humorze. Pokazuje mi torbę prezentów, które kupiła dla Elechiego Opary i jego rodziny w supermarkecie nieopodal hotelu. Mówię jej, że nie powinna była tego robić, ale moja żona upiera się, że chociaż tyle możemy zrobić dla kogoś, kto uratował mi życie. Odpuszczam, nie chcąc wyjaśniać moich obaw związanych z prośbą, żebym dokonał psychologicznej oceny Mercy. Lepiej, żebyśmy traktowali to jak wizytę towarzyską. Mniejsza presja.

Wymieniamy się ciekawostkami dnia; główną spośród moich są moje wrażenia związane z Tamunem.

— Sądziś, że to narkotyki?

Kręcę głową.

— Nie. Był zbyt czujny, zbyt obecny. Nie miał rozszerzonych źrenic, mówił rozsądnie, przynajmniej potem, jak nas rozpoznał.

Kiedy głośno zastanawiam się nad tym, czy młodzieniec może mieć zaburzenia dysocjacyjne, a może nawet rozdwojenie jaźni, Folake robi sceptyczną minę.

— I nie mów, że to psychobekot — rzucam, usiłując się z nią podroczyć, ale mi się to nie udaje.

Folake patrzy na mnie z żalem.

— Przeprosiłam.

Uwielbiam, kiedy moja zadziorna żona przyznaje się do błędu. Zdarza się to bardzo rzadko, więc kiedy już do tego dochodzi, wyciskam z tego wszystko, co się da.

— Nie, nie przeprosiłaś.

— Przeprosiłam!

Jest uparta i przez chwilę tak się przierzucamy, drocząc się, godząc i odkrywając się na nowo. A potem dzwoniemy do dzieci.

Lara natychmiast zaczyna narzekać na swój laptop, że jest bardziej niż starożytny, mimo że nie ma jeszcze roku.

— Ten laptop działa wybiórczo, mam — mówi.

— Co to znaczy? — pyta Folake, przewracając oczami.

— Sam wybiera, kiedy i gdzie pasuje mu połączenie z internetem.

Wtrącam się szybko, bo wiem, dokąd to zmierza.

— Laro, nie dostaniesz nowego...

Właśnie wtedy rozlega się pukanie do drzwi. Folake rozmawia z Larą, a ja idę otworzyć.

Chika ma zagadkową minę.

— Możemy porozmawiać na osobności?

— Co się stało?

Pokazuje ruchem głowy na Folake, która nadal rozmawia z Larą w trybie głośnomówiącym. Kiwam głową, odwracam się do pokoju, żeby powiedzieć Folake, że zaraz wracam, zamykam drzwi i idę za Chiką do jego pokoju.

Chika odwraca się do mnie i mówi jednym tchem:

— Nie chcę, żebyś wpadł w panikę, ale on zniknął, Philipie. Ktoś wszedł do mojego pokoju i go zabrał...

— Co zabrał?

— Karabin!

— Miałeś go ze sobą cały czas? Tutaj? W tym pokoju?

— Nie mogłem go zostawić w land cruiserze, bo policja mogłaby przeszukać samochód. Planowałem zwrócić go Emece, kiedy przyjdzie, żeby powiedzieć nam, co mamy robić dalej, ale się nie pojawił...

— Może obsługa hotelowa...

Milknę nieprzekonująco.

Chika kręci głową.

— Zszedłem na dół i pytałem. Był tu kierowca Emeki.

— Jak?

— Nie wiem! — Macha kartą magnetyczną do otwierania drzwi. — Nietrudno sklonować coś takiego.

Ktoś mógł także oznajmić, że zgubił swoją kartę i poprosić o jeszcze jedną. Wyobrażam sobie, że gdyby coś takiego zrobiła osoba o pozycji Emeki, nikt nie kwestionowałby jej prawa do nowej karty. Cholera, ten człowiek mógł zarezerwować cały apartament, żeby tylko dostać kartę.

— No dobra. Emeka zabrał swoją broń. — Usiłuję zachować spokój ze względu na Chikę. — To oznacza, że dotarło do niego, że nikogo nie zabijesz...

Chika przerywa mi pewnym siebie głosem.

— Philipie, on jej użyje.

Chika podchodzi do biurka i bierze do ręki znajomą kartkę papieru. Cele.

— Wszystkie osoby z tej listy zostały poddane starannej obserwacji, ustalono ich zwyczaje, gdzie przebywają o danej porze dnia. Na przykład przywódca co wieczór między dziewiątą a dziesiątą chodzi na spacer, chyba że ma spotkanie ze starszyzną. Tak jest we wtorki od szesnastej do dwudziestej pierwszej. Pije jednego małego guinnessa...

— A Salome? — przerywam nieco drżącym głosem.

Chika patrzy na mnie spokojnie.

— W ostatnią środę miesiąca chodzi o dwudziestą trzydzieści na comiesięczne spotkanie izby adwokackiej.

— Dzisiaj jest... O Boże!

— Jest sekretarzem izby adwokackiej. Jeśli nie podróżuje, musi być na tym spotkaniu — mówi jednym tchem Chika. — To spotkanie odbywa się tylko raz w miesiącu, Philipie. Jeśli snajper dzisiaj spudłuje, to następna okazja w tym miejscu nadarzy się dopiero za miesiąc.

Patrzę na zegarek. Dziewiętnasta osiemnaście.

— Musimy się śpieszyć — mówię, a Chika chwyta kluczyki do land cruisera.

POŚPIECH

Chika jedzie bardzo szybko.

— Wiesz, gdzie będą? — pytam, wysławszy Folake celowo niejasny SMS, że jedziemy z Chiką za tropem.

— Kiedy przygotowywałem się do tego strzału, przyjrzałem się terenowi wokół Sekretariatu Nigeryjskiej Izby Adwokackiej i wybrałem dwa budynki, z których mógłbym strzelać — mówi Chika, nie odrywając spojrzenia od drogi. — Zobaczysz, kiedy tam dojedziemy.

„Jak zobaczę?”, mam ochotę zapytać. Bo jest przerwa w dostawie prądu i bez lamp ulicznych trudno cokolwiek dostrzec. Sprawdzam godzinę: dziewiętnasta pięćdziesiąt dziewięć. Zaczynają mi pulsować boki i uświadamiam sobie, że nie przyjąłem wieczornej dawki środków przeciwbólowych i antybiotyków.

— Jesteśmy blisko?

— Tak. — Chika zwalnia i wytycza wzrok w ciemności. — Myślę, że powinniśmy zaparkować i dalej iść piechotą.

— Dlaczego?

— Bo jeśli Emeka znajduje się w jednym z wybranych przeze mnie budynków, to może zobaczyć, jak nadjeżdżamy.

Aha. Słusznie.

Chika parkuje, po czym pędzimy w stronę sekretariatu.

— Widzisz, to tam... — Chika pokazuje ręką i mimo ciemności widzę, że sekretariat znajduje się niemal przed Komisją Służby Sądowej, gdzie toczy się rozprawa w sprawie Trzech z Okriki. Wewnątrz panuje ożywiony ruch. Budynek stoi w dzielnicy biznesowej, lecz dzisiejszego wieczoru wyróżnia się jako jedyny budynek, w którym jest prąd.

Dwudziesta trzy.

Rozglądam się.

— Które budynki wybrałeś?

— Albo ten... — Chika pokazuje na okołodziesięciopiętrowy budynek z podświetlanymi szyldami na ścianach, świadczącymi o tym, że mieszczą się w nim głównie firmy prawnicze i księgowo. Stoi dokładnie naprzeciwko sekretariatu. Jednak nie licząc szyldów, które muszą działać na akumulatory, cały jest ciemny. Nawet wejścia pilnuje ochroniarz czytający pomietą gazetę przy świetle latarki w telefonie komórkowym. — Albo ten... — mówi pewnym siebie tonem Chika, patrząc w górę. — Emeka mógłby go obejrzyć, ponieważ jego bank ma tu biura.

— Ale nie widzę żadnego światła...

Usiłuję dostrzec przez okna jakikolwiek ruch.

— Karabin ma noktowizor. Chodź, chyba wiem, gdzie będzie...

Chika wbiega do budynku, ale ból nie pozwala mi dotrzymać mu kroku. Zbliżam się do niego w chwili, kiedy pada na nas światło latarki.

— Gdzie, wy dokąd? — rozlega się grzmiący głos.

Chika uśmiecha się, jakby nie oslepiło go światło. Macha kluczykami do land cruisera i swoją hotelową kartą magnetyczną.

— Pracuję tu, bracie mój. Zapomniałem czegoś...

— Masz dokument? — wyrzuca z siebie ochroniarz.

— Mam klucz... Jak tu nie pracuję, to mam klucz?

Chwila milczenia.

— A twój kolega? — pyta ochroniarz podejrzliwym głosem.

— Nie chcę, żeby był w samochód. My tu niedługo — odpowiada gładko Chika.
Chwilę czekamy; światło zalewające nam twarze zapewne upodabnia nas do klaunów z zastygniętymi fałszywymi uśmiechami.

— Ostrożnie — mówi ochroniarz i macha latarką, żebyśmy weszli do środka.

— Musimy iść po schodach — szepcze Chika.

Sprawdzam godzinę w telefonie: dwudziesta dwadzieścia jeden. Musimy się śpieszyć.

Idę za Chiką, oświetlając drogę latarką w telefonie. Kiedy po jakimś milionie bolesnych kroków docieramy do piętra, na którym według Chiki powinien być Emeka, telefon gaśnie.

— Cholera — klnie Chika w ciemności.

Wyciągam telefon, włączam latarkę... Dwudziesta dwadzieścia osiem. Stoimy przed drzwiami z tabliczką „Sala zebrania”...

— Nie celuje ze swojego banku? — pytam nagłym szeptem.

— Zły kąt — wyjaśnia także szeptem Chika. — To jest wspólna sala dla wszystkich najemców w budynku i jej okna wychodzą na sekretariat.

Wchodzimy do środka. To duże, pogrążone w całkowitej ciemności pomieszczenie.

— Zawołaj go — szepcze Chika.

— Emeko! — krzyczę.

— Kto to?

Idę w stronę głosu. Chika robi gest dłonią. Wydaje mi się, że chce mi w ten sposób przekazać, że nie chce, żeby Emeka wiedział o jego obecności.

— To ja. Philip.

Nasze głosy dobrze się niosą.

— Philip!

Na moją twarz pada światło latarki. Kieruję telefon w stronę Emeki, który mruży oczy.

— Co robisz, Emeko?

— Jeśli tu jesteś, to bardzo dobrze wiesz, co robię.

— Proszę cię, posłuchaj mnie. Znacznie posunęliśmy się do przodu. Dużo wiemy o tym, jak zginął Kevin.

Światło latarki na chwilę ześlizguje się z mojej twarzy. Kątem oka widzę Chikę przykucniętego pod prawą ścianą ogromnego pomieszczenia.

— Ja wiem, jak on zginął! — mówi Emeka głosem chrapliwym z bólu.

— A wiedziałeś, że Kevin prowadził kampanię na rzecz znajomego, który umarł w policyjnym areszcie? Wiedziałeś, że odkrył, iż tego znajomego ktoś mógł zrobić? Wiedziałeś o tym?

— A jakie to ma znaczenie? — pyta Emeka głosem pełnym goryczy i bólu.

— *Oga*, ta kobieta wyszła.

Głos kierowcy Emeki dochodzi mniej więcej ze środka sali, gdzieś za jego szefem.

Przesuwam światło z twarzy Emeki nieco za niego, żeby oświetlić kierowcę i może pomóc Chice lepiej go zobaczyć. Nie wiem, czy mi się to udaje, bo ledwie rozróżniam w mroku jakąś postać. Najwyraźniej Emeka przyszedł przygotowany, bo jego kierowca musi być ubrany w takie samo ciemne ubranie jak on.

— Każesz swojemu kierowcy pociągnąć za spust?

Celowo zabarwiam moje słowa drwiną. Gdzie jest Chika? Czy domyślił się, gdzie jest kierowca, a więc i karabin? Jeśli tak, to na co czeka?

— Sam mogę za niego pociągnąć.

Agresywny ton Emeki świadczy o tym, że moja prowokacja się udała.

— *Oga* — szepcze nagłym głosem kierowca. — Ona ta schodzi stopniami.

— Zastrzel ją — rozkazuje ostro Emeka.

— Ty pociągnij za spust, Emeko — ja też szepczę nagle. — Jeśli uważasz, że Salome Briggs powinna umrzeć, to sam za niego pociągnij. To nie syn twojego kierowcy umarł. Umarł twój syn.
— Zastrzel ją!

Odgłos strzału przypomina gwizd; w tej samej chwili widzę, że w kierowcę uderza jakieś ciało. Przebiegam obok Emeki, przewracając go po drodze do okna. W dole przy sekretariacie Izby Adwokackiej panuje zamieszanie, słychać zaniepokojone głosy. Widzę ludzi pokazujących w górę, tam, gdzie jesteśmy.

Odwracam się do trzech mężczyzn na podłodze.

— Biegiem!

ODPUŚCIĆ

Właściwie wlokę Emekę w dół po schodach aż do wejścia do oddziału Banku Narodowego. Już słyszymy dobiegające z dołu głosy ludzi domagających się wpuszczenia do budynku. Kierowca Emeki ma klucze, którymi pośpiesznie otwiera drzwi oddziału. Wchodzimy w chwili, kiedy mijają nas kroki i głosy zmierzające wyżej, do sali zebrań, skąd padł strzał.

Wszyscy czterej oddechamy ciężko i staramy się zachować ciszę. Nadal jest ciemno, ale rozróżniamy nawzajem swoje twarze.

— Czemu to trwało tak długo? — szepczę do Chiki.

— Nic nie widziałem po ciemku! — odpowiada Chika takim samym pełnym napięcia szeptem.

— Żeby mieć pewność, gdzie się znajduje, musiałem kierować się jego głosem.

Kierowca oddycha chrapliwie. Jest wstrząśnięty.

— Wszyscy muszą zginąć — mamrocze Emeka.

Podpełzam do niego. Potężny mężczyzna, załamany utratą dziecka. Przeraza mnie wiele rzeczy w świecie, ale nic nie paraliżuje mnie tak, jak strach przed stratą któregoś z moich dzieci.

— Emeko...

— Dlaczego mnie powstrzymałeś? — syczy Emeka.

— Zamierzałeś zmienić swojego kierowcę w zabójcę.

— Sam pociągnąłbym za spust!

— I stałbyś się taki sam jak ludzie, którzy odebrali ci syna.

Widzę sylwetkę Chiki przy dystrybutorze wody w rogu. Przynosi Emece plastikowy kubeczek. Ten macha ręką jak rozłożone dziecko i kubeczek wraz z zawartością ląduje na podłodze.

— Nie zasługują na to, by żyć! Żaden z nich! Zwierzęta!

— Przyglądałem się temu miasteczku. Tam nie ma spokoju, Emeko. Uwierz mi, jego mieszkańcy płacą za to, co zrobili Kevinowi i tamtym chłopcom. Ale gdyby tobie się dzisiaj udało i gdyby Chika zabił przywódcę, to jak żyłbyś z samym sobą?

— Ja nie chcę żyć — odpowiada Emeka bezbarwnym tonem. — Ja chcę odzyskać syna.

Jest odpowiednia pora, by pocieszać kogoś pogrążonego w żałobie. Jest także odpowiednia pora, by nic nie mówić i pozwolić takiemu komuś wyrażać swój ból. Ten wieczór nie jest żadną z nich.

— Kevin nie wróci, Emeko — mówię cicho.

Emeka kręci głową, nie chcąc przyjąć moich słów do wiadomości.

— Chcę mojego syna. Chcę przytulić mojego syna.

— Kevin odszedł. I zawsze będziesz chciał go przytulić, i codziennie, co sekundę będziesz za nim tęsknił, lecz jedynym sposobem, w jaki możesz uczcić swoją miłość do niego, jest miłość. Tylko miłość.

— Był takim dobrym chłopcem — mówi Emeka łamiącym się głosem.

— Wychował go dobry ojciec — mówię cicho.

I tam, w ciemności, na podłodze jednego z oddziałów trzeciego co do wielkości banku w Nigerii trzęsący się Emeka Nwamadi pozwala mi się objąć i przyciągnąć do siebie. Kręci głową z boku na bok, nie chcąc przyjąć tego, czemu nie da się zaprzeczyć. Jedną rękę położyłem mu na ramieniu, a drugą delikatnie obracam jego twarz do siebie. Patrząc na mnie wielkimi oczami o zagubionym spojrzeniu, wciąż kręci głową.

— On odszedł — mówię łagodnie, powoli kiwając głową.

Wpatruję się w Emekę. I stopniowo kręcenie jego głowy staje się odbiciem mojego kiwania.

— Odszedł — mówi Emeka, jakby właśnie odkrył jakiś bolesny sekret.

Kiwam głową. On też. I wtedy wiotczeje, padając mi w ramiona. Mężczyzna, który był silny o wiele dłużej, niż powinien.

Trzymam go tak jakiś czas, oplakując w duchu młodzieńca, którego nie znałem.

Kiedy razem z Chiką zostawiamy nieco spokojniejszego Emekę w domu gościnnym Banku Narodowego, gdzie, jak podejrzewam, mieszkał od chwili mojego przylotu do PH, jest prawie wpół do dwunastej. Biorąc pod uwagę jego stan emocjonalny, nie było nam łatwo wyjść, ale mam pewność, że przynajmniej na razie jego mściwa wściekłość przygasła. Obecność wstrząśniętego kierowcy wywarła chyba na Emekę efekt trzeźwiący. Wsiadając do land cruisera, jesteśmy z Chiką stosunkowo pewni, że tamci dwaj dobrze się czują. Na razie.

Przez bramę Tropicany przejeżdżamy w milczeniu. Z jakiegoś powodu dopiero teraz czuję ból żeber. Siła adrenaliny. Pocieram bandażę przez koszulę. Wszystko wydaje się nietknięte, ale odczuwam, że mam stan zapalny. Potrzebuję leków przeciwbólowych.

Czekając na windę w cichym holu, Chika patrzy na mnie i odzywa się pierwszy raz od ruszenia spod domu z pokojami gościnnymi Banku Narodowego.

— Dziękuję, że nie powiedziałeś mi o Kevinie... No wiesz, że należał do sekty.

— Co by to dało dobrego? — Wypuszczam powietrze z płuc. — Co by dodało do wiedzy Emeki? Poza tym teraz mamy dość dużą pewność, że powodem jego zabójstwa nie jest przynależność do sekty.

— Ale i tak ci dziękuję. Emeka nie uwierzyłby, że o tym nie wiedziałem.

— Nie, to ja dziękuję tobie, że mi zaufałeś. Że mi powiedziałeś.

Chika kiwa głową. Przyjeżdża winda, wsiadamy do niej w milczeniu. Kiedy drzwi otwierają się na naszym piętrze, wychodzimy i życzymy sobie nawzajem dobrej nocy.

— Philipie? — woła Chika, kiedy zatrzymuję się pod moimi drzwiami.

Odwracam się do niego.

— To jeszcze nie koniec, prawda?

Przez chwilę wytrzymuję jego spojrzenie.

— Nie. Nadal mamy do wykonania pewną pracę.

Chika kiwa głową.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

Kiedy wchodzę do pokoju, Folake siedzi na łóżku, czekając na mnie.

— Po prostu zniknąłeś — mówi.

— Mieliliśmy sytuację awaryjną. Wysłałem ci SMS.

— Widziałam go i próbowałam dzwonić...

Używanie telefonu komórkowego jako latarki przez tak długi czas wyczerpało baterię, ale jeśli to powiem, to będę musiał powiedzieć, dlaczego to robiłem i co się stało. I kogo ratowałem przed zemstą Emeki. Milczę.

Folake patrzy na mnie chłodnym wzrokiem.

— Czy ta sytuacja awaryjna ma coś wspólnego z tą kobietą? Z tą kobietą ze szpitala. Salome?

Nadal milczę.

— Zadzwoiła do pokoju. Powiedziała, że zobaczyła nieodebrane połączenie od ciebie i chciała się dowiedzieć, czy nic ci nie jest.

— Jest bardzo uprzejma.

— Tylko tyle zamierzasz powiedzieć? „Jest bardzo uprzejma”?

Patrzemy na siebie jak dwoje ludzi, którzy boją się zacząć rozmowę ze strachu, jak się ona rozwinie.

— Nic się nie stało, Folake.

— Dzisiaj czy wcześniej?

— Dzisiaj i wcześniej.

— Chciałeś, żeby coś się stało?

Podchodzę do mojej strony łóżka i sięgam po lekarstwa.

— Nie odpowiesz na moje pytanie?

Patrzę prosto na nią.

— Bo nie ma nic do powiedzenia. Jesteśmy przyjaciółmi. To wszystko.

Przez pełną napięcia chwilę boję się, że Folake będzie nalegać.

— Chyba się wykapię — oznajmia beznamiętnym tonem.

Idzie do łazienki i zamyka za sobą drzwi ze stanowczością, która nie pozwala mi pójść za nią.

ŚWIATŁO I CIEMNOŚĆ

Nie ujdzie ci to płazem.

John Paul podrywa głowę znad laptopa. Rozgląda się dzikim wzrokiem. Kiedy spostrzega, że w rzeczywistości jest sam, uśmiecha się. Kręci nieznacznie głową i parska śmiechem.

„Zabiłeś ją!” — krzyczę spośród cieni.

Odwraca się z powrotem do laptopa i mówi pod nosem, jakby zwracał się do dziecka, które nie może usiedzieć w miejscu.

— Mówiła o zgłoszeniu się na policję. Nie możemy do tego dopuścić.

Nie musiałeś jej zabijać.

Nie podnosi wzroku znad laptopa.

— I tak była już martwa. Czwarte stadium raka. Zrobiłem jej przysługę. A teraz plan musi się toczyć dalej.

Teraz pisze szaleńczo na klawiaturze; jej klekot rozlega się głośno w małym pokoju.

Nie chcę już tego robić.

Słyszę samego siebie i jestem pewien, że w moim głosie brzmi rozdrażnienie. A nawet słabość.

Lecz jestem przerażony. Zbyt dużo dzieje się zbyt szybko. Zbyt wiele niewiadomych. Zbyt wiele padających pytań. Wiem także, że od chwili, kiedy John Paul przykrył głowę mamy tą poduszką, zacząłem bardziej się bać jego niż ryzyka, że Ostateczny Plan się nie powiedzie.

Możemy go przerwać, mówię na wszelki wypadek, gdyby nie usłyszał mnie spośród cieni.

John Paul przestaje pisać i rozgląda się, szukając mnie dziko rozbieganym wzrokiem.

— Nie mówisz poważnie.

Zabiłeś mamę.

W moim oskarżeniu chyba słychać mój ból i gniew, bo John Paul wstaje i podnosi głos tak bardzo, że jestem pewien, iż słychać go po drugiej stronie korytarza.

— Dla ciebie! Dla nas! — Oczy Johna Paula się uspokajają i wygląda to prawie tak, jakby widział mnie stojącego przed nim. Obniża głos. — Była słaba. Tak jak ty. Musiała odejść.

Nie miała wyboru.

John Paul zaciska dłoń w pięść; wiem, że gdybym naprawdę stał przed nim, uderzyłby mnie. Wybuchą ostrym śmiechem, szydząc ze mnie i zarazem mnie prowokując.

— Każdy ma wybór — mówi beznamiętnym tonem i nagle jego twarz wykrzywia gniew, jakiego nigdy nie widziałem. — Ty niewdzięczniku! Uratowałem cię przed tym potworem. Umierałeś, zbyt słaby, by walczyć, dopóki nie przyszedłem ci z pomocą. Gdzie wtedy była twoja kochana matka?

John Paul wydaje długi syk i wraca do laptopa. Znowu zaczyna pisać.

Nie chcę, żeby umarło więcej ludzi.

— Wszyscy umierają — mówi John Paul do ekranu.

MERCY, MERCY

Chika udaje, że nie zauważa chłodu, jaki panuje między Folake i mną. Kiedy zmierzając do domu Oparów, wjeżdżamy do Okriki, pokazuje Folake ciekawe miejsca, a ona podkręca swój entuzjazm, by uniknąć rozmawiania ze mną.

Powiedzieć, że jestem skonsternowany, to nic nie powiedzieć. Kobiety są dziwne. Oto ja jestem gotów wybaczyć i zapomnieć, chociaż podejrzewałem, że mnie oszukiwała, a ona upiera się karać mnie za zbrodnię, o której popełnieniu jedynie myślałem.

Dzwoni mój telefon.

— Cześć, Philipie. Chciałem ci tylko podać nową informację. Ten adres IP — mówi inspektor Omereji.

— Tak! — wołam, przerywając tym rozmowę Chice i Folake. Ściszam głos. — Co się stało?

— Zwiększa się aktywność z Budynku Harcourta Whyte'a, wiadomości przychodzą niemal co pół godziny...

— Od nich obu? Alfurqurana i chrześcijanina?

— Tak. I robią się coraz gorsze. W niektórych wypadkach bardziej osobiste. Jakaś godzinę temu Alfurquran wysłał wiadomość, w której twierdzi, że wie, kto rozpala nienawiść w Okriki, i że za kilka godzin wyśle na to dowód. Prosi wszystkich swoich muzułmańskich braci, by byli w gotowości...

— To nie może być nic dobrego.

Wyczuwam, że Chika i Folake pilnie się przysłuchują moim wypowiedziom.

— Nie jest. Poprosiliśmy lokalny rząd o wsparcie naszego apelu o wprowadzenie godziny policyjnej, ale nam odmówił, ponieważ twierdzi, że nie ma niebezpieczeństwa. Ojciec nie czuje się na tyle dobrze, by zwołać zebranie Rady Przywódców.

— Co teraz zrobisz?

— Złożyłem pilny wniosek do Uniwersytetu Stanowego o zezwolenie na wejście na kampus z moim zespołem i rozejrzałem się, ale sekretarz tylko mówi, że skontaktuje się ze mną w ciągu godziny. To było trzy godziny temu.

— Ja też jestem w okolicy. Mogę później wpaść na posterunek.

— Dobrze. Wymieńmy uwagi. Będę cię informować na bieżąco.

Wtedy po drugiej stronie zapada cisza, a ja po prostu wiem, że padnie pytanie. Mam gotową odpowiedź.

— Philipie, wczoraj coś się stało. Salome, a właściwie nie jej bezpośrednio, ale...

— Dobrze się czuje? — przerywam mu.

— Tak. Tak. Ale chcę wiedzieć. Czy wczoraj byłeś cały czas ze swoim przyjacielem Chiką?

Moje „tak” brzmi prawdziwie i stanowczo. Kiedy się rozłączam, w samochodzie panuje niezręczna cisza.

— O co chodziło? — pyta Folake, zaciekawiona mimo irytacji na mnie.

Ukrywam pełen ulgi uśmiech i szybko dzielę się najważniejszymi szczegółami wypowiedzi inspektora.

— Myślisz, że to wszystko ma związek z Trzema z Okriki? — pyta Folake z tylnego siedzenia.

— Nie wiem — odpowiadam szczerze. — Nie wszystko pasuje, ale coś w tym jest.

Znajdujemy się już w okolicy, w której według GPS-u mieszka Elechi Opara. To dość elegancka dzielnica, zamieszkała przez miejscowych parających się nieco bardziej urzędniczymi zajęciami niż pozostali mieszkańcy miasteczka. Dzwonię do Opary; niemal natychmiast odbiera i potwierdza, że znajdujemy się na właściwej ulicy i że będzie stał przed domem, żebyśmy go nie przeoczyli.

Zaraz po wejściu do domu Opary zostajemy przedstawieni jego trzem córkom, w tym Mercy, która wygląda o wiele lepiej, niż kiedy widziałem ją w szpitalu. Jak mówi Elechi, jest już w domu niemal tydzień i na razie nie ma żadnych oznak ewentualnego załamania.

— Przesypia całe noce. Nie ma koszmarów ani nie płacze — mówi, kiedy dziewczęta idą powiedzieć mamie, że przyjechaliśmy.

Pojawia się Amaka, żona Elechiego, która szybko stwarza przyjazną atmosferę szerokim uśmiechem, prosi, żebyśmy usiedli, i proponuje nam drinki.

— Zjemy po nabożeństwie, ale przygotowaliśmy coś do przegryzienia, żeby nie iść tam z pustym żołądkiem — mówi Amaka, zadbawszy o naszą wygodę.

Mówimy, że wolelibyśmy poczekać do powrotu z nabożeństwa, i przekazujemy prezenty. Chika siedzi z Folake, a Amaka nadal poświęca im wiele uwagi, namawiając ich, by coś zjedli.

Odciągam Elechiego na bok, żeby porozmawiać o Mercy. Chociaż nie jestem jeszcze gotów wydać opinii na temat stanu jej zdrowia psychicznego, chcę mieć pewność, że Elechi jest świadom niebezpieczeństwa, jakie może stanowić dla niej znalezienie się w dużym tłumie.

— Ma pan rację. — Elechi kiwa głową z uznaniem. — Omawialiśmy to dziękczynienie z jej lekarzem, który mówi, że o ile będzie przyjmować leki, nic się jej nie stanie. Kilka dni temu poprosił, żebyśmy zrobili swego rodzaju próbę. Zawiozłem Mercy i jej siostry na targ; sprawiała wrażenie, że wszystko jest w porządku. Powiedziałem o tym lekarzowi.

Ta informacja mnie cieszy. Możliwe, że w towarzystwie rodziny Mercy potrafi poradzić sobie z przebywaniem na otwartej przestrzeni z innymi ludźmi. To się zgadza z reakcjami osób, które doświadczyły urazu w przestrzeni publicznej albo z rąk obcych, jak było w wypadku Mercy, która widziała śmierć swojego chłopaka.

Omawiam leki, które przyjmuje, i dzielę się niepokojem w związku z wysoką dawką klonazepamu przepisanego na dolegliwość, przy której moim zdaniem lepiej byłoby zastosować psychoterapię i doradztwo. Podaję Elechiemu nazwisko znajomego psychiatry pracującego na uniwersytecie w Lagos i proszę go, by się z nim skonsultował przed następną wizytą Mercy u jej lekarza w PH. Elechi dziękuje mi i woła Mercy, by do nas podeszła.

— Doktor Taiwo udzielił mi porady w sprawie twojej choroby. Podziękuj mu w naszym imieniu — instruuje Elechi, która, mimo moich protestów, spełnia jego prośbę.

— Napisał pan swój raport? — pyta mnie.

Przypomnienie sobie wyjaśnienia, jakie podaliśmy jej z Chiką w szpitalu, zajmuje mi sekundę.

— Nadal nad nim pracujemy.

— Dlaczego to trwa tak długo?

Zastanawiam się nad powiedzeniem jej jakiejś wersji prawdy, więc rozglądam się, by ocenić naszą półprywatność. Inne córki dołączyły do rozmowy ich matki z Chiką i Folake. Przenoszę wzrok z powrotem na Mercy i postanawiam zaryzykować powiedzenie jej prawdy.

— Mamy zbyt wiele pytań, Mercy. A najważniejsze jest to, że nie wiemy, co robił Kevin tamtego dnia w pensjonacie Godwina...

Mercy marszczy czoło.

— Ale, sir, ja to przecież panu powiedziałam. Poszedł zobaczyć się z Tamunem.

— Tak, powiedziałaś. A my rozmawialiśmy z Tamunem.

— Mówi, że to nieprawda?

— Przeciwnie, powiedział, że spóźnił się na to spotkanie z Kevinem i wini się...

— Spotkanie?

— Tamuno mówi, że pracował z Kevinem nad artykułem dotyczącym śmierci Momoha.

Mercy śmieje się ironicznie.

— Nie ma mowy, żeby Kevin i Tamuno Princewill robili coś razem.

Zaczyna mnie mrowić potylicą.

— Dlaczego?

— Oni się nie znosili, sir. Poza tym Kevin odkrył, że Godwin wiedział, że Momoh został wrobiony, i Godwin mu powiedział, że zrobił to Tamuno.

— Chiko? — Staram się nie podnosić głosu, ale słysząc w nim napięcie. — Pozwól tu, proszę.

Chika podchodzi, a Elechi krąży w pobliżu jak pies stróżujący. Na widok uwagi, jaką skupia na sobie Mercy, Folake i Amaka przerywają rozmowę.

— Mercy, czy chcesz powiedzieć, że Kevin sądził, iż Tamuno ma coś wspólnego ze śmiercią Momoha? — pytam łagodnie.

— Nie, sir. Chcę powiedzieć, że Godwin powiedział Kevinowi, że to Tamuno umieścił te zdjęcia w telefonie Momoha.

Słyszę, że stojąca za mną Folake wstrzymuje oddech, ale nie spuszcza wzroku z Mercy.

— Ale skoro Kevin o tym wiedział, to dlaczego poszedł do Tamuna? — pytam.

— Kevin nie uwierzył Godwinowi. Wszyscy wiedzą, że Godwin bierze narkotyki i opowiada niestworzone historie. Kevin chciał stanąć twarzą w twarz z Tamunem. Zaplanowali spotkanie u Godwina.

Chika staje obok mnie.

— Jesteś pewna?

Mercy nabiera powietrza do płuc. Widzę, że usiłuje zachować spokój.

— Tak, sir. Powiedziałam mu, żeby nie szedł. Że Momoh i tak nie żyje. Ale Kevin był uparty. Ten Tamuno nigdy mi się nie podobał. Dlatego tam pobiegłam, kiedy nie miałam wiadomości od Kevina.

— To Tamuno zaprosił Kevina do siebie? — pytam dla wszelkiej pewności.

— Tak — odpowiada Mercy i zdecydowanie kiwa głową.

STRZAŁA GNIEWU

To, że nie wybiegamy z Chiką z domu Oparów, żeby szukać Tamuna, wymaga od nas wielkiego opanowania. Będzie jednak niegrzecznie wyjechać przed rozpoczęciem nabożeństwa dziękczynnego, na które przyjechaliśmy.

— Jestem pewna, że w tych okolicznościach Elechi by zrozumiał — mówi Folake.

Jedziemy za Elechim do kościoła, gdzie ma się odbyć nabożeństwo.

— Tak, ale jeśli mam rację, to chyba będzie rozsądnie przepytać Tamuna w obecności inspektora Omerejiego.

— Czy to nie jest przedwczesne? — pyta Folake, marszcząc brwi.

— To on zaprosił Kevina do pensjonatu Godwina — odzywa się Chika. — Co oznacza, że najprawdopodobniej wskazał go tłumowi.

— Nie powiedział nam, że tamtego dnia widział się z Kevinem ani nawet że był w pensjonacie

tego dnia, kiedy zostali zabici chłopcy — mówię, zmagając się z myślą, że ten Tamuno mógł zaaranżować śmierć trzech kolegów ze studiów.

— To dziwne... — odzywa się z tylnego siedzenia Folake.

Odwracam się, by zobaczyć, na co patrzy.

Przejeżdżamy obok działka na rondzie. Zwykle samochody i ludzie pośpiesznie mijają ulicznych sprzedawców, desperacko usiłujących wcisnąć im swój towar. Jednak dzisiaj ruch jest spokojniejszy, a piosi gromadzą się w grupkach i rozmawiają z ożywieniem; niektórzy patrzą na swoje telefony komórkowe i gniewnie gestykują. Staram się otrząsnąć z wrażenia, że zdarzy się coś złego.

Dziękuję się obawami Omerejiego z Chiką i Folake i wyrażam przypuszczenie, że może to one są powodem napięcia i poruszenia mieszkańców miasteczka.

— Chyba ludzie nie uwierzą w takie bzdury, nie starając się przynajmniej dowiedzieć, skąd one pochodzą? — pyta z irytacją Folake.

— Ludzie na ogół raczej zgadzają się z powszechnie panującą opinią, niż się od niej odzegnują. To nie jest zjawisko ograniczone do Okriki — odpowiadam oschłym tonem.

Chika cmoka z irytacją.

— Ale to miasteczko wygrywa w cuglach. Wszyscy są podenerwowani. Zawsze gotowi uwierzyć w najgorsze o innych.

Wyjechaliśmy już z centrum i znajdujemy się na mniej zatłoczonej ulicy. Samochód Elechiego zwalnia i wjeżdża na spory ogrodzony teren z kilkoma samochodami już zaparkowanymi przed dużym budynkiem przypominającym magazyn z ogromnym transparentem głoszącym, że jest to nieruchomość „Światła Duszpasterstwa Świata”.

Elechi podjeżdża na mniej zatłoczone miejsce z boku budynku. Chika jedzie za nim i zatrzymuje land cruisera przy jego samochodzie.

Elechi podchodzi do nas.

— Parkujemy tutaj, ponieważ jesteśmy gośćmi honorowymi. Tutejszymi diakonami są rodzice chrzestni Mercy. Wejdziemy bocznym wejściem.

Macha do podeszłego wiekiem odźwiernego, który uśmiecha się szeroko i zaprasza gestem do siebie.

— Pokażmy się tylko na nabożeństwie i powiedzmy Elechiemu, że nie możemy wrócić do niego na lunch — mówię do Chiki, wchodząc za rodziną Oparów do kościoła.

Z jego wnętrza dochodzi śpiew. Wchodzimy prosto na przód sali, tuż obok mównicy. Widzimy, jak wszyscy zgromadzeni przyłączają się do chóru w dodającej ducha popularnej pieśni religijnej przetłumaczonej na ikwerre. Kiedy zauważają Oparów, rozlegają się głośnie wiwaty, jodłowanie, ludzie się ściskają. Muzyka staje się głośniejsza i zmienia tempo, a zmierzając do miejsc, które pomocnicy wskazują całej rodzinie i nam, Amaka nawet zaczyna tańczyć.

— Chwalimy pieśnią Pana, On króluje!

Śpiewy i tańce trwają dość długo, ale chociaż to wszystko jest dość urzekające, nie mogę przestać myśleć o Tamunie. Kim on jest? Co ukrywa? Czy pracuje dla kogoś? Ta przemiana osobowości, jaką widzieliśmy z Chiką podczas naszego ostatniego spotkania w Budynku Whyte'a, była zaskakująca. Czy, podobnie jak Godwin, mógł być naćpany? Czy właśnie to ukrywa? A może łączył go z Momohem seks? Bo jak inaczej mógłby wpaść na pomysł umieszczenia sprośnych zdjęć w jego telefonie? Co z większym prawdopodobieństwem mogłoby doprowadzić kogoś do zabicia człowieka: możliwość ujawnienia, że jest homoseksualistą, czy uzależnienie od narkotyków?

— Służymy Bogu, który króluje!

Grzmiący głos pastora przywołuje mnie do teraźniejszości.

Elechi odchyła się do tyłu i szepcze:

— To główny pastor. Jeremia Oriakpu. Bardzo charyzmatyczny. Przychodzimy tu z żoną na wieczorne nabożeństwa, kiedy nie ma mszy.

— Nasz Bóg króluje nad wszystkim i nad wszystkimi dolegliwościami — oznajmia ponownie pastor Oriakpu.

Zgromadzeni dają wyraz swojemu poparciu dla jego słów, wykrzykując „Alleluja!” i „Amen!”. Łowią wzrokiem spojrzenie Folake. Będąc bardzo konserwatywnymi, niepraktykującymi anglikanami, jesteśmy skrępowani tak demonstracyjnie okazywaną wiarą. Folake pokazuje ruchem głowy na potylicę Elechiego, przypominając mi w ten sposób, po co tu jesteśmy. Zaczekam na dogodną okazję.

Po kilku dalszych wezwaniach, przerywanych kolejnymi pieśniami, wstawaniem, siadaniem, zbliżaniem się tanecznym krokiem do ołtarza, składaniem darów, machaniem chusteczkami, następuje dość długie kazanie na temat mądrości dziękczynienia. Pastor Oriakpu nie śpieszy się z wyłożeniem powodu, dla którego się tu znajdujemy.

Patrzę na mój pęknięty, lecz działający zegarek. Jesteśmy tu od pięćdziesięciu dwóch minut, a końca uroczystości nie widać. Ukradkiem wyjmuję telefon i sprawdzam, czy Omereji nie wysłał SMS-a. Folake kopie mnie w stopę, więc chowam telefon, ale najpierw upewniam się, że inspektor nic nie napisał.

— Zebraliśmy się dzisiaj na tym specjalnym nabożeństwie, by podziękować Bogu za życie naszej córki, Mercy Opari...

Nareszcie! Prawie zrywam się z miejsca w radosnym tańcu i śpiewie.

Pastor pokazuje na rodzinę Oparów, a potem przyzywa ją gestem ręki do ołtarza i zwraca się do chóru:

— Wnieśmy pieśń pochwalną, a ta błogosławiona rodzina niech wystąpi.

Chór intonuje kolejną głośną pieśń, a Elechi kiwa na nas ręką, żebyśmy mu towarzyszyli. Spoglądam na Chikę, który kręci głową. Pokazuję gestem, że byłoby niegrzecznie, gdybyśmy nie dołączyli do Oparów przy...

Krzyki rozlegają się ułamek sekundy po tym, jak widzę strzałę przelatującą nad głową Elechiego i wbijającą się prosto w pierś pastora. Oglądam się do tyłu; między zgromadzonych wkracza kilkunastu mężczyzn w białych szatach, trzymających maczety, łuki i strzały.

Ludzie biegną i krzyczą. Chwytam Folake, a Chika rzuca się w stronę Oparów. Dociera do wstrząśniętej rodziny w chwili, kiedy kilku mężczyzn w bieli wskakuje na podwyższenie obok mównicy. Szukam najszybszej drogi ucieczki; wejście, z którego korzystaliśmy, blokuje teraz kilku mężczyzn w białych szatach i przylegających do głowy czapeczkach.

Chika obejmuje dziewczęta Oparów i chroni Mercy, przyciskając jej głowę do swojej piersi. Folake wykrzykuje w moją pierś imiona naszych dzieci, jakby żarliwie się modliła, chociaż widzę, że też szuka drogi ucieczki. Ona jednak nie istnieje. Każde wyjście blokują mężczyźni w kaftanach i kufich.

Zerkam w stronę ołtarza i widzę, jak dwaj mężczyźni pochylają się nad pastorem, jakby chcieli sprawdzić jego puls. Z miejsca, w którym strzała wbiła się w jego pierś, rozprzestrzenia się plama krwi. Wśród krzyków i paniki mężczyźni przy ołtarzu sprawiają wrażenie niezwykle spokojnych. Wyprostowują się nad pastorem, a jeden z nich pluje na nieruchome ciało. Sądząc po pełnych zadowolenia minach, z jakimi kiwają do siebie nawzajem głowami, pastor nie żyje.

Następnie jeden z nich unosi broń i strzela w dach. Folake sztywnieje w moich ramionach, ale mężczyźni stojący przy ołtarzu wydają się niewzruszeni wśród sypiących się na nich kawałków poszycia.

— Słuchajcie, i to uważnie! — krzyczy jeden z napastników; rozpoznaję w nim rzecznika

muzułmanów, który przedstawił ich skargi przywódcy w ośrodku kultury.

Rozlega się kolejny strzał; ofiarą jest bok ołtarza dalszy od chóru. Tym razem tłum nieco się ucisza.

— Przyszliśmy po pastora! — krzyczy mężczyzna z ośrodka kultury. — Bezbożnego człowieka, który ma krew na rękach. A teraz musicie opuścić to miejsce i pójść do domów, bo zaraz zrobimy z nim to, co zostało zrobione z naszym miejscem kultu! Już!

Jakby na jego znak mężczyźni blokujący drzwi odsuwają się na bok i ludzie wypadają na zewnątrz wszystkimi wyjściami. Chika wyprowadza Oparów bocznym wyjściem, a ja z Folake podążam za nimi.

Biegniemy do naszych samochodów. Dopilnowuję, by Folake znalazła się bezpiecznie na tylnym siedzeniu land cruisera i odwracam się w stronę Oparów, którym pomaga Chika. Mercy siedzi już z tyłu. Podbiegam do auta.

— Mercy! Wszystko w porządku?

Dziewczyna nic nie mówi, ale kiwa głową. Patrząc na nią; w jej oczach widzę strach, lecz nie ma w nich dość paniki, bym podejrzewał bliskie załamanie. Elechi siada za kierownicą i włącza silnik.

— Jedźcie za mną. Wiem, jak szybko dojechać do domu!

Biegniemy z Chiką do land cruisera, w którym Folake już się chyba uspokoiła. Wskakuję na tylne siedzenie obok niej i mocno ją obejmuję. Obojgu nam mocno biją serca.

— Uważaj! — woła Folake.

Chika wdusza gaz i usiłuje omijać ludzi biegających we wszystkich kierunkach. Oglądam się do tyłu na objęty płomieniami budynek kościoła.

— Co się dzieje? — pyta Folake, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Chika skupia się na drodze, jadąc za Elechim i kilkoma innymi samochodami.

— Już dobrze. Już dobrze. Nic nam nie będzie — powtarzam.

Chika zwalnia.

— Dlaczego stajemy? Co się...

Przerywam gwałtownie na widok pandemonium przed nami. Ludzie krzyczą i na coś pokazują. Na poboczu jest kilka zakrwawionych osób. Z jednej z posesji są wyprowadzani ranni.

— Meczet — mówi z przerażeniem Chika. — W meczecie chyba wybuchła bomba.

Przed nami widzę dym wznoszący się z dachu meczetu, na którym półksiężyc i gwiazda są czarne od sadzy, lecz dziwnym trafem pozostają nietknięte.

„...zaraz zrobimy z nim to, co zostało zrobione z naszym miejscem kultu!” Napastnicy to właśnie mieli na myśli. Ktoś zaatakował meczet, a oni uznali, że stało się to na rozkaz pastora Oriakpu.

— Zawracaj! Zawracaj! Elechi zawraca, jedź za nim!

W głosie Folake sływać nutę hysterii, a mnie zalewa nagle poczucie winy. Nie znalazłaby się tutaj, gdyby nie ja. Myślę o naszych dzieciach. Serce zatrzymuje mi się na chwilę, a potem bije szybciej. Musimy z tego wyjść.

Chika zawraca szaleńczo i znowu znajdujemy się za Elechim, oddalając się od ludzi pokrytych sadzą, pyłem i krwią i od czarnego dymu unoszącego się wysoko nad dachem meczetu.

SZALEJĄCY POŻAR

— O Boże o Boże o Boże! — powtarza Folake.

Chika pędzi za autem Oparów do ich domu.

Pospiesznie wystukuję numer Omerejiego.

„Jakąś godzinę temu Alfurquran wysłał wiadomość, w której twierdzi, że wie, kto rozpala

nienawiść...”

Wściekłość malująca się na twarzach mężczyzn, którzy wbiegli do kościoła, długo zostanie mi w pamięci. To nie była przypadkowa wściekłość. Ona była skierowana na tę mównicę i na stojącego za nią człowieka.

Z telefonu inspektora dostaję albo sygnał poczty głosowej, albo zajętości.

— Wyślij SMS — radzi mi Folake.

Zaczynam pisać, ale nim kończę, przychodzi SMS od inspektora. Czytam na głos:

— „Nie mogę rozmawiać. Obserwacja przy Budynku Whyte’a”.

Chika kiwa głową i dodaje gazu.

— To oznacza, że dostał pozwolenie wejścia na kampus...

Ruch zwolnił. Rozglądamy się; słyszymy dochodzący z oddali hałas. Samochód Elechiego robi kolejny objazd, wjeżdżając na drogę szutrową, i Chika jedzie za nim. Oglądam się do tyłu i widzę ludzi, którzy z dziećmi na rękach wbiegają do domów stojących po obu stronach drogi.

Chika wciska pedał gazu przez całą drogę do domu Oparów. Docieramy do niego tuż za zrozpaczoną rodziną.

Elechi rozmawia przez telefon w ikwerre i pomaga Amace wyprowadzić z auta wstrząśniętą Mercy. Biegnę do nich.

— Nic mi nie jest — mówi Mercy, ale widzę, że to nieprawda.

Mogę tylko dziękować Bogu, że cała rodzina stała przodem do zgromadzonych, dzięki czemu Mercy nie widziała, jak strzała śmigająca nad ich głowami wbiła się prosto w pierś pastora.

— Ja ją zaprowadzę — mówi Amaka.

Podbiegają do niej kobiety, które gotowały na tyłach domu. Wszystkie zaczynają szybko mówić w ikwerre i niemal wnoszą Mercy do domu.

Elechi kończy rozmowę w chwili, kiedy dołączają do nas Chika i Folake.

— Podobno wszędzie w internecie są filmy, na których pastor Oriakpu nawołuje do usunięcia muzułmanów — wyjaśnia pośpiesznie Elechi. — Ludzie, którzy je widzieli, wrzucili do meczetu koktajle Mołotowa i muzułmanie się rozżalili. To dlatego zaatakowali go w kościele. A teraz chrześcijanie chcą odwetu. Musicie zostać tutaj...

Pastor został zabity, a nie zaatakowany. Nie mówię jednak tego. Patrzę na Chikę.

— Nie możemy zostać.

— Co?

Folake niemal wrzeszczy.

Odwracam się do niej.

— Musimy jechać do kampusu.

— Przez to piekło? — Kręci głową. — Nie, do cholery!

— Kochanie, musimy jechać. To wszystko jest powiązane ze sobą. Trzech z Okriki, Momoh, te zamieszki w miasteczku, a ja myślę, że w środku tego wszystkiego tkwi Tamuno. Musimy się dostać do uniwersytetu.

Folake kręci głową.

— Po co?

— Żeby go znaleźć!

Odwracam się do Chiki, ale on już wraca do samochodu.

— Jadę z wami — mówi Folake, jakby to zostało ustalone.

— Nie.

Nie ma mowy, żebym wiózł ją z powrotem przez to, przed czym właśnie uciekliśmy.

— Chyba żartujesz. Nie mam zamiaru tu zostać, kiedy ty wrócisz...

Ujmuję dłońmi jej twarz.

— Jesteś tu potrzebna. Twój spokój, twoja logika. Mercy może się załamać, a Elechi i jej mama nie będą wiedzieli, co robić. Ja nie mogę zostać, ale ty możesz. Proszę cię, kochanie.

Całuję ją, zanim udaje jej się zaprotestować.

— Zaraz wracam. Obiecuję.

— Lepiej dotrzymaj słowa — mówi, szlochając. Po twarzy płyną jej łzy.

Biegnę do land cruisera i ledwie do niego wsiadam, Chika błyskawicznie zawraca. Patrzę ostatni raz na Folake, na jej zalaną łzami twarz, i przysięgam sobie, że nie będzie to ostatni zachowany przeze mnie obraz mojej żony.

PIEKŁO

W centrum miasteczka panuje zamęt.

Chika manewruje między tłumem wymachującym liśćmi i śpiewającym wojenne pieśni. Wielu młodych wali w maski samochodów usiłujących przejechać przez miasteczko. Wiem, że Okriki jest większe od przeciętnego miasteczka, ale nie sądziłem, że mieszka w nim tak wielu ludzi. I wszyscy są rozszłoszczeni.

Odwracam się do Chiki.

— Myślisz, że ruch na trasie do posterunku policji będzie mniejszy?

— Przekonajmy się.

Ponownie dzwonię do Omerejiego, ale inspektor nie odbiera połączenia. Chika skręca z drogi pełnej wściekłych ludzi na pola i podwórka za domami. Mocno się trzymam, bo land cruiser podskakuje w nierównym terenie.

W końcu dojeżdżamy do posterunku policji, wysiadamy z auta i wbiegamy do budynku.

— Nikogo tu nie ma! — prawie krzyczę z frustracji.

Chika ma coś powiedzieć, ale dzwoni mój telefon.

— Mamy ich! — mówi inspektor Omereji, kiedy tylko odbieram połączenie i włączam tryb głośnomówiący.

— Ich? — pytam, wybiegając z posterunku.

— Wszystkich w jednym miejscu. To oni to zrobili, Philipie! Wszystko zaplanowali.

— Kto?

— Amaso Dabara i kilku chłopców z kampusu. Mamy ich. Laptop, narkotyki. Wszystko! Mamy ich!

Myśli rozbiegają mi się w różnych kierunkach, ale próbuję je uspokoić. W stronę posterunku policji zmierza od strony posesji madam gospodyni hałaśliwy tłum, co znaczy, że idzie on z przystanku autobusowego przy rondzie. Z tego samego kierunku, z którego przyszedł tłum, który zaatakował Trzech z Okriki. Powstrzymuję budzącą się panikę i usiłuję się skupić, nie zważając na ból zabandażowanych żeber.

— Posłuchaj, Mike, macie tam gościa imieniem Tamuno?

— Hej, który z was to Tamuno?! Ty! Odpowiadaj! — Po chwili zwraca się do mnie: — Nie ma tu żadnego Tamuna...

— Gdzie jesteś?

— W Budynku Whyte'a.

— W którym pokoju?

— 481.

Nagle coś sobie uświadamiam i chwytam Chikę za ramię, bo nogi niemal odmawiają mi posłuszeństwa.

— To dywersja, Mike! Musicie tu wrócić. Miasteczko potrzebuje policji jak nigdy wcześniej.

Cokolwiek planował Tamuno, rozegra się to tutaj. Poza kampusem. Wracajcie szybko!
Powietrze przecina koktajl Mołotowa i ląduje na zardzewiałym dachu posterunku. Natychmiast wybuchają pożar, który się nasila po uderzeniu kolejnej butelki z benzyną z drugiej strony.

Pędzimy do land cruisera, Chika włącza bieg i błyskawicznie odjeżdża.

Inspektor Omereji jeszcze się nie rozłączył.

— Philipie! — krzyczy. — Kto to jest Tamuno? Co się dzieje?!

— Przyjeżdżajcie! Sytuacja...

Tyłna szyba land cruisera rozpryskuje się w kawałki.

— O cholera! — woła Chika w chwili, kiedy też go zauważam.

Koktajl Mołotowa w samochodzie. Nie ma czasu, żebym przeszedł do tyłu, chwycił butelkę i ją wyrzucił, ale i tak chcę spróbować.

Chika chce chwycić mnie za rękę.

— Nie zdążysz! Musimy wyskoczyć!

Sięgam do butelki i żebra przeszywa mi porażający ból. Chika jedzie szybko i nagły skręt rzuca mnie w bok, co udaremnia moje wysiłki.

— Skacz! — krzyczy Chika.

Otwiera drzwi, nie zatrzymując samochodu. Pędzimy przez ten fragment drogi, gdzie zostali pobici, a następnie zaprowadzeni na śmierć Winston, Bona i Kevin. W tym samym miejscu my też prawie straciliśmy życie. Ta myśl przynagla mnie do czynu. Otwieram drzwi z mojej strony; droga pędzi pode mną, a tłum cofa się przed nami.

— Skacz! — powtarza Chika.

Zamykam oczy i wytaczam się na twardą ziemię. Z bólu widzę jasne, gorące światło. Wrzeszczę i otwieram oczy, by zobaczyć, jak przed nami wybuchają land cruiser.

OSTATNIA WIECZERZA

— Mam dla ciebie niespodziankę. Od nas wszystkich — szepcze w kuchni ojciec Ambrose.

John Paul uśmiecha się i pyta, co to za niespodzianka.

Ojciec Ambrose też się uśmiecha.

— To tajemnica — mówi. — Planujemy ją od pewnego czasu.

John Paul czeka, aż ojciec Ambrose zabierze wiadro z bochenkami chleba do jadalni, a potem bierze się do pracy. Spod sutanny wyjmuje woreczki pełne tabletek. Podchodzi do kuchennych drzwi i zagląda do jadalni. Księża powoli się schodzą, rozmawiając między sobą, a ojciec Ambrose rozkłada chleb na ośmiu stołach.

John Paul wraca do kuchni, podchodzi do garnka i wysypuje do niego z woreczków neurotoksyny. Tę samą mieszankę wypróbował na Godwinie, więc jest pewien siły jej działania.

Bierze dwa stare ręczniki i owija sobie nimi dłonie, żeby mógł podnieść gorący garnek. Jest ciężki, lecz on go niesie z łatwością, tak jak to robi od jedenastu lat. Niektórzy zakonnicy machają do niego, a on się do nich uśmiecha.

Czy wiedzą, że mama nie żyje? Czy dlatego są tacy mili?

Najwyraźniej nikt nie wie o chaosie panującym w miasteczku. Można bezpiecznie założyć, że niedługo do klasztoru przybiegną po pomoc poszkodowani i śmiertelnie ranni w zamieszkach.

John Paul pośpiesznie wraca do kuchni. Pracuje szybko, rozpuszczając ostatnie porcje trucizny w wodzie do picia. Są odpowiednio odmierzone, by zbyt nie wpływały na smak wody.

Za pomocą kuchennego noża John Paul zręcznie robi dziurę w gumowym przewodzie za starą Kuchenką, który doprowadza gaz do palników. Napęlnia duży garnek wodą i stawia go na ogniu.

Gdyby wszedł tu ojciec Ambrose, pomyślałby, że gotująca się woda jest do picia, i nie wyłączy

gazu.

John Paul jeszcze raz sprawdza przewód. Gaz uchodzi szybko. Za szybko. Płomień pod garnkiem faluje, bo nie ma dość paliwa, by równo się palić. Powinien był o tym pomyśleć.

Wchodzi do spiżarni i bierze taśmę klejącą. Szybko zakleja znaczną część zrobionej przez siebie dziury. Płomień pod garnkiem z wodą się uspokaja.

Zadowolony z siebie John Paul przekręca zawór butli gazowej w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, by gaz wyciekał i stamtąd. Teraz musi ocenić, w jakim czasie gaz wypełni kuchnię, ponieważ wszystkie swoje wcześniejsze obliczenia opierał na wycieku z przewodu, a nie z szybciej wypuszczającego gaz zaworu. Musi się spieszyć.

Stawia dzbanki z zatrutą wodą na starym wózku, którego ojciec Ambrose używa od lat do wwożenia jedzenia do jadalni. Osiem dzbanków. Osiem stołów. John Paul popycha przed sobą wózek do jadalni i zatrzymuje się na widok ojca Olayiwoli i jeszcze jednego zakonnika, którzy na największym stole stawiają tort.

Nagle w sali rozlegają się wiwaty i oklaski. Zakonnicy podchodzą kolejno do niego, by go uściskać, klepią go po plecach i gratulują. Pociągają go w stronę tortu i John Paul czyta napis na lukrze.

— Gratulacje dla naszego prawnika! — wołają radośnie zakonnicy.

„Nie! Nie bądźcie mili” — krzyczę spośród cieni. Nie dzisiaj!

Modlą się za Johna Paula, myśląc, że on to ja. Klaszczą i śpiewają, a on się uśmiecha, rozpaczliwie pragnąc, by zaczęli jeść. Widzi, że ojciec Ambrose przejmuje wózek z wodą, i wodzi wzrokiem za starym zakonnikiem, który rozstawia dzbanki na stołach.

Zakonnicy nalegają, by John Paul wygłosił mowę, ale on udaje zakłopotanie i tylko bąka podziękowania dla zakonników. Przybiera minę pokornej wdzięczności, ale widzę, że liczy wzrokiem obecnych w jadalni. Uroczystość oznacza, że nikogo nie brakuje. Czterdzieści siedem osób. Nikogo nie ma w pokoju modlitwy ani w ambulatorium, nikt nie pracuje w kaplicy. Wszyscy są tutaj.

Zaczynają jeść i pić, wymieniając się opowieściami o niektórych moich wyskokach z minionych lat. Obserwuję ich spośród cieni. Nabijają się ze mnie i kiedy John Paul udaje, że się śmieje, myślą, że to ja, i też wybuchają śmiechem.

Chcę tego. Tej radości. Odkupienia. Miłości. Chciałem tego od tak dawna.

Przysięgam, że nawet wśród cieni słyszę syk gazu ulatniającego się z butli w kuchni. Patrzę na zakonników, którzy piją zatrutą wodę i jedzą zatrute potrawy. Wkrótce pojawią się wymioty, a potem nieuchronny paraliż, który nie pozwoli im uciec przed ogniem.

Nagle uderza mnie myśl, że to jest jedyny dom, jaki znam. Jaki kiedykolwiek poznam.

Myślę o mamie. Odeszła na zawsze. Jakaś część mnie chciała spędzić z nią więcej czasu. Słyszeć jej śmiech i to, jak nazywa mnie darem od Boga. Swoim Tamunotonyem.

Moja matka.

A John Paul ją zabił.

Zabiłem moją matkę.

John Paul tkwi we mnie. Jestem Johnem Paulem.

Oto ona. Prawda, której muszę stawić czoło.

Zamykam wśród cieni oczy i pozwalam śmiechowi zakonników prowadzić się ku światłu.

John Paul przerywa krajanie tortu. Widzi, że się zbliżam. Nie może mnie jednak powstrzymać.

Radość zakonników czyni wszystko jaśniejszym, aż dotykam światła. Widzę, że dłoń Johna Paula, którą unosi kawałek tortu do ust, drży.

Ale to ja sięgam po wodę.

POTEM

Zostawiwszy za sobą tłący się wrak land cruisera, wbiegaliśmy z Chiką w busz i wróciliśmy na przełaj do domu Oparów, unikając chaosu panującego na głównych drogach.

Tam czekaliśmy, nasłuchując odgłosów przemocy, skuleni w salonie z kobietami, przygaszeni i przerażeni. Moje bóle ustąpiły dzięki lekom, które Folake włożyła do torebki. Mercy dostała środki uspokajające i spała w swoim pokoju, szczęśliwie nieświadoma strachu i wzburzenia, które zawładnęły całym miasteczkiem.

Okazało się później, że wybuch, który nastąpił daleko od nas, zniszczył klasztor zakonu Kosmy i Damiana. To jeszcze powiększyło zamęt. Czy muzułmanie dotarli i tam?

Kiedy nad dachem przeleciały śmigłowce, a w oddali rozległy się syreny, zadzwoniłem do Omerejiego, który potwierdził, że stan zwrócił się o wsparcie do rządu federalnego i w rezultacie na Okriki dokonała inwazji potężnie uzbrojona żandarmeria wojskowa. Lecz upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim ludzie się dowiedzieli, gdzie nastąpił wybuch, i można było udzielić zakonnikom jakiegokolwiek pomocy.

Nikt nie przeżył. Budynek został zmieciony z powierzchni ziemi i kiedy Omereji relacjonował, co policja, strażacy i inni ochotnicy widzieli w klasztorze, oczy miały czerwone z wyczerpania i głębokiego smutku.

— Myślisz, że zrobił to ten chłopak? — zapytałem, kiedy Omereji odwoził Chikę, Folake i mnie do PH.

— Musimy założyć, że tak.

— A więc podżeganie do zamieszek stanowiło swego rodzaju dywersję, mającą nie dopuścić pomocy do klasztoru? — zapytała Folake z tylnego siedzenia, które zajmowała z cichym i skrępowanym Chiką.

— Tego też nie wiemy; możemy jedynie zakładać, że chłopak zaplanował to wszystko. Dlaczego to zrobił? — Omereji westchnął. — Jeśli nie uda nam się go znaleźć, by nam to wyjaśnił, to możemy się tylko domyślać.

Już widziałem, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie Tamuna Princewilla i nie zmusi go do odpowiedzi za jego ohydne zbrodnie albo przynajmniej nie udowodni, że jest niewinny.

Chcieliśmy zadać więcej pytań w tej drodze powrotnej do PH, ale Omereji był i zrozpaczony, i zdenerwowany. Dojechaliśmy do naszego hotelu w pełnej zadumy ciszy.

Od tego czasu minęły dwa dni i mimo że Folake i ja bardzo chcemy wrócić do naszego życia w Lagos, moja żona rozumie, dlaczego muszę doprowadzić tę sprawę do końca. Wiem, że chociaż postanowiła nie iść z Chiką i ze mną do głównej siedziby policji w PH, nie będzie leżeć w wygodnym łóżku w Tropicanie, ale będzie chodzić po pokoju. Zmartwiona i niespokojna. To jest chyba najstraszniejszy skutek zetknięcia się z nagłymi zamieszkami i gwałtownymi działaniami wspólnymi i w porozumieniu: upiorne poczucie strachu, że zdarzy się to ponownie. Kiedyś, gdzieś.

Posterunek policji w Okriki nie mógł pomieścić wszystkich aresztowanych podczas tych gwałtownych zamieszek w miasteczku, więc niemal wszyscy podejrzani o branie w nich udziału — zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie — zostali przewiezieni do głównej siedziby policji w PH. Tam też są przetrzymywani Amaso Dabara, jego zbiry i czterech studentów Uniwersytetu Stanowego. To dlatego Chika i ja jesteśmy prowadzeni do pokoju, w którym mamy obserwować piątę, jak słyszymy, przesłuchanie tego narkotykowego barona od czasu jego aresztowania dwa dni wcześniej w pokoju 481 w Budynku Harcourta Whyte'a.

— Zostałem zmanipulowany! Wszyscy zostaliśmy zmanipulowani! — mówi chudy mężczyzna

w kajdankach.

— Wciąż to powtarzasz, ale dowody świadczą o czymś innym.

Przy tych słowach inspektor Mike Omereji zbliża się zdecydowanym krokiem do Dabary, nie ukrywając pogardy.

— Jakie dowody? — pyta Amaso.

— Te, które znaleźliśmy podczas przeszukania twojego domu w Havanie. Wszystko, co świadczy o tym, że to ty zorganizowałeś całą tę przemoc w Okriki.

— To kłamstwo! Proszę zapytać wszystkich, nawet swoich kolegów z policji. Amaso tylko sprzedaje narkotyki. Nie zajmuję się polityką. Nie zajmuję się religią.

— Lista twoich transakcji, rozmowy telefoniczne z twoimi dostawcami nie wyglądają dla ciebie dobrze.

Amaso patrzy na inspektora Omerejiego przekrwionymi oczami. Ręce mu drżą i kapie mu z nosa. Czterdzieści osiem godzin w areszcie nie może służyć narkomanowi. Nie mam wątpliwości, że Amaso wkrótce pęknie, ale nie wiem, czy powie coś, co mogłoby rzucić światło na to, jak Tamuno Princewill zmanipulował wszystkich i zniknął. Podobnie jak wszyscy z nas podejrzewam, że Amaso Dabara tego nie wie.

— Mówiłem ci. To ten chłopak, Tamuno. On to wszystko zaplanował.

I Amaso opowiada po raz kolejny, jak zagadnął Tamuna na pierwszym roku jego studiów i go zwerbował.

— Ten chłopak to diabeł! Wystawił mnie. Dał mi ten twardy dysk i telefony. Powiedział mi, że są na nim nazwiska sprzedawców. Potem umówił mnie na spotkanie z kupcami i zniknął...

— To się nie sumuje, Amaso — mówi Omereji. — Dlaczego ten Tamuno miałby się tak wysilać, żeby cię wystawić? Z laptopa w pokoju 481 wysyłano wiadomości, które wywołały walki w Okriki. Jeden z telefonów w tym pokoju należał do chłopaka, który był jednym z Trzech z Okriki. A ty twierdzisz, że nie wiesz, jak to wszystko znalazło się w pokoju, do którego wyraźnie miałeś dostęp. Nie rozumiesz, jak idiotycznie brzmi to, co mówisz?

— Mówię prawdę! Kiedy dowiedzieliśmy się, że Godwin pape na wszystkie strony, chciałem się z nim rozprawić, ale Tamuno powiedział, że sam to robi. Już to mówiłem!

Odwracam się od lustra weneckiego do Chiki.

— On już nic nie wie.

— Tak myślisz?

— To narkoman rozpaczliwie pragnący działki — wyjaśniam. — Niedługo zacznie płakać i powie wszystko, żeby tylko dostać się do swoich narkotyków. Cokolwiek powie potem, będzie właściwie bezużyteczne, ponieważ będzie to to, co zechce usłyszeć Omereji.

— A więc nie było sensu tu przychodzić?

— Och, przeciwnie. Kiedy Omereji skończy, będziemy mogli poprosić o dostęp do tych plików na twardym dysku, który, jak twierdzi Amaso, dał mu Tamuno.

— Słyszałeś, co powiedział? — pyta Chika, zwrócony twarzą w stronę lustra weneckiego. — O tym telefonie komórkowym, który należy do jednego z chłopców?

— Jeśli to prawda i jest to telefon jednego z Trzech z Okriki, to wtedy, przyjacielu, będziemy mogli oficjalnie powiedzieć, że rozwiązaliśmy ich tajemnicę.

DOCHODZENIE DO PRZYCZYNY

Emeka nie chce postawić stopy w Okriki, więc jestem wdzięczny Mike'owi Omerejiemu, że zgodził się z nim spotkać w domu gościnnym Banku Narodowego w PH.

— Chociaż tyle mogę zrobić — powiedział inspektor, kiedy zadzwoniłem do niego z informacją,

że przygotowuję się do oddania Emece mojego końcowego raportu i byłbym wdzięczny za jego obecność.

Kiedy przybywam z Chiką do domu gościnnego, Omereji już tam jest i czeka obok swojego samochodu ubrany w pełny mundur policyjny. Jestem pod wrażeniem. Prawimy sobie uprzejmości, a kiedy oficer podaje Chice rękę, jakby między nimi nigdy nie było niechęci, mój szacunek do niego szybuje pod niebo.

Wchodzimy do domu; kierowca Emeki prowadzi nas do salonu.

Emeka jest nieogolony, ale wygląda lepiej, niż kiedy widziałem go ostatnio. Wita się z nami i prosi, byśmy usiedli.

— Zanim zaczniemy, sir — mówi Omereji — pragnę w imieniu mieszkańców Okriki oficjalnie złożyć panu najszersze kondolencje z powodu straty pańskiego syna.

Emeka patrzy na niego, nie wiedząc, jak zareagować na to niespodziewane zagajenie.

— Zapewniam pana, sir, że świetle niektórych odkryć doktora Taiwy i jego kolegi zrobię wszystko, co w mojej mocy, by na nowo przeprowadzić śledztwo i postawić zamieszane w to osoby przed sądem.

— Pański ojciec nigdy panu na to nie pozwoli — mówi z goryczą Emeka.

— Mój ojciec jest stary i czasem błądzi w swoich przekonaniach. Wydarzenia kilku minionych dni pokazały mu, że może ochronić swoich pobratymców jedynie przez dopilnowanie, by działania zagrażające spokojowi i dobrobytowi Okriki spotkały się z konsekwencjami. Obiecuję panu, sir, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Emeka odwraca wzrok. Nie da się łatwo wymazać goryczy i gniewu, które żywił przez niemal dwa lata, ale jest na tyle uprzejmy, by uszanować szczerą Emerejiego.

Zapada niezręczna cisza; spoglądam na inspektora z uniesionymi pytająco brwiami. Kiedy kiwa głową, bym zaczął mówić, odchrząkuje. Nie ma łatwego sposobu, by to powiedzieć.

— Emeko, możemy potwierdzić, że Kevin nie należał ani do żadnej sekty, ani do gangu chcącego obrabować Godwina Emefelego.

Twarz Emeki się ożywia, a na widok nadziei, jaką widzę w jego zmęczonych oczach, pęka mi serce.

— Policji udało się niedawno odzyskać telefon Kevina i kiedy przeglądaliśmy jego wiadomości, stało się jasne, że jakimś sposobem natknął się na studencką szajkę handlującą narkotykami.

— Jak?

— Wydaje się, sir — mówi inspektor Omereji — że przyjaciel Kevina, Momoh Kadiri, odkrył, że niejaki Tamuno Princewill sprzedaje na kampusie narkotyki. Uważamy, że chcąc uciszyć Momoha, ten Tamuno wystawił go policji przez wysłanie mu pornograficznych zdjęć sugerujących, że Momoh jest homoseksualistą. Następnie dał cynk policji, która aresztowała Momoha na podstawie tego, co miał w telefonie. Kiedy Momoh zmarł w areszcie, Kevin nabrał podejrzeń, że popełniono przestępstwo, i rozpoczął kampanię mającą na celu przeprowadzenie śledztwa w sprawie jego śmierci.

Mina Emeki przypomina wyraz twarzy Folake, kiedy przeglądaliśmy liczne pliki w laptopie, o którym teraz wiemy, że był laptopem Tamuna, oraz wiadomości w telefonie Kevina.

— Jest jeszcze wiele niejasności, szczególnie dlatego, że nigdzie nie możemy znaleźć tego Tamuna — dodają szybko. — Lecz z tego, czego się dotąd dowiedzieliśmy, wydaje się, że Kevin sam drażył sprawę i jakimś sposobem powiązał aresztowanie Momoha z Godwinem Emefelem, który kupował od tego Tamuna narkotyki na sprzedaż i do własnego użytku. Nie możemy stwierdzić z całą pewnością, czy inhalator Momoha został mu skradziony w czasie aresztowania, lecz wiemy, że w areszcie miał atak astmy i w ten sposób Kevinowi udało się powiązać jego śmierć z ludźmi sprzedającymi na kampusie narkotyki.

— I to wszystko? Kevin został zabity, ponieważ odkrył handlarzy narkotyków na kampusie?
— Groził, że jeśli Godwin i Tamuno nie przyznają się w kwestii Momoha, to ich wyda — mówię, kiwając głową.
— Dlaczego nie przyszedł z tym do mnie? — mówi z bólem Emeka. — Powiedziałbym mu, żeby odpuścił.
— Może dlatego, że wiedział, że tak powiesz — mówię tak łagodnie, jak się da.
Emeka wyprostowuje ramiona. Boję się, że znowu się załamie, ale po pewnym czasie unosi głowę i spogląda na Chikę, Omerejiego i mnie z determinacją w oczach.
— Jak on to zrobił, ten Tamuno? Jak doprowadził do zabójstwa mojego syna?
Chika i inspektor patrzą na mnie, co rozumiem jako wyznaczenie mnie do udzielenia odpowiedzi.
— Sądźmy, że przekonał Godwina, by zaprosił do swojego pokoju poza kampusem dwóch studentów kupujących u niego narkotyki, którzy nie płacili swoich długów...
— Bonę i Winstona?
— Tak. Godwin namówił ich jakoś do przybycia do siebie po nową dostawę i po to, żeby omówić plan spłaty długów. Sądząc po szczegółowych wiadomościach, które wymieniał z Tamunem, a które znaleźliśmy w laptopie znajdującym się w pokoju tego ostatniego, wygląda na to, że Godwin miał zażądać swoich pieniędzy od Bony i Winstona pod groźbą użycia broni.
— To te strzały, które usłyszeli ludzie? — pyta Emeka, patrząc na Chikę.
— Sądźmy, że Godwin strzelał do Bony i Winstona — odpowiada Chika, kiwając głową.
— Ale dlaczego poszedł tam Kevin? — pyta Emeka, wciąż z niedowierzaniem kręcąc głową.
— Poprosił go o to Tamuno — odpowiadam. — Wydedukowaliśmy z wiadomości Kevina, że Tamuno zaprosił go na rozmowę, żeby oczyścić atmosferę.
— I ten Tamuno był tak wyrachowany, że umiał przewidzieć, co się stanie, kiedy sąsiedzi usłyszą, że dochodzi do rabunku? — pyta Emeka ze zrozumiałym zdumieniem.
— Już widziałem, z jaką łatwością ludzie dają się manipulować, Emeko — mówię ze smutkiem.
— Wystarczy tylko uważnie obserwować trendy i wzorce zachowań, żeby bez większego trudu sprawić, by ludzie zrobili to, czego się od nich chce. Zwłaszcza ludzie w grupie.
— Przyznaję to ze wstydem, sir — mówi poważnym tonem inspektor Omereji — ale doktor Taiwo ma rację. Mieszkańcy Okriki padli w przeszłości ofiarą kilku kradzieży przypisywanych studentom uniwersytetu. Bezrobotni młodzi ludzie, którzy nie dostali się na ten uniwersytet, też żywią sporą niechęć do studentów. Tamuno z pewnością o tym wiedział i wykorzystał to do swoich diabolicznych planów. Mieszkańcy mojego miasteczka dali się na to nabrać.
Omereji milknie i kręci ze smutkiem głową.
— A więc prawdziwym celem był Kevin, a Winston i Bona stratami ubocznymi?
Nie był to odpowiedni moment, by powiedzieć Emece o niepokojącym wideo, które znaleźliśmy na twardym dysku z pokoju 481. Makabrycznym obrazom ostatnich chwil Kevina dorównują pod względem grozy jedynie te ukazujące duszącego się i umierającego Godwina Emefelego. Także niezbyt związane z tematem są nasze podejrzenia co do roli Tamuna w gwałtownych zamieszkach, jakie niedawno wybuchły w Okriki. Wszyscy nadal zmagamy się z potwornością jego intryg i na razie najlepiej trzymać się tego, do czego zatrudnił mnie Emeka.
— Ten chłopak, Tamuno, jak mówicie... — Emeka sprawia wrażenie tak skonsternowanego, jak my wszyscy. — Gdzie on jest? Gdzie jest ten potwór?
Nikt nie umie odpowiedzieć na to pytanie.

DOM

Folake wsiadła do prywatnego odrzutowca Emeki Nwamadiego. Stoję teraz z Omerejim na tej

części pasa startowego, gdzie bogaci i możni unikają drogi przez mękę, którą przechodzą zwykli obywatele podróżujący przez międzynarodowe lotnisko w Port Harcourt. Wydarzenia ostatnich kilku dni odcisnęły na nas wyraźne piętno.

— Myślisz, że uszło mu to płazem? — pytam.

— Nie możemy go namierzyć — mówi Omereji. — Służby wciąż identyfikują ciała w klasztorze, ale nie mamy pewności, czy on tam był.

— To nie ma znaczenia. Koło nas zawsze znajdzie się jakiś Tamuno. Widać to wszędzie. Politycy. Biznesmeni. Osoby żerujące na naszym strachu przed innymi ludźmi dla swoich egoistycznych korzyści.

— Przeraża mnie to — mówi Omereji ze smutkiem w głosie. — A ty masz słuszość. Ale najbardziej przeraża mnie to, jak łatwo można manipulować ludźmi. — Kręci głową, jakby chciał się pozbyć jakiejś strasznej wizji. — I nadal nie możemy zrozumieć, dlaczego zaczął te działania w mediach społecznościowych...

Wzruszam ramionami.

— Kto potrafi rozgryźć kogoś takiego? Kiedy raz mu się udaje, próbuje raz za razem, nabierając zuchwałości, robiąc plany na coraz większą skalę. On zdecydowanie miał osobowość narcystyczną. Chciał, żebyśmy wiedzieli, co zrobił, i że uszło mu to na sucho. Widać to po dowodach, jakie zostawił w swoim pokoju. Prawdopodobnie postrzegał cały świat jako swego rodzaju eksperyment społeczny, laboratorium pełne szcurków, a siebie jako stojącego za wszystkim genialnego organizatora. Jestem pewien, że ta kampania w mediach społecznościowych była jego końcową demonstracją siły, za pomocą której chciał udowodnić samemu sobie, do czego jest zdolny.

Inspektor Omereji reaguje na moje słowa kręceniem głową.

— Wstyd mi za moich współobywateli...

— Po pierwsze i przede wszystkim, są ludźmi. Łatwymi do zmanipulowania. Działającymi szybko, bez zastanowienia. Zdziwiłbyś się, jakie to powszechne.

Omereji wzdycha, a ja widzę, że macha do nas kapitan samolotu. Już czas.

— Musimy być w kontakcie — mówi Omereji, ściskając mi dłoń.

Zgadzam się i odwracam w stronę krótkich schodków. Odzywa się brzęczyk mojego telefonu; przed wejściem na pokład odczytuję SMS.

„Dzwonił Emeka. Opowiedział o wszystkim, co zrobiłeś. Jestem z ciebie bardzo dumny, synu. Dziękuję. Wracaj bezpiecznie do domu”.

Oddycham głęboko, pławiąc się w prostej radości wywołanej ojcowską aprobatą. Owszem, udało mi się.

Wchodzę do samolotu. Chika siedzi z tyłu. Macham do niego i siadam obok Folake.

— Cóż, panie doktorze, niech mi pan przypomni, żebym następnym razem, kiedy dostanie pan zlecenie napisania — tu robi w powietrzu palcami znak cudzysłowu — raportu, nie wyraziła na to zgody.

Śmieję się, nie chcąc jej przypominać, że tak naprawdę nie wyraziła zgody. Zapinam pas. A potem widzę przez okno Salome. Stoi z Omerejim i oboje machają.

— Szanowna pani, szanowni panowie, witam na pokładzie prywatnego samolotu lecącego do Lagos...

Uśmiecham się. Jednak przyszła się pożegnać, ale może ma dość szacunku do Folake, by zrobić to na odległość. Albo się spóźniła i wykorzystała swojego kuzyna jako stacza, by zajmował mnie rozmową, dopóki sama nie dotrze na miejsce. Klasyczna Salome.

Macham do nich, a samolot rusza z miejsca.

— ...lot potrwa w przybliżeniu pięćdziesiąt pięć minut...

Kiedy Folake zauważa, do kogo macham, atmosfera się zmienia. Moja żona ostentacyjnie interesuje się przedstawianymi na ekranie procedurami bezpieczeństwa.

Po około piętnastu minutach w powietrzu szturcham ją łokciem. Folake zwraca wzrok na mnie.

— Polubiłem ją. Ma bystry umysł i dobre serce.

— I jest olśniewająca jak diabli — mówi Folake.

— Nie tak jak ty.

Folake prycha i odwraca wzrok. Wyciągam rękę i przeciągam palcem po jej policzku. Folake odwraca się do mnie.

— Nie. Tak. Jak. Ty — powtarzam. — Nie ma nikogo jak ty. I uwierz mi, z Salome nic się nie wydarzyło.

— Wiem — odpowiada dość wyniośle moja żona.

— Jak?

— Bo jestem tu, z tobą. Nawet po tym wszystkim, co ci się wydawało, że wiesz, jesteś tu ze mną. To pewnie miłość.

Wybucham śmiechem, a ona idzie w moje ślady. Szybko odwracamy się do tyłu i widzimy, że Chika śpi, nieświadomy niczego. Przysuwamy się do siebie.

— Masz rację — mówię. — To pewnie miłość.

Folake chichocze radośnie. Wstrzymuję oddech i biorę ją w ramiona.

Siedzimy tak do samego Lagos.

Dom.

PODZIĘKOWANIA

Szybko rozprzestrzeniający się w sieci filmik z linczowanymi i palonymi żywcem czterema studentami Uniwersytetu Port Harcourt przesładuje mnie do dziś. Do napisania tej książki zainspirowały mnie morderstwa Ugonny Obuzora, Toku Lloyd, Chiadiki Biringi i Tekeny Elkanaha. Oddaję cześć zarówno im, jak ofiarom samozwańczych stróżów prawa na całym świecie. Żywię nadzieję, że powieść ta może stanowić wkład do poważnych dyskusji nad powszechnym występowaniem takich zbrodni popełnianych przez tłum i zapobieganiu im.

Pisanie tej powieści było swego rodzaju egzorcyzmem. Dziękuję mojemu opiekunowi naukowemu Williamowi Ryanowi za to, że dostrzegł ten rozpaczliwy cel i poprowadził mnie ku opowiedzeniu tej historii w moim sercu i dzięki temu przywrócił mi miłość do ojczyzny.

Dziękuję Sodienye Kurubo za nocne rozmowy, porady prawne, dobrze napisaną dokumentację, pamiętną wycieczkę po Port Harcourt i zaskakujące spostrzeżenia. Wróć.

Bezcennym źródłem wsparcia i porad byli koledzy i koleżanki z Uniwersytetu Wschodniej Anglii. Adresatami moich podziękowań są Dimitris Akrivos, Nicole Valentine, Peter Selby, Roe Lane, Louise Sharland, Mark Wightman, Denise Beardon, Freya Fowles, Amanda Rigali, Natalie Marlow i Niamh O'Connor. Dzięki Bobowi Jonesowi moje sporadyczne przyjazdy do wielkiej Brytanii okazały się skarbnicą przyjaźni i pomocy. Matthew Willis poprzez szczerze komentarze, pełną zaangażowania redakcję i nocne rozmowy stał się moim bratem. Ogromną wdzięczność jestem winien Henry'emu Suttonowi, Laurze Joyce i Tomowi Bennowi, którzy byli kimś więcej niż nauczycielami, a raczej systemem wsparcia cenionym przeze mnie do dziś. Dziękuję Edowi Woodowi i Lucy Dauman z komitetu Little, Brown/Uniwersytet Wschodniej Anglii przyznającego nagrody za powieść kryminalną. Harriet Tyce otworzyła przede mną swoje serce i dom; znalazłem w niej orędowniczkę na długo przedtem, nim zorientowałem się, że potrzebuję kogoś takiego. Jestem wdzięczny.

Moim rycerzem, przewodnikiem, przyjacielem i agentem jest Harry Illingworth. Składam liczne

podziękowania tobie i zespołowi DHH Literary Agency za wiarę we mnie i tę książkę. Dziękuję też dynamicznemu duetowi Jemma McDonagh-Camilla Ferrier z Marsh Agency. Jeśli chodzi o reprezentowanie mnie, *non, je ne regrette rien*.

Kapellmeister tej książki to Alison Hennessey. Słyszała w niej nuty, o których istnieniu nie miałem pojęcia, dostrzegała związki, które mi umykały, i niestrudzenie żądała zróżnicowanego wykonania. Dała tej książce mnóstwo miłości i dom w wydawnictwie Raven Books. Nauczyłem się tak dużo, cały czas wierząc i wrzeszcząc, lecz jestem ogromnie zadowolony z tego, czym stałem się ja sam i ta książka dzięki jej pomocy. Wielkie podziękowania należą się Sarze Helen Binney, Lilidh Kendrick, Emilie Chambeyron, Amy Donegan, Amy Wong i Jonathanowi Leechowi za trzymanie mnie za rękę. Dziękuję Emmie Ewbank za wspaniały projekt okładki, Lin Vasey, która błyskotliwie przygotowała tekst do druku, wygładzając jego krawędzie, Sarah Bance, mojej korektorce o sokolim wzroku, oraz całemu zespołowi handlowemu wydawnictwa Bloomsbury za wsparcie.

W trudniejsze dni wciąż wracam do listu, który napisał do mnie Josh Kendall tuż przed uzyskaniem praw do wydania tej książki w USA. Jego słowa dodały mi otuchy wtedy i dodają mi jej teraz. Jestem zaszczycony, że mogę nazywać go moim redaktorem, a mając za sobą zawodową pasję takich osób, jak Alexandra Hoopes, Sereena Kamath, Pamela Brown, Alyssa Persons, Bruce Nichols, Judy Clain, oraz całego zespołu handlowego wydawnictwa Little, Brown/Mulholland Books, czuję się uprzywilejowany. Dziękuję.

Ade Fakoya, Femi Olawoyin, Anita Verna Crofts, Kehinde Bademosi, Pearl Osibu, Fabian Lojede, Unoma Azuah, Leye Adenle, Tsitsi Dangarembga, Jessica Ann Wheeler, Yinka Adeleke, Idiare Atimomo, Chika Olejeme, Tom Alweendo, Berlindi Van Eck, Bosede Ogunlana, Selma Neumbo oraz niezrównany Esosa Omo-Usoh byli pierwszymi czytelnikami, którzy powiedzieli „pisz dalej”, kiedy potrzebowałem tego najbardziej. Abius Akwaake naciskał i stawiał mi wyzwania, zajmując się jednocześnie sprawami, na które nie miałem czasu albo pomysłu. Matthias Langheld dał mi i czas, i przestrzeń, i przyjaźń. Mój zespół w Adforce Advertising dopingował mnie i wybaczał długie nieobecności w pracy. Wszystkim wam bardzo dziękuję. Chiedozie Dike. Zasługujesz na własny akapit. Dzięki za pomoc na każdym kroku. Obiecuję odwet.

Dziękuję moim rodzicom, którzy rozbudzili we mnie miłość do słów i dali mi siostrę, Bose, moją wojowniczkę, cheerleaderkę i od samego początku zagorzałą fankę.

Wieczną wdzięczność wyrażam mojej najlepszej przyjaciółce i żonie, Nnece, oraz dwóm cudownym istotom ludzkim, które mamy szczęście nazywać naszymi synami, Simiemu i Tomiemu. Sprawiliście, że tyły były wolne od koszmaru, który dał początek tej książce. Dziękuję.

Nade wszystko dziękuję Bogu, który dał mi to oraz wiele więcej.

